

JILLIAN HUNTER



Przełożyły
Teresa Komłosz i Bożena Kucharuk

1

Pogórze Szkockie
1723

Po raz pierwszy w życiu Duncan MacElgin został zaskoczony i rozebrany przez kobietę - w akcie wrogości.

Jeszcze przed chwilą wsłuchiwał się w cienie zawodzenia dud i krwiożercze okrzyki wojenne MacElginów, dobiegające od wzgórz, a teraz leżał na plecach, ze spodniami ściągniętymi aż do kostek.

Zmiana sytuacji była tak nagła, tak nieoczekiwana, że zdrętwiał na całym ciele.

Co prawda przeczuwał, że jego powrotowi mogą towarzyszyć różne niecodzienne wydarzenia. Nie dziwiłyby go więc jarzębinowe krzyże w pośpiechu przybite do drzwi mijanych domostw ani psy na wzgórzach, donośnym szczekaniem ostrzegające, że zbliża się obcy. Nie zaskoczyłyby go widok dzieci i staruszek, w popłochu uciekających na jego widok, z całej siły przyciskających do piersi egzemplarze Biblii. Jednakże nie przewidział, że może zostać ściągnięty z konia i rozebrany do naga przez niepokornych górali, którzy zgodnie z prawem celtyckim winni byli mu szacunek, nie mówiąc już o gotowości do poświęcenia dlań swojego nędznego żywota.

Poza wszystkim nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że zasadzkę zorganizuje dziewczyna, wydająca dyspozycje niczym oszałała

francuski marszałek polny na linii frontu. Piekelnik potrafił wyzwolić w swoich ludziach niezwykłą energię. Patrząc teraz na drobną, zakapturzoną postać siedzącą na końskim grzbiecie, poprzysiągł sobie, że policzy się z nią, gdy tylko skończy się walka.

A potem jakieś półgłówki próbowały wysmarować go błotnistą mazią i oblepić pierzem. Doprawdy, trudno byłoby wymyślić coś bardziej upokarzającego! Kurze pióra i cuchnący szlam! Kopnął jednego z napastników w podbrzusze, strząsnął z ramion i przewrócił drugiego, po czym zerwał się na nogi, by ocenić rozmiar szkód. Cuchnąca, lepka ciecz spływała mu po ramionach prosto w skórzane rękawice. W okolicy łokci sterczały kurze pióra.

Wyraz niekłamanej pogardy dla siebie samego zachmurzył wyrazistą twarz. Nagi, upokorzony, zmuszony do walki o przetrwanie... jak mógł się łądzić, że cokolwiek się tu zmieniło? .

Jakiś karzeł z długą rudą brodą poprzetykaną siwizną, toczący się śmiesznie na koślawych nogach, wrzucił buty Duncana do jeziora, ku ucieście niedomytych członków klanu, zajmujących strategiczne miejsca na urwistej skale nad przełęczą. Rechetowi mężczyzn wtórował dźwięczny kobiecy śmiech.

Duncan rozsierdził się nie na żarty, nie panował już nad sobą; został odarty z dumy i godności tak samo jak z ubrania. Buty zostały wykonane z drogiej rosyjskiej skóry, inne części jego garderoby nadejdą dopiero za kilka dni, a ta szalona kobieta uważa, że to świetny dowcip. Nie zważając na swą nagość, przeskoczył zaporę z głazów i odepchnął dwóch górali, którzy rzucili się w jego stronę. Zrobił to bez większego wysiłku, jak olbrzym rozprawiający się z komarami.

- Kto - zaryczał w ciszę, jaka zapadła po tym pokazie brutalnej męskiej siły - kto jest odpowiedzialny za tę zniewagę?!

Zdecydowany ton potężnego głosu, jakim zazwyczaj posługiwał się jedynie na polach bitewnych, najwyraźniej wywarł duże wrażenie na napastnikach. Tak przemawiali jedynie ci, którzy od pokoleń rodzili się do sprawowania władzy. Siedmiu górali na koniach gapiło się nań teraz z pełnym podziwem zainteresowaniem, lecz i z przerażeniem. Dwaj mężczyźni, leżący u jego stóp,

przezornie odczołgali się na pewną odległość, zamierzając jak najszybciej wdrapać się na bezpieczne miejsce na skale.

Dzika, zwierzęca wprost furia przepełniała Duncana, czyniąc go niewrażliwym na pieszczotliwe poddmuchy łagodnego czerwcowego wiatru. Zapomniał o tym, że stoi całkiem nagi (jeśli nie liczyć czarnych skórzanych rękawic) przed tą żalosną zbieraniną ludzi z jego klanu. A więc to tak. Z satysfakcją zaczerpnął tchu. To nareszcie ich otrzeźwiło. To właśnie Duncan umiał robić najlepiej: wydawać rozkazy. Budzić przerażenie.

- Lachlanie MacElgin! - krzyknął do krępego mężczyzny, który tkwił na skale jak zmęczony myszołów. - Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, na kogo przed chwilą napadliście?

Mężczyzna o imieniu Lachlan przełknął z trudem, a otaczający go towarzysze na koniach zaczęli wymieniać uwagi gorączkowym szeptem.

- Skąd mnie znasz? - zapytał Lachlan, kiedy już był w stanie wydobyć głos ze ściśniętego gardła. - Kim w takim razie jesteś?

- Kim jestem? - powtórzył Duncan z mściwym uśmiechem na ustach. Chwyciwszy za dawno nie myty kark jednego z mężczyzn, próbującego chyłkiem przemknąć się w kierunku skały, potrząsnął nim jak zajacem.

- A ty, Owen, jak myślisz, kim jestem?

Przerażony Owen nerwowo zamrugał bezrzęsyimi powiekami.

- K-królem Anglii? - wyjąkał, po czym ukazał wystające zęby w przypochebnym uśmiechu, licząc na to, że jeżeli przypadkiem okazałoby się, że zgadł, wkradnie się w łaski tak znamienitej osoby.

- Królem Anglii? - Głucho dudniący śmiech Duncana niejednemu przyprawił o ciarki. - Czy doprawdy wyglądam jak poczciwy król Anglii?

- Nie wiem - odezwał się nieśmiało Owen, zezując na Duncana. - To możliwe, tak, to możliwe. Macie taką twarz, że możecie być królem.

Duncan uśmiechnął się nieznacznie i uwolnił mężczyznę, którego długie do ramion, kruczoczarne włosy spletywał wiatr.

- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że Jego Królewska

Mość miał przejeżdżać tędy dziś po południu, a wy, cymbały, czekaliście tutaj, żeby go schwytać w zasadzkę?

- Nie chcieliśmy chwytać króla w zasadzkę - wyznał szczerze Owen, nieco uspokojony, jako że nic nie wskazywało na to, by nagi olbrzym zamierzał go zabić. - To ty wymieniłeś jego imię.

Z wyrazem niesmaku na ogorzałej twarzy Duncan zerwał wyblakłą chustę z ramion Owena i próbował się nią opasać. Chociaż znoszony tartan nie został skrojony na jego potężną miarę - z równym powodzeniem mógłby próbować się zakryć listkiem figowym - jednakże musiał jakoś przysłonić przynajmniej najważniejsze części ciała. Duncan nie widział jeszcze twarzy dziewczyny, ale miotając się dookoła niczym nagi Herkules, cały czas był świadom obecności tej przekłętej smarkuli. Ktoś inny na jego miejscu spaliłby się ze wstydu.

Wyrwał swoją szablę z rąk mężczyzny, który niedawno mu ją zabrał i trzymał niezdarnie, opierając o szyję srokatego kuca.

- Nie macie nawet najmniejszego pojęcia, kim jestem? - domagał się odpowiedzi od swej skamieniałej z przejęcia publiczności.

- Księciem Piekieł? - zapytał ktoś, pół żartem, pół serio.

- A gdyby imać się okazać, że istotnie jestem diabłem - powiedział Duncan, złowróźnie ścisząc głos - to jaka, waszym zdaniem, kara spotkałaby was za napadnięcie mnie?

Mężczyźni w obdartych spodniach, okryci szorstkimi wełnianymi chustami, poruszyli się niespokojnie na swoich kucach. Pośpiesznie wymieniano nerwowe szept. Na widok pałającego wzroku Duncana, postraszeni perspektywą wieczystych mąk w ogniu piekielnym, napastnicy zaczęli wycofywać się w stronę przełęczy. Wszyscy mieszkańcy Pogórza Szkockiego wiedzieli, że Książę Piekieł - lub Stary Hornie, jak go tu czasami nazywano - często przybierał postać nagiego młodzieńca, a fakt, że to oni sami go rozebrali, skłonni byli uznać za jeszcze jeden szatański żart.

Duncan wbił szablę w ziemię koło swych stóp i przemówił opanowanym, chłodnym tonem:

- Jakoś nie mogę się doczekać odpowiedzi. Skoro nie macie pojęcia, kim jestem, może mi powiecie, co za idiota wpadł na pomysł zaatakowania przybysza, który nikogo nie prowokował?

Zapytani niemal wtopili się w skałę. Wysoko w górze, na tle fioletowozłocistego letniego nieba, Duncan dostrzegł leniwie krążącego jastrzębia. Przepęlniony gniewem, nie skojarzył sennego lotu ptaka z tym, co za chwilę nastąpiło.

Niepozorny jeździec na wspaniałej hiszpańskiej klaczy przedzierał się właśnie przez tłum górali, by stawić mu czoło. Była to ta sama dziewczyna, która wydała rozkaz schwytania go. Sięgająca kostek chusta, zarzucona na głowę niczym kaptur, ku rozczarowaniu Duncana uniemożliwiała dostrzeżenie rysów twarzy, co sprawiało, że dziewczynę otaczała aura groteskowej tajemniczości. Opanowany, wręcz dostojny sposób bycia wydawał się przeczyć wątlę posturze.

Duncan zmrużył oczy, starając się zachować najwyższą czujność.

- Nie jesteś królem - odezwała się tonem tak opanowanym, że miał ochotę z całej siły potrząsnąć jej. wątlymi ramionami.
- Wszyscy wiedzą, że król ma wielki tyłek i nos jak kiełbasa. Nie jesteś też Księciem Piekieł, chociaż, przyznaję, przywozisz go na myśl. Kim więc jesteś, ty, który ośmieliłeś się wjechać na terytoria MacElginów w swoim cudacznym angielskim stroju?

Kim był?

Duncan głęboko zaczerpnął tchu, zastanawiając się, jak powinien odpowiedzieć na to zuchwałe pytanie. Jego imię stało się już wręcz legendarne w całej Europie, gdzie był znany jako bezlitosny markiz z Minorki, protegowany księcia Marlborougha, osobisty doradca rosyjskiego cara i holenderskiego ministra wojny. W cywilizowanym świecie zasłynął jako generał *corps d'elite* kawalerii szkockiej - regimentu Scots Grey. Rozbudzał wyobraźnię Europejczyków błyskotliwie prowadzonymi kampaniami wojennymi, a przed niespełna sześcioma miesiącami wsławił się odbiciem jeńców z dobrze strzeżonej cytadeli.

Do diabła, przecież zaledwie miesiąc temu, w Holandii, całe tabuny dziewcząt rzucały się na jego powóz i kryły w jego apartamentach niespodziewanie wynurzając się z szaf jak figurki wyskakujące z pudełka.

A teraz był zmuszony tłumaczyć się przed dziewczyną równie mało cywilizowaną jak jej rodzinny kraj.

Tutaj, na północnym wybrzeżu Szkocji, w zapomnianej wiosce wciśniętej między góry, wrzosowiska i morze, był jedynie Duncanem MacElginem, *Duncanem Dubh*, jak nazywali go miejscowi za jego plecami; złym Czarnym Duncanem, wysokim chudym chłopcem, który podobno zabił swoją matkę i jej męża, chłopcem, którego wygnanie przez biologicznego ojca przed prawie piętnastoma laty zostało przyjęte z ogromną ulgą przez cały klan MacElginów.

Był również niemile widzianym dziedzicem naczelnictwa klanu MacElginów i miał niewiele szans zjednania sobie przychylności stojącej przed nim grupy ludzi.

Energicznym krokiem podszedł do dziewczyny, dostrzegając błysk rozbawienia w szarzielonych oczach, przywodzących na myśl morską toń. Po chwili jednak oczy te skryły się w cieniu kaptura. Usłyszał cichy śmiech. Bezwiednie opuścił wzrok, by sprawdzić, czy stara chusta zasłania męskość. Jastrząb krążył teraz niżej, prezentując swą krasę w majestatycznym locie. Napięcie rosło w powietrzu jak burzowe chmury.

- Niestety, tak się składa, że nie jestem Księciem Piekieł - wycedził, rozdrażniony faktem, że musi tłumaczyć się przed nie znaną mu osobą. - Jednakże dla waszej nędznej grupki byłoby zapewne lepiej, gdybym nim był. Nie wydaje mi się bowiem, by moje imię - Duncan MacElgin - miało wywołać eksplozję radości.

Usłyszał, jak dziewczyna gwałtownie wciąga powietrze. Zastanowiło go, czy ma tyle lat, że pamięta jego niechlubną przeszłość, czy też jedynie rodzice zmuszając ją do posłuszeństwa opowiadali historie z jego burzliwej młodości. Odżyły stare rany; spochmurniał na wspomnienie doznanych upokorzeń.

Nie chodź samotnie po zmroku, dziewczyno, bo porwie cię Duncan Dubh. Nie zostawiaj swego konia na dworze w nocy, bo Duncan Dubh ukradnie go i sprzeda Cyganom. Nie baw się z Duncanem. Nie pozwól, by jego cień padł na ścieżkę, którą idziesz. Wstrzymaj oddech, kiedy mija cię Duncan Dubh.

- Duncan... Duncan MacElgin - wymamrotał Lachlan, powoli

zsiadając z kuca. - To niemożliwe. Słyszeliśmy, że nie żyjesz, tak samo jak twój ojciec, że poległeś w jednej z wojen na Kontynencie.

Mieli nadzieję, że nie żyję, dodał w myślach Duncan, wyczuwając gęstniejącą wokół siebie atmosferę wrogości. Tak, członkowie jego klanu nienawidzili go; czy można ich było za to winić, skoro przysporzył im tylu zmartwień? Mimo to był zdziwiony, że po piętnastu latach wspomnienia jego burzliwej młodości wciąż budzą tak żywe emocje i tak wielką niechęć.

Słumił zaskakująco głębokie uczucie rozczarowania, wmawiając sobie, że dotknęło go ono jedynie powierzchownie, niczym ukąszenie osy. Mogą go nie kochać, ale bezwzględnie musi zdobyć ich szacunek i posłuszeństwo. Czuł jednak, że osiągnięcie tego nie przyjdzie mu łatwo.

Poza tym ta dziewczyna. Posłał jej karcące spojrzenie, zastanawiając się, jak ją poskromić. Miał ochotę przełożyć ją przez kolano i laniem wybić jej z głowy nieposłuszeństwo; nie miał najmniejszej ochoty cackać się ze zbuntowanymi oberwańcami. Jak śmiała zadawać mu pytania tak absurdalnie wyniosłym tonem? Dlaczego patrzyła na niego tak, jakby był pierwszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, co może z nią zrobić?

Mocno ścisnął rękojeść szabli. Miał zamiar włożyć ją do pochwy, lecz w tej samej chwili przypomniał sobie, że zarówno pochwa, jak i jego krótkie spodnie, spoczywają na dnie górskiego jeziora. Czarny kapelusz z podniesionym rondem unosił się na pokrytej glonami powierzchni. Dziki skowyt, jaki wydarł się z piersi Duncana, sprawił, że jeden z członków klanu zeskoczył ze swego kuca i usiłował wyłowić ubranie wodza z małą przejrzystej toni.

- Nie jest tak źle, milordzie - obwieścił, biegnąc z powrotem. Trzymał koszulę Duncana za ociekające wodą koronkowe mankiety. - Wystarczy tylko kilka razy porządnie nią potrząsnąć, żeby odpadły glony, i będzie jak nowa.

- Natychmiast oczyścicie mnie z tego brudu - warknął Duncan.

Dwaj mężczyźni zdjęli brudne chusty i zaczęli gorączkowo

ocierać z jego ramion wymieszaną z pierzem maź. Duncan spojrzął na dziewczynę, zaintrygowany tym, że w przeciwieństwie do innych nie okazywała ani cienia skruchy. Przyprawiało go to o irytację. Pewnie uśmiecha się głupio pod swoim kapturem. Niech się śmieje. Pomyślał, że kiedy spotka się z jej rodziną, na pewno nie będzie już tak pewna siebie.

- Co jest z nią nie tak? - zapytał nagle górali, którzy z wysiłkiem szorowali jego łokieć. - Jest dziobata po ospie, czy ma jakieś straszne pryszcze, że musi się zasłaniać tym cholernym kapturem?

Pożałował tych ostrych słów, ledwie je wypowiedział, lecz zarówno dziewczyna, która wydała z siebie przeciągły chichot, jak i dwaj mężczyźni nie sprawiali wrażenia urażonych.

- Kaptur stanowi zabezpieczenie - wyjaśniła chłodnym tonem.

Zmarszczył czoło, zaintrygowany kędziorem barwy czerwonego wina, który odcinał się jaśniejszą plamą na tle ciemnej wełny.

- Zabezpieczenie przed czym? - zapytał.

Wyciągnęła drobną dłoń w kierunku skały, na której siedział jastrząb, patrzący prosto na Duncana. - Zabezpieczenie przed Eunem.

Eun, jastrząb. Duncan w zamyśleniu przyglądał się ptakowi.

- W oczach tego ptaka dostrzegam więcej inteligencji niż u was. - Wyraźnie zniecierpliwiony, wyszarpnął rękę, przerywając zabiegi kosmetyczne na swoim łokciu. Członkowie klanu patrzyli na niego w osłupieniu. - Raz jeszcze pytam, kogo zamierzaliście schwytać dziś w pułapkę. Domyślam się, że była to zaplanowana akcja; przypuszczam, że nie co dzień leżycie w krzakach, uzbrojeni w tę maź i kurze pierze, czekając na jakiegoś nieszczęśnika.

Dziewczyna przechyliła głowę i spojrzała na niego. Ponownie doświadczył dziwnego, trudnego do nazwania uczucia, gdy zdał sobie sprawę, że rozplómiętym wzrokiem bada jego twarz, starając się wnikać głębiej i wyczytać z niej więcej, niż ktokolwiek by się ośmielił. Poczuł ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Kim, u diabła, była ta piekielnica? Co sprawiało, że miała posłuch u członków klanu? Czy ją znał?

- Oczywiście, że to była zaplanowana zasadzka - odpowiedziała spokojnym tonem. - Zauważyliśmy twoje cudaczne ubranie i pomyśleliśmy, że jesteś kapitanem angielskich dragonów, którzy mają zamiar zniszczyć nasze pola, by zbudować jeszcze jedną drogę.

Duncan prychnął lekceważąco.

- I zapewne nie przyszło wam do głowy, że za napaść na królewskiego oficera grozi stryczek?

- Przecież nie napadliśmy na królewskiego oficera - odezwał się cicho jeden z członków klanu stojący za dziewczyną..

- Napadliśmy na ciebie, milordzie.

- To naprawdę była pomyłka - dodała z lekkim poirytowaniem w głosie. - Nie rozumiem, dlaczego robisz o to tyle hałasu.

W oczach Duncana pojawiły się gniewne błyski.

- Naprawdę nie rozumiesz? - powiedział. - Wydaje ci się, że spokojnie sobie odjadę, udając, że nie mam piór przyklejonych do...

- Możesz wykapać się w morzu - zaproponowała, bynajmniej nie wyprowadzona z równowagi. - O tej porze roku woda jest już zupełnie ciepła. Poza tym nie zauważyłam, żebyś coś sobie złamał.

- A przyjrzałaś się dokładnie? - odpowiedział rozdrażniony.

- Trudno było nie zauważyć - stwierdziła, uśmiechając się szeroko.

Przez chwilę Duncan odczuwał przemożną chęć odwrócenia się i odjechania do Anglii, udając, że nic go nie łączy z tym klanem i nie ponosi zań żadnej odpowiedzialności. Lecz jego przyszłość zależała od tego, jak sobie tu poradzi. W świetle niedawnych wydarzeń trudno było żywić jakiegokolwiek nadzieje na sukces. Jednakże otrzymał wyraźne rozkazy Korony. Odpowiedzialność za ten klan została złożona na jego barki przez Ministerstwo Wojny.

Doniesienia o niezbyt gwałtownych, jednakże regularnie powtarzających się napadach na królewskich oficerów ze strony członków jego klanu nie od wczoraj niepokoiły Londyn. Tak się składało, że zamek MacElginów znajdował się w połowie starej drogi, prowadzącej do brytyjskiego garnizonu na trudno dostęp-

nym, usianym skałami wybrzeżu, służącym od lat jako port wjazdowy szpiegów z Francji i jakobickich rebeliantów.

Z powodu wywrotowej działalności zmarłego ojca Duncana, skierowanej przeciwko angielskiemu królowi, poprzedniej zimy zamek MacElginów został skonfiskowany na rzecz Korony.

Jak się wkrótce miało okazać, korona nie była zainteresowana utrzymaniem kolejnego zamku, znajdującego się w opłakanym stanie. Duncanowi obiecano, że jeśli zdoła opanować sytuację w sprawiającym tyle kłopotów klanie na czas wystarczający angielskim żołnierzom do ukończenia budowy dróg wojskowych, w nagrodę otrzyma wspaniałe księstwo przygraniczne.

Do diabła, w Europie doprowadzał do porządku nawet najbardziej niesforne oddziały. Najemników z zagranicy zmieniał we wspaniałe maszyny wojenne. Czyż mogło więc być dlań trudne wzbudzenie szacunku wśród członków własnego klanu?

Dyscyplina. Wprowadzenie żelaznej dyscypliny to najważniejsze zadanie. Tymczasem członkowie tej żalosnej zgrai sprawiali wrażenie ludzi, którzy mają spory kłopot z wyrzuceniem z siebie energii potrzebnej do podrapania się we własny zadek.

Niedobrze się też stało, że sprawy przybrały taki obrót, że udało im się go zaskoczyć i że wyglądał teraz jak idiota. Będzie musiał dać im podwójną dawkę dyscypliny, żeby szala przechyliła się na jego stronę. Będzie też musiał dla przykładu ukarać jakoś tę dziewczynę - najwyraźniej prowodyra wszystkich zajść. Niezależnie od pobudek ich postępowania, będą musieli zrozumieć, że nie mają najmniejszych szans w konfrontacji z brytyjską armią.

Spojrzał na swego dalekiego kuzyna Lachlana, przysadzistego mężczyznę o rzednących brązowych włosach i goszczącym na twarzy wyrazie nerwowego zatroskania.

- Dość już tych głupot. Kto ma tu władzę?

Lachlan nerwowo rozejrzał się dookoła, najwyraźniej zdawszy sobie sprawę, że życie, jakie do tej pory wiódł klan MacElginów, miało się zmienić, i to z pewnością nie na lepsze.

- Jak to... przecież to ty, milordzie... - zaczął ostrożnie.

- Oczywiście, ale pytam, kto wami rządził, zanim się tu

zjawiłem, a szczególnie interesuje mnie, kto opracował plan ataku na waszego pana i naczelnika.

- Ja - odezwała się dziewczyna głosem, w którym absolutnie nie było skruchy; uporczywie wpatrywała się w swe zanedbane paznokcie, - A teraz, skoro zostało to już wyjaśnione, uważam, że nie ma sensu robić wokół tego tyle hałasu.

- Ty?! - Głos Duncana wzniósł się niemal do krzyku. Popatrzył na członków klanu spod zmrużonych powiek. - Chcesz mi powiedzieć, że cały klan MacElginów bez sprzeciwu spełnia szalone polecenia... i to w dodatku polecenia kobiety?

- Przez większość czasu twój klan nie wykonuje żadnych poleceń, z wyjątkiem tych, które dotyczą najistotniejszych spraw - kontynuowała z wyczuwalną urazą w głosie, - Ale jeśli musisz znaleźć kogoś, na kim będziesz mógł wyładować swoją złość, to oczywiście ja powinnam zostać ukarana. To ja jestem odpowiedzialna za dzisiejszy napad.

- Ty? Dziewczyna?

Pochyliła głowę jak księżniczka przyjmująca komplement od prostaka.

Mężczyzna, przed którym najwięksi europejscy generałowie padali na kolana w geście kapitulacji, poczuł się bezradny niczym dziecko. Jak ma ukarać tę upartą dziewczynę? Dlaczego ci wszyscy mężczyźni okazali się głupcami, bez sprzeciwu wypełniającymi dziwaczne rozkazy wojowniczej kobiety?

- Wyjaśnij mi to, Lachlanie - poprosił, w oszołomieniu kręcąc głową. - Jak to możliwe, że pozwoliliście, by ta kobieta wodziła was na manowce?

Lachlan dotknął łokcia Duncana, ostrożnie odklejając zeń kurze piórko. Chciał odciągnąć olbrzymia na stronę i ostrzec go.

- Jej wuj ma nadprzyrodzone zdolności, milordzie. Miał kiedyś widzenie... ogień powiedział mu, że Marsali powinna starać się powstrzymać kolejnego Anglika, który będzie przejeżdżał przez przełęcz.

- Wielka szkoda, że nadprzyrodzone moce nie odróżniają Szkota od Anglika - stwierdził Duncan z przekąsem. - Gdzie są jej rodzice?

- Nie żyją.
- Czy ma jakichś krewnych... to znaczy męża czy kogoś, kto jest za nią odpowiedzialny?

Lachlan zmarszczył czoło; wszyscy członkowie klanu żywili jak najcieplejsze uczucia w stosunku do Marsali.

- Dziewczyna odpowiada sama za siebie, jeśli nie liczyć starego Columa, tego wuja, o którym przed chwilą mówiłem. On jest czarownikiem - dodał chytrze, dobitnie akcentując słowa, by dać Duncanowi do zrozumienia, iż może się spodziewać dziwnych zjawisk na ziemi i niebie, jeżeli źle potraktuje siostrzenicę czarownika.

- Colum, czarownik - powiedział z przekąsem Duncan. Odżyły wspomnienia; oczyma wyobraźni ujrzał dość paskudnego, siwo-włosego mężczyznę, który często wałęsał się po wrzosowisku, przemawiając do skał, wodząc wzrokiem za pasterkami i rzucając czary, które nie odnosiły żadnego skutku.

- To u nich rodzinne - porozumiewawczym tonem dodał Lachlan. - Podobno Marsali też ma nadprzyrodzone zdolności, ale nie chce ich używać.

Marsali. Czy słyszał już kiedyś to imię? Wyparł z pamięci tak wiele wspomnień. Zapewne przybyła tu niedawno, może była córką jakiegoś górala, który zerwał więzi ze swoim klanem i dołączył do MacElginów? Tak czy owak, najprawdopodobniej miała niechlubną przeszłość.

- Boicie się dziewczyny? - zapytał Duncan, uśmiechając się wzgardliwie.

- Nie, nie.

Duncan badawczo przyjrzał się Marsali, uzmysławiając sobie, że oto znów jest na Pogórzu Szkockim, gdzie czarownicy, wróżki i duchy były chlebem powszednim.

- Zdejmij kaptur - powiedział władczy tonem. - Chcę widzieć twój twarz, kiedy do ciebie mówię.

- Nie zdejmę - odparła.

- Nie zdejmiesz? - powtórzył z niedowierzaniem, lekko podniesionym głosem. - Ośmielasz się sprzeciwiać swemu panu?

- Zmuszasz mnie do tego, milordzie.

Przyglądał się jej z niejakim rozbawieniem, cały czas świadom tego, że członkowie klanu patrzą zaciekawieni, czy uda mu się przełamać jej upór. Tajemnicza młoda dama doprowadzała go do ostateczności i nie miał zamiaru dłużej tego znosić. Nadszedł czas, by okazać swoją władzę.

- Marsali, nie zmuszaj mnie do robienia widowiska - powiedział ostrzegawczo i pochylił się w jej stronę. - Jeśli nie zdejmiesz kaptura, zrobię to ja.

- Nie mogę go zdjąć, milordzie. - Wydawała się zakłopotana tym żądaniem. - A poza tym, jeśli tylko mnie dotkniesz, pożałujesz tego.

Duncan zacisnął szczęki tak mocno, że drgnęły mu mięśnie twarzy. Doczekała się - wręcz zmusiła go do użycia siły, mimo iż skłaniał się już ku temu, by okazać wspaniałomyślność. Posłał Lachlanowi wymowne spojrzenie.

- Więc mówisz, że nie jest oszpecona?

Lachlan zaniepokoił się, widząc, że wódz opanowuje się z najwyższym trudem.

- Eee... milordzie, nie jest, ale jeśli mogę cię ostrzec...

- Nie możesz - stwierdził Duncan, odwracając się ku dziewczynie. - Marsali, pogarszasz tylko swoją sytuację. Natychmiast zdejmij ten przeklęty kaptur.

- Nie ma mowy. - Dumnie uniosła podbródek i dodała z przekąsem: - Milordzie.

Duncan doszedł do wniosku, że nadszedł czas na zademonstrowanie siły. Podeszedł do Marsali, zamierzając zdjąć ją z konia. Stawiała opór jedynie przez chwilę; okazała się silniejsza niż się spodziewał, lecz była lekka jak piórko i bez trudu wziął ją na ręce. Mała piastka uniosła się, by uderzyć go w szczękę. Udaremnił ten zamiar i wybuchnął nerwowym śmiechem.

- Postaw mnie na ziemi! - krzyknęła, wymierzając mu kuksańca łokciem w bok.

- Z najwyższą przyjemnością.

Zadowolony z siebie, umożliwił jej stanięcie na własnych nogach i sięgnął po kaptur. Wzdrygnęła się, zasłaniając głowę rękami. Równie skutecznie motyle mogłyby próbować odstraszyć

olbrzyma. Nie zniechęciło to też Duncana, a jednak zawahał się na chwilę, słysząc niespokojne głosy otaczających go członków klanu.

Czyżby rzeczywiście była potworem? Upokorzenie dziewczyny i tak pokrzywdzonej przez los na oczach członków klanu, którzy najwyraźniej darzyli ją szacunkiem, nie wróżyło mu niczego dobrego. Musiał jednak przestrzegać zasad. Tylko one się tu liczyły. Nie było miejsca na współczucie dla czyichś ewentualnych ułomności.

Zmusił ją do cofnięcia się o kilka kroków tak, żeby stała uwięziona pomiędzy nim a koniem.

- Pożałujesz tego, milordzie - ostrzegła go jeszcze raz, tuż przed tym, nim szybkim ruchem zdarł kaptur z jej głowy.

Spojrzał na nią, zmieszany; bezwiednie zmrużył powieki. Zapomniał, co powinien był teraz robić. Nie spodziewał się, że drobna, sercowata twarzyczka buntownicy będzie tak intrygująca. Stanowiła bowiem przedziwne połączenie rozkosznej niewinności i silnej, nieposkromionej woli.

Szarozielone oczy wyrażały bardziej rezygnację niż niechęć. Zauważył wystające kości policzkowe, mocne szczęki i miękkie, ruchliwe usta, świadczące o zmysłowości i poczuciu humoru. Trudno byłoby nazwać ją pięknnością, patrząc na strzechę złocisto-brązowych włosów na głowie i zadarty nos, z pewnością jednak była niepowtarzalnym zjawiskiem, kobietą-dzieckiem, doskonale pasującą do roli bajkowej księżniczki. Oczywiście zupełnie nie wierzył w istnienie takich stworzeń.

- Nie powinnaś była okazywać mi nieposłuszeństwa - odezwał się po chwili, nieco już ochłoniwszy, celowo zabarwiając swój głos nutą surowości. - Będę cię musiał ukarać.

Westchnęła cichutko. Powietrze wypełnił szum potężnie bijących skrzydeł. Jakiś cień zasłonił zdumiewająco jasną twarz Marsali, uniemożliwiając dostrzeżenie malującego się na niej przerażenia.

A potem jastrząb natarł na Duncana.

2

CÓŻ. MacElgin mógł obwiniać jedynie samego siebie za to, co się stało. Gdyby poddał się natychmiast, gdy tylko został złapany, gdyby ubrał się jak mieszkaniec Pogórza, tak, żeby można go było rozpoznać... gdyby nie włożył jaskrawoczerwonego munduru ze złotymi epoletami, nikt nie popełniłby omyłki. Marsali doszła do wniosku, że pozwoli mu pocierpieć. Mogła rozkazać Eunowi, by pozbawił naczelnika orlego nosa, nie wspominając już o innych częściach ciała, okrytych jedynie chustą Owena.

Jednakże Duncan był zbyt urodziwym przedstawicielem męskiego rodu, żeby pozwolić Eunowi na atak. Bezpieczna za osłoną kaptura Marsali mogła do woli przyglądać się pokazowi siły w wykonaniu naczelnika klanu. Trudno było nie zachwycić się jego dzielnością, sposobem, w jaki zwyciężał kolejnych przeciwników. Był jak grecki bóg zesłany na ziemię, by bawić się ze śmiertelnikami.

Marsali nigdy nie widziała jeszcze czegoś podobnego. Niemal entuzjastycznie reagowała na przejawy jego agresji, zapominając, że był przecież wrogiem, ciemiężcą. Aż siedmiu mężczyzn musiało połączyć swe siły, by zdjąć mu spodnie.

Nawet teraz, kiedy uniósł muskularne ramiona, by bronić się przed atakiem jastrzębia, czarnowłosa Duncan wyglądał jak ucieleśnienie męskiego piękna. Jaka szkoda, że był najbardziej zniechęconym górale. Niemniej jednak każdy powinien

otrzymać szansę. Na tę myśl serce Marsali zaczęło bić żywiej. Czyżby miał być odpowiedzią na jej modlitwy? Czyżby miało się okazać, że to właśnie na niego czekała?

- Eun, przestań! - krzyknęła z całej siły, opanowując się z trudem. - Atakujesz naszego wodza!

Skarcony jastrząb gwałtownie zmienił kierunek lotu i zatonczywszy koło, łagodnie osiadł na ramieniu Marsali, wbijając pazury w delikatną skórę jej obojczyka. Zaniknęła oczy, nieznacznie krzywiąc się z bólu. Po chwili ptak wskoczył jej na głowę, otoczył ją wielkimi skrzydłami i wbił nieruchomy wzrok w Duncana.

W oczach Marsali pojawiły się łzy bólu. Duncan powoli opuścił szablę. Z niedowierzaniem patrzył na drapieżnego ptaka siedzącego na delikatnej kobiecej głowie. Szyja chwiała się jak łodyżka kwiatu, zbyt krucha, by udźwignąć ciężar płatków. Marsali spjrzała oskarżycielskim wzrokiem na rozczochranego Duncana.

- Przestraszyłeś go nie na żarty.

- Ja go przestraszyłem? - Duncan spojrział na długie, głębokie ślady pazurów na swych ramionach.

- Musisz przyznać, milordzie, że próbowałam cię ostrzec. Nie przypuszczałeś chyba, że noszę ten kaptur w słoneczny letni dzień, żeby uczynić zadość wymogom mody.

Duncan wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu.

- Nie, Marsali. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że nosisz ten kaptur, by nie zostać rozpoznaną. Jeżeli notorycznie napadasz na nieszczęsnych przybyszów, ktoś mógł już wyznaczyć sporą nagrodę za twoją głowę.

- Nie mówiąc o głowie jastrzębia - wtrącił Lachlan ze śmiechem, który jednak natychmiast zamarł mu na ustach pod karcącym wzrokiem Duncana.

- Większość jastrzębi szkoli się tak, żeby siadały na dłoni - oschłym tonem stwierdził Duncan.

- Eun nigdy nie był szkolony - odpowiedziała Marsali. - Jako młody ptak mieszkał na skale, którą angielscy żołnierze wysadzili, budując drogę. Mój wujek zajął się nim potem troskliwie, aż Eun wrócił do zdrowia. Biedny ptaszek był kłębkim nerwów.

Duncan nic odpowiedział, gdyż jego uwagę zwróciło nagłe poruszenie. Jeden z członków klanu wyciągnął z jeziorka ociekające wodą części ubrania - aksamitny kaftan, kapelusz, spodnie, pas do szabli i buty rajtarskie. Uśmiechnawszy się nieśmiało do Duncana, złożył mokre ubranie u jego stóp, po czym szybko wycofał się, dołączając do grupy.

Duncan przyjrzał się kijankom, pływającym w wodzie wypełniającej jego buty. Jego niebieskie oczy wydawały się przejrzyste jak lód, gdy uniosł głowę i przebiegł wzrokiem po twarzach zgnusniałych mięczaków, którzy pod jego dowództwem mieli zacząć przypominać mężczyzn. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć przynajmniej jednego człowieka, którego będzie mógł mianować swym następcą. Boże, spraw, żeby znalazł się choć jeden.

Przeniósł wzrok na Marsali, która kręciła się niespokojnie w rytm ruchów Euna na jej głowie. Jej ramiona również pokryte były pręgami i brzydkimi zadrapaniami. Dziwna dziewczyna.

- Mogłem skrócić go o głowę, Marsali - powiedział Duncan, wskazując długą szablę z toledańskiej stali - gdybym nie był tak opanowany.

Uniosła pięknie zarysowane brwi.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, milordzie.
- Nieznacznie uniosła ramię nad końską grzywę, ukazując pistolet skałkowy, który cały czas trzymała w ręku. - A ja mogłam wysłać cię na tamten świat... gdybym nie była tak opanowana.

Za plecami Duncana rozległy się zuchwałe rechoty i chichoty. Pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- Obawiam się, że jeszcze pożałujesz, że tego nie zrobiłaś, dziewczyno - powiedział, po czym dodał ściszym głosem:
- Po tym, jak się z tobą rozprawię.

Ktoś stojący za Marsali gwizdnął, udając przerażenie. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia osoby nadmiernie przejętej słowami Duncana. I wtedy niespodziewanie Eun, jak lis podążający w kierunku swej nory, wychylił się do przodu i wleciał w jasne czerwcowe, niebo.

Marsali podrapała czerwone pręgi na czole.

~ Czy mógłbyś wyjaśnić, co miałeś na myśli, wypowiadając swą zawołowaną groźbę?

- To nie była zawołowana groźba - odparł. - Mimo że nie mieści mi się to w głowie, ci mężczyźni słuchają twoich rozkazów, więc jako ich przywódczyni jesteś odpowiedzialna za popełnione przez nich przestępstwa.

- Czy czeka mnie kara cielesna, czy banicja? - zapytała z udawanym przestraczem. - Czy będę mogła wybrać pomiędzy obdarcie ze skóry a plutonem egzekucyjnym?

- Nie zapominaj o pęgierzu - dodał ktoś wesoło.

Duncan zmrużył powieki, dając do zrozumienia, że Marsali za chwilę przekroczy granicę jego wytrzymałości. Podniósł głos.

- Jako pan i naczelnik klanu MacElginów rozkazuję ci spędzić lato na służeniu mi w zamku MacElginów. Będziesz musiała pucować moje buty, pilnować, żeby moje ubranie było jak spod igły...

Marsali zamrugała; wydawała się bliska załamania w sytuacji, gdy sprawy przybierały tak niespodziewany obrót. Ona miałaby być służącą? Wykluczone.

- Chyba się przesłyszałam. Co miałabym robić?

- Prowadzić w moim imieniu korespondencję... zakładam, że umiesz czytać i pisać, i wykonywać różne moje polecenia.

- To jedynie pobożne życzenia i zuchwałość, milordzie. Żebyś mógł mi rozkazywać, musisz najpierw zostać oficjalnie zaprzysiężony jako naczelnik klanu. Zgodnie z tradycją, musisz stanąć na białym kamieniu nad morzem i tam wypowiedzieć słowa przysięgi.

- Marsali, to nie jest zuchwalstwo większe od tego, które pozwala szalonej dziewczynie atakować niewinnych ludzi na wrzosowisku.

Rozprostował ramiona; zadziwiona Marsali nie mogła oderwać oczu od potężnych mięśni Duncana, zarysowanych pod ogorzałą od słońca i wiatru skórą. Jego twarz przywodziła jej na myśl wizerunki średniowiecznych rycerzy wryte na kamiennych płytach zamkowych krypt. Była równie piękna, o regularnych rysach, lecz przerażająco obojętna. Jedynie intensywny błękit

oczu i zmarszczki wokół ust zdradzały, że Duncanowi zdarzało się okazywać jakieś emocje. Zastanawiała się, co należy zrobić, by zerwać żelazną powłokę obojętności, którą się opancerzał.

- Co do kwestii naczelnictwa klanu - ciągnął Duncan, wodząc po zebranych przenikliwym wzrokiem - to czy jest wśród was ktoś, kto rości sobie prawo do tego tytułu?

Uśmiechnął się z satysfakcją, gdy odpowiedziała mu cisza.

- Do diabła - odezwała się zaskoczona Marsali, wyciągając szyję, by lepiej widzieć twarze członków klanu. - Czy nikt nie zamierza mu się przeciwstawić?

Lachlan spojrział na nią ponurym, współczującym wzrokiem.

- Nie. Może sobie być ubrany jak napuszony Anglik... to znaczy mógł być ubrany... i mógł zostawić za sobą wiele nienawiści, kiedy ojciec wysłał go na wojnę, ale wygląda na to, że jest naszym wodzem i naczelnikiem i jesteśmy mu winni posłuszeństwo, chyba że okaże się, że nie jest tym, za kogo się podaje.

- Cóż - stwierdził Duncan, przytakując z zadowoleniem. - Zdaje się, że doszliśmy do porozumienia.

- Na to wygląda - stwierdziła cierpko Marsali. Chociaż poirytowana, w głębi duszy szczerze podziwiała pierwotną siłę, widoczną w każdym ruchu Duncana, i była pod wrażeniem sposobu, w jaki błyskawicznie opanował sytuację w swoim klanie.

Duncan rozluźnił się: nie przypuszczał, że pójdzie mu tak łatwo.

- Sami dobrze wiecie, że mogło się to dla was skończyć o wiele gorzej. Mogłem oddać was do dyspozycji władz.

Wydawało mu się, że dostrzega cień uśmiechu na intrygującej twarzy Marsali.

- Obawiam się, że jeszcze pożałujesz, że tego nie zrobiłeś, milordzie - powiedziała, dodając po chwili - po tym, jak się z tobą rozprawię.

Marsali Hay od urodzenia mieszkała na terytorium MacElginów. Miała cztery lata, kiedy nieżyjący już wódz i naczelnik, szesnasty markiz Portmuir, Kenneth MacElgin, kupił swemu

niepoprawnemu jedynekowi, Duncanowi, stanowisko w brytyjskim wojsku. Zrobił to w akcie rozpacz. Kenneth miał nadzieję, że udział w wojnach pozwoli synowi wyładować całą złość i wrogość, z których to cech znany był w latach burzliwej młodości. Chłopak zupełnie wymknął się spod kontroli.

Pamiętała, jak jej ojciec opowiadał mamie, i to niejedną raz, że Duncan prawdopodobnie nie potrafi sobie poradzić ze swym porywczym temperamentem i dzikością, że zostały weń wbite uderzeniami okrutnego rybaka, który go wychowywał. Poza tym Marsali zapamiętała już tylko słowa mamy, twierdzącej, że nawet jeżeli Duncan nie potrafi zwalczyć swej dzikości, ktoś powinien go okiełznać i uniemożliwić terroryzowanie wioski pijackimi wybrykami.

A potem wybuchł skandal, szybko zresztą wyciszony, związany z młodą żoną doktora i dzieckiem, Duncan zaś rozpląnął się jak dym, wygnany przez lorda za złe sprawowanie.

Czasami stary lord na zebraniu klanu albo na innym wiejskim zgromadzeniu wyciągał postrzępioną gazetę z doniesieniami o wojennych wyczynach syna w kawalerii. Oczywiście artykuły pisane były kilka miesięcy wcześniej, w związku z czym do czasu ich odczytania Duncan zdążył odnieść kolejne zwycięstwo, kolejny raz otrzymać awans i oczarować kolejną europejską księżniczkę. Jego talent wojskowy szedł w parze z talentem do podbijania serc niewieścich i oba te talenty wydawały się nieograniczone.

Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych, lecz w rzeczywistości Duncan zostawił za sobą zbyt wiele nie zabliźnionych ran i nie oddalonych oskarżeń, by móc w rodzinnych stronach uchodzić za bohatera, jakim widział go świat.

Aż do dzisiejszego dnia Marsali nie zastanawiała się nad tym, ile prawdy kryje się w tych oskarżeniach. Duncan MacElgin był dla niej postacią równie realną jak potwory, żyjące ponoć na dnie jeziora.

Natomiast teraz stał się dla niej postacią nie tylko realną, lecz w dodatku - choć nawet sama przed sobą niechętnie się do tego przyznawała - ważną.

Tak jakby nie miała innych spraw na głowie.

Dwa lata temu jej ojciec i narzeczony zginęli, pomagając ojcu Duncana w zorganizowaniu powstania, mającego na celu osadzenie Jakuba III na tronie. Kenneth MacElgin również został zabity, lecz nie powstrzymało to braci Marsali od kontynuowania jego dzieła. Poprzedniej zimy wzniecili niezbyt starannie przygotowane powstanie jakobitów. Starsi bracia, Adam i Dougall, już nie powrócili do domu, a młodszy brat, Gavin, został kaleką.

Marsali nie była w stanie znieść myśli o tym, że może utracić kolejną bliską osobę na skutek spisków, które i tak z góry skazane były na niepowodzenie. Chciała, by żołnierze brytyjscy raz na zawsze wynieśli się ze Szkocji. Pragnęła, by jej kuzynki i kuzyni dojrzewali myśląc o weselach, nie o pogrzebach, by znów mogli, jak dawniej, wieść spokojne życie. Rodzina zawsze była dla niej najważniejsza. Tymczasem następujące po sobie tragedie uniemożliwiały realizację małżeńskich planów.

Czy to możliwe, że ten mężczyzna, który walczył jak wcielony diabeł, a wyglądał jak archanioł, był odpowiedzią na jej modlitwy? Na tę myśl jej serce zaczęło bić żywiej, radośniej.

Od dłuższego czasu wuj Colum przepowiadał przybycie mężczyzny, który przywróci klanowi godność i świetność. Co prawda przepowiednie wuja najczęściej się nie sprawdzały, lecz tym razem Marsali miała przeczucie, że wuj się nie myli. A nade wszystko bardzo chciała mu wierzyć.

To właśnie ta rozpaczliwa wiara sprawiła, że Duncan MacElgin otrzymał od niej jeszcze jedną szansę. Nadzieja pozwoliła jej odrzucić dumę, by ratować ludzkie życie. Fakt, że Duncan był niezwykle przystojny i że wszyscy natychmiast mu uwierzyli, czynił otaczającą go aurę tajemnicy jeszcze bardziej intrygującą.

- Łap! - Melodyjny głos Duncana przerwał tok jej myśli, podniosła wzrok na czas i zdążyła chwycić ciężkie i mokre ubranie, które rzucił w jej stronę. - Zawieź je do zamku, Marsali, i wypierz jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Moje bagaże nadejdą za kilka dni.

- Nie dam rady przewieźć tego wszystkiego na moim koniu, milordzie - jęknęła, walcząc o to, by się nie zachwiać pod ciężarem mokrego ładunku.

Roześmiał się tak serdecznie, że aż pogłębiły mu się zmarszczki koło oczu. Marsali musiała przyznać, że przez chwilę, pozbawiony maski obojętności, wyglądał zdecydowanie mniej groźnie. Jak się jednak wkrótce miało okazać, było to jedynie złudzenie. Duncan przemówił rozkazującym tonem:

- Oczywiście, że nie możesz wieźć moich ubrań na koniu. Dlatego właśnie mam zamiar wziąć twoją klacz, a Lachlan tymczasem postara się znaleźć mojego konia na wrzosowiskach. Spłoszyły go kamienie, które ciskaliście na ścieżkę.

- Skoro mówimy o kamieniach, to te ubrania są ciężkie jak kamień, milordzie.

Duncan przeszedł obok niej z obojętną miną.

- Marsali, wkrótce się przekonasz, że pod moją opieką odkryjesz w sobie zaskakująco wiele ukrytych sił... i słabości.

- Omal nie dodał przy tym, że jeszcze zrobi z niej żołnierza, ale w porę ugryzł się w język.

Starła się dotrzymać mu kroku, co nie było łatwe, gdyż sadił ogromnymi susami. Znad stosu ubrań bezradnie spoglądała na roześmianych członków swego klanu. Wstrętnei zdraycy, którzy nie doceniali szlachetnej ofiary, jaką zdecydowała się złożyć dla ich dobra.

- Nie wiem, czy się nie przesłyszałam, milordzie, czy użyłeś słowa „opieka“?

- Może ci się to podobać lub nie... bo mnie na przykład wcale się to nie podoba, ale jestem waszym naczelnikiem, odpowiedzialnym za wasze postępowanie. Wasze zachowanie będzie mi więc przynosiło zaszczyt lub ujmę. - Dosiadłszy klaczy, uśmiechnął się na widok skwaszonej miny Marsali, jakby upajając się smakiem zwycięstwa, tym, że udało mu się z niej zrobić niewolnicę. - Radziłbym ci się pośpieszyć, dziewczyno. Czeka cię długa droga do zamku, a potem będziesz jeszcze miała sporo pracy.

- Nikt dotąd nie wydawał mi rozkazów - powiedziała Marsali, cedząc słowa. Na wspaniały wizerunek przybysza, powstały w jej wyobraźni, zaczął padać cień.

Uśmiechnął się szeroko.

- Cóż, zawsze jest kiedyś ten pierwszy raz.

Marsali nie poruszyła się, obserwując, jak Duncan kieruje koniem z taką samą łatwością, z jaką uporał się z nią. Klacz, niestety, z pokorą wykonywała jego polecenia, zgrabnie omijając kępy wrzosu i paproci i niosąc na swym grzbiecie, olbrzymia w taki sposób, jakby było to dla niej zaszczytem. Marsali poczuła rozgoryczenie.

Zastanawiała się, czy nie powinna była wydostać się z opresji, obwiniając o zorganizowanie zasadzki jednego ze swoich nierozgarniętych kuzynów. Lecz Duncan wyglądał wtedy tak wspaniale, że nie przyszło jej to do głowy. Nagi, jak go Pan Bóg stworzył, sam wobec wielu napastników, walczący z gracją, a jednocześnie jakby od niechcienia. Jakże mizernie prezentowali się przy nim członkowie klanu! Nie udawało jej się wymazać z pamięci tych momentów jego chwały. Była urzeczona, oczarowana nie tylko jego siłą i doskonałością męskiej urody, kanciatymi rysami twarzy i masywnym, doskonale umięśnionym ciałem, lecz przede wszystkim otaczającą go aurą doskonałości, energią i siłą woli, która natychmiast wznieciła iskrę w jej duszy. Był godnym przeciwnikiem najpotężniejszego nawet wroga.

Jednakże w tym samym czasie zaczął w niej dojrzewać konflikt, w którym emocje walczyły z rozumem. Mimo iż Duncan MacElgin był dumny i urodziwy, prezentował zbyt nieugiętą postawę, co niezbyt dobrze wróżyło klanowi. Być może już we wczesnej młodości nauczył się kontrolować swoje emocje, lecz czy zdołał nauczyć się też litości?

Klan z pewnością potrzebował kogoś opanowanego, o twardej ręce, kogoś, kto potrafiłby zapobiec dalszemu pograżaniu się w chaosie. Lecz ten akurat opanowany człowiek bezwzględnie potrzebował równoważącego emocje gorącego serca. Gdyby miało się okazać, że przeszłość Duncana nie pozostała bez wpływu na obecny stan jego uczuć, czekały ich rządy bezwzględnego tyra. Niezwykle silnego fizycznie, lecz pustego wewnątrz. Zadrzała, wyobrażając sobie, do czego może doprowadzić nadużywanie władzy, jak łatwo nieostrożni mogą wpaść w sidła.

Największe niebezpieczeństwo stanowił jego urok osobisty,

jego magnetyzm. Człowiek jego pokroju potrafi namówić podwładnych do wykonania dosłownie każdego zadania. Wystarczy zresztą popatrzeć na nią, jak posłusznie drepce, taszcząc te przeklęte ubrania, jak podąża za nim niczym zagubione kociątko.

Nie wiedziała, co począć w tej sytuacji. Do tej pory instynkt nigdy jej nie zawiodł, ale też nigdy jeszcze nie była poddana tak trudnej próbie. Czyż nie mówi się, że brak zdecydowania cieszy diabła?

- Precz! - powiedziała i wrzuciła ciężki tobołek z powrotem do jeziorka.

Zaledwie zdążyła poczuć głębokie zadowolenie, widząc obrębianą koronką koszulę w wodzie, Duncan zawrócił konia i ruszył krótkim galopem w jej stronę.

Przygryzła wargę, całe jej ciało pokryła gęsia skórka. Doczekała się.

- Chyba nie jest to pierwszy akt niesubordynacji z twojej strony, Marsali? - zapytał; jego klacz posuwała się do przodu, dopóki Marsali nie została zmuszona do balansowania na skraju jeziorka.

- Potknęłam się o kępę mchu i upuściłam twoje ubranie - skłamała beczelnie, buntowniczo krzyżując ramiona na pierśsiach.

Unióśł brwi, starając się ocenić, ile lat może mieć Marsali, bezwiednie przy tym prześlizgując się wzrokiem po zaokrągleniach jej figury, uwidoczniających się w miejscach, gdzie woda ciemnymi plamami znaczyła jasnoniebieski muślin sukni. Była szczupła, drobnokoścista, lecz apetycznie zaokrąglona; wydawała się zdecydowanie za delikatna na to, by organizować zasadzki, przewodząc grupie tępych górali. Przywodziła na myśl eteryczną istotę i w żaden sposób nie pasowało mu to do jej zuchwalstwa i silnego charakteru.

A miała charakter, który jego narzeczona, lady Sarah Grayson, bez wątpienia nazwałaby prostackim. Jednakże w głębi zamglonych oczu Marsali, w jej głosie - cichym, miękkim, choć wypowiadającym buntownicze kwestie - wyczuwał niepokojąco nieprostacką inteligencję i klasę. Kierowała jego manewrami,

wykazując się instynktem nieprzyjacielskiego generała. Nawet w tej chwili czuł, że przewaga leży po jej stronie.

Gotów byłby przysiąc że lada chwila wpadnie w kolejną pułapkę, tym razem jednak znacznie bardziej skomplikowaną i niebezpieczną niż ta, z której właśnie udało mu się wydostać.

Omiał nie zaśmiać się szyderczo na tę myśl.

- Czekam - powiedział tonem osoby szlachetnie urodzonej, nieznacznie przy tym pochylając głowę. - Zobaczymy, jak szybko twoje małe stopki potrafią stąpać po wrzosowisku.

Odwróciła się od niego i mamrocząc coś pod nosem, pochyliła się, by wyciągnąć ubranie z jeziora. Kiedy zdołała już ponownie ułożyć je sobie na ramionach, poczuła, że z tyłu dotknęło ją coś płaskiego i zimnego.

Obróciła się, wściekła jak osa. Nie mogła ścierpieć tej zniewagi, mimo iż uważała się za osobę nad wyraz tolerancyjną. Lecz to nie jego duża dłoń, jak jej się wydawało, klepała ją z tyłu. Była to jego ciężka szabla. Wbrew swej woli Marsali uniosła wzrok, chłonąc wspaniały widok muskularnego uda i torsu, i dopiero potem spojrzała na surową twarz.

- Będziesz musiała ponieść również moją szablę - powiedział, najwyraźniej nie czując żadnych wyrzutów sumienia. - Obawiam się, że płoszy konia.

- Niech cię...

- Ostrożnie, Marsali. Nie toleruję używania brzydkich słów przez moich służących.

Zawrócił konia ku wrzosowisku, nim dziewczyna zdążyła mu uświadomić, jak bardzo się myli co do jej pozycji w zamku. Z ciężkim westchnieniem spojrzała w stronę skały. Tchórzliwi członkowie klanu pochowali się jak szczury w cienistych zagłębieniach skalnych, gdzie zresztą wielu z nich stale mieszkało. Większość członków klanu i ona sama woleli surowe warunki niż wnętrza ponurego zamku MacElginów, chylącego się ku upadkowi.

Jedynie Eun pozostał, by jej strzec. Eun, który należał do jej wuja czarownika i spełniał jedynie życzenia Columa, a i to nie wszystkie.

Jastrząb zniżył lot, by towarzyszyć jej w powolnym marszu do zamku. Jego obecność uświadomiła Marsali, że może uciec się do magii wuja Columa w celu odpowiedniego pokierowania MacElginem. Jej własny plan okazał się nic niewart.

Duncan jechał do zamku, nie zwracając uwagi na surowe piękno wrzosowisk. Karcił się w duchu za to, że pozwolił, by garstka dzikich, niewykształconych górali wznieciła w jego sercu niepokój, który od lat skutecznie zwalczał. Cholerni górale. Nie powinien w ogóle się tym przejmować. Byli to jednak jego ludzie, w dodatku związani z nim więzami krwi. Łączyła ich też tradycja, zbyt stara, by można było ją udowodnić lub zlekceważyć. Należał do nich tak jak oni należeli do niego, a te więzy nie tylko łączyły, lecz potrafiły także dławić jak pętla.

Wyrzucał sobie to, że zdecydował się tu powrócić, otworzyć stare rany, obudzić upiory przeszłości.

Przeklinał tę zbuntowaną dziewczynę w anielskiej postaci za to, że stawiała mu czoło na wrzosowisku, kwestionując tym samym jego pozycję i lata doświadczenia.

W głębi serca kryła się nadzieja, że pomimo wszystkich kłopotów, jakich był przyczyną, zostanie powitany jak bohater. Że zostanie przyjacielsko poklepany po plecach w uznaniu zasług. Że nieśmiały uśmiech dowiedzie tego, iż jego winy zostały już wybaczone. Że ojciec otworzy przed nim ramiona, zapraszając go do domu, a przyrodnia siostra, Judith, z udaną złością, pieścizotliwie zmierzwi mu włosy.

Okazał się głupcem, snującym żałosne marzenia.

Jego ojciec już nie żył. Judith dawno temu opuściła wioskę, wybierając spokojny żywot w klasztorze na wyspie. Członkowie klanu nienawidzili go.

Ściągnął wodze i obejrzał się przez ramię na dziewczynę; uśmiech na chwilę rozjaśnił jego surową twarz. Szła z widocznym wysiłkiem. Szabla co chwila wyslizgiwała się jej spod ramienia, wpadając w gęste kępy wrzosu rosnącego przy górskiej ścieżce. Chcąc uczynić swe brzemień lżejszym, włożyła buty Duncana na

swoje i stapała niezdarnie. Co pewien czas przystawała, przeklinając Duncana na czym świat stoi.

Gdzie też taka dziewczyna zdobyła siłę woli, pozwalającą przeciwstawić się mężczyźnie jego pokroju? Gdzie nauczyła się, sztuki poddawania tak, by nie utracić jednocześnie niczego ze swojej godności?

Duncan wyparł z głowy niepotrzebne myśli o Marsali, które groziły zakłóceniem trzeźwości sądów. Nie mógł sobie pozwolić na zmianę zachowania, bo ryzykowałby w ten sposób swoją przyszłość. Nieważne, czy zapomniano o jego postępkach, czy wybaczone mu winy. I tak nie zamierzał pozostać tu ani jednego dnia dłużej niż to konieczne.

Mimo wszystko jednak, czy to się komuś podobało, czy też nie - a Duncanowi nie podobało się na pewno - naczelnik klanu powrócił w rodzinne strony.

3

Zauważywszy brzydką masywną bryłę trzynastowiecznego zamku piętrzącego się na wzgórzu, Duncan pomyślał, że zmęczenie wywołało u niego halucynacje. Sądził bowiem, że to niemożliwe, by na zamku powiewała piracka flaga z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, zamiast sztandaru MacElginów. Równie nieprawdopodobny wydał mu się widok kur, grzebiących piach w suchym rowie, który niegdyś był fosą, skutecznie odstraszącą duńskich najeźdźców.

Wjechał na wzgórze, minął bramę barbakanu, coraz bardziej przejęty zgrozą. Jakieś kury zatrzepotały skrzydłami tuż obok końskich kopyt. Zza murów zamku dobiegało rytmiczne dudnienie, któremu towarzyszył czyjś zachrypnięty głos, niemiłosiernie fałszujący jakąś melodię.

Zeskoczył z konia i cisnął kamieniem w zwodzony most. Po dłuższej chwili na wieżycze strażniczej ukazała się dziewczka kuchenna w koszuli i brudnym fartuchu. Bez ostrzeżenia uniosła róg myśliwski i wydobyła zeń ogłuszający dźwięk, po czym zaczęła bez opamiętania dać w instrument, ile sił w nadzwyczaj pojemnych płucach.

- *Halt!* - krzyknęła, mrużąc oczy krótkowidza. - Jesteś przyjacielem czy wrogiem? Jeśli jesteś wrogiem, zabieraj się stąd jak najprędzej, a jeśli jesteś przyjacielem, to muszę ci powiedzieć, że nie masz szczęścia, bo Archie jest pijany jak bela i śpi w strażnicy, a ja nie mam zamiaru bawić się dzisiaj w opuszczanie tego cholernego mostu!

Duncan zamrugał. Przenikliwy głos dziewczyny niemiłe drażnił jego uszy. Rozejrzał się dookoła. Kątem oka dostrzegł Marsali, z mozołem wspinającą się krętą ścieżką prowadzącą do zamku. Mimo iż nie widział jej twarzy, gotów byłby się założyć, że małuje się na niej pełne satysfakcji rozbawienie jego kłopotami.

- Abercrombie! - krzyknął, wałąc pięściami w most, by przywołać zarządcę, któremu Korona zleciła pieczę nad zamkiem do czasu, aż zamieszka tam prawowity właściciel. - Albo Archie, czy jak tam cię zwą! Niech ktoś opuści most, i dobrze radzę, niech to zrobi szybko!

W oknie pojawiła się głowa strażnika.

- Nie jestem głuchy. Załatw, co masz do załatwienia, i zjeżdżaj!

- Archie, ty stary opoju, mam zamiar wejść do mojego zamku i wszystkich wydusić!

Archie ostrożnie wychylił się z okna.

- Kim jesteś, u diabła? - zapytał cichym, zdyszonym głosem.

- To Duncan MacElgin, twój pan i naczelnik - obwieściła Marsali, która właśnie, utykając, mijała bramę. Po chwili z wyraźną ulgą położyła ciężki tobół tuż przy murze i usiadła na nim, podpierając głowę dłonią. - A że nie jest zbyt opanowanym człowiekiem, Archie, radzę szybko zrobić, co ci każe. Godzinę temu na wrzosowisku zrobił z naszych ludzi miazgę.

Duncan spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Bardzo ci dziękuję za tę płomienną przemowę.

- No cóż... O, Boże, ratuj się, milordzie!

Poderwała się, skoczyła w stronę Duncana, wyrwała lejce z jego okrytych rękawicami rąk i gwałtownym szarpnięciem skierowała klacz ku bramie barbakanu; końskie kopyta wgniotły w ziemię kapelusze.

Przed czym miał się ratować? Duncan zastanawiał się nad tym jedynie przez ułamek sekundy, gdyż zaraz potem zza murów zamkowych dobiegł jego uszu potworny, zgrzytliwy dźwięk i zwodzony most zaczął się opuszczać prosto na jego głowę.

Instynktownie dał nura w przód, rzucając się na Marsali, i wraz nią opadając na ziemię. Jęknęła, lecz zaraz potem ucichła,

przytłoczona jego ciężarem; kolejny jęk bólu uwiązał jej w gardle. Duncan nigdy jeszcze nie czuł się tak potwornie głupio. Mimo swego ognistego temperamentu była przecież jedynie kruchą kobietą. Przerażenie, że zmiażdżył jej drobne kości swym potężnym cielskiem, sprawiło, że serce zamarło mu w piersi. Po chwili jednak poczuł, że Marsali dźga go łokciem w brzuch, postępując.

- Zejdź ze mnie, milordzie. Pogruhoczesz mi...

Urwała, gdyż jej uwagę zwróciło potężne dudnienie towarzyszące opuszczaniu mostu. Owionęła ich chmura duszącego pyłu. Duncan prawie nie dosłyszał gwałtownego, przerażonego gładania dochodzącego z rowu, ogarnięty bólem, który sprawiła mu rozczochna Marsali, atakująca kolanem jego najwrażliwsze miejsce i przeklinająca nie mniej siarczyście niż jego żołnierze. Zaledwie zdążył postawić ją na nogi, opadła ich gromada kurcząt; Marsali wprawnie odpędziła je za pomocą swej chusty.

Otrzepał ramiona z kurzu i odezwał się wściekłym głosem:

- Domyślam się, że to tutaj zaopatrujecie się w pierze, przydatne wam potem w czasie napadów. Swoją drogą, co za idiota rozporządził, by wypuścić wodę z fosy?

- Twój kuzyn, Johnnie MacElgin - odpowiedziała Marsali, uśmiechając się szeroko. Jej włosy i twarz obsypane były kurzem, miała policzki zaróżowione od marszu przez wrzosowisko. - Powiedział, że tak należy zrobić, żeby zapewnić klanowi bezpieczeństwo.

Duncan zmarszczył czoło.

- Bardzo pomysłowe. Garstka niedożywionych kurczaków ma bronić zamku?

Marsali zamrużyła. Jak na człowieka obdarzonego inteligencją większą niż przeciętna, okazał się zdumiewająco niedomyślny.

- Nie, milordzie, te kurczęta znalazły się tu przypadkiem. Rów został opróżniony, by członkowie twego klanu nie wpadali do wody, gdy pełnią wartę po pijanemu.

Duncan na chwilę zamknął oczy i powoli wypuścił powietrze. Marsali zrobiło się go żal. Najwyraźniej bardzo przejął się sprawą fosy, a przecież nie miał jeszcze pojęcia, jakie koszmary czekają

go w zamku. Miała nadzieję, że jego duch jest równie potężny jak ciało.

Archie, strażnik, ponownie wysunął swą łysinę przez okienko, jak żółw.

- Most opuszczony - obwieścił zupełnie niepotrzebnie.

Duncan powoli odwrócił się w jego stronę, wyęzając wzrok, by dostrzec cokolwiek w tumanach osiadającego pyłu. Zamkowe pranie - spodnie, koszule, chusty - wywieszono zostało na spuszczonej kracie w bramie, i suszyło się w bladym słońcu. Duncan poczerwieniał na twarzy i szyi. Widząc to, Marsali z trudem powstrzymała uśmiech. Wkrótce Duncan miał się zdumieć jeszcze bardziej, a ona wprost nie mogła się doczekać tej chwili.

- Podnieś tę cholerną kratę, Archie! - krzyknął w stronę okienka.

- Nie mogę! Muszę służyć rozkazów! Dzisiaj jest dzień prania!

- Rozkazów? - powtórzył ironicznie Duncan. - Czy chcesz mi powiedzieć, że ktoś jest odpowiedzialny za ten dom wariatów?

- Tylko kucharka może wydać rozkaz otwarcia bramy w dniu prania - oznajmił Archie, zamierzając zniknąć w wartowni.

Duncan spurpurowiał.

- Jaki sens ma w takim razie opuszczanie mostu, skoro krata nie może zostać podniesiona, ty kretynie?

- Zrozumcie - powiedział Archie nieprzyjemnym tonem - to wy nalegaliście, żebyśmy opuścili most. Mnie tam jest wszystko jedno, czy to cholerstwo jest opuszczone, czy nie, ale dziś jest dzień prania i dalsze decyzje należą do kucharki.

To powiedziawszy, zniknął we wnętrzu domku. Duncan spojrzął na Marsali.

- Daj mi swój pistolet - poprosił cicho.

- Po co? - zapytała, cofając się o krok. Poczowała zimne ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa; z niepokojem oczekiwała rozwoju wydarzeń.

- Nie wolno ci kwestionować słuszności mojego postępowania, Marsali. Po prostu daj mi pistolet.

- No dobrze już, dobrze. - Uklęła i oparłszy się jedną ręką o jego ramię, drugą nieznacznie uniosła spódnicę i wyjęła broń z koślawego buta do konnej jazdy.

Duncan przełknął z trudem i skierował wzrok w stronę zamku, nie dając po sobie poznać, że ufny dotyk jej drobnych palców na jego nadgarstku przyprawia go o nader miłe mrowienie.

- Niebezpiecznie jest nosić broń w bucie, tak jak ty to robisz - zwrócił jej uwagę, czując suchość w gardle. - Mogłaś spaść z konia i postrzelić się w stopę.

Spojrzała na niego wymownym wzrokiem.

- Prawdę mówiąc, nie miałam okazji, bo zabrałeś mi konia i zmusiłeś do marszu. Ale miło mi, że tak się o mnie troszczysz.

Duncan wykrzywił twarz w uśmiechu, nie potrafiąc zdobyć się na to, by wyprowadzić ją z błędu.

- Pośpiesz się - burknął, marząc o tym, by mieć już za sobą wszystko, co ma tu do zrobienia.

We wnętrzu barbakanu było ciepło, mroczno i ustronnie. Czuł ucisk jej piersi na swoim biodrze, a potem doświadczył lekkiego ukłucia żalu, połączonego jednak z uczuciem ulgi, kiedy odsunęła się od niego. Przez chwilę walczył z chęcią przyciągnięcia jej do siebie, by móc jeszcze przez chwilę cieszyć się cudownym ciepłem jej ciała. Na szczęście potrafił się opanować.

- Masz. - Podała mu pistolet, nie zważając na wymogi bezpieczeństwa, przyprawiając Duncana o dreszcz zgrozy. - Chcesz zastrzelić Archiego, bo nie chciał podnieść kraty?

Duncan spozirzał na jej dłoń. Było coś głęboko niepokojącego w widoku delikatnych palców zaciśniętych na chłodnej lufie broni, palców, które powinny trzymać igłę lub głaskać główkę dziecka. Zastanawiał się, czy rzeczywiście byłaby w stanie z zimną krwią zastrzelić go na wrzosowisku. Czy zabiła już człowieka? Przeniósł wzrok na jej szarozielone oczy, szukając w nich rozwiązania zagadki dotyczącej jej charakteru. Wzrok dziewczyny pozostawał jednak nieprzenikniony. Spodziewał się wielu trudności w trakcie wypełniania swej misji, lecz nie przypuszczał, że bodaj największą z nich będzie konieczność poskromienia temperamentu szalonej dziewczyny.

- Czemu nie masz męża? - zapytał bez ogródek.

Wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Planowałam ślub dwa lata temu, ale mój narzeczony zginął w powstaniu dowodzonym przez twojego ojca.

Pokręcił głową, wyczuwając jej głęboki ból, który starała się ukryć pod beznamiętnym tonem wypowiedzi.

- Serdecznie ci współczuję - powiedział, mając wrażenie, że są to absolutnie niewystarczające słowa. - Co za potworna i nikomu niepotrzebna strata młodego życia.

- Na świecie jest stanowczo zbyt wiele bezsensownych śmierci, milordzie, chociaż zdaję sobie sprawę, że wojny to twój żywioł.

- Moim żywiołem nie są wojny, tylko ich wygrywanie. W idealnych warunkach zabijanie jest zupełnie zbyteczne.

Uśmiechnęła się do niego; wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega cień aprobaty. Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, że gdyby nie opuścił zamku, miałyby możliwość poznania tej dziewczyny. Mógłby nawet zabiegać o względy - jej albo jej starszej siostry. Jej twarz wydawała mu się dziwnie znajoma, chociaż mógłby przysiąc, że nigdy dotąd jej nie spotkał.

- Chcesz zastrzelić Archiego? - powtórzyła; niewinny głosik przerwał tok jego myśli.

Westchnął.

- Nie. Chyba że mnie do tego sprowokuje. A teraz stań z tyłu. Trzymaj dobrze konia. I nie zadawaj mi więcej pytań.

- Ale...

- Ani słowa.

Uniósł broń i wycelował w stronę kraty. Marsali przez jakiś czas obserwowała go uważnie, po czym spełniła jego prośbę i wraz z koniem podeszła do bramy barbakanu. Miała nadzieję, że Duncan, jako wytrawny generał, dobrze wie, co robi.

- Pistolet nie jest naładowany, milordzie! - zawołała.

- Co? - Odwrócił się gwałtownie, na jego surowej twarzy odmalowała się złość. - Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Bo myślałam, że możesz planować coś innego, czego nie jestem w stanie przewidzieć. - Jej twarz wyrażała szczerość.

- A poza tym proszę mnie przecież, żebym nie odzywała się już ani słowem.

Opuścił rękę i podszedł do niej, z trudem powstrzymując śmiech. Wiedział jednak, że przejawy dobrego humoru mogłyby utrudnić zaprowadzenie porządku, tak rozpaczliwie tu potrzebnego. Zamierzał oddać jej broń, lecz cofnął wyciągnięte ramię, dostrzegłszy cień jastrzębia na barbakanie.

- W porządku, Eunie - powiedziała łagodnie Marsali. - Ten pan nie chce wyrządzić mi krzywdy, nieprawdaż, milordzie?

- Myślę, że to zależy od twojego punktu widzenia. - Duncan był wyraźnie niezadowolony. - Ale niezależnie od tego, czy zadecyduję, że należy cię ukarać, czy nie... a przyznaję, że istnieje i taka możliwość... ten ptak nie może towarzyszyć ci w zamku. Kategorycznie tego zabraniam.

- W takim razie, milordzie, będziesz musiał wymyślić sposób przekonania go, żeby odleciał. Eunem włada za pomocą czarów mój wuj i ptak spełnia tylko jego prośby.

Duncan ściągnął krzaczaste, czarne brwi.

- Najwyraźniej będę musiał przywołać twojego wuja do porządku.

Marsali zacisnęła wargi. Bardziej prawdopodobne wydawało jej się to, że będzie na odwrót.

- Tak, milordzie,

Duncan skinął głową, zastanawiając się, dlaczego wszystkie zwycięstwa odniesione w pojedynkach z Marsali były zawsze dyskusyjne.

- Za czasów mojego ojca było tu sekretne wejście. Zostało otwarte, gdy opuszczałem zamek. Jak można wejść do zamku teraz, kiedy krata jest opuszczona?

- Hmm... - Złożyła ręce na piersi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała.

- Dawno temu zapewne użyto by w tym celu tarana oblężniczego. Niektórzy żołnierze próbowali wspinać się na mury po drabinach, ale rzadko im się to udawało. Poza tym były też kotły z wrzątkiem i tym podobne rzeczy.

- Taran oblężniczy! Drabina!

- Kiedy najeźdźcom rzeczywiście bardzo zależało na zdobyciu zamku, kopali tunele pod murami. Oczywiście wymagało to jednak czasu i żelaznej woli, nie mówiąc już o sile. Och!
- Pokraśniała radośnie, jakby doznawszy olśnienia. - Ci, którym naprawdę, ale to tak naprawdę zależało na dostaniu się do wnętrza, wspinali się po latrynach. - Zmarszczyła zadarty nos. - Ale czy jesteś w stanie wyobrazić sobie ten zapach?

Bawiła się z nim w kotka i myszkę, teraz był już tego pewny.

- A gdybyś to ty chciała dostać się do zamku, co byś zrobiła?

- No cóż... - Uśmiechnęła się, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. - Gdybym była naczelnikiem klanu, kazałabym podnieść kratę.

- Wspaniały pomysł. A jak byś do tego doprowadziła?

- Oczywiście poprosiłabym Effie.

- Effie?

Radośnie zamachała ręką do dziewczki kuchennej, która uśmiechała się do nich z wieży, a teraz odwzajemniła gest Marsali.

Na twarzy Duncana zagościł cień uśmiechu.

- Marsali, poproś Effie. żeby podniosła kratę. Niezbyt dobrze się czuję, stojąc tu i świecąc nagością.

- Dobrze. - Minęła go i zwinawszy dłonie w trąbkę, krzyknęła: - Effie, podnieś kratę!

- Dzisiaj jest dzień prania, Marsali! - odkrzyknęła kobieta i wymownie wzruszyła ramionami.

- Wiem, wiem, ale ten pan niezbyt dobrze się czuje, stojąc tu i świecąc nagością, i domaga się, by wpuścić go do środka!

Effie opuściła róg myśliwski; z kieszeni fartucha wyjęła połamane okulary. Wychyliwszy się ostrożnie z wieżyczki, od stóp do głów zmierzyła Duncana badawczym spojrzeniem.

- Nie widzę żadnej nagości, Marsali. ale ten człowiek jest zbudowany jak tur! Skąd go wytrzasnąłaś?

- Spotkałam go na wrzosowisku - odpowiedziała Marsali.

- Twierdzi, że jest naczelnikiem naszego klanu. Musiał pożyczyć od nas chustę, bo wrzuciliśmy jego ubranie do jeziora.

- Co ty powiesz! No dobrze, w takim razie pójde po moją siostrę do gospody i poproszę, żeby mi pomogła. Trochę to

potrwa, zanim podniesiemy to cholerstwo. Ooo, spójrz na jego nogi, Marsali. Co za piękny, mięsisty udziec!

- Żałuj, że nie widziałas, jak walczył o życie na wrzosowisku, nagusieńki jak go Pan Bóg...

- Wypraszam sobie! - Duncan ścisnął ramię Marsali swą ciężką dłonią. - Na blankach zbiera się tłum, i nie życzę sobie, żebyście publicznie omawiały poszczególne części mojego ciała, jakbym był ogierem sprzedawanym na jarmarku!

Marsali stała nieruchomo, sparaliżowana nie tyle bolesnością uścisku Duncana, co własną reakcją. Czuła miłe fale ciepła rozchodzące się po całym ciele, a przecież nie zdążyła jeszcze dojść do siebie po przeżyciu nader przyjemnego szoku, kiedy leżała na ziemi. Niezdarnie odwróciła się w stronę Duncana.

- Przepraszam, milordzie - powiedziała, uśmiechając się niewinnie. - Nie słyszałam, co mówiłeś.

- Wcale mnie to nie dziwi; byłaś zbyt zajęta wydzieraniem się na temat szczegółów mojej anatomii.

Zdjął rękę z jej ramienia. Zmarszczył czoło, dostrzegłszy ślady swoich palców obok krwawych wybroczyn po jastrzębich pazurach. Urodziwa młoda dzikuska mówiła językiem znamionującym ludzi wykształconych, nie przystającym do jej pozycji społecznej. Haftowany pas na biodrach, za który wprawnym gestem wkładała pistolet, musiał sporo kosztować. Najwyraźniej ktoś zadał sobie trud, by ją wykształcić i uzbroić. Ale kto to był i w jakim celu to zrobić? Zagadkowa postać Marsali coraz bardziej go intrygowała.

Krata powoli zaczęła się unosić. Głośne skrzywienie i przekleństwo kobiet wyrwały Duncana z zamyślenia. Dosiadł klaczy, z aprobatą kiwając głową w stronę Marsali. Osiągnął to, co zamierzał, i tylko to się teraz liczyło.

Marsali w milczeniu obserwowała, jak Duncan przejeżdża pod kratą. Chociaż mokre ubrania spadły mu na głowę, sprawiał wrażenie niezmiernie zadowolonego z siebie, jakby dokonał niebywałego wyczynu. Chociaż... zważywszy, że był dzień prania, rzeczywiście nie najgorzej sobie poradził.

Marsali wiedziała jednak, że wkrótce to nie skrywane zadowolenie z siebie Duncana ustąpi miejsca przerażeniu. Najgorsze

DZIKUSKA

miało dopiero nadejść. Ona sama starannie unikała zamku i jego okolic i bywała tam jedynie od wielkiego dzwonu. Wielu członków klanu znalazło się w obrębie zamkowych murów, by nigdy już ich nie opuścić.

Sięgnęła po ubrania Duncana i pośpieszyła za nim. Zapewne będzie potrzebował jej poparcia. Trudno było przewidzieć, co może go spotkać, zwłaszcza że złamał zakaz wydany przez kucharkę, a Marsali nie mogła przypomnieć sobie nikogo, kto odważył się popełnić takie przestępstwo i miał potem szansę opowiedzenia o tym komukolwiek.

\

4

Kucharka Cook opuściła lunetę; jej owalna twarz stała się szara jak popiół po tym, co zobaczyła.

- Wielki Boże, to ten sukkinsyn Duncan MacElgin... jego koń depce moje pranie!

Troje ludzi stojących obok Cook na blankach - jej córka, stara panna, Suisan, sędziwy koniuszy Angus i Johnnie, dawny porucznik Kennetha MacElgina - jednocześnie usiłowało wyjąć lunetę z jej obrzmiałych dłoni upstrzonych plamami wątrobowymi.

Udało się to Johnniemu. Był to mężczyzna w średnim wieku, który wyróżniał się isticie lwią grzywą przetykanych siwizną brązowych włosów, opadających mu na ramiona. Mrużąc oko, przyjrzał się jeźdźcowi, przemierzającemu środkowy dziedziniec.

- O, cholera - zaklął i spomiędzy jego szeroko rozstawionych przednich zębów dobył się gwizd. - Syn marnotrawny powraca do domu.

- A ja myślałam, że on nie żyje! - wykrzyknęła Suisan, wrywając lunetę z rąk Johnniego. - Dlaczego uważasz... ooo, ma na sobie tylko chustę, jak dawni górale. Chłopak bardzo nam wyrósł, mamo.

Jęknęła, rozczarowana, gdyż Angus zabrał jej lunetę. Popatrzył przez nią i wybuchnął gardłowym śmiechem, ujrzawszy Duncana obwieszzonego wypranymi ubraniami.

- Duncan MacElgin. Ho, ho, będziemy mieli niezły kłopot!
- Co masz na myśli? - spytała zaniepokojona Cook, nerwowo splatając dłonie.

- Nie ma co mówić. - Na pogodnej twarzy Johnniego pojawił się wyraz z troskania. - A swoją drogą, ktoś powinien nas ostrzec, że mamy go oczekiwać.

Suisan zachichotała.

- Nie sprawia wrażenia nieboszczyka!
- Dowie się o Abercrombiem - powiedział Angus, śmiejąc się złowróźnie.

- Abercrombie - wyszeptła ze zgrozą pozostała trójka.

Cook westchnęła ciężko.

- A tak się cieszyłam na długie, spokojne lato. Popatrzcie tylko na niego, na jego wzrost i masę. W dodatku nie reaguje, kiedy jego koń wdeptuje moje czyste ubrania w ziemię. Niech sobie będzie naszym panem, ale nie zamierzam tego znosić.

Johnnie wyjął lunetę z rąk koniuszego i skierował ją w stronę środkowego dziedzińca.

- Oj, tak, możesz pożegnać się z myślami o spokojnym lecie, Cook. MacElgin przybył tu wraz z Marsali Hay.

- Z naszą Marsali? - zapytała Cook, wyraźnie rozluźniona po usłyszeniu tej wiadomości. - To dobrze. To dobry znak.

- Marsali niesie ubranie i szablę MacElgina - powiedział cicho Johnnie. - Widać, że nie jest tym zachwycona.

Twarz Cook przypominała teraz jej słynny suflet.

- W takim razie to zły znak.

- Poza tym on jedzie na jej koniu - dodał Johnnie, cmokając nerwowo.

- A to już bardzo zły znak - stwierdziła ponuro Cook. - To może oznaczać tylko to, że sukinsyn jest nadal tak samo paskudny jak wtedy, kiedy ojciec wysłał go do wojska. Zawsze powtarzam, że wilk nigdy nie zmienia swej natury.

- Nie sprawia wrażenia łagodnego baranka - przyznał Johnnie, podając lunetę Suisan, która nie mogła się doczekać, kiedy ponownie spojrzy na MacElgina. - I pomyśleć tylko, że nie widział jeszcze najgorszego. Oj, nie będzie zadowolony.

Współzawodnictwo w rzucaniu nożami toczyło się w najlepsze, kiedy Duncan dokonywał oględzin dziedzińca. Zajęci piciem, wiwatowaniem, stawianiem zakładów mieszkańcy zamku nie zwracali uwagi na zbliżającego się do nich samotnego jeźdźca z twarzą stężałą ze zgrozy na widok ogólnego rozprężenia.

Dorodna dziewczka służebna o jasnych włosach, z zawiązanymi oczami i z jabłkiem na głowie, stała na tle drzwi prowadzących do psiarni. W jej stronę ze świstem leciały noże. Rzucali je, jakby od niechcenia, mężczyźni w nonszalanckich pozach. Widok ten zmroził krew w żyłach Duncana. Zanim zdążył przerwać zawody, natarła nań grupa wymizerowanych dziewczynek i chłopców, biegnących od strony gołębnika. Ich maleńkie zabawki - łuki i strzały - wymierzone były prosto w jego serce.

Uśmiechnął się wyrozumiale, widząc tę niewinną dziecięcą zabawę, lecz po chwili kątem oka dostrzegł mijającą go biegiem Marsali. Sprawiała wrażenie uciekającej przed śmiertelnym niebezpieczeństwem; mocno przyciskała do piersi ubrania i szablę. Jakaś strzała przeleciała tuż obok jej głowy i wtedy właśnie zorientował się, że atakujące go dzieciaki, wydające odgłosy podobne do wojennych okrzyków Indian, są uzbrojone po zęby, wyposażone w prawdziwą broń. Spiał konia ostrogami i pogalopował w stronę stajni. Po drodze chwycił Marsali i unióś ją do góry jak drapieżny ptak swą ofiarę. Ciężko opadła na jego masywne uda. Omal nie zmiażdżył w uścisku jej klatki piersiowej. Otaczał ją ramieniem tak mocno, jakby zależało od tego ich życie. Zresztą tak chyba było w istocie.

- Dziękuję - wydyszała, starając się przyjąć wygodniejszą dla siebie pozycję i usiąść pomiędzy jego nogami. Duncan zeszywniał, czując nader przyjemny dotyk w okolicy lędźwi.

- Ach, te dzieciaki i ich zabawy!

- Nie, Marsali, to nie są dzieci - powiedział sucho. - To karłowate potwory o morderczych instynktach.

Nieśmiało oparła się o jego tors, czując się bezpieczniej pod osłoną męskiej siły. Kolejne strzały przeleciały nad ich głowami.

- Teraz, jak już tu jesteś, wszystko się tutaj zmieni, prawda?

- zapytała z nadzieją w głosie.

- Tak - odpowiedział, lecz po chwili zmarszczył czoło. Opadły go wątpliwości.

Zmusił klacz do zwolnienia tempa, wjechali do stajni. Był zaskoczony, że przynajmniej tutaj widać było rękę gospodarza. Przerażony chłopak stajenny wygramolił się z barłogu na poddaszu, by zająć się koniem.

Duncan lekko trącił Marsali łokciem; zeskoczyła na ziemię zwinnie jak kot.

- Marsali, jak wam się udała zasadzka? - zapytał chłopiec, przecierając oczy. - Daliście łajdakowi nauczkę?

Marsali chrząknęła, udając, że nie widzi karzącego wzroku Duncana.

- Noo, Martin, bardzo się staraliśmy, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Ale czasem wszystko idzie na opak, nawet jeśli ma się dobry plan. Oczywiście to samo dotyczy złych planów.

Rude włosy Martina wydawały się rosnać kępkami na jego głowie. Chłopak otaksował Duncana bystrym wzrokiem.

- Teraz rozumiem - odezwał się cichym głosem, w którym pobrzmiwało zaciekawienie. - Czy to jest ten sukin... czy to kapitan, Marsali?

- To Duncan MacElgin, Martinie - powiedziała uroczystym tonem, po czym z ulgą położyła na ziemi nieporęczne zawiniątko. - Nasz pan i naczelnik. Upokorzyłam go na wrzosowisku i teraz ma zamiar mnie za to ukarać.

Kościsty chłopak, o kilka lat młodszy od Marsali, podejrzliwym wzrokiem wpatrywał się w Duncana, jakby przed chwilą przedstawiono mu samego diabła. Było aż nadto oczywiste, że takie skojarzenie zrodziło się w jego głowie, i to najprawdopodobniej już dawno temu. Najwyraźniej postać Duncana została tu owiana bardzo niemiłą legendą.

Zmarszczył czoło, starając się ukryć poirytowanie.

- Zajmij się koniem, a ja udam się do zamku. Mam nadzieję, że jest w równic dobrym stanie jak wasze stajnie.

Chłopiec nie odezwał się, nie zareagował na komplement. Duncan wzruszył ramionami i wyszedł. Jego twarz wyrażała raczej zamyślenie niż złość. Wiedział, że chłopak ma powód, by

się go bać, bo przecież straszyl i bił jego rodzeństwo w czasach swojej burzliwej młodości.

- Czy oni wciąż tak mnie nienawidzą? - zapytał cicho, wyczuwając, że Marsali idzie za nim.

Zawahała się. Nie widziała teraz jego twarzy, lecz wyczuwała ból i zmieszanie w głębokim tonie jego głosu. Prawdopodobnie byłby na nią wściekły, gdyby zdawał sobie sprawę, że przed chwilą okazał słabość, on, sławny na całym świecie wojownik. Lecz Marsali uznała to za dobry znak. A więc mimo wszystko był zdolny do jakichś uczuć, skoro tak zabolęła go opinia zwykłego chłopaka stajennego.

- Dlaczego przejmujesz się tym, co ludzie sobie myślą, milordzie? - zapytała w odpowiedzi. - Jesteś przecież naczelnikiem klanu. Oni mają cię tylko słuchać. Ich uczucia względem ciebie nie mają żadnego znaczenia.

Odwrócił się, by spojrzeć na jej wyrazistą twarz, spodziewając się zobaczyć kpiący uśmiezek, tymczasem zdumiał się, widząc malujące się na niej głębokie zrozumienie, wręcz nieprawdopodobne, zważywszy na jej wiek. Najwyraźniej za często spotykał przewrotne kobiety. Zapewne rozczarowały go i znudziły wymalowane, wyperfumowane szlachcianki, wabiące go do swych łóżek, zaspokajające jego zmysły, lecz nie duszę i serce.

Jego narzeczona miała przyjechać do Szkocji pod koniec miesiąca. Ku swemu zaskoczeniu Duncan czuł zdumiewające pokrewieństwo z tą dziwną dziewczyną, która wnikała w zakamarki jego duszy głębiej niżby sobie życzył. Nawet najbliżsi przyjaciele nie znali jego przeszłości, a ta dziewczyna wydawała się wiedzieć aż za dużo. Czyżby była mądrzejsza niż przypuszczał?

Z uśmiechem zwrócił się do Marsali:

- A jakież to ponure historie na mój temat obiły ci się o uszy? Czy słyszałaś, że dla zabawy torturowałem służących w zamkowym lochu?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie. Ale powiedziano mi, że upiłeś się i wysadziłeś pomieszczenia, gdzie destylowano sól jęczmienny.

Poczuł ściskanie w gardle. Jej słowa wywarły na nim ogromne wrażenie.

- Proszę, mów dalej.

- Dobrze. - Jej głos nieznacznie drżał, gdy streszczała ohydne plotki. - Słyszałam, że w wyniku tego postępu jeden człowiek umarł, a drugi został trwale oszepecony. Że tego lata chłopci cierpieli głód, bo stracili źródło dochodu. Ale oboje wiemy, że w takich opowieściach jest zawsze dużo przesady.

- To wszystko?

Marsali spuściła wzrok, jej głos stał się niemal niedosłyszalny.

- Nie, są jeszcze plotki na temat twojej matki i jej męża... i żony doktora.

Nagły dreszcz przeszył Duncana. Jakim okazał się głupcem, mając nadzieję na przekonanie tych ludzi, że nie jest już młodzieńcem z piekła rodem. Ale czy istotnie się zmienił? Czy stare demony rzeczywiście opuściły go, zginęły, czy jedynie uciszyły się, w uśpieniu czekając odpowiedniej chwili, by ostatecznie go zniszczyć? Był pewien, że ta dziewczyna nie spoglądałaby mu w oczy tak ufnie, gdyby domyślała się, że cały czas prześladuje go myśl o tym, by zwabić ją do swego łóżka i udowodnić, że może być jej panem na wiele sposobów. Już choćby ta jedna myśl dowodziła, że się nie zmienił. Że jedynie zamienił lekkomyślne niszczenie samego siebie na zaspokajanie egoistycznych pragnień, żądz i ambicji.

- Masz rację, Marsali - powiedział w końcu ze znużeniem.

- Nie muszą mnie lubić, ale muszą słuchać. A teraz zaprowadź mnie na wieżę. Chcę się dowiedzieć, dlaczego Abercrombie doprowadził zamek do takiego stanu.

W ciągu dwudziestu minut od wejścia do wieży, Duncan zdążył potknąć się o parę prosiąt biegnących w dół schodów, obronić się przed zalotami kobiety o obfitych kształtach, która wyskoczyła z pustej beczki na śledzie, biorąc go za członka klanu o imieniu Georgie, i stanąć przed własnym portretem z czasów dzieciństwa, który wisiał w galerii nad Wielką Salą.

Z początku był zdziwiony, wzięwszy pod uwagę swą niechlubną przeszłość i wygnanie, że portret przez cały czas wisiał pośród konterfektów szlachealnych MacElginów, wojów i naczelników, którzy nie martwili swych przodków wybrykami burzliwej młodości.

Dopiero gdy podszedł bliżej i uważnie przyjrzał się portretowi, zauważył dorysowane diabelskie rogi i widły. Z jego najlepszych chłopięcych spodni wystawały rozszczepione kopyta. Nawet teraz dobrze widział złość i urazę wyzierającą z oczu niepokornego chłopaka, jakim był w owym czasie, dostrzegał oszołomienie wywołane obecnością w miejscu, gdzie dokonano podwójnego morderstwa i odkryciem swej prawdziwej tożsamości w czasie pamiętnej nocy, kiedy płonęły ogniska, zapalane w rolnicze święto Bełtan*.

Dobrze pamiętał rano, kiedy powstał ów portret. Minęły wtedy zaledwie trzy dni od dnia, w którym dowiedział się, że nałogowy pijak o imieniu Fergus, który go wychował, nie był jego biologicznym ojcem, że pan i naczelnik klanu, markiz Portmuir, Kenneth MacElgin, czekał aż do śmierci Fergusza, by ogłosić, że Duncan jest jego, Kennetha, jedynym dzieckiem i następcą. W dniu, kiedy powstawał portret, Kenneth stał przy drzwiach, trzymając w ręku szablę, by Duncan mu nie uciekł. Podczas gdy Kenneth był absolutnie przekonany o tym, że świat powinien oddać hołd jego drogiemu synowi, Duncan był równie mocno zdecydowany udowodnić, że nie jest wart takiego hołdu, skoro umożliwiła go dopiero śmierć dwojga ludzi.

Duncan wykrzywił wargi w grymasie. Tak, Fortuna była zdecydowanie niełaskawa dla starego MacElgina. Przez trzynaście lat Kenneth utrzymywał w tajemnicy swoją znajomość z matką Duncana, Janet. Udawał, że nic nie wie o istnieniu syna, który przyszedł na świat w wyniku ich krótkiego nielegalnego związku;

* Beltane, Bełtan - religijne święto rolnicze starożytnych ludów celtyckich, obchodzone na wiosnę i w jesieni. W czasie tych świąt zapalano w nocy ogniska, przez które przeprowadzano zwierzęta w celu uchronienia ich od chorób (Wielka Encyklopedia Powszechna).

dowodu męskości, którego nie uznawał ze względu na Janet, przez szacunek dla jej religijnych przekonań, a także i może przede wszystkim dlatego, że wstydził się przyznać do grzechu.

Lecz kiedy Janet i jej okrutny nieślubny mąż zostali zamordowani w nieznanymi okolicznościach w noc święta Bełtan i znalezieni w swej chacie, Kenneth MacElgin i jeden z dzierżawców spadli jak aniołowie pomsty, by zająć się sierotami po Janet - Duncanem i jego starszą siostrą przyrodną, Judith. Stało się tak, ponieważ Kenneth - pozornie nie interesujący się synem - w głębi serca pragnął mieć go przy sobie i czekał dnia, w którym będzie mógł go uznać.

W końcu Kenneth mógł obwieścić całemu klanowi, że ma dziedzica, którego nie doczekał się z dwiema nieżyjącymi już prawowitymi żonami. Duncan, ponury i wojowniczy, natychmiast próbował wymknąć się orszakowi nauczycieli i krawców, uciekał z lekcji fechtunku i krył się przed służącymi, których zadaniem było śledzenie wszystkich jego poczynań. Buntował się przeciwko przejawom ojcowskiej miłości, które spadały na niego niczym rześisty deszcz, gdyż nie wierzył w ich szczerść. Buntował się przeciwko swemu dziedzictwu, w głębi duszy boleśnie przeżywając to, że ojciec nie zjawił się wcześniej, kiedy jeszcze żyła Janet.

Fergus nie spółdził wprawdzie Duncana, ale wycisnął na nim niezatarte piętno. Przemoc fizyczna, bicie, ciągłe upokarzanie i obrażanie wpłynęły na charakter chłopca równie mocno jak prawa dziedziczenia.

Więc kiedy zaczęto szeptać, że Duncan zamordował własnych rodziców, nie zadał sobie trudu, by zaprzeczyć plotkom. Zachowywał się w zamku ojca jak szalbierz, oszust, podsycając jedynie podejrzenia. Członkowie klanu obmawiali go za plecami, prześcigając się w opisach jego występków i wyrządzonych przezeń krzywd.

- Boże! - Wstrzymał oddech. - Boże! Ktoś próbował spalić portret.

- Wcale nie jesteś do niego podobny - odezwała się cicho stojąca za nim Marsali.

Odwrócił się gwałtownie, wyrwany z zamyślenia i zły, że

został przyłapany w chwili słabości, gdy odczuwał się w nim ból, który dobrze pamiętał z dzieciństwa, ból tak żywy. Jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Przez chwilę miał ochotę odsunąć ją i uciec, jak zrobiłby to przed laty. Wstyd sprawił, że na chwilę zapomniał, iż jest już dorosły.

- Radzę ci, dobrze mi się przyjrzyj. - Chwycił ją za łokieć i pociągnął w stronę smugi przyćmionego światła. - W każdej chwili mogę pokazać rogi. Mogę uprowadzić cię do mojego podziemnego królestwa i pożreć. Idę o zakład, że ci wszyscy ludzie na dziedzińcu gotowi są przysiąc, że widzieli, jak przechadzałem się po salach, a z nozdrzy buchał mi dym.

Wyrwała rękę z bolesnego uścisku. Czuła, że jego gniew nie dotyczy jej, toteż przepełniało ją raczej współczucie dla jego bólu niż strach.

- A nie chciałeś, żeby tak właśnie myśleli?

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślą.

- Właśnie że obchodzi - powiedziała Marsali z irytującą pewnością w głosie, przypomniawszy sobie smutny wyraz jego oczu, kiedy chłopak stajenny potraktował go lekceważąco. - Jesteś im winny pomoc.

- Nie, ja... - Uśmiechnął się kwaśno, zdawszy sobie sprawę, że omawia swoje osobiste problemy ze służącą. Kim była. żeby przypominać mu stare grzechy, namawiać do pokuty? - Ale, ale, Marsali, chyba zapomniałaś już, jakie jest twoje miejsce w zamku. Masz mi służyć i dbać o moje wygodę. Nie wybrałem cię na służącą po to, żebyś dawała mi rady.

Potrząsnęła głową, wyraźnie urażona.

~ Ale przecież potrzebujesz mojej rady, milordzie. Prawdę mówiąc, nie widziałam jeszcze człowieka, który potrzebowałby rady bardziej niż ty.

- Marsali, czy słyszysz, co do ciebie mówię? - Chwyciwszy ją za ramiona, pchnął ją w stronę okna, niemal przyciskając twarz do jej twarzy. Szeroko otworzyła oczy i kurczowo ścisnęła czarny sznurek na szyi. Nie dała się jednak zbić z tropu.

- Oczywiście, że słyszę, milordzie, zresztą myślę, że słyszą cię wszyscy w zamku.

- To dobrze. Chcę, żebyś wiedziała, że mam doradców, którzy udzielają mi wskazówek. Zatrudniam najtęższe umysły - geniuszy matematycznych, historyków, strategów wojskowych, byłych żołnierzy i ministrów.

- Widzisz - powiedziała, uśmiechając się chytrze - tu właśnie jest problem. Wszyscy twoi doradcy to mężczyźni, a wszyscy mężczyźni potrafią myśleć jedynie o prowadzeniu wojen.

Nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Jej rozumowanie nie było pozbawione racjonalnych przesłanek.

- Za to właśnie im się płaci.

- O prowadzeniu wojen i o pieniądzach - dodała z westchnieniem.

Duncan nie wiedział, czy ma ochotę ją udusić, czy wziąć w ramiona. Teraz, kiedy wreszcie przestała go pouczać, mógł cieszyć się jej widokiem, rozkoszować miodowym zapachem jej włosów. Dopiero teraz zauważył mały pieprzyk w kącie jej ust. Spojrzył na pulsujące zagłębienie szyi, a potem przewędrował wzrokiem wzdłuż czarnego jedwabnego sznura, który znikał pomiędzy jej piersiami. W jakiś przedziwny sposób, może dzięki swej czupurności, a może dzięki osobistemu czarowi, wywarła na nim duże wrażenie. Tłumaczył to tym, że głodny, zmęczony podróżą, rozczarowany powrotem w rodzinne strony, stracił czujność i pozwolił sobie na chwilę słabości.

Marsali zwilżyła wargi, zafascynowana grą sprzecznych emocji na jego twarzy. Im silniejszy stawał się jego gniew, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że musi okazać cierpliwość, gdyż, jak mawiał jej ojciec, wybuchy gniewu najczęściej są wywołane przez głęboki ból duszy. Mężczyźni tacy jak Duncan niezmiernie rzadko ujawniają emocje. Czuła, że powinna pomóc mu stać się potężnym wodzem, jakiego potrzebował klan, chociaż wydawało się to niewykonalnym zadaniem. Będzie musiała przywołać na pomoc całą swą dzielność.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytał podejrzliwie.

Jakieś poruszenie na dziedzińcu przyciągnęło jego uwagę, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Członkowie klanu grali w golfa, używając do tego celu szabel i jaj na twardo. Ten widok sprawił, że

przypomniął sobie o licznych ograniczeniach swej sytuacji. Miał za sobą obietnicę daną Koronie, a przed sobą cel i określoną ilość czasu na jego osiągnięcie. Uwodzenie szalonej dzierlatki nie mieściło się w tych planach. Zapewne dziewczyna ucieknie z zamku pod osłoną nocy. Czuł, że byłoby mu łatwiej, gdyby tak postąpiła.

Odsunął się od okna, widząc, że Marsali zadrżała. Najprawdopodobniej przeszył ją dreszcz ulgi. Tym lepiej. Udało mu się ją zastraszyć. To dobry początek budowania autorytetu, chociaż wątpił, czy wiedziała, co oznacza to słowo, najwyraźniej przyzwyczajona do chodzenia własnymi ścieżkami.

- Straciłem już wystarczająco dużo czasu - powiedział, przechodząc obok niej, celowo nie patrząc na portret. - Co mam z tym wszystkim zrobić?

Dotknęła wisiorka na szyi.

- Kiedy nie wiedziałam, co począć, moja mama zawsze czytała mi Biblię.

Omal nie wyśmiał jej naiwności.

- Coś mi się wydaje, że ten zamek nie zasługuje na pomoc Wszzechmogącego.

Marsali z rozdrażnieniem spoglądała na spalone słońcem ramiona Duncana. Czekala ją ciężka praca nad przemianą tego hardego mężczyzny w roztropnego i litościwego władcę. Nie potrafiła zdecydować, czy ma poważnie traktować wizję swego wuja. Colum pomylił się w sprawie zasadzki na kapitana dragonów, a ją też zawiodła intuicja, gdyż zbyt mocno reagowała na bliskość Duncana.

- Marsali, zaprowadź mnie do Abercrombiego - poprosił Duncan zniecierpliwionym tonem.

Marsali nie poruszyła się, struchlawszy na myśl o tym, co za chwilę może się stać. To ona była odpowiedzialna za to, co przydarzyło się Abercrombiemu, a o czym nikt w zamku nie słyszał lub wolał o tym nie mówić. Lecz Duncan najprawdopodobniej i tak znajdzie sposób, by ją obwinić.

Uważnie przyjrzał się dziewczynie, widząc jej zaniepokojenie.

- Boże! - Postąpił krok w jej stronę. - Ci przekłęci głupcy go zamordowali! Mam rację? Zamordowali urzędnika Korony!

Marsali otworzyła usta, lecz nie odezwała się ani słowem.

- Odpowiedz mi, Marsali. - Spochmurniał. Miała wrażenie, że diablę zstąpiło z portretu i przybrawszy dorosłą postać stało teraz przed nią w całej swojej krasie. - Kiedy ostatni raz widziałaś Abercrombiego?

- Hmm... - Tylko tyle udało jej się na początek wydusić ze ściśniętego gardła. Po dobrej chwili dodała: - To chyba było w sylwestra.

- Styczeń. - Zmarszczył czoło. - Sześć miesięcy temu. Czy on żyje?

Uporczywie wpatrywała się w czubki zdartych butów.

- Zrozum, to była okropna kreatura.

Zmusił Marsali do cofnięcia się o kilka kroków, aż stanęła tuż pod jego portretem upstrzonym obraźliwymi rysunkami. Tak, to on był tym chłopcem. Czuł, jak budzą się w nim stare demony.

- Przechadzał się po blankach z zawiązanymi oczami - powiedziała zduszonym głosem.

- Co? Czy mam przez to rozumieć, że usiłował popełnić samobójstwo?

Marsali znów przyłożyła dłoń do serca. Doświadczając palpacji, ilekroć złowieszczo zniżał głos.

- Niosłam wtedy zioła kucharce, więc nie znam szczegółów. Ale z tego, co wiem, mister Abercrombie nie przechadzał się po blankach z przepaską na oczach z własnej woli.

- Gdzie on teraz jest? - zapytał ponuro.

Marsali z trudem zaczerpnęła tchu.

- Słyszałam, że w kaplicy.

- W trumnie?

- Nie wiem - wyszeptała.

Chwytał jej dłoń. pozbawiając ją czucia w palcach.

- W kaplicy! Boże! Jeśli zabilicie urzędnika państwowego, spadnie tu niejedna głowa.

5

Duncan wyszarpnął garść strzał tkwiących w ciężkich dębowych drzwiach do kaplicy i rzucił je na posadzkę.

- Abercrombie, jestem Duncan MacElgin! - krzyknął, przyklękawszy przy dziurce od klucza. - Jeśli tam jesteś, odezwij się.

Cisza. Po chwili usłyszał szuranie, tak słabe, że nie wiedział, czy przemawiał do człowieka, czy do myszy.

- Przychodzę jako przyjaciel, Abercrombie. Otwórz te przeklęte drzwi!

- Dzikusy - odpowiedział mu przytłumiony głos. - MacElgin to jeszcze jedno słowo na określenie dzikusów, a ten zamek to czarci plac zabaw.

Spojrzawszy na Marsali, Duncan zauważył jej szeroki uśmiech.

- Twoim zdaniem to jest zabawne, Marsali? - zapytał cicho.

- Oczywiście, że nie, milordzie - odpowiedziała, robiąc pocieszną minę. - To haniebne.

Duncan załomotał pięścią w drzwi, uwalniając przy tym kolejną porcję strzał.

- Tu generał Duncan MacElgin, Abercrombie, będę cię chronił. Ale nie mam na to szans, jeżeli uprzesz się, żeby siedzieć za tymi drzwiami.

Znów odpowiedziała mu cisza.

Duncan odwrócił się gwałtownie, zamierzając wyładować całą swoją złość na Marsali. Jednakże tym razem była na to przygotowana; pokiwała głową na znak zrozumienia.

- To straszna hańba, milordzie.

Wstał.

- To twoja ostatnia szansa, Abercrombie. Jeśli mnie natychmiast nie wpuścisz, przyniosę drabinę i każę tym dzieciom na dziedzińcu wspiąć się po ciebie z łukami.

Groźba najwyraźniej poskutkowała.

Rozległ się szcęk odryglowywanej zasuw. Duncan zdażył odskoczyć tuż przed tym, nim drzwi otwarły się, ukazując niepozorną postać w kaplicy.

Duncan z niedowierzaniem objął wzrokiem zarządcę, który skrył się za ogromną średniowieczną tarczą MacElginów. Rozczochrane siwe włosy i podejrzliwie spoglądające oczy były przysłonięte misą, służącą za hełm.

- To ty... to ty jesteś Abercrombie? Zostałeś tu przysłany jako zarządca mojego zamku?

- Jestem. Zostałem. - Podejrzliwość w orzechowych oczach zarządcy ustąpiła miejsca podszytej strachem wrogości, kiedy zorientował się, że Duncan jest prawie nagi, okryty jedynie brudną chustą MacElginów. - Ale ty nie jesteś markizem i generałem... jesteś jednym z nich.

Z wyrazem paniki w oczach wyteżył swe wątłe siły próbując zatrzaskać drzwi przed nosem Duncana. Wykazując się niepospolitym refleksem, Duncan wystawił ramię i pchnął drzwi tak, że z hukiem uderzyły w ścianę, aż poruszył się szereg oskubanych kurcząt, zwisających z krokwi. Przystąpiwszy próg, Duncan rozejrzał się dookoła i ze zdumieniem spostrzegł stos papierów, liczne książki, koce, komplety sztućców i naczyń. Kaplica wyglądała jak obozowisko.

- Co tu się działo? - zażądał wyjaśnień potężnym głosem, który rozszedł się echem w kaplicy.

Abercrombie opuścił tarczę i chwycił szablę leżącą na ławce.

- Jeszcze jeden krok i jesteś martwy - ostrzegł Duncana groźnym piskiem, niczym mysz atakująca lwa.

- Abercrombie, odłóż tę szablę, zanim się pokaleczysz - poradził spokojnie Duncan, powstrzymując się od śmiechu. - Nie jestem jednym z nich.

- Jesteś ubrany... a raczej rozebrany jak oni. - Abercrombie wskazał palcem Marsali, kryjącą się za Duncanem. - Ona na pewno jest jedną z nich. To istna dzikuska, a w dodatku ma to ptaszydło, które podąża za nią jak cień, i wuja w pakcie z diabłem. A poza tym...

Abercrombie urwał, przenosząc wzrok z Duncana na Marsali, jakby próbując dociec, czy jest ona służebnicą diabła, a ów mroczny jegomość - jej panem.

- Ja też jestem ofiarą anarchii panującej w klanie, Abercrombie - próbował wyjaśnić Duncan. - Zostałem napadnięty na wrzosowisku, zabrano mi ubranie. Od jak dawna tu przebywasz?

Abercrombie opuścił szablę; jego oczy napełniły się łzami.

- Od dwóch miesięcy, milordzie. Już dwa miesiące bronię się przed tą bandą...

- Nie powinieneś być karać mojego kuzyna chłostą już pierwszego dnia po przybyciu do zamku - przerwała mu Marsali z gniewnym błyskiem w oku. - To zrobiło bardzo złe wrażenie na pozostałych.

- Powściągnij język, Marsali - rzekł Duncan, nie patrząc w jej stronę. - To oczywiste, że ten człowiek był źle traktowany i że będąc musiał uczynić zadość sprawiedliwości.

- Liam ma tylko dwanaście lat - ciągnęła, nie zrażona, jej głos drżał pod wpływem emocji. - Dwanaście lat... i za niewielkie wykroczenie został wychłostany tak, że stracił przytomność.

- Co zrobił ten chłopak? - zapytał Duncan Abercrombiego.

- Chlusnął mi w twarz szklanką koziego mleka, milordzie. - Abercrombie spojrzał na Marsali. - To był najczystszy akt buntu, a ta kobieta powinna zostać wychłostana razem z nim. Żeby rozbierać dorosłych mężczyzn i zmuszać ich do wążsania się nago po tym zimnym, pustym wrzosowisku! To zuchwalstwo, obraza męskiej dumy...

- Tak, mam swoje zdanie na temat jej wybryków - stwierdził ironicznym tonem Duncan. - Ale gdzie podzieli się żołnierze, którzy zostali wysłani tu przez Koronę, by pilnować przestrzegania twoich poleceń? Chyba nie zostali wtrąceni do lochu?

- Zniknęli już pierwszego dnia, milordzie - odpowiedział

Abercrombie, nerwowo mrugając pod misą-hełmem. - Przypuszczam, że zostali napadnięci przez członków klanu. Być może nawet zostali zamordowani.

- To nieprawda. - Marsali postąpiła krok naprzód i odważnie stanęła między Abercrombiem a Duncanem, niezdolna już dłużej w milczeniu słuchać beczelnych kłamstw. - Ci tchórze uciekli w nocy i nikt ich odtąd nie widział. A poza tym ukradli miesięczne zapasy żywności.

Duncan odsunął ją delikatnie, po czym wyjął szablę z drżących dłoni Abercrombiego. Gdy przemówił, jego głos nie zdradzał głębokiej pogardy, jaką żywił dla zarządcy.

- To, co się zdarzyło, należy już do przeszłości, a teraz mister Abercrombie połączymy nasze wysiłki i wprowadzimy tu wiele zmian.

- Nie zostanę tu ani dnia dłużej - oznajmił drżącym głosem Abercrombie. - Teraz, kiedy już tu jesteś, milordzie, spakuję się i...

Jego protest zabrzmiał na końcu jak skowyt; Duncan nieznacznie uniósł szablę.

- Zostaniesz tutaj i pomożesz mi, Abercrombie, tak jak ci polecono - powiedział z kamienną twarzą.

- Błagam, milordzie... - Abercrombie wyglądał teraz wręcz żałośnie; misa zsunęła mu się na czoło. - Rozpłataj mnie tą szablą, ale nie każ mi tu zostawać. Nie zamierzam dłużej przebywać wśród tych barbarzyńców.

- Weź się w garść, Abercrombie. Robisz z siebie widowisko, zebrząc jak pies o kość i mazgając się... i to w dodatku w obecności kobiety. Gdzie się podziała twoja duma, twoja godność?

Odpowiedzią było pociągnięcie nosem, po czym Abercrombie opadł na ławkę w poczuciu bezdennej rozpacz. Perspektywa pozostania w zamku była dlań przerażająca.

- Milordzie, błagam... - ośmielił się wyszeptać, by po chwili zerwać się na nogi, gdy Duncan zrobił krok w jego stronę.

- Opanuj się, Abercrombie. Zdejmij tę cudaczną misę - wyglądasz w niej jak muchomor - i oprowadź mnie po zamku.

- Ppo zammku, milordzie? Narażamy się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Tak, po zamku. - Duncan zamierzał odłożyć broń, lecz pomyślał, że fakt posiadania przy sobie broni w czasie przechadzki po zamku nie zaszkodzi jego wizerunkowi prawowitego właściciela. Poza tym Abercrombie miał rację - być może będą zmuszeni się bronić.

Skierowawszy się w stronę drzwi, przystanął na chwilę, by objąć wzrokiem sylwetkę Marsali. Błade popołudniowe słońce oświetlało jej kędzierzawe włosy barwy czerwonego wina. Z niedowierzaniem przyglądał się niewinnej buzi i kruchej, dziewczęcej figurce, maskującym bystry umysł i nieustraszone serce. Ponownie jej twarz wydała mu się dziwnie znajoma. Czyżby już kiedyś ją widział?

Obdarzyła go szerokim uśmiechem. Odwrócił wzrok, nim uśmiech zagościł i na jego twarzy.

- Do roboty, dziewczyno - rzucił szorstko. - Na początek możesz wyprać mi ubranie. A ty, Abercrombie, pomóż mi znaleźć jakiś przyzwoity strój. - Urwał, spoglądając na coś ponad głową zarządcy. - Poza tym, czy możesz mi powiedzieć, dlaczego zawiesiłeś na krokwi pięć oskubanych kurcząt?

Abercrombie przygarbił się i podszedł do drzwi.

- To było moje pożywienie, milordzie. Łapałem je w fosie, kiedy strażnicy pili i grali w karty, co na szczęście robili przez większość czasu.

Duncanowi udało się zachować powagę, usłyszał jednak zduszony chichot Marsali.

- Genialny pomysł, Abercrombie. Ale nie przypuszczasz chyba, że uwierzę, że przez dwa miesiące żywiłeś się jedynie surowym kurzym mięsem?

- Och, nie, sir. - Abercrombie spojrział na Duncana, najwyraźniej zachwycony własną pomysłowością. - Nocami opiekałem je nad lampką oliwną.

Marsali parsknęła śmiechem.

- A my zastanawialiśmy się. skąd późną nocą dochodzą takie wspaniałe zapachy.

Duncan pokręcił głową z udawanym uznaniem.

- No, no, Abercrombie, okazuje się, że jesteś bardzo pomysłowy! Ale powiedz, co piłeś przez te dwa miesiące?!

Abercrombie dumnie wypiął chudą pierś.

- Wino mszalne, milordzie. Cóż innego mogłem tu pić?

- Ha, szczwany lisie!

Duncan zaśmiał się sucho i poklepał filigranowego mężczyznę po ramieniu, powodując niemal jego przykłknięcie; Abercrombie zachwiał się, ale udał rozbawienie, po czym obaj ruszyli do drzwi. Ich śmiech niemile drażnił uszy Marsali. Czuła się wykluczona z towarzystwa.

Zafrasowana, powlokła się za nimi. Czyżby myliła się co do MacElgina? Z pewnością przegrał niezwykle ważny sprawdzian: powinien był wyrzucić żałosnego zdrajcę przez okno natychmiast po tym, jak opowiedziała o karze chłosty dla dziecka. Jako naczelnik, Duncan powinien był rozgniewać się na Abercrombiego, okazać współczucie dla jego ofiary, a potem postawić zarządcę pod pręgierzem na co najmniej dwa tygodnie, i niechby go tam obrzucano zgniłymi owocami.

Spojrzała w dół spirali schodów na ginącą w mroku sylwetkę Duncana. Uczucie rozczarowania ciążyło jej w piersi jak kamień. Prawdopodobnie zbyt wielkie wrażenie wywarła na niej otaczająca go aura władzy i nie potrafiła dostrzec jego wad. Zapewne jej wzrok przyćmiła fizyczna atrakcyjność mężczyzny o wyglądzie średniowiecznego rycerza zesłanego przez niebiosa dla obrony swych ludzi. Chciała wierzyć, że to on był odpowiedzią na jej modlitwy, gdyż wycierpiała już zbyt wiele bólu po stracie braci i kuzynów, nie mówiąc już o ojcu.

Ktoś powinien zaprowadzić w klanie porządek. Lecz czy ceną za wybawienie miał być pakt z diabłem? Z kolei ktoś powinien złożyć hołd naczelnikowi. Dlaczego miała to być ona? Westchnęła, pokręciła głową i zaczęła pośpiesznie zstępować ze schodów, by dołączyć do mężczyzn, nie chcąc stracić ani chwili tego niezwykłego dnia.

Da Duncanowi jeszcze jedną szansę, chociaż była zaniepokojona tym, że nie wyszedł zwycięsko z najważniejszej próby

- próby charakteru. Równie mocno niepokoił ją fakt, że chciała mu wierzyć z powodów, które miały niewiele wspólnego z problemami klanu.

Przed nastaniem zmroku wieść o przybyciu Duncana zdażyła rozejść się po całym zamku i dotrzeć nawet do jego najciemniejszych zakamarków. Obecność naczelnika klanu zepsuła zwyczajowe wieczorne zabawy. Zabronione zostało tak lubiane przez wszystkich bieganie nago po Wielkiej Sali, zakazano też wkładania żab do spodni pijanych towarzyszy z klanu.

Z pewnością Duncan nie zaskarbił sobie przyjaźni rozkazami, które wydawał zdecydowanym tonem w czasie swojego „obchodu”. Jednakże do najbardziej dramatycznego spięcia doszło w czasie kolacji. Duncan i Cook nigdy, nawet przed wieloma laty, nie darzyli się sympatią, a teraz z pewnością nie zyskał przychylności kucharki wzywając ją do sali, by skrytykować kolację i wręczyć listę proponowanych francuskich dań oraz sakiewkę z pieniędzmi z prośbą o zakupienie smaczniejszych produktów.

- Nie chcę więcej patrzeć, nie mówiąc już o jedzeniu, na te żyłaste rozgotowane kurczaki - oznajmił, nie zważając na jej liczne protesty.

Twarz Cook przybrała kolor bakłażana. Nikt jeszcze w zasięgu jej słuchu nie ośmielił się wypowiedzieć jakiegokolwiek niepochlebnego słowa na temat przygotowywanych przez nią dań. Niektórzy członkowie klanu szybko dali nura pod stół, spodziewając się gigantycznej awantury.

Marsali była przerażona nietaktownym, despotycznym zachowaniem Duncana, krytykującego najważniejszą osobistość w zamku. W dodatku zrobił to publicznie, przy stole. Mimo iż częścią jej kary było pokorne pełnienie funkcji służącej, miała ogromną ochotę wylać mu dzban wina na zakuty łeb. Siła jego gniewu sprawiła, że gwałtownie rzuciła się do ucieczki, wiedząc, że będzie próbował ją zatrzymać.

I nie myliła się.

Dobiegła już do drzwi, kiedy na wpół uniośszy się z ciężkiego

krzesła na potężnych lwich nogach, nakazał jej jak najszybszy powrót.

- Nie przypominani sobie, żebym pozwolił ci odejść, Marsali.

Do diabła, ten człowiek ma oczy Euna. pomyślała z niezadowolaniem, odwracając się powoli. W sali zapanowała absolutna cisza. Wzrok członków klanu wyrażał pełne zakłopotania rozbawienie, niepokój, a także ulgę, że naczelnik, zajęty kimś innym, przynajmniej na razie nie zwraca na nich uwagi.

Po zamku lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że MacElgin jest zdolny do wszystkiego. Przede wszystkim natychmiast nakazał mężczyznom wyprać brudne chusty, co było jeszcze jednym wyzwaniem rzuconym Cook, która nadzorowała pranie w tym miesiącu. Zabronił kobietom wyskakiwania z gołymi piersiami z beczek na śledzie i zakazał Effie trzymania prosiąt w zamku.

Lecz największym zuchwałstwem była kara nałożona na dzielną Marsali Hay. Ośmielił się uczynić ją służącą - Marsali, szlachetnie urodzoną potomkinię samego Olafa Czarnego, króla wyspy Man i okolicznych wysp. Marsali, która straciła ojca, narzeczonego i dwóch braci w ostatnich trzech latach. Uśmiechniętą, niezachwianą lojalną Marsali. Chociaż członkowie klanu uznawali niewiele świętości, tę karę odebrali jako największą zniewagę.

- Marsali, ja czekam.

Powiedział to takim tonem, że dziewczynę przeniknął dreszcz zgrozy. Czują, że za chwilę znajdzie się w nie lada opałach, że to w nią zostanie wymierzony atak jego przewrotnego poczucia humoru. Przypomniła sobie jednak, że postanowiła być mu posłuszna z niezmiernie ważnego powodu - miała nadzieję, że jej cierpliwość zapewni klanowi pokój.

Zbliżając się do niego, zbierała w sobie odwagę, by popatrzeć mu w oczy. Zniewalające spojrzenie jego intensywnie niebieskich oczu sprawiło, że straciła kontrolę nad swoimi emocjami i oblała się szkarłatnym rumieńcem. Nie spuściła jednak głowy, szła dumnie wyprostowana, usilnie starając się opanować, mimo iż jego pałający wzrok ostrzegał, że czekają ją ciężkie chwile.

Duncan opadł na krzesło, widząc, że Marsali wraca do stołu.

Szła powoli, niechętnie, a jej drobna twarzą wyrażała poirytowanie.

- Znowu upuściłeś serwetkę, milordzie? - zapytała tonem, który zdradzał, że chętnie zacisnęłaby tę serwetkę na szyi Duncana.

Duncan pomachał kawałkiem białego materiału.

- Nie, jest tutaj.

- A może twój kielich z winem jest za ciężki i nie możesz go podnieść? - zapytała; w jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

Rozsiadł się wygodnie na krzesle i rozprostował długie, wspaniale umięśnione nogi, niczym rozleniwiony zdobywca. Przez dobrą chwilę taksował ją wzrokiem. Marsali przyglądała mu się w skupieniu, zyskując pewność, że wuj Colum i ona bardzo się pomylili. Ten mężczyzna nie mógł być tym, który miał zapewnić klanowi dostatnie i bezpieczne życie, a to, że był naczelnikiem, nie miało tu żadnego znaczenia.

Trzeba było przyznać, że pasował do roli naczelnika. Jego wysoka, kształtna postać znakomicie prezentowała się w stroju, który zapewne znalazł w szafie z ubraniami ojca: w białej bawełnianej koszuli z kryzą i czarnych aksamitnych spodniach do kolan, białych pończochach opinających muskularne łydki, przepasany tartanem MacElginów, spiętym na ramieniu srebrną broszą wysadzaną chińskimi ametystami. Rozpuszczone długie czarne włosy okalały urodziwą twarz. Marsali pomyślała, że doprawdy ironią losu jest to, iż komuś tak niezwykle atrakcyjnemu fizycznie całkowicie brakuje emocjonalnej głębi. Lecz taka była rzeczywistość, tak smutna była prawda.

- Masz szramę na szyi, milordzie? - zapytała z fałszywym zatroskaniem w głosie.

Duncan uniósł kielich do warg, by ukryć drapieżny uśmiech. Bawił się doskonale. Temperament Marsali dodawał smaczku całemu zadaniu. Smaczek. Tak, to właśnie słowo przychodziło do głowy na myśl o ciepłej dziewczęcej skórze wypieszczonej przez słońce i filigranowym ciele, o krągłościach, których nie była w stanie ukryć workowata suknia. W innych okolicznościach

nader chętnie wykorzystałby służebną rolę Marsali. by zaspokoić zmysły.

Rozejrzał się po sali, znów niemile zaskoczony otaczającą go atmosferą wrogości. A niech go sobie nienawidzą, gotów był iść o zakład, że był to pierwszy wieczór od śmierci ojca. kiedy zachowywali się jak ludzie. Zakiełkowała w nim nieśmiała nadzieja.

- Marsali, przynieś drabinę i zdejmij arrasę ze ściany. Nie lubię czuć zapachu pleśni, kiedy jem.

Marsali pokiwała głową, w ostatniej chwili powstrzymując się od wzniesienia oczu do nieba.

- Zrobię to po kolacji.

- Nie po kolacji. - Zabębnił długimi, mocnymi palcami w oparcie krzesła. - Teraz.

Z trudem zaczerpnęła tchu. Będzie musiała wymknąć się noc; z zamku i porozmawiać z Columem, choćby miało to dla niej oznaczać śmierć, ponieważ absolutnie nie wytrzyma jeszcze jednego dnia pozorowania uległości względem tego egoistycznego łajdaka. Nie mogła też znieść myśli o tym, że bawił się nią jak marionetką, i że najwyraźniej tym się rozkoszował.

- Tak, milordzie. - Nieznacznie odsunęła się od stołu, zaciskając dłonie w pięści aż do bólu. - Poproszę chłopców, żeby coś zrobili z tym okropnym zapachem.

- Chcę, żebyś to ty się tym zajęła. - Skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na nią z nieprzeniknionym obliczem władcy. - I to natychmiast, ponieważ za chwilę będzie deser, a wdychając ten zapach tracę apetyt.

Kątem oka dostrzegła chytre uśmieszki członków klanu. Zaskoczona ich rozbawieniem, zniżyła głos.

- Chcesz, żebym weszła na drabinę i zdjęła arrasę?

Odłożył serwetkę na talerz; płomienie świec odbijały się w jego źrenicach.

- Chyba że znasz lepszy sposób, żeby je zdjąć.

Podeszła do niego wolnym krokiem i udając, że chce strzepnąć okruchy z jego koszuli, wyszeptowała jadowicie:

- A kiedy skończę, mam poobgryzać ci paznokcie u nóg?

- Jeśli tylko masz na to ochotę - odpowiedział beznamiętnym tonem. - Byle nie za krótko.

Rozwścieczona, spojrzała na jego pięknie wyrzeźbioną, intrygującą twarz, zastanawiając się, czy udałoby się wylać mu wazę zupy na kolana i cało dotrzeć do drzwi.

Sięgnął po kielich z winem, leniwy uśmiech zagościł na jego ustach.

- Czyżbyś zamieniła się w kamień, dziewczyno? Lada dzień mogą się tu zjawić moi goście, poza tym za chwilę będzie deser, a ja nie znoszę odoru pleśni. Mam delikatny narząd powonienia.

Marsali zazgrzytała zębami.

- Zaraz zrobię z tym porządek, milordzie.

Ale to już ostatni raz, pomyślała. Jutro zrobię wszystko, żeby upokorzyć cię tak samo, jak dzisiaj upokorzyłeś mnie.

Odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem; jasno-niebieska muślinowa spódnica powiewała za nią buńczucznie. Duncan zachichotał, rozkoszując się smakiem zwycięstwa. Biedna Marsali. Nie miała pojęcia, ileż upokorzeń zaplanował dla niej na następny dzień. Tego wieczoru starał się zbytnio sobie nie folgować. Był dla niej uprzejmy i dokonywał oceny sytuacji. Jednakże rano Marsali dowie się, co oznacza słowo „szacunek”, a on będzie miał doskonałą zabawę. Oczywiście postara się nie być zbyt okrutny. Ot, po prostu czeka ją lecznicza dawka dyscypliny, wystarczająca do zrozumienia, gdzie jest jej miejsce.

6

Uczucie głębokiej satysfakcji zaczęło opuszczać Duncana jeszcze przed północą, przytłaczane bagażem wspomnień, które opadły go, gdy przemierzał kręte, oświetlone pochodniami korytarze zamku.

Tak jakby od tego czasu minął zaledwie tydzień, a nie piętnaście lat, stanął mu przed oczami biedny, zagubiony ojciec, wlokący go tymi samymi korytarzami, i dzierżawca Andrew z wyrazem zatroskania na szlachetnej twarzy, starający się pocieszyć przerażonego chłopca i zapewnić go, że wszystko będzie dobrze,

A jak odpłacić za to temu człowiekowi?

Plunął mu w twarz, odrzucając, wyśmiewając dobroć, jakiej nigdy nie zaznał, choć bardzo do niej tęsknił w głębi dzikiego, samotnego serca. Przeklinając i wijąc się jak piskorz, zdołał wyrwać się ojcu i Andrew, po czym z dzikim wrzaskiem przebiegł przez kuchnię, rozbijając po drodze butelki i przewracając krzesła, a potem pchnął dużo wtedy młodszą Cook na piec z tak wściekłą siłą, że zwichnęła sobie ramię.

- Diabeł wcielony - wymamrotała wtedy w osłupieniu, chwytając się w kącik. - Morderca...

Diabeł. Morderca. Nikt nie kazał wtedy wychłostać jedenastoletniego chłopaka, który zasłużył na taką karę. bardziej niż kuzyn Marsali. Ten głupek Abercrombie zapłacił za dopuszczenie się takiego okrucieństwa, kiedy Duncan wykorzystał go już do osiągnięcia własnych celów.

Chcąc nieco odpocząć od przytłaczającej atmosfery zamku, wyszedł z pustej teraz Wielkiej Sali i bocznym korytarzem przeszedł do stajni; polecenie wypuszczenia go poza obręb zamkowych murów zostało spełnione zadziwiająco szybko. Jego ogier został odnaleziony na wrzosowisku przez pasterza i wyczesany przez Marsali zaledwie kilka godzin temu. Było to zresztą ostatnie polecenie wydane utrudzonej dziewczynie, zanim pozwolił jej odejść i udać się na spoczynek. Z pewnością będzie spała kamiennym snem aż do świtu, kiedy to zamierzał ją obudzić i przedstawić świeżą listę męczących prac. Radośnie zachichotał na tę myśl.

Wyjechał na drogę i ruszył przed siebie. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju, gdy zobaczył sterty drewna i kamieni na poboczach - angielscy żołnierze najwyraźniej zaczęli już likwidację wiosek, by zbudować wojskową drogę. Rozumiał odczucia górali, nie pozostawał również obojętny wobec ogromu zniszczeń. Jednakże nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego tutejsi ludzie poświęcali swe życie, sprzeciwiając się postępowi, który i tak był nieunikniony i wkraczał nawet na te dzikie tereny. Doświadczenie zdobyte w brytyjskiej armii mówiło mu, że sprawa jakobitów już wkrótce będzie nieaktualna.

Gotów byłby przysiąc, że nie wybrał konkretnego miejsca, do którego chciałby dotrzeć w czasie swej przejażdżki, lecz nagle wyrósł przed nim kamienny budynek kryty strzechą, stojący w gęstym bukowym lesie - dom, w którym przyszedł na świat, gdzie w noc święta Bełtan przed ponad dwudziestoma laty tragiczną śmiercią zginęli jego matka i jej podły mąż. Gwałtownie zatrzymał konia, nie przygotowany na przyruch tak intensywnych, bolesnych wspomnień.

Od tamtego wydarzenia prowadził niewiarygodnie intensywne życie, był fetowany na zagranicznych dworach, udało mu się zyskać przychyłność szlachetnie urodzonej angielskiej damy i protekcję jej wpływowego ojca. Udało mu się podnieść z grobu rodzinnej tragedii.

Lecz kiedy zsiadł z konia i wszedł do zapuszczonej, nie zamieszkałej chaty, na powrót stał się gniewnym, maltreto-

wanym jedenastoletnim chłopcem, a nimb sławy i chwały ulotnił się jak dym.

Drzwi stały otworem; złamana framuga zwisała pod takim samym kątem jak po kopnięciu jej przez Kennetha MacElgina i jego ludzi, którzy przybiegli tu, słysząc historyczny szloch ciotki Duncana, wzywającej pomocy. Nawet bryza znad pobliskiego morza nie była w stanie wywiać z nozdrzy Duncana zapachu krwi, piwa i palonego torfu. Zamknął oczy, ogarnięty tłumionym dotąd uczuciem głębokiego smutku i gniewu.

Tak, pomimo wszystkich zaszczytów, jakimi go obsypano, pomimo upływu czasu, teraz, stojąc w mrocznej chacie, był na powrót dzieckiem przeżywającym koszmar, a otrząśnięcie się z niego nie było wcale łatwiejsze niż przed laty.

Duncan uniósł głowę. Tok jego myśli przerwał tętent kopyt - jakiś jeździec galopował wzdłuż górskiej krawędzi nad chatą. Nie patrząc na podłogę, gdzie po raz ostatni widział matkę, leżącą bez życia, Duncan wybiegł na zaniedbane podwórze i ze zdumieniem popatrzył w stronę postaci, która wydawała się frunąć nad ocienioną drzewami ścieżką.

Marsali. Do diabła, znowu ta dziewczyna, nic sobie nie robiąca z jego rozkazu, by nie opuszczała zamku, dopóki jej na to nie zezwoli. Poczuł, że wzbiera w nim złość, która szczęśliwie oderwała go od wspomnień wywołujących cierpienie. Czyżby uciekała, mając już dość odbywania kary i spodziewając się, że zamierza ją obarczyć jeszcze bardziej uciążliwymi pracami? Czyżby przyjechała tutaj, by zademonstrować nieposłuszeństwo?

Podszedł do konia, bezwiednie uśmiechając się pod nosem, gdyż przed oczami stanęła mu Marsali, jak ześlizguje się z drabiny i ląduje na kształtnym tyłeczku, straciwszy równowagę pod ciężarem ogromnego arrasu - uparła się, że ściągnie go jedną ręką.

Ach, ileż wściekłości było wtedy w spojrzeniu, jakim go obrzuciła!

Wskoczył na konia; okrążył chatę, przypominając sobie tajemnice dzieciństwa, ukryte ścieżki, które odkrywał przed laty, by

uciec przed gniewem pijanego Fergusa. Prawdopodobnie Marsali kieruje się do zatoki, nad którą znajdują się grotty skalne i sklepione przejścia, miejsce tajemnic i gry światłocieni. Uśmiech Duncana zbladł. Skały nad zatoką były wymarzonym miejscem tajemnych schadzek kochanków. Sam spotykał się tam o północy z dziewczynami ze wsi. Mało prawdopodobne, by ludzka natura tak bardzo zmieniła się w ciągu minionych dwudziestu lat.

Parna letnia noc. Jakiś młodzieniec z klanu czeka na nią w świetle księżyca. Szum morskich fał rozbijających się o brzeg jest serenadą dla dwojga kochanków. Przez chwilę Duncan miał ochotę zawrócić i udać, że nie widział Marsali. Z powodzeniem mógł dopiero nazajutrz zająć się sprawą jej nieposłuszeństwa. Po nieprzyjemnej wizycie w opuszczonej chacie był zbyt wyczerpany psychicznie, by gonić dziewczynę i przerywać intymne chwile.

Dojechawszy do skalistej ścieżki, która prowadziła w dół, ku plaży, zamierzał zawrócić w stronę zamku, lecz wtedy właśnie mignęła mu jeszcze raz - jej włosy lśniły jak lampa latarni morskiej pośród szarych, mrocznych cieni. Dziewczyna przyciskała do boków klaczy gołe, opalone nogi i kierowała się ku ciemnemu skupisku jaskiń na końcu zatoki.

Marsali wzbudziła w nim gwałtowne uczucia. Miał ochotę ją dogonić i poprowadzić do jednej z ukrytych wilgotnych grot, w których przesiadywał całymi godzinami, słysząc, jak Fergus woła go ze skał. Chciał, żeby swym temperamentem wyrwała go ze stanu odrętwienia, w jakim się znalazł. Chciał rzucić ją na piasek. Ale po co? Z pewnością nie oczarowałyby jej swoim legendarnym już mistrzostwem uwodzenia. Gdyby próbował zyskać jej przychylność żartobliwym przekomarzaniem, którego nauczył się od kurtyzan w paryskich salonach, roześmiałaby mu się prosto w twarz, zmieszana słowami i obyczajami, o jakich nawet jej się nie śniło.

Popatrzyłaby na niego tak, jak przez cały dzisiejszy dzień patrzyli górale, i znów poczułby się jak wyrzutek, Duncan Zły Duch, chłopiec, którego matka tak oczarowała swą urodą możnego pana, że naiwnie uwierzył, iż jest ojcem jej syna.

Nie zrobiłyby na niej wrażenia tłumy ludzi, rzucających mu

kwiaty pod nogi na ulicach holenderskich miast. Cook w swojej potwornej ignorancji nie zwróciła nawet uwagi na to, że wręczył jej zestaw dań i odpowiednią sumę pieniędzy, by mogła kupić produkty na całomiesięczne posiłki, mogące uświetnić stół cara Piotra Wielkiego.

Potarł nie ogolony policzek. A niby dlaczego miałyby się tym wszystkim przejmować? Wieśniacy, kobiety, pijacy o jakobickich sympatiach... wszyscy oni w końcu dadzą się głupio zabić, podobnie jak jej ojciec.

Wtem nagle podejrzenie wyrwało go na chwilę ze stanu apatii. Oczyma wyobraźni widział Marsali spotykającą się z kochankiem, podczas gdy w rzeczywistości mogła mieć znacznie gorsze, niebezpieczniejsze zamiary.

Inteligentna, dowcipna, o ostrym języku, obdarzona silną wolą kobieta miała powód, by nienawidzić Anglików za to, że utraciła wszystkich mężczyzn bliskich jej sercu. Mała piekielnica mogła organizować kolejną rebelię tuż pod jego nosem... Po uśmierzeniu buntu oczywiście to on musiałyby wziąć odpowiedzialność na swe barki. Słynny generał, który nie umiał poradzić sobie z jedną dziewczyną...

Głuptaska w gorącej wodzie kąpiąca, gotowa zniszczyć wszystko, włącznie z sobą samą, podobnie jak jego szlachetny, lecz błędzący ojciec. W głowie Duncana aż zaroiło się od koszmarnych wizji. Zostanie pozbawiony stopni i odznaczeń i postawiony przed sądem wojskowym, straci nagrodę w postaci przygranicznego księstwa, którą premier machał mu przed nosem jak marchewką. Widział siebie odartego z godności, zubożonego, z nadziejami startymi na proch, dokonaniemi, z których został jedynie popiół.

Poza tym mógł się spodziewać noża w plecy podczas samotnej jazdy do domu, za łaskawym zezwoleniem mile witających go przedstawicieli klanu. Mógł zakończyć życie tak jak je zaczął, wzgardzony i znieawidzony, naznaczony piętnem przemocy.

Wszystko mogło lec w gruzach z powodu uporu i nieposłuszeństwa filigranowej kobietki. Służącej, która ledwie sięgała mu piersi. Dziewczyny, wobec której pozwolił sobie na niebez-

pieczną słabość, nad którą się ulitował... której pożądał. Małego urwisa z butą księżniczki.

Spiął konia ostrogami i popędził za nią; długie, czarne włosy wymknęły się spod rzemyka i chłostały jego zaciętą twarz. Nawet gdyby musiał przykuć ją dziś łańcuchem do łóżka, nie pozwoli jej już na nieposłuszeństwo. Musi złamać jej hardość; inaczej gotowa zgubić ich oboje.

Marsali ciężko westchnęła i zeskoczyła na piasek. Skierowała się w stronę grot. Klacz została przy brzegu. Wuj Colum uważał się za człowieka bardzo sprytnego i lubił być nieuchwytny, toteż nigdy nie mieszkał w tym samym miejscu dłużej niż kilka miesięcy. Marsali miała już powyżej uszu tej tajemniczości.

Najpierw mieszkał na wrzosowisku, by łatwiej komunikować się z bóstwami. Potem przeniósł się do zamkowego lochu jako urzędujący czarownik, ponieważ czytał wtedy książkę na temat alchemii i wydawało mu się, że lada moment wynajdzie kamień filozoficzny, pozwalający zamieniać wszelką materię w złoto. Latem ubiegłego roku wałęsał się po lasach, ponoć kontaktując się nieustannie z duchami swych druidzkich przodków. Lecz zeszłej jesieni urządził sobie mieszkanie we wraku statku, by studiować zjawiska odpływu i przypływu. Statek był zakotwiczony na drugim końcu zatoki, zbliżała się pora przypływu. Wcześniej tego dnia wuj wspominał coś o rzucaniu zaklęć w jednej z grot o północy, związanych z letnim przesileniem.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że w skałach znajdowało się kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt grot, i wszystkie wydawały się Marsali podobne jedna do drugiej, w dodatku nie mogła się skupić, tak była zmęczona po dniu ciężkich prac fizycznych i dotkliwych upokorzeń.

Poza tym zapleśniały arras zsunął się jej na głowę i teraz tępy ból rozsadzał jej czaszkę, miała też wielki siniak na tylnej części ciała.

- Znajdź tego mamuta, Eunie - zawołała w stronę ptaka, siedzącego na krawędzi jednej z grot. - Czary czarami, a ja muszę z nim porozmawiać o naczelniku klanu.

Zaledwie weszła do grotty, poczuła drżenie ziemi pod stopami - widocznie nad zatoką pojawił się jeździec. Klacz zarżała cichutko i szybko odbiegła gdzieś poza zasięg wzroku Marsalii, jakby wyczuła zbliżające się niebezpieczeństwo. Marsalii również miała ochotę rzucić się do ucieczki, lecz było już za późno, a poza tym. prawdę mówiąc, jej ciekawość była silniejsza niż strach.

Szczelnie otuliła się chustą i podeszła do wejścia do grotty. Wyteżając wzrok, dostrzegła jeźdźca, który właśnie zatrzymał spienionego konia. Duncan! Boże, jakież on był wspaniały: długie, muskularne nogi obejmowały boki zgrzanego konia, czarne włosy okalały twarz, urodziwą tak, jakby wyrzeźbił ją genialny artysta w chwili wielkiego natchnienia.

Marsalii zmarszczyła czoło, nie wiedziała, czy Duncan ją zauważył, czy też może dalej śledzić go z ukrycia. Zmierzał prosto do grotty - zdecydowany, wydłużony krok był zapowiedzią kłopotów. Zanim zdążyła się cofnąć, została przyciśnięta do ściany. Niczym motyl na próżno szamotała się, usiłując się wyrwać. Zapach kamfory i lawendy, którym przesiąknięte były ubrania jego ojca, mieszał się z męskim zapachem piżma, przyprowadzając jej obolałą głowę o zawroty. Czuła mrowienie w brodawkach piersi, przygniatanych masywnym torse. Serce waliło jej jak oszalałe, uniosła głowę, by spojrzeć na zaciśnięte szczęki Duncana, próbując wymazać z pamięci obrazy jego nagiego ciała. Jednakże im usilniej się starała, tym stawały się one wyraźniejsze.

Objął ją wzrokiem, lecz zaraz potem spojrzał w głąb grotty.

- Gdzie on jest?

- Kto? - Zaniepokojona, popatrzyła w miejsce, w które utkwiony był wzrok Duncana. Była zadowolona, mogąc uciec od swoich myśli.

Znów spojrzał na jej twarz.

- Kochanek, z którym miałaś się tu spotkać.

- Niby z kim miałam się tu spotkać? - zapytała z niedowierzaniem, mrugając oczami. Chłostane wiatrem włosy co chwila zasłaniały jej twarz.

- Jeśli nie z kochankiem, to ze szpiegiem - powiedział, wyraźnie zniecierpliwiony.

Z zatroskaniem przyłożyła dłoń do jego policzka.

- Źle się czujesz, milordzie? - zapytała łagodnym tonem.
- Powinnaś była przestrzec mnie przed polewkami Cook. Przyrządza je z bardzo podejrzanych składników, a ty ośmieliłeś się publicznie kwestionować jej talenty kulinarne. Zapewne dodała trucizny...

Odsunął jej rękę, zaniepokojony, że jej delikatny dotyk sprawił mu taką przyjemność.

- Wiem wszystko o twoich powiązaniach z jakobitami, Marsali.

- Tak?

- Nie inaczej. O przygotowaniach do powstania.

Ściągnęła brwi, zastanawiając się, czy w rodzinie MacElginów były już przypadki szaleństwa. Mówiąc o powstaniu nie miał chyba na myśli jej niewinnych zasadzek?

- A nie wypiełeś czasem miodu, którego Johnnie używa do czyszczenia sztyletów? - spytała ostrożnie.

Niewinny ton jej głosu, w którym pobrzmiewała matczyzna niemal troska, sprawił, że Duncan nieco się rozchmurzył. Znowu udało jej się doprowadzić do tego, że czuł się jak głupiec. Było mu wstyd, że ogarnęło go szaleństwo, które kazało mu ją śledzić, mimo iż tak naprawdę nie wiedział, co chce sobie udowodnić. Najwyraźniej potrafił zwyciężać wielkie armie, lecz nie umiał poradzić sobie z własną niepewnością. Dziewczyna sprawiała, że emocje brały górę nad rozsądkiem, wydobywała na jaw cechy jego osobowości, których istnienia nawet nie podejrzewał.

- Wydaje mi się, że poleciłem ci nie opuszczać zamku.

Chwyciła brzegi chusty i niepewnie pogrzebała bosą stopą w piasku. Jego głos sprawiał, że działo się z nią coś dziwnego, czego natury nie była w stanie pojąć, a emanująca zeń siła nie pozostawiała złudzeń co do możliwości ucieczki. Cóż go tak rozżłościło?

- Nie mogłam zasnąć, milordzie.

Duncan zmusił ją do cofnięcia się jeszcze o kilka cali, nie zastanawiając się, czy pozostawia jej możliwość oddychania. Na

chwilę zapomniał, jaki cel ma ich rozmowa. Kropelki letniej rosy osiadły na jej włosach i odbijały światło księżyca. Czuł się jak smok zionący ogniem na baśniową księżniczkę. Czuł się także jak naiwniak, za wszelką cenę pragnący uwierzyć jej niewinnemu spojrzeniu, podczas gdy rozum ostrzegał, że dziewczyna kłamie.

- Chciałaś się z kimś spotkać, prawda?

- Tak - odpowiedziała, nie widząc powodu, by kłamać.

Cyniczny uśmiezek, który zaigrał na jego twarzy, miał zamaskować wyraz rozczarowania.

- Z kochankiem czy ze szpiegiem?

- Ani z jednym, ani z drugim. - Wzruszyła ramionami, jakby miała czyste sumienie. - Szukałam wuja, ale nie wiem, którą grotę upodobał sobie dzisiaj na swoje czary.

Duncan doświadczył istnej nawałnicy uczuć. Przede wszystkim poczuł ogromną ulgę, a ponadto rozbawienie na myśl o swej podejrzliwości, i wiele innych jeszcze emocji, których wołał nie analizować.

- Twój wuj...

- Jest czarownikiem - odpowiedziała Marsali, zafascynowana nagłą zmianą wyrazu jego twarzy, przez którą - mimo pozornego opanowania - przetoczyła się burza emocji.

Kropelka rosy stoczyła się po puklu włosów, dotykającym jej policzka, i znacząc srebrzysty ślad, spłynęła aż na szyję. Duncan powoli unióś rękę i otarł kroplę kciukiem. Jego dotyk był zadziwiająco delikatny.

- Nie posłuchałaś mnie - odezwał się łagodnym tonem. - Obawiam się, że będę musiał cię za to ukarać.

Jego głos był potężny jak morze, równie pełen tajemnic i bez wątpienia równie zdradliwy, gdyby jakaś kobieta, zbyt mu zaufawszy, wypłynęła na głębokie wody. Jednakże niespokojny duch Marsali uwielbiał ryzyko i przygodę.

- Nie mogłam zasnąć - powtórzyła, czując ciarki wędrujące po całym ciele.

Uśmiechnął się leniwie, spoglądając na nią karcącym wzrokiem.

- W takim razie będę musiał znaleźć ci jutro więcej zajęć.

Ogarnęło ją oburzenie, mimo iż jego męski urok działał na nią dziwnie obezwładniająco.

- Jesteś podły - powiedziała. - Lubisz mnie upokarzać.

- To prawda - przyznał, chichocząc. - Rzeczywiście są chwile, kiedy bardzo mi się to podoba.

- Przy... zbliża się przyływ, milordzie.

Delikatnie pociągnął ją za włosy, dotykające policzka, po czym owinął sobie kasztanowe pasmo wokół palca.

- A niech się zbliża.

Opuściła wzrok i wpatrzyła się w krezę misternie haftowanej koszuli, aż wzory zamazały jej się przed oczami.

- Moje serce bije jak fale o brzeg - powiedziała cicho. - Nie jestem pewna, czy długo jeszcze dam radę stać na miękkich nogach. Kręci mi się w głowie, trochę dlatego, że spadł na mnie arras, ale przede wszystkim z twojego powodu, i... - Zaczerpnęła tchu i, przerażona, popatrzyła mu prosto w oczy, gdyż zahaczył kciukiem materiał sukienki i pociągnął. Dotyk ciepłej, twardej skóry jego dłoni sprawił, że poczuła fale ciepła, rozchodzące się od piersi w dół brzucha. Nigdy dotąd nie doświadczyła podobnie rozkosznego odczucia. Nigdy nie spotkała mężczyzny takiego jak Duncan.

Drżąc na całym ciele, wyszeptwała:

- Co ty robisz?

Nie odpowiedział od razu. Jego błękitne oczy pozostawały nieprzeniknione.

- Bóg jedyny wie, Marsali, i prawdopodobnie boi się na to patrzeć.

Zanim zdążyła się zastanowić, jak ma rozumieć jego słowa, porwał ją w ramiona i pocałował w usta z czułością, która przyprawiła ją o dreszcz rozkoszy. Drgnęła jak rażona piorunem. Jego usta, ciepłe i przyjemnie pachnące winem, delikatnie, lecz zdecydowanie domagały się odpowiedzi. Kiedy przytulił ją mocniej, jej opór zmienił się w oczekiwanie nieznanego. Siła jego pocałunku zaparła jej dech. Zadrżała.

- Marsali...

Jego głęboki głos rozszedł się echem wśród skał. Miała

wrażenie, że zapada się w otchłań, niesiona prądem nie kończącej się przyjemności, i dopiero gdy chwycił ją za ramiona i lekko potrząsał, wróciła do rzeczywistości.

- Drżysz jak osika - stwierdził z rozbawieniem. - Aż tak cię przestraszyłem?

Zamrugała, niezadowolona, że piękny sen został gwałtownie przerwany.

- Trochę mnie przestraszyłeś - przyznała z głębokim westchnieniem, nieznacznie przytulając się do niego. - Ale myślę, że trzęsę się przede wszystkim dlatego, że mam już wodę pod stopami, a w grocie jest bardzo zimno nawet latem.

Duncan nie poruszył się, kiedy palcami nóg potarła jego stopy. Nie znająca zakazów, nieświadoma tego, jakie robi na nim wrażenie, nie miała pojęcia, jak potężne są siły męskiej natury, które musiał teraz zwalczać. Powoli zsunął ręce z jej ramion. Rozbroiła go jej niewinność. Zaledwie przed chwilą jego poirytowanie groziło nie kontrolowanym wybuchem złości, a teraz stał jak zaczarowany, zapominając, gdzie się znajduje, zafascynowany dziewczyną, której stopa nigdy nie stanęła na terytorium innym niż ta dzika kraina. Która kilka godzin temu ze spokojem przyglądała się, jak mężczyźni z jej klanu smarowali jego nagie ciało szlamem i oblepiali go pierzem.

Długo nie potrafił zrozumieć istoty jej zdumiewającej siły. Teraz już wiedział - była to siła czystego serca i niezłomnego ducha. Siła lojalności i umiejętności stawiania czoła przeciwnościom losu. Marsali ufała nawet jemu, i wprost niewyobrażalnie go pociągała.

- Dziwna z ciebie dziewczyna. - Ujawszy jej podbródek, badał wzrokiem jej twarz, jakby pragnąc z niej wyczytać odpowiedź, dlaczego wydaje mu się tak ponętna. - Większość kobiet nie czuje, że jest zimno, kiedy je całuję. Czy w takim razie nie spisałem się tak jak należy?

- Nie mam porównania - odpowiedziała szczerze, po czym oparła się o niego, gwałtownie łapiąc powietrze, gdyż kolejna fala obmyła ich stopy.

- Twój narzeczony nigdy cię nie całował? - zapytał zdumiony.

- Owszem, całował, ale nie tak - wyznała, uśmiechając się figlarnie. - Mój ojciec by go zabił.

Poczucie odpowiedzialności Duncana zostało wystawione na ciężką próbę; staczało zacięty bój z pożądanym. Ta kobieta nie ma żadnego opiekuna, żadnego protektora, powtarzał w myślach, chyba że można by za takowego uznać mnie, skoro jestem panem i naczelnikiem jej klanu... a emocje, jakich doznaję, uznać za ojcowskie. Niestety, były one wyjątkowo mało ojcowskiej natury.

- Odsuń się ode mnie, Marsali - poprosił i wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że chłodne morskie powietrze ugasi ogień, jaki ogarnął jego łądzwie.

- Czemu, milordzie? - Westchnęła, przytulając się mocniej, zdziwiona tym, że w jego głosie pojawił się znajomy gniewny ton. Czyżby znów go czymś obraziła? Wydawało jej się, że był zły, ponieważ ją pocałował, ale jej zdaniem ten pocałunek skończył się zdecydowanie za szybko. - Przy tobie jest mi cieplej, a poza tym lubię twój dotyk.

- Owiń się chustą - powiedział sucho, lekko ją przy tym odpychając. Trawiący go ogień nie malał, wprost przeciwnie, zmieniał się w wielki pożar. Jeżeli ta cholerna dziewczyna w swojej naiwności nie zrozumie, że ma przed sobą zimnego drania, który za chwilę wykorzysta jej niewinność, będzie mogła mieć pretensje tylko do siebie.

- Co z tym twoim wujem? - zapytał szorstko, gorąco pragnąc, by znalazł się ktoś, kto będzie za nią odpowiedzialny. - I nigdy więcej nie mów mężczyźnie, że lubisz jego dotyk.

Marsali zeszywniała, przypomniawszy sobie nagle, gdzie się znajduje. Co też sobie wyobrażała? Co się mogło stać, gdyby wuj Colum nagle wyrósł im zza pleców? Jakkolwiek było, czarownik miał moce, wobec których nawet naczelnik klanu mógł okazać się bezradny.

Co by się stało, gdyby zastał ją w ramionach Duncana i zmienił go w homara? Ponoć Colum potrafił zamieniać ludzi w homary, lecz Marsali nigdy nie miała okazji, by się o tym przekonać. Co by było, gdyby, rozwścieczony, uderzył Duncana w głowę cisową laską i pozbawił go przytomności? Boże, a gdyby tak Colum, nie

znając sytuacji, zażądał, by Duncan ożenił się z siostrzenicą? Marsali parsknęła śmiechem, wyobraziwszy sobie, że stoi przed ołtarzem i składa przysięgę wierności nieprzytomnemu homarowi.

Duncan zmarszczył czoło.

- Większość kobiet nie parska śmiechem po tym, jak po raz pierwszy je całuję.

- Ale... - Urwała, przerażona, i chwyciwszy rękę Duncana, pociągnęła go za sobą w stronę wejścia do grotty; wielka fala zmierzała w ich stronę, po chwili woda sięgnęła im do kolan. Duncan nie zachwiał się pod uderzeniem fali, lecz odwrócił się, zaskoczony.

- Milordzie, utoniemy! Grota zostanie zalana za kilka minut!

Gdy to mówiła, następna potężna fala rozbiła się o brzeg, siłą jej uderzenia wepchnęła ich w głąb grotty. Marsali zatoczyła się do tyłu, jakby pociągnięta czyjąś niewidzialną ręką. Była tak drobna, że nawet działanie niewielkiej siły wystarczało, by straciła równowagę.

Padając, wyciągnęła ręce. Po chwili poczuła, że lodowaty piasek sięga jej aż po łokcie. Kolejna fala rozbiła się o ścianę grotty, słona woda niemile drażniła oczy. Nagle Marsali zdała sobie sprawę, że potknęła się, wdepnąwszy w jeden z ukrytych otworów odpływowych, przed którymi wuj Colum przestrzegał ją wiele razy. Nie wpadła jednak w panikę. Była pewna, że naczelnik ją uratuje.

7

Duncan odwrócił się, by ją złapać, ponieważ przypomniawszy sobie, że morskie fale były przyczyną śmierci wielu jego krewnych. Co go napadło? Zebrało mu się na igraszki! Wykorzystywał swą władzę, by zastraszyć służącą! Zachowywał się gorzej niż nieokrzesany nastoletni rekrut, ulegając urokowi dziewczyny, która miała więcej odwagi niż cały jego regiment.

Jak też się to, do diabła, mogło stać? Przyjechał tu, mając zamiar ją ukarać. Tymczasem osaczył ją jak myśliwy swą ofiarę. Wykorzystał jej brak doświadczenia, a w końcu urocza świeżość i niewinność jej reakcji okazała się dlań karą.

Przeklinając się w duchu za brak ostrożności, a raczej za swe nieuzasadnione zainteresowanie Marsali, Duncan chwycił parszkającą dziewczynę w ramiona i wyniósł na zewnątrz grotę, ścigając się z kolejną falą. Ze zwinnością, wyćwiczoną na polach bitewnych, minął rząd skał zalanych już wodą i zaniósł Marsali nad małą zatoczkę, osłoniętą przez stromą ścianę skalną. Ze zdumieniem stwierdził, że dziewczyna uśmiecha się szelmowsko, widząc jego starania, by ją uratować, najwyraźniej rozbawiona sytuacją, choć przecież zaledwie przed chwilą mogli zostać porwani przez fale.

Położył się na brzuchu, zadowolony, że zimna woda wygasila jego absurdalne pożądanie.

- Miło jest być docenianym - powiedział z przekąsem.

Położyła się tuż obok niego; próbował odepchnąć ją nieznacznie, wystawiając łokieć, po czym obrócił się na plecy.

- Przestań. To mnie denerwuje.

- To silniejsze ode mnie - odpowiedziała. - Jestem mokra i jest mi zimno.

- Czy często jeździsz sama nocami? - zapytał, spoglądając w niebo.

- Latem tak. Usiadła i zaczęła posypywać jego tors piaskiem.

- Konie...

- ...miały tyle rozsądku, że poszły na wyżej położone tereny. Czuję, że za chwilę Marsali znów się do niego przytuli, a sytuacja będzie tym bardziej podniecająca, że powstanie z jej inicjatywy.

- Będziesz musiała przestrzegać godziny policyjnej tak jak wszyscy mieszkańcy - oznajmił, strzepując piasek z koszuli.

- I żadnych samotnych przejażdżek.

- Hmm...

Duncan zaklął pod nosem, poczuwszy dotyk jej drobnego, mokrego ciała; miękkie krągłości szukały przystani w twardej linii jego torsu. Znów poczuł nieprzepartą ochotę, by wykorzystać jej bezbronność.

- Zrozum, serdecznie ci współczuję, że utraciłaś narzeczonego - odezwał się, rozpaczliwie próbując zmać atmosferę niebezpiecznej intymności. - Kiedy Abercrombie z wszystkiego się rozliczy, spróbuję się zorientować, czy będę mógł dać ci posag. Bo kto wie, może będę w stanie kupić jedynie kurczaka lub dwa.

Odwrociła się powoli; jej ciemne splecione włosy łaskotały go w ramię.

- Wcale nie musisz zapewniać mi posagu - odpowiedziała zmieszana. - Chcę tylko, żebyś tutaj został i doprowadził do przerwania przelewu krwi. Jak tylko mój brat wydobrzeje, pojedziemy do Wirginii i będziemy tam uprawiać tytoń. Myślę, że tam znajdę męża.

- Co? - Duncan popatrzył na nią z niedowierzaniem, jej plany wydały mu się tak całkowicie pozbawione sensu, że omal nie

roześmiał się jej prosto w twarz. - Wirginia... Naczytałaś się zbyt wielu bajek, Marsali, romansów o czerwonoskórej Indiance, żonie bogatego plantatora. Czy nikt nie powiedział ci, jakie tam czyhają niebezpieczeństwa?

Z nadaśaną miną przesypywała piasek przez palce, urażona, że jej szczerze wyznanie zostało wyśmiane.

- Tutaj też jest niebezpiecznie - powiedziała w końcu.

Uniósł się na łokciach, by na nią spojrzeć; na jego twarzy błąkał się kpiący uśmiech.

- Dziś rano na wrzosowisku nie sprawiałaś wrażenia osoby, która za wszelką cenę unika niebezpieczeństw. Wprost przeciwnie. Przecież ty kusisz los, Marsali. Uważaj, bo ktoś w końcu może zginąć.

Drobne rysy twarzy Marsali wyostrzyły się.

- Chodzi o to, żeby upokorzyć i odstraszyć Anglików. Wcale nie chcemy ich zabijać. Dobrze wiesz, że będziemy tu mieli rozlew krwi, kiedy Anglicy ukończą budowę drogi, a ich wojska zaczną stacjonować w starym forcie.

- Powinnaś siedzieć w domu i niańczyć dzieci, a nie czatować na żołnierzy na wrzosowisku.

- Pewnie mogłabym wychowywać dzieci, gdyby znalazł się jakiś przywoity mężczyzna, z którym mogłabym je mieć - odpowiedziała gwałtownie; najwyraźniej był to dla niej bolesny temat. - Ale teraz, kiedy jesteś tutaj, żeby kontrolować poczynania Anglików, nie będę już chyba musiała biegać po wrzosowisku, prawda?

Duncan nie odpowiedział, wpatrując się w morze, by nie widzieć jej oczu i kryjącej się w nich nadziei. Miał wyrzuty sumienia. Powinien jej powiedzieć, że został tu przysłany w zupełnie innym, wprost przeciwnym celu, lecz nie chciał pozbawiać jej złudzeń. Niech ma swoje naiwne marzenia. Zdaży stąd wyjechać, zanim poczucie rozczarowania przyćmi roziskrzone gwiazdy płonące w jej oczach.

- Porozmawiajmy - zaproponował niepewnie, uświadomiwszy sobie, że te oczy obserwują go uważnie. - Cisza może być niebezpieczna.

Chciał z nią rozmawiać? Marsali spłótła palce; gwałtownie powróciła do rzeczywistości. Co za dziwny człowiek.

- O czym mamy rozmawiać, milordzie?

- To nie ma znaczenia. O czymkolwiek. - O wszystkim, co uśmierzy fizyczny wręcz ból, który odczuwał z jej powodu, tęsknotę, nie mającą nic wspólnego z chęcią zwykłego uwiedzenia. Chciał jedynie, by jej nie skalana duszyczka ożywiła mroczne, zasnutę pajęczynami głębie jego ducha. Szukał jakiegokolwiek pretekstu, by opóźnić powrót do zamku, gdzie wspomnienia smutku i odrzucenia rzuciły cię na wszystkie jego sukcesy.

- Chcesz doprowadzić do tego, by Anglicy się wycofali?

- zapytała Marsali tak poważnie, że nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

- Nie chcę rozmawiać o polityce - powiedział cicho, z uśmiechem syjąc piasek na jej dłoń.

Zakłopotana Marsali studiowała jego wspaniały profil.

- Ludzie z klanu nie będą darzyć cię szacunkiem, jeżeli nie zajmiesz zdecydowanego stanowiska w sprawie Anglików. Musisz o tym wiedzieć.

Duncan lekceważąco wzruszył ramionami.

- Będą musieli darzyć mnie szacunkiem tylko w czasie lata. Po tym terminie to już naczelnik, który mnie zastąpi, będzie się martwił, jak z nimi postępować. Wydaje mi się, że Johnnie ma duże predyspozycje do tego, żeby zostać naczelnikiem.

Marsali poczuła dreszcz niepokoju, biegnący wzdłuż kręgosłupa. Przez chwilę zastanawiała się, czy jednak warto ufać Duncanowi. Nie przewidziała, że może być tak obojętny, nieczuły.

- Johnnie? Miałyby składać przysięgę na białym kamieniu? Zostałyby wyśmiany przez cały klan. Johnnie nie może być naczelnikiem. Nie ma nawet jednej owieczki.

- To nie ma żadnego znaczenia - powiedział Duncan, coraz bardziej zapalając się do swego pomysłu. - Podaruję mu zamek. Są z nim związane niemiłe dla mnie wspomnienia. - Uniósł się wyżej na łokciu, wolną ręką chwycił czarny jedwabny sznur, którego koniec znajdował się pomiędzy jej piersiami. Tak. Musiał robić wszystko, żeby zmienić temat rozmowy i nie wspominać już więcej bolesnych problemów przeszłości.

- Co znajduje się na końcu tego sznurka? - zapytał, rozbawiony, udając, że nie widzi jej zmieszania. - Nie, nie mów. Niech no zgadnę. Jakiś kryształek na szczęście. Albo kurza kość zaczarowana przez twojego tajemniczego wuja.

Marsali wstrzymała oddech. Przeżyła istną burzę emocji, nim powoli wyciągnęła sznurek. Co za tupet! Miękki materiał łaskotał jej skórę. Duncan przyjechał tu tylko na lato. Jego słowa wynurzyły się z gęstej mgły, jaka zdawała się wypełniać jej umysł, były jak dźwięczenie ościeniem. Tak właśnie powiedział. Nie miał zamiaru zostać tu ani chwili dłużej. Dała się zwieść jego fizycznej atrakcyjności. Zgnilizna moralna, która przed wieloma laty zaatakowała jego duszę, zdołała zniszczyć w nim resztki przyzwoitości. To oczywiste, że nie może na niego liczyć. On nie uratuje klanu.

Usiadł, nie zdając sobie sprawy, jaką walkę toczyła przed chwilą sama z sobą; w skupieniu wpatrywał się w srebrny przedmiot na końcu sznurka.

- O, krzyż celtycki. Boże, tu są prawdziwe rubiny. - Omal nie urwał jej szyi, starając się jak najdokładniej przyjrzeć krzyżykowi. - Wydaje mi się, że gdzieś go już widziałem... Ale gdzie mogłem go widzieć? - zastanawiał się, wyraźnie zaintrygowany.

- Skąd mam wiedzieć? - wycodziła przez zaciśnięte zęby, rozdrażniona z powodu jego zafascynowania biżuterią.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Skąd go masz? - zapytał chłodnym tonem.

Marsali nie odezwała się; zbyt głęboko przeżywała swe cierpienie. Nie rozumiała, dlaczego Duncan robi tyle zamieszania wokół jej klejnotu rodzinnego, ale w tej chwili jej poczucie zawodu było tak dojmujące, że nie miała siły się nad tym zastanawiać. Niech sobie myśli, że ukradła go podczas jakiegoś napadu. Nic a nic nie obchodził go ani zamek, ani ludzie z klanu; wszystko traktował jak nie chciane dziedzictwo. Przez ostatnie lata stał się jeszcze bardziej oschły. O, jakże go nienawidziła! Nienawidziła wszystkiego, co się z nim wiązało.

- Wisior należał do mojego przyjaciela, osoby bardzo drogiej

memu sercu, Marsali. - Jego oczy zdawały się przewiercać ją na wylot. - Prawdę mówiąc, był jedynym człowiekiem, którego z czystym sumieniem mogę nazwać przyjacielem. Zawsze miał przy sobie ten krzyżyk, bo należał do jego młodej żony.

Marsali powoli uniosła głowę; słowa Duncana przebiły się przez zasłonę jej gniewu.

- Żony, po której nosił żałobę - dodała, nagle zaintrygowana natężeniem emocji w głosie Duncana, który zaledwie przed chwilą był tak obojętny, że miała ochotę krzyczeć. A więc jednak był zdolny do przeżywania uczuć wyższych, tyle że były one schowane za murem obojętności, przez który nikt nie był w stanie się przebić. Nie wiedziała, dlaczego mówił o jej ojcu z takim szacunkiem, tak zdumiewająco ciepłym tonem.

- Skąd wiesz, że oplotkiwał żonę? - Delikatnie skierował jej twarz ku światłu księżyca; krzyżyk boleśnie ucisnął jej brodę.

- Jak doszło do tego, że to nosisz? - zapytał szorstko.

Kusiło ją, żeby pozwolić mu myśleć, że jest pospolitą złodziejką, lecz powstrzymała się od kłamstwa, dostrzegłszy wyraz udręki na jego twarzy.

- Należał... należał do mojej matki.

- Nieprawda. - Przełknął z trudem, w oczach wpatrzonych w jej twarz kryła się niema prośba.

- Powiedz mi, że kłamiesz. Że to nieprawda.

- Kiedy mój tata wyruszał po raz ostatni z twoim ojcem, prosił mnie, żebym zawsze miała ten krzyżyk przy sobie.

Duncan powoli cofnął rękę, porażony słowami prawdy, nie przygotowany na to, że los po raz kolejny zadrwił sobie z niego. Niewiele brakowało, by uwiódł osieroconą córkę jedyne go człowieka, który pomógł mu ocalić resztki ludzkiej godności, z jakich nie zdołał odrzec go ojczym. Z trudem zaczerpnął tchu. Uczucie pogardy dla samego siebie było tak silne, że czuł ucisk w gardle; wydawało mu się, że za chwilę zacznie się dusić. Po co tu wracał? Nawet księstwo nie było warte przeżywania tych duchowych mąk.

Jego gorzki śmiech przerwał ciszę.

- Teraz już wiem, dlaczego wydawało mi się, że skądś cię znam, Marsali. Teraz już wiem, kto stawał mi przed oczami za każdym razem, kiedy na ciebie patrzyłem. Uroczą małą Marsali. Boże, Andrew Hay przewróciłby się w grobie, gdyby widział, co z ciebie wyrosło.

- A co wyrosło? - zapytała z zaciekawieniem, zdawszy sobie sprawę, że z racji swego urodzenia stała się nagle dla Duncana kimś ważnym. Zastanawiała się, co to może dla niej oznaczać, a przede wszystkim, jak sprytnie wykorzystać nową sytuację.

- Przestępczyni. I... - Widząc jej zachwyconą twarz z przerażeniem stwierdził, że bezwiednie otoczył ją ramieniem w pasie. - Szacunek dla twojego ojca nie pozwala mi na wypowiedzenie tego słowa - dokończył ponuro.

- Jakiego słowa? - zapytała Marsali, u której ciekawość wzięła górę nad zasadami przyzwoitości.

Cofnął rękę. Wolał się nie zastanawiać nad tym, co mogło się za chwilę zdarzyć.

- Nieważne, To słowo nie nadaje się do wymówienia.

- Jak śmiesz... - powiedziała Marsali, sztywniejąc ze zgrozy. Nie wypowiedziana zniewaga dotknęła ją wyjątkowo boleśnie.

- Jak śmiesz, ty, Marsali Hay... - Ściągnął krzaczaste brwi w grubą kreskę i groźnie spojrział na dziewczynę. - Jak śmiesz organizować zasadzki i rozbierać mężczyzn na wrzosowisku, a potem pozwalać tym mężczyznom wykorzystywać cię na plaży, jakbyś była... Hmm, znowu mamy to słowo. Boże, kiedy pomyślę o tym, czego o mały włos nie zrobiliśmy...

- Czego ty nie zrobiłeś! - zauważyła z oburzeniem. - Ja nie miałam zamiaru nic robić. Chciałam tylko się ogrzać.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Jeszcze chwila, a leżałabyś pode mną z zadartą sukienką, i w dodatku by ci się to podobało.

- Ty hipokryto! - wykrzyknęła Marsali, czując, że cała płonie. Zerwała się na nogi, chcąc jak najszybciej uciec od niego, zanim dostarczy mu przyjemności obserwowania jej płaczącej jak

dziecko. Nie wiedziała nawet, o co ją oskarża. Niestety, chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem na piasek. Tym razem jednak brak zaufania uniemożliwił jej żartobliwe przekomarzanie się z nim.

- Dałam ci szansę, milordzie - wybuchnęła, ciężko dysząc z wściekłości. - Ale ty rzeczywiście jesteś złym duchem.

- To prawda. - Delikatnie trącił palcem jej nos; jego twarz nie wyrażała skruchy. - Jestem hipokrytą, draniem, wcielonym diabłem, mordercą... obrzucono mnie już wszystkimi najgorszymi epitetami, ale to jedno musisz wiedzieć. Marsali: byłaś oczkiem w głowie swego ojca. Pamiętam dzień, w którym się urodziłaś. Andrew już wtedy planował, że wyda cię za mąż za duńskiego księcia. „Moja córka jest potomkinią Olafa Czarnego”, mówił każdemu, kto tylko nawinął mu się pod rękę.

Niepewny uśmiech rozjaśnił jej twarz; och, jak bardzo było jej brak ojca!

- Naprawdę? - wyszeptała z niedowierzaniem.

- Tak. A poza tym nikomu nie było wolno zbliżać się do jego ukochanej małej księżniczki. Twój wuj zakreślił magiczny krąg wokół twojej kołyski i czuwał przy niej aż do dnia chrztu, żeby nie zamieszkał w tobie żaden zły duch. Powiniennem być się domyślić. Psiakość.

Oczy Marsali zwilgotniały.

- Tata zawsze się mną opiekował, zawsze mnie bronił - powiedziała. Jej serce wezbrało bólem, do którego wołała się nie przyznawać; unikała go, wypełniając życie niebezpiecznymi przedsięwzięciami.

- Mnie też bronił. - Duncan przeczesał ręką długie, zmierzwione włosy. Nie zdążył jeszcze ochłonać po przeżytym szoku.

- Wtedy tego nie doceniałem, ale ty... załamałby się, widząc teraz ciebie.

Pomiędzy ból i złość Marsali wkradło się poczucie winy.

- Nie byłabym taka, gdyby potomek naczelnika klanu nie wyjechał, by walczyć w wojnach dla innych krajów..

- Gdyby nie został wygnany, dziewczyno - poprawił ją

Duncan, próbując się bronić. - I nie wolno ci obwiniać mnie za to, jaki sposób życia sobie wybrałaś. No, już dobrze, Marsali. Masz trochę racji. Gotów jestem wziąć na siebie część winy, ponieważ twoi najbliżsi zginęli towarzysząc mojemu ojcu w jego wariackiej misji. - W uśmiechu, którym ją obdarzył, nie było wesołości. - Chociaż częściowo postaram się odpokutować za swoje stare grzechy i spłacam dług wobec Andrew, biorąc cię pod swoją opiekę.

Marsali długo się nie odzywała. Była trochę urażona, a poza tym nie wiedziała, czy ten tajemniczy, mroczny żołnierz jest najlepszym kandydatem na opiekuna, mimo jego dobrych intencji.

- Niestety, muszę odrzucić twoją szlachetną propozycję - powiedziała, odgarniając włosy z czoła.

Duncan pokręcił głową.

- Zapominasz o tym, że nie dano ci prawa wyboru, moja droga - rzekł kpiącym tonem. - Wracamy do zamku. Będziesz mieszkała w komnacie na wieży. Od tej pory mam zamiar kontrolować wszystkie twoje poczynania.

- W wieży straszy, milordzie - powiedziała, przerażona nie na żarty. - Straszą tam duchy twoich przodków.

- Cóż... dobrze chociaż, że to rodzinne duchy. - Duncan zmierzył ją badawczym, krytycznym spojrzeniem, które przypawiło ją o dreszcz. - Boże, ależ ty wyglądasz. Twój ojciec by cię nie poznał. - Urwał, jego twarz przybrała wyraz zadumy. - Pod koniec miesiąca ma tu przyjechać moja narzeczona. Nie chciałem, żeby przyjeżdżała, ale teraz jestem z tego zadowolony. Ona mi powie, jak należy z tobą postępować. Niestety, nie jestem dobrze przygotowany do roli opiekuna.

Marsali zamrugała; jej umysł pracował w szaleńczym tempie. Zastanawiała się, jak ma przyjąć ten niespodziewany cios.

- Jesteś... zaręczony?

- Z lady Sarah Grayson. To znaczy... nie jesteśmy jeszcze oficjalnie zaręczeni, uroczystość odbędzie się pod koniec lata. Sarah jest istną kopalnią wiedzy na temat wymogów towarzyskich.

Jeśli ktokolwiek potrafi zmienić świńskie ucho w jedwab, to jest to na pewno...

Marsali uderzyła go w twarz; nie było to lekkie, piekące płaśnięcie dłoni obrażonej kobiety, lecz mocny cios w szczękę, który odrzucił jego głowę o kilka cali.

- A to za co? - zapytał zdumiony, pocierając szczękę.

- Za twoją narzeczoną, milordzie - odpowiedziała bez ogródek.

- I za to, że porównałeś mnie do świńskiego ucha.

Jęknął głucho.

- Moja narieczona doskonale sama sobie radzi z policzkowaniem.

- Jestem pewna, że dostarczasz jej mnóstwo okazji do doskonalenia tej umiejętności.

Mocno chwycił jej ramię i próbował przyciągnąć ją do siebie, lecz Marsali nie ruszyła się z miejsca, mocno wpięrając się stopami w piach. Pomyślała, że Duncan w roli przyjaciela może być dla niej o wiele bardziej niebezpieczny niż jako wróg. Będzie obarczał ją wieloma obowiązkami, kontrolował każdy jej ruch, on - mężczyzna zakochany w innej kobiecie, kapryśnej angielskiej arystokratce, Marsali aż skuliła się na myśl o tym, że zostanie włoczona w ciasny gorset i wysłana do szkoły z internatem, że jej wymowa zostanie wyśmiana, jej narodowe dziedzictwo - wyszydzone. Czyż nie była również szlachetnie urodzona?

- Marsali, wstań. - Pociągnął ją tak, że znalazła się na kolanach. - Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu, a w dodatku zaraz będzie burza. Nie mam zamiaru wracać do zamku w deszczu z twojego powodu.

Ogarnęła ją panika, potworne przerażenie, że jeśli nie wywalczy prawa do wolności, nigdy już nie będzie panią samej siebie. Potrzebowała pomocy. Ten mężczyzna zniewolił ją swoją siłą. Wystarczył jeden dzień, a już doświadczyła przy nim całej gamy uczuć, przyprowadzających ją o zawrót głowy. Najpierw - rozpaczliwa nadzieja, że okaże się oczekiwany bohaterem. Potem - upokorzenie. Rozkosze pożądania. A teraz strach przed utratą wolności, przed mglistą przyszłością, o której on miał decydować.

Była oszołomiona i doprowadzona do skrajnego wyczerpania. Rozmowa z wujem Columem była jej potrzebna bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

- Nie mogę jeszcze wrócić do zamku - powiedziała, zdobywając się na odwagę. - Muszę najpierw załatwić coś ważnego.

- Nie w środku nocy. - Z wyrazem nieustępliwości na twarzy przyklęknął i chwycił jej dłoń. - Od tej pory nigdzie się nie ruszysz bez ochrony, a i to tylko za moją wiedzą i aprobatą. A teraz wstań. Musimy...

Usłyszał ciche skrzypienie piasku, jeszcze zanim Marsali pobladła z przerażenia. Rozejrzył się dookoła w tej samej chwili, kiedy rozpaczliwie, spróbowała wstać, wrywając się z jego uścisku. Nieomylna intuicja Duncana, dzięki której zawsze wiedział, kiedy ma atakować, a kiedy się cofać w czasie wojennych kampanii, powiedziała mu, że jego los właśnie został przesądzony.

8

Za nimi w oddali stał wysoki, siwowłosy mężczyzna w niebieskiej szacie. Na jego ramieniu siedział jastrząb Eun i żółtymi nieruchomymi oczami wpatrywał się w Duncana.

- Boże - wyszeptała Marsali. Znieruchomiała. - Będziemy mieli kłopoty. Mam nadzieję, że umiesz pływać, milordzie.

Duncan nie zwrócił uwagi na jej słowa. Zamierzał wstać, ale gdy tylko nieznacznie poderwał się z ziemi, zastygł w bezruchu, wydając jęk bólu.

- Do diabła - wydyszał, zbliżając się do Marsali. - Puść moje włosy.

- Nawet nie dotknęłam twoich cennych włosów - oburzyła się, kolejny raz pociągając je boleśnie.

Duncan przeszył ją morderczym spojrzeniem, widząc, że siwowłosy mężczyzna zmierza w ich stronę. Znow przykleknął.

- Przestań ciągnąć mnie za włosy.

Nagle zrozumiał. Marsali rozpaczliwie usiłowała wstać, nieświadoma tego, że pasma włosów Duncana zaplątały się w srebrne ramiona krzyżyka.

- Odplącz moje włosy, Marsali. Pośpiesz się.

- Zrób to sam - wyszeptała. Ale kiedy mocno szarpnęła wisior, chcąc się uwolnić, zauważyła, że jej włosy splątały się z włosami Duncana i oboje wyglądają teraz jak lernejska hydra.

- To mój wuj. - Przerażona, opadła na kolana i chwyciwszy garść włosów MacElgina, zaczęła je szarpać w różne strony.

- Wiem. Marsali, uważaj, wrywasz mi włosy!

Padł na nich długi cień. Zapanowała złowroźna cisza.

Duncan nie pamiętał, kiedy ostatnio został przyłapany w tak niezręcznej sytuacji. Owszem, przypominał sobie niebezpieczne sytuacje i słodkie chwile pojednań - było takich wiele, zanim poznał Sarah. A teraz wydawało się, że on i Marsali nie mogą nic zrobić, żeby odzyskać wolność. Każda próba wyplątania się doprowadzała do tego, że zastygali w dziwnych pozach, tak jakby zostali przyłapani na gorącym uczynku, a nie padli ofiarami głupiego zrządzenia losu.

Stojący za nimi mężczyzna przemówił głosem spokojnym, lecz nie pozbawionym ironii.

- Jestem pewien, że powód tej nocnej schadzki jest zupełnie niewinny. Podejrzewam nawet, że istnieje jakiś metafizyczny sens tego niepokojącego ułożenia waszych ciał. Jednakże w tej chwili nie potrafię znaleźć wiarygodnego wytłumaczenia obu tych zjawisk.

- Dobry wieczór, wujku - powiedziała słabym głosem Marsali, odsuwając się od Duncana tak daleko, jak to tylko było możliwe, pociągając przy tym jego włosy tak, że zaskowyczał z bólu.

- Mamy już ranek, Marsali - zauważył Colum. - Jest już grubo po północy.

- Tak, to możliwe, wujku. - Wskazała pochyloną głowę Duncana. - To nasz nowy pan i naczelnik, Duncan MacElgin. Dziś rano niezbyt miło go powitałam, a teraz...

- Próbuje pozbawić mnie głowy - przytłumionym głosem wtrącił Duncan.

Colum spojrział na Duncana, kierując wzrok wzdłuż swego haczykowatego nosa. Wyraz jego twarzy wydawał się odzwierciedleniem nieprzeniknionego oblicza jastrzębia.

- Słyszałem, że jego pojawienie się wywołało niemałe zamieszanie w zamku. Gdyby nie fakt, że odprawiałem wtedy ważny rytuał, poszedłbym go powitać. Niestety, obawiam się, że to nie jego stanowisko jest tym, co najbardziej mnie w tej chwili interesuje.

- Również ja nie jestem nim szczególnie zainteresowany

- powiedział Duncan. - W każdym razie interesuje mnie dużo mniej niż potworny ból, który zadaje mi pańska siostrzenica.

Twarz Columa pozostała nieprzenikniona.

- A swoją drogą, Marsali, co wy robicie w tak dziwnej pozycji? Spuściła wzrok, mamrocząc:

- Staram się wyplątać jego włosy z krzyżyka.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, jak to się stało, że jego włosy zaplątały się w twój krzyżyk? - zapytał sucho Colum.

- Podziwiałem piękno rubinów - odpowiedział Duncan z głową pochyloną pod kątem prostym do ziemi, co było skutkiem prób wyswobodzenia się przez Marsali.

- Podziwiałeś piękno rubinów. - Przez szczupłą, szlachetną twarz Columa przemknął uśmiech, w którym nie było wesołości.

- Czy wolno mi zaproponować, milordzie, żebyś od tej pory z daleka podziwiał zalety mojej siostrzenicy?

Duncan posłał mu ponure spojrzenie.

- Czy wolno mi zaproponować, żeby zniechęcił pan siostrzenicę do nocnych eskapad, że nie wspomnę już o niedozwolonym sposobie spędzania przedpołudni?

- Nie jestem w stanie jej kontrolować, milordzie. Najwyraźniej i tobie nie najlepiej to idzie.

- Owszem - warknął Duncan. - Mam tego dowód w postaci bólu szyi.

Marsali westchnęła.

- Czy mógłbyś pomóc nam się rozplątać, wujku, i odłożyć dyskusję na temat mojej grzesznej natury na stosowniejszą okazję?

Kręcąc głową, czarownik wyjął z pochwy nóż z kościaną rękojeścią i przyklęknął na piasku. Z nieprzeniknionym spojrzeniem orzechowych oczu przyłożył długie zakrzywione ostrze do szyi Duncana. Zawahał się.

- Zawsze wiedziałem, że wrócisz, milordzie.

Duncan chrząknął, udając, że świdrujący wzrok Columa nie robi na nim wrażenia.

- W takim razie musisz być prawdziwym czarownikiem, ponieważ nie miałem najmniejszego zamiaru stawiać stopy na tej

ziemi, dopóki Korona nie poleciła mi tego dwa miesiące temu. A teraz, czy zamierzasz mnie uwolnić, czy nie?

Colum uniósł nóż i zręcznie przeciął splecione pasma włosów.

- Już.

- Dzięki Bogu! - zawołała Marsali, zrywając się na nogi i wzniecając chmurę piachu.

Duncan wyprostował się i otrzepał spodnie. Był wyraźnie zakłopotany.

- Nareszcie! Co za dzień, same niespodzianki od samego rana do późnej nocy. Marsali, masz teraz jechać prosto do zamku i tam oczekiwać moich poleceń.

- Za późno, milordzie.

- Jak to? - zdziwił się Duncan, gniewnie zmarszczywszy czoło.

- Powiedziałem, że jest za późno. - Patrząc w przestrzeń, Colum pogładził rzadką siwą brodę. - Moja siostrzenica zniknęła. Obawiam się, że nie wystarczy wypowiedzieć ostrym tonem kilku słów, żeby ją zmusić do posłuszeństwa.

Duncan z niedowierzaniem skierował wzrok ku groźnym skałom, w stronę morza, a potem znów ku mrocznym czeluściom grot. Wydawało się to niemożliwe, a jednak Marsali naprawdę zniknęła. Uczucie rozgoryczenia przyprawiało go o gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach.

Był przerażony tym, że ją upokarzał, zawstydzął, wreszcie tym, że jej pożądał. Aż do dzisiaj wyobrażał sobie, że córka Andrew przygotowuje się do roli żony księcia z zagranicy, którego ojciec wymarzył dla swej jedynaczki. Tymczasem zobaczył bosonogą dziewczynę w postrzępionej sukience, niepoprawną i tak niedoświadczoną, że nie tylko pozwoliła Duncanowi się pocałować, ale spontanicznymi reakcjami wręcz zachęcała do czegoś więcej. Mógł uwieść ją z łatwością; ta myśl nie dawała mu spokoju.

- Gdzie mogła się podziać? - domagał się odpowiedzi od czarownika, który przypatrywał mu się z niezmałonym spokojem i który teraz, kiedy Duncan wstał i zaprezentował swoje sześc

stóp i dwa cale, wydawał się kruchy, a na pewno zdecydowanie mniej groźny niż przed chwilą.

- Nie wiem, milordzie - odpowiedział w końcu, ze znużeniem kręcąc głową. - Marsali przychodzi i znika jak kot, o różnych porach, i nie mam pojęcia, gdzie przebywa. Jestem tym już zmęczony.

Duncan wszedł do wody. Był zły, że znów mu się wymknęła.

- Łączą was więzy krwi - powiedział. - Dlaczego pozwoliłeś jej uciec?

Colum stał tuż przy brzegu, nie zwracając uwagi na fale chłyszczące jego nogi.

- Czyżbym mógł zostać uznany za kogoś, kto prowadzi typowy tryb życia, milordzie?

- Może trafić do aresztu, może zginąć! - zauważył Duncan oskarżycielskim tonem.

- Nie sądzę, żeby miało to dla niej znaczenie.

- To niewiarygodne! - Myśl o młodej, figlarnej dziewczynie, podążającej ścieżką wiodącą ku zagładzie do głębi poruszyła zwykłe zachowującego stoicki spokój Duncana. - Przecież nie ma sensu ciągle narażanie się na niebezpieczeństwo, kiedy ma się całe życie przed sobą.

- Straciła już w życiu tak wiele - powiedział w zamyśleniu Colum. - Rodziców, dwóch braci, pierwszą miłość. Dlaczego miałaby wierzyć, że przyszłość przyniesie jej radość, a nie ból serca?

Duncan milczał. W końcu dostrzegł sylwetkę Marsali: szła plażą i prowadziła swego konia, jak zwykle samotna; nikomu nie zależało na tym, by ją powstrzymać. Dobrze znał smak bólu i poczucie opuszczenia. Prawdopodobnie dlatego, że był mężczyzną, na życiowe tragedie reagował agresją i rozdawaniem ciosów na oślep; w ten sposób zranił wiele osób.

Aż do jedenastego roku życia wychowywał się w atmosferze obojętności, przemocy i zaniedbania. Miłość matki, okazywana w tych rzadkich chwilach, kiedy ośmielała się ona przeciwstawić mężowi, najprawdopodobniej uratowała Duncana od zupełnej pustki uczuciowej. Jego starsza siostra, Judith, także maltretowana

przez ojca, starała się bronić młodszego brata i ocalić ich oboje przez wznoszenie nieustających modlitw do Boga, który, zdaniem Duncana, albo ich nie słyszał, albo się nimi nie interesował.

Lecz Marsali Hay została wychowana przez szlachetnego, kochającego ojca, człowieka, który bolałby teraz nad losem córki. Nie była napiętnowana złem, dzika gwałtownością ducha, którego Duncan niemal codziennie usiłował poskramiać. Nie, sposobem Marsali na odegnanie smutku było pławienie się w niebezpieczeństwie, narażanie się, by pomóc innym.

- Gdyby nie Andrew, dawno bym już nie żył - powiedział, odprowadzając wzrokiem malejącą postać, aż zupełnie zniknęła mu z oczu. - Ktoś musi pomóc jego córce.

- Owszem - spokojnie przyznał Colum.

- Widzę, że nie chcesz podjąć się tego zadania - rzekł Duncan, czując, że wzbiera w nim gniew i trwoga.

- Jest już prawie dorosła. Ratowanie Marsali zajęłoby więcej czasu niż mam go jeszcze na tej ziemi, milordzie.

Duncan wzruszył ramionami.

- Nie mam ani czasu, ani umiejętności poświęcania się.

~ Ale masz władzę, milordzie.

~ Tak - przyznał niechętnie Duncan, spoglądając w krwistoczerwone niebo. - Mam władzę, niezależnie od tego, jak niewiele to znaczy. Problem w tym, jak najlepiej ją wykorzystać.

Niecałą godzinę później Marsali chyłkiem przemknęła się do kabiny wuja we wraku statku, zakotwiczonym wśród podwodnych skał. Dym kadzidła z drzewa sandałowego zapiekl ją w oczy; zamrugała, pomału przyzwyczajając się do panującego w kabinie mroku, rozjaśnionego jedynie światłem świecy.

Fale regularnie uderzały w kadłub statku i piana zalewała luk, zabezpieczony jedynie skórzanym puklerzem, który wuj przybił do ściany.

Pochylając się gwałtownie, by uniknąć kolejnego ataku słonej morskiej wody, potknęła się, o stojące na środku wiadro; domyśliła się, że zostało tam umieszczone po to, by skapywała doń woda,

przeciekająca przez dziurawy pokład. Chcąc złapać równowagę, błyskawicznie chwyciła się krawędzi stołu przymocowanego do wypaczonej podłogi.

Rozległ się dźwięk dzwonka pokładowego.

- Na litość boską! - Rozespany Colum wyskoczył z koi, na której leżak przykryty grubą warstwą pledów, trzymając pomiędzy stopami owiniętą flanelą cegłę. - Marsali, czy mogłabyś robić mniej hałasu, kiedy wchodzisz do domu porządnego człowieka?

Zachichotała i odwróciła się do wuja.

- Mogłeś nie stawiać wiadra tam, gdzie przechodzą osoby składające ci wizytę.

Rozmowę przerwał poirytowany głos młodej kobiety, dobiegający od strony drzwi, wiszących na resztkach zardzewiałych zawiasów.

- Och, potknęłaś się o moją wodę ze świętej studni, Marsali, ty niecnoto! Kiedy taszczyłam tu to wiadro, myślałam, że pięknie mi kręgosłup!

Marsali patrzyła na swą starszą kuzynkę. Fionę, zdumiona jej niechlujnym wyglądem: na głowie miała przekrzywiony wieniec z wiciokrzewu, mokry piasek i kawałki lisiej kity przyłgnęły do wełnianej sukienki, zroszone mgiełką czarne kędzierzawe włosy były rozczochrane.

Marsali tak zaintrygował wygląd kuzynki, że na chwilę zapomniała o celu swej wizyty.

- Fiono, co ty wyprawiałaś?

Fiona wśliznęła się do kabiny jak łagodny podmuch morskiego wiatru i rzuciła na stół garść kamyków.

- Siedem kolejnych wieczorów spędziłam na kopcu, badając, jak można dostać się w zaświaty. I zeszłej nocy udało mi się przenieść swego ducha w bardzo dziwne miejsce, ale na razie nie potrafię ruszyć swojej ziemskiej powłoki.

- Tak czy owak, jak wyglądają zaświaty? - zapytała obojętnym tonem Marsali, sięgając po srebrny kielich z wodą.

Fiona głośno wciągnęła powietrze i rzuciła się ku Marsali, by odepchnąć kielich od jej ust.

- *Dhe Mhor!* O mały włos nie wypićś napoju, który uwarzyłam, żeby wzbudzić pożądanie Hughiego, pasterza.

- Ale ja już go wypiliśmy. Yych! - Marsali zadrzała i otarła usta dłonią. - Co za pomysł, żeby pobudzać starego, żonatego mężczyznę z brodawką na nosie i włosami w uszach!

- To właśnie żona miała mu podać ten napój, oślisko. - Fiona powąchała resztki lekarstwa. - Przecież wiesz, że zostanę starą panną, bo nie znajdę mężczyzny, który wart byłby rzucenia nań miłosnego czaru. No, sama powiedz, czy któryś z nich jest tego wart?

Marsali bez wahania przyznała kuzynce rację, lecz po chwili przed oczami stanęła jej surowa twarz Duncana MacElgina. Tak, to był mężczyzna, jakiego obie z Fioną jeszcze nie spotkały w swoim życiu na prowincji Pogórza Szkockiego. Pomyślała jednak, że MacElgin jest jak forteca, tak pilnie strzeżona, by nie przedarły się doń jakiegokolwiek emocje, że kobieta miałaby więcej satysfakcji kochając zimną skałę.

Zawiódł jej zaufanie, ponieważ prawda była dlań jedynie środkiem walki. Poza tym miał narzeczoną. I miał tu zostać tylko do końca lata. Było aż nadto oczywiste, że jego poczucie obowiązku dotyczyło celów wyższych niż zapomniany szkocki zamek. I pomyśleć, że się z nim całowała i nawet jej się to podobało. Ach, wciąż czuła smak jego pocałunku. Co gorsza, wyprała mu ubrania, szorując je w zimnej wodzie tak silnie, że aż palce jej krwawiły.

Jej pan.

Jej naczelnik.

Jej samozwańczy opiekun.

Fiona z niepokojem spozjrzała na kielich.

- Strasznie zbladłaś. Marsali. Sprawiasz wrażenie chorej. A swoją drogą, czy wypijaś dużo tego napoju?

- To nie od napoju - powiedziała cicho Marsali, odwracając się gwałtownie.

- To MacElgin. - Colum zwiesił długie nogi z koi; spod nocnej koszuli wystawały kościste kolana. - Prawda, Marsali?

Potężna fala zakołysała statkiem. Fiona chwyciła ramię Marsali i poprowadziła ją ku koi, wosk skapywał ze świec w mosiężnych lichtarzach przytwierdzonych do grodzi.

- Tato, przesun się trochę. - Fiona usiadła obok Columa, wciągając za sobą Marsali i wskazując jej miejsce pomiędzy nimi.

- Idź do siebie, Fiono - poprosił z westchnieniem Colum.

- Odpoczywam przed pracą, która czeka mnie wieczorem.

- Moja kabina znów przecieka - uzaliła się Fiona - a ty zabrałeś mi wszystkie ciepłe pledy. Lepiej nam się wiodło, kiedy mieszkaliśmy w lasach. A ty, Marsali, jako jedyna w naszej rodzinie masz trochę zdrowego rozsądku. Więc dlaczego nie śpisz teraz grzecznie u Bride? A swoją drogą, kim jest ten MacElgin, że budzi takie emocje?

Marsali skuliła się pod wytartymi pledami, które Fiona zabrała ojcu. Bride, szwagierka Marsali, była nieustannie w ciąży; zmęczona, ciągle potrzebowała pomocy do dzieci. Jej chata, wionąca zapachem ubóstwa i palonego torfu, działała na Marsali przygnębiająco.

Bardzo kochała hałaśliwą gromadkę bratanic i bratanków, a nawet swego nierozgarniętego brata Gavina, ale była samotna w tym zatłoczonym domu, niepokoiły ją własne potrzeby, których natury starała się nie dociekać, pamiętając o fiasku swych małżeńskich planów. Oczywiście nadal miała swoje marzenia o przytulnym własnym domu, o dzieciach, które trzymałaby na kolanach, siedząc przy kominku, o mężczyźnie...

- Jak tylko przestanie mi dokuczać ból w plecach i poczuje się lepiej - pocieszał ją Gavin ~ znów znajdę prace, a potem popłyniemy do Wirginii. Będziemy tam uprawiać tytoń i hodo-
wać konie. Nie będzie tam żadnych powstań i napadów w środku nocy. Będziesz tam popijać herbatę i chodzić w atłasach.

Duncan MacElgin wyśmiał te marzenia, i nagle, niech to diabli wezmą, i jej wydały się głupie i nierealne.

Wychyliła się do przodu, na jej twarzy malował się wyraz napięcia.

- Potrzebuję twojej pomocy, wujku Columie. - Zdjęła jedwabny sznur z szyi i ostrożnie położyła na kocu. - Chcę, żebyś zdjął włosy MacElgina z tego wisiora i rzucił na tego człowieka jak najpotężniejsze czary.

Coium nie odpowiedział, z uwagą wpatrując się w celtycki krzyż. Marsali nigdy jeszcze nie prosiła go o użycie magii.

Fiona dotknęła krzyżyka palcem, jej oczy zwilgotniały.

- Miłosny czar. O, moja biedna kuzynko. Ten człowiek nie spędził tu jeszcze całej doby, a ty, która wyśmiewasz tajemne sztuki i wypierasz się krwi wielkich czarowników w swoich żyłach, błagasz mnie, żebym użyła całej swej mocy, by pozyskać dla ciebie męskie serce. Marsali, tak się cieszę, że chyba zaraz się rozpłaczę.

- Nie wyciągaj jeszcze chusteczki, Fiono - rzekła poirytowana Marsali. - Nie lekceważę twojego talentu do rzucania czarów, droga kuzynko, ale w tej chwili potrzebuję pomocy wujka Columa. Ma większe doświadczenie, jeśli chodzi o...

- Odniosłem wrażenie, że na plaży ty i lord nie potrzebowaliście pomocy żadnego miłosnego czaru - zauważył cierpkim tonem Colum, nie dotykając krzyżyka.

Zielone oczy Fiony rozszerzyły się ze zdumienia.

- Dlaczego? I co oni tam robili?

- Nic - pośpieszyła z odpowiedzią Marsali, czując, że jej twarz płonie na wspomnienie kłopotliwej sytuacji. - Przypadkowo nasze włosy się splątały. I wcale nie chcę zdobywać jego serca, ponieważ wątpię, czy w ogóle je ma.

- W takim razie co mam zrobić z jego włosami? - zapytał Colum, a wyraz zatroskania pogłębił zmarszczki na jego czole.

Marsali zniżyła głos do szeptu.

- Wyślij go w zaświaty. Albo spraw, żeby jego męskość zwiędła na miesiąc. Ujmij mu nieco dumy. Spraw, żeby czuł się bezsilny.

- Czyżby nadużywał swej męskości? - zapytał ostro Colum.

Marsali poruszyła się niespokojnie.

- Nie, ale przypuszczalnie o tym myślał. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Na ile „przynajmniej”? - dopytywał się Colum.

- Pokazał ci? - wyszeptała Fiona. - Był bardzo duży?

Marsali westchnęła.

- Wujku Columie, wiem, że już od wielu miesięcy przepowia-

dałeś, że mężczyzna, który ma być naszym naczelnikiem, w tajemniczy sposób pojawi się na wzgórzach, niczym antyczny bóg, ale obawiam się, że MacElgin nie jest człowiekiem z twojej wizji.

Orzechowe oczy Columa chytrze błysnęły w mroku.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, Marsali, ty, która zrezygnowałaś z rozwijania własnego talentu przepowiadania przyszłości?

- Najpierw myślałam, że masz rację i byłam nawet zadowolona, że wydawał mi różne polecenia na oczach wszystkich... oczywiście miałam na względzie dobro klanu. Ale teraz boję się, że popełniliśmy wielki błąd. On ma zamiar zostać tu tylko do końca lata i nie chce ukarać tego wstrętnego Abercrombiego za to, że kazał wychłostać Liama.

- Zobaczyłem to w ognisku w czasie święta Samhain * tak wyraźnie jak teraz widzę ciebie - po dłuższej chwili odezwał się Colum.

- Tatusiu, przecież skłamałaś, mówiąc, że nigdy jeszcze się nie omyliłaś - powiedziała łagodnie Fiona. - Pamiętasz, jak przepowiedziałeś potop, a ludzie z klanu i te ich śmierdzące kozły schronili się na tym statku? A była to najbardziej sucha zima, jaką ludzie pamiętają.

Marsali oparła głowę na ramieniu wuja i zapytała przymilnie:

- Czy pomożesz mi w sprawie MacElgina, czy mam o to poprosić kogoś innego?

- Kocham cię jak własną córkę, Marsali - powiedział Colum po chwili namysłu. - Ale zawiódłem twojego ojca i nie zająłem się tobą tak jak należało. Nie powinienem był dopuścić, by sprawy zaszły aż tak daleko. Dałem ci wiedzę, ale nie nauczyłem życia. Pomogę ci w tej sprawie.

Marsali zeskoczyła z koi, z trudem powstrzymując się od wydania zwycięskiego okrzyku.

- Co za ulga!

- Fiono, chciałbym, żebyś towarzyszyła kuzynce aż do zamku

* Samhain - staroceltyckie święto obchodzone 1 listopada, związane z nadejściem zimy.

- powiedział Colum nieco poirytowanym tonem, odrzucając koce z głębokim westchnieniem na myśl o czekającym go męczącym wieczorze. Miał zamiar skupić się na polepszeniu plonów jęczmienia, ale ta sprawa mogła chwilę poczekać.

- Myślisz, że MacElgin może czekać na nią przy drodze, tatusiu? - zapytała Fiona, a w jej zielonych oczach pojawił się błysk nadziei.

- Wątpię. - Colum sprawiał wrażenie bez reszty pochłoniętego swoimi myślami. Uniósłszy dłoń z niebieską siatką żyłek, wskazał drzwi. - Ale potrzebuję spokoju do pracy. Idźcie już stąd. Wasza gadanina pochłania moją cenną energię.

Dwie młode kobiety wyśliznęły się z kabiny cichutko jak myszki i przeszły przez pokład kierując się ku pomostowi, który stanowiła zbutwiała, stoczona przez korniki dębowa deska, łącząca statek z urwistą ścieżką i umożliwiającą przejście na ląd w czasie przyływu.

Fiona odwróciła się gwałtownie na chwiejnej kładce, chwytając Marsali za ramię. Uśmiechnęła się figlarnie.

- Marsali, bardzo się śpieszysz do zamku? - zapytała, przekrzykując szum fal bijących o kadłub statku.

Marsali zawahała się, odgarnęła włosy z twarzy. W pewien sposób odczuwała potrzebę zobaczenia się z MacElginem, zanim Colum zmieni go w homara, choćby tylko po to, by się przekonać, że jego głos nie jest tak dźwięczny, jak jej się wydawało, jego urok nie tak znów obezwładniający. Miała też ochotę jeszcze raz dać mu szansę poprawy, udowodnienia, że w głębi jego duszy kryje się dobro. Nadzieja nie wygasła jeszcze całkiem w jej sercu.

Po chwili jednak przypomniała sobie, że należy on do innej kobiety, a jej życie ma zamiar kontrolować - z wszystkimi wynikającymi z tej sytuacji, mrozącymi krew w jej żyłach konsekwencjami. A poza tym walczył po stronie Anglików, oferując im lojalność, którą był winien swoim ludziom. Teraz, kiedy nie było go przy niej, mogła wszystko spokojnie rozważyć.

Nie była jednak w stanie podjąć rozsądnej decyzji. Zastanawiała

się nad cechami charakteru, które ujawnił w ciągu minionego dnia. Było w nim zdecydowanie i gniew, talenty przywódcze, które tak znakomicie wykorzystywał na polu walki. Umiał też wymusić niechętny, co prawda, ale jednak szacunek, na rozpasanych członkach klanu.

Lecz pod maską buntownika, która tak doskonale widoczna była u chłopca z prześladowającego ją wizerunku, kryła się bezbronność. Ona właśnie budziła wzruszenie Marsali, czyniła go bardziej ludzkim. Bezbronność i czarny humor, który okazał, upokarzając ją kilka godzin temu.

Duncan stał się mężczyzną; dojrzał i wyciszył, a nawet przezwyciężył swe złe instynkty. Nie był już chłopcem z jej wspomnień, przypominał raczej swego przodka z obrazu wiszącego w holu. Był celtyckim wojownikiem z rodziny, w której mężczyźni przychodzili na świat po to, by sprawować władzę.

A teraz był ponurym, nieprzewidywalnym wojownikiem, który miał prawo decydowania o losie dziewczyny takiej jak ona.

- Nie, wcale się nie śpieszę - powiedziała, wzruszając ramionami i starając się odegnać niepokój i zmęczenie wyczerpującym dniem. - Co będziemy robić?

Fiona spojrzała na nią z ukosa.

- A lord nie będzie zły, że go nie posłuchałaś?

- Nie wiem. - Marsali zadrzała, gdyż pył wodny z fali opryskał jej twarz. Przypomniała sobie niepokromiony gniew Duncana, gdy karcił ją w grocie. - Ale i tak wcale mnie to nie obchodzi.

- Mamy teraz wspaniałe światło, Marsali. Miałam zamiar iść z powrotem na kopiec i dać zaświatom jeszcze jedną szansę. Ale zamiast tego spróbujmy wzniecić burzę. Wrócę tylko do kabiny po moje rzeczy.

- Dobrze - zgodziła się Marsali, nie okazując jednak wielkiego entuzjazmu. Jej zdaniem miniony dzień miał wystarczająco burzliwy początek i koniec, i nic nie zapowiadało ciszy. Powszechnie twierdzono, że jej wuj czyni cuda, ale ona nigdy nie korzystała z jego nadprzyrodzonych zdolności, z wyjątkiem próśb o pomoc dla chorych dzieci lub zwierząt.

Była jednak pewna, że wuj będzie musiał rzucić potężny czar, by pomóc jej wydostać się z matni. MacElgin również dysponował potężnymi mocami, co udowodnił, dając Marsali do zrozumienia, że jej bezcenna wolność może nie tylko zostać zagrożona, ale wręcz zabrana, gdy tylko on pstryknie palcami.

Fiona bezszelestnie wśliznęła się do kabiny. Cicho zamknawszy drzwi, przystanęła, by wciągnąć w nozdrza najwspanialsze, jej zdaniem, zapachy świata: topionego wosku, ziół, grzanego wina. Eun wydawał się tańczyć na swojej żerdzi z drzewa, wyrzuconego kiedyś na brzeg.

Ojciec nie zwrócił na nią uwagi. Mamrocząc coś pod nosem, pochylony nad zestawem czarodziejskich przyborów leżących na biurku, był już zbyt głęboko skupiony, by zdać sobie sprawę z czyjejkolwiek obecności.

Sięgnęła po mieszek ze świętymi kamykami, wilczymi zębami i kwiatami zerwanymi o północy w czasie pełni, i przystanęła za ojcem.

- Nikt jeszcze nie prosił mnie o to, żeby mężczyźnie uszło. Mogę popatrzeć?

Odwrócił się gwałtownie, najwyraźniej przestraszony jej głosem, a może pytaniem? Zobaczywszy wyraz napięcia na jego twarzy i mętny wzrok - miała wrażenie, że ojciec jej nie dostrzega - cofnęła się odruchowo.

- Tato - wyszeptwała drżącym głosem - nic ci nie jest?

Zgromił ją wzrokiem; jego gęste białe brwi ściągnęły się w gniewną kreskę.

- Wyjdź, Fiono. Już cię tu nie ma - rozkazał.

Zaciekawiona, spojrzała na biurko, na ołtarz przykryty czerwonym jedwabnym obrusem, na rozsypane suszone pączki róż, na moździerz z tłuczkiem, sól, oliwę, na kadzielnicę z palącym się kadzidłem, a w końcu zauważyła pasma włosów z dziewięcioma cienkimi węzłami, w których włosy czarne przeplatały się z kasztanowymi.

Miłosne węzły.

Naczelnik i jej kuzynka.

Przełknawszy z trudem, zauważyła trójkąt narysowany kredą na szerniałych deskach podłogi.

- Tato - odezwała się ponownie, wycofując się w stronę wiadra, które wcześniej przewróciła Marsali. - To nieodwracalny czar. Dlaczego to robisz?

- Ona potrzebuje opiekuna, Fiono. Nie wywiązałem się z tego zadania, a mężczyzna, który ją kochał, nie żyje. Wśród mężczyzn z klanu nie ma takiego, który nadawałby się do tej roli.

Fiona w oszołomieniu kręciła głową.

- Ale przecież wszyscy mówią, że Duncan MacElgin to zły duch. Przyczynił się do śmierci człowieka z klanu i do kalectwa drugiego. A poza tym... on zamordował swoich rodziców!

- Andrew mówił, że chłopak był maltretowany, iż pod młodzieńczą butą kryło się dobre serce.

- W takim razie musiało być bardzo głęboko schowane - powiedziała Fiona drżącym głosem. - I musiał przestraszyć Marsali nie na żarty, skoro przyjechała tutaj w środku nocy szukać ratunku. - Rzuciła się w stronę ojca, by unieruchomić jego ramię. - Nie możesz tego zrobić!

Odrzącił jej rękę, białe włosy zasłoniły mu twarz.

- Pomagam tylko rozbudzić zainteresowanie, jakie widziałem na własne oczy. Gdyby go nie było. moje czary i tak nie miałyby znaczenia. A teraz zostaw mnie, żebym mógł dokończyć dzieła. Odprowadź kuzynkę do zamku. Macie się grzecznie zachowywać po drodze.

- Tato...

Podniósł głos do krzyku.

- Nie uda ci się posiąść tajemnicy przenoszenia się w zaświaty, jeśli będziesz mi teraz przeszkadzać. Idź już!

Posławszy mu jeszcze jedno rozpaczliwe spojrzenie, Fiona chwyciła swój mieszek i wybiegła z kabiny. Zastała Marsali na pokładzie.

Naczelnik i jej kuzynka.

Duncan i Marsali.

Związani na całą wieczność za pomocą zaklęcia, które łączy

duże. Fionę przestało męczyć poczucie winy, że nie przeszkodziła ojcu. Była chora ze strachu i z zazdrości.

Spuściła wzrok, przechodząc obok Marsali. Nie знаła siły, która mogłaby znieść czar rzucony przez ojca.

- Chodź - powiedziała cicho. - Rzucimy własny czar ze skał, żeby fale nie zalały nas, kiedy zaczną wzniecać burzę.

Marsali spojrzała na wzburzone morze; fale miały już białe grzywy, wzbudzone przez silny północno-zachodni wiatr. Pomyślała, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż jeszcze przed nastaniem świtu, niezależnie od czarów, będzie burza.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo - mruknęła, idąc za Fioną po rozchybotanym pomoście, wiatr podwiewał spódnice jej sukni.

Fiona przystanąła na stromo wznoszącej się skalnej ścieżce. Nie patrząc na Marsali, wyciągnęła do niej rękę.

- To może potrwać dłużej niż zwykle, bo przewróciłaś moje wiadro z wodą ze świętej studni, a była ona jednym z darów dla Taranisa, boga burzy, i dla syren.

Bóg burzy. Syreny.

Marsali wzniosła oczy ku niebu, słysząc te bzdury, i skorzystała z pomocy Fiony, by wejść na ścieżkę. W milczeniu wspięły się na szczyt, chłostane silnym wiatrem. Kiedy stanęły na wierzchołku skały, Marsali poczuła ulgę, widząc, że jej koń cierpliwie stoi za kołysaną przez wiatr kępą krzewów.

Jednakże nigdzie nie było widać Duncana.

Spojrzała na Fionę, która sprawnie zbudowała mały ołtarzyk na skraju urwiska. Wzniósłszy ku niebu opalone ramiona, przyszła czarownica, ile sił w płucach, wznosiła śpiewy do celtyckich bogów.

- Pośpiesz się, Fiono! - krzyknęła poirytowana Marsali. - Wolałabym już raczej być w zamku i czekać na nieszczęsnego milorda niż stać tutaj i patrzeć, jak robisz z siebie wariatkę.

Fiona odwróciła się powoli i z z troskaniem przyjrzała się Marsali.

- O, Boże, to już działa - powiedziała szeptem, przygryzając dolną wargę. - Moja biedna Marsali...

- Biedna? Dlaczego?

- Nic, nic. Mogłabyś mnie wrzucić do klatki z lwami, a i tak bym ci nie powiedziała. - Fiona odwróciła się w stronę morza i wrzuciła do wody garść błyszczących kamyków. - Marsali, okrąż ołtarz trzy razy.

Okrzyły ołtarz. Rozgrzały święte kamienie Fiony ciepłymi oddechami. Na zmianę machały jarzębinową różdżką Fiony nad wodami oceanu. Lecz przyniosło to jedynie taki efekt, że fale zmalały, wiatr wiał coraz słabiej. W końcu bardzo już zmęczona Marsali ziewnęła.

- Wracam do zamku, żeby się przekonać, czy Jego Lordowska Mość został zamieniony w homara. To, co tu robimy, jest strasznie głupie.

Fiona uniosła wzrok znad prymitywnie skleconego ołtarzyka i powiedziała cicho ze smutkiem:

- Biedna dzielna kuzyneczka. Powinnam była jakoś powstrzymać ojca. Teraz jest już chyba za późno.

Marsali czuła zbyt wielkie wyczerpanie, żeby starać się zrozumieć, co oznaczają dziwne słowa kuzynki. Stanąwszy na skraju urwiska, wrzuciła do wody kamyki i wilcze zęby.

- To dla ciebie, Taranisie, bożku burzy, i dla was, syreny, chociaż nie mam pojęcia, co z nimi zrobicie. - Podniosła głos do krzyku.

- Wzniećcie burzę w duszy Duncana MacElgina! Niech deszcz spadnie na jego wspaniałą głowę, niech piorun uderzy go tam, gdzie...

Zawahała się, w końcu jej nienawiść nie była tak silna, by życzyć Duncanowi ułomności fizycznej, chociaż niewątpliwie zasługiwał na taką karę.

- Niech uderzy w ziemię, po której stąpa! - dokończyła, z zadowoleniem kiwając głową. - To wszystko, Fiono. Odegrałam już swoją rolę. Życzę ci szczęścia w wywoływaniu burzy.

Okręciwszy się na pięcie, rzuciła jarzębinową gałązkę na kolana Fiony. Nie zdążyła zrobić dwóch kroków koło ołtarza, kiedy potężna błyskawica przecięła niebo. Fiona zerwała się na nogi i z niedowierzaniem spoglądała w stronę zamku MacElginów. przez chwilę skapanego w upiornym srebrzystym świetle.

- Udało ci się! - wykrzyknęła, ściskając ramię Marsali.

- Wznieciłaś burzę! Bardzo możliwe, że stał na blankach, wypatrując ciebie, a piorun strzelił prosto w niego.

Marsali przełknęła z trudem. Dotknęła szyi - świadomość, że ma przy sobie krzyżyk, zawsze działała na nią kojąco - lecz przypomniawszy sobie, że zostawiła go u wuja.

- Fiono, to nie ja wywołałam burzę. I tak od dawna się na nią zanosilo. Co najwyżej mogłam jej trochę pomóc, ale nawet w to wątpię.

Fiona nie sprawiała wrażenia przekonanej. Doświadczała uczucia zawodowej zazdrości, a jednocześnie była pełna podziwu dla Marsali.

- Ale ta błyskawica... uderzyła prosto w zamek.

- Fiono, jeśli nawet zabiła Duncana, to znaczy, że tak miało być. Nie zmaci mi to snu. Właśnie zaczyna padać, a to znaczy, że przemoknę w drodze do zamku.

Marsali poszła w stronę konia. Fiona popatrzyła na wrak statku, wciśnięty pomiędzy skały zatoki. Żółte światło świecy widać migotało za zasłoniętym lukiem kabiny ojca.

A więc to się miało spełnić.

Fiona odprowadzała kuzynkę wzrokiem. Sylwetka Marsali niewyraźnie rysowała się w strugach deszczu. Wolno jechała w stronę zamku. To dziwne, że jej słowa były jakby echem słów Columa. Fiona nie wiedziała, jakie wnioski ma wyciągnąć z tego faktu, lecz była pewna, że Marsali ma w sobie więcej tajemnych mocy niż była świadoma. Nie czyniła także z nich użytku. Cóż za potworna strata. Fiona musiała tak ciężko pracować, by rzucić czar.

Duncan w osłupieniu spoglądał na pokruszone kawałki tynku z wieżyczki, które spadły tuż obok jego stóp. Gdyby piorun uderzył kilka cali dalej, rozszczepiłby go na dwie części. W tym przeklętym zamku nawet pogoda sprzysięgła się przeciwko niemu.

Córka Andrew. Jakiż okrutny żart.

Zacisnął dłoń na mokrym kamieniu, nie zważając na burzę, która rozpętała się zupełnie nagle. Strugi miękkiego letniego

deszczu spływały mu po twarzy, koszula była już zupełnie mokra, ale nie ruszył się z miejsca. Zimny prysznic dobrze mu zrobił po baraszkowaniu na plaży z tą małą diablicą. Ironia losu - odkrycie jej tożsamości - zniweczyła jego dobrze przemyślane plany.

I pomyśleć, że rozważał nawet możliwość uwiedzenia jej jak zwykłej służącej.

Córka Andrew Haya, na miłość boską. Nareszcie wszystko rozumiał. Jedyne głosu rozsądku w tym zwariowanym klanie należał do Haya, i to właśnie po jego śmierci, a nie po śmierci starego naczelnika, w zamku zapanował chaos. Nic dziwnego, że wszyscy tak kochali Marsali. Wcześniej powszechnie lubiano i szanowano jej lojalnego ojca.

Znów skierował ponure spojrzenie w stronę morza. Pierwsza noc, kiedy spotkał Andrew, tak głęboko wryła mu się w pamięć, że stała się jak głęboka, bolesna blizna.

Panika. Strach. Smutek. Wściekłość. Wspomnienia popłynęły wartką strugą, tworząc istny wodospad emocji. Nawet teraz, po tylu latach, poczuł ściskanie w gardle, przypomniawszy sobie, jak niemal włókł za sobą starszą siostrę, by nie patrzyła na nieruchome ciała matki i Fergusa. Bezwiednie wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał zmyć z palców lepka, ciepłą krew.

Zdawało mu się, że słyszy przerażony głos siostry, Judith. „Co ty zrobiłeś, Duncan? Boże, do czego doprowadził ten twój gwałtowny charakter!”

Odepchnął ją wtedy i, potykając się, wypadł z chaty, a potem, na zarośniętym ostami podwórzu wymiotował tak długo, aż całkowicie opróżnił żołądek. Judith, która podeszła do niego, wzdygnęła się, zobaczywszy jego udręczoną twarz w świetle księżyca. Gdzieś za nimi, na wzgórzach, rozbłysły ogniska, palone w noc Bełtan, tworząc upiorne tło zbrodni. Ciszę przerwały śmiechy biesiadników, wzmacniane histerycznym wołaniem o pomoc niemłodej już siostry Fergusa, która obudziła się i zobaczyła brata i jego żonę leżących bez życia na podłodze.

Duncan złapał Judith za rękę i pociągnął w stronę lasów, otaczających kamienną chatę. Była jedyną osobą, która mu została.

Mimo iż była o pięć lat starsza od niego, przerastał ją o głowę; był bardzo wysoki jak na swój wiek. Zawsze bronili siebie nawzajem.

- Musimy uciekać, Judith - oznajmił zrozpaczony. - Wsiądziemy do jakiejś łodzi rybackiej w zatoce i popłyniemy do Francji.

- Do Francji? Francji? Nie mamy pieniędzy, Duncanie. Nie mamy tam krewnych. Kto nas tam przyjmie?

Słyszeli jakieś krzyki, odgłos końskich kopyt, ujadanie psów. Judith wyrwała rękę z jego uścisku i strząsnęła krew z sukni, cały czas szlochając cichutko.

- Mama - wyszeptała zbielełymi wargami, chwytając się za brzuch. Spojrzała w stronę chaty. - Nie możemy jej tam tak zostawić.

Odgłos rąbania sprawił, że Duncana ogarnęła panika. Wiedział, jaka go czeka kara. Nikt nie będzie dociekał powodów. Naczelnik nie pozwoli, żeby zbrodnia nie została ukarana.

- Duncan, uciekaj - błagała płacząco Judith, lekko go popychając.

- Nie zostawię cię tutaj, żeby...

Nie zdążył dokończyć zdania; niski, choć łagodnie brzmiący głos przedarł się przez osłaniającą ich grubą ścianę buków. Na stoku pojawił się niewysoki mężczyzna w pelerynie.

- Dzieci nie mogły uciec daleko, milordzie. Miejmy nadzieję, że nic im się nie stało. Jeżeli...

Przerwał mu histeryczny krzyk dobiegający z wnętrza chaty.

Znaleziono ciała; matka Duncana leżała pod pledem, którym ją przykrył. Słyszał, jak ktoś towarzyszący naczelnikowi mówi: „Podwójne morderstwo”, a zaraz potem Judith wpadła w panikę i znów pchnęła Duncana.

- Uciekaj! Nic mi się nie stanie! Uciekaj!

Zawahał się, lecz po chwili zastanowienia puścił się pędem. Nie odbiegł daleko. Andrew Hay, dzierżawca i najbliższy przyjaciel naczelnika, złapał go, zanim zdołał dotrzeć na szczyt wzgórza. Dwa wielkie śliniace się psy rzuciły się na niego z tyłu i popchnęły tak, że upadł twarzą w mokrą trawę. Kiedy Hay

dźgnął go butem w żebra, żeby odwrócić go jak ślimaka. Duncan przeklinał i płakał, zacisnął dłonie w pięści, żeby bronić się przed karami cielesnymi, które tak dobrze znał z doświadczenia.

Nieznany wyraz litości w oczach Haya uderzył go mocniej niż jakikolwiek cios. Duncan był uznawany za złodzieja, ciągle popadał w tarapaty. Nikt nie wiedział, bo też nie zadawał sobie trudu, żeby się tym interesować, że to Fergus przemocą zmuszał Duncana do kradzieży.

- Ktoś zabił twoich rodziców, synku - powiedział cicho Hay, cofając nogę. - Czy wiesz, kto to zrobił?

Zerwał się na nogi i starał się uciec, lecz rosły naczelnik i psy zamkowe zablokowali mu drogę. Nawet wtedy, spoglądając w surową twarz biologicznego ojca, nie dostrzegł żadnych podobieństw. Oszałały ze strachu i rozpaczony, splunął naczelnikowi pod nogi, dając upust głębokiej nienawiści do szlachetnie urodzonych, reprezentujących sobą to wszystko, co dla niego było na zawsze nieosiągalne.

- Zabierz chłopca do zamku - powiedział Kenneth MacElgin po tym, jak uważnie przyjrzał się Duncanowi. - Dopilnuj, żeby był tam traktowany z szacunkiem należnym mojemu jednemu synowi i dziedzicowi.

Duncan uśmiechał się szyderczo, odtrącając rękę, którą wyciągnął do niego Andrew. „Traktowany z szacunkiem. Mój jedyny syn i dziedzic”. Czyżby starszy pan stracił rozum? Czyżby był to okrutny żart, na który pozwolił sobie z okazji święta Bełtan?

Odegnął wspomnienia i głęboko zaczerpnął tchu. Płuca bolały go tak, jakby przebiegł wiele mil.

Deszcz ustał.

Powracając myślami do obecnych problemów, Duncan odwrócił się i spojrzął na blanki. Od początku Andrew Hay traktował go ze zrozumieniem i szacunkiem, na jaki Duncan nigdy nie zasłużył. Nie zasługiwał nawet teraz, po dwudziestu latach. Przełknął z trudem. Żałował, że w ogóle tu przyjechał. Pomyślał, że wolałby nie poznać Marsali Hay, która wzbudzała w nim poczucie winy z powodu starych grzechów... a także silne namiętności. Nie musiałyby się teraz martwić o niepokorną dziewczynę.

Wolałby też, żeby jego narzeczona Sarah i jej brat nie przyjeżdżali tu za dwa tygodnie. Zdyscyplinowanie klanu do tego czasu wymagałoby interwencji sił nadprzyrodzonych, a te wydawały się od dawna nie interesować zaniedbanym zamkiem. Nie potrzebowaliśmy szklanej kuli, żeby przewidzieć zbliżające się nieszczęście.

- A, tu jesteś, milordzie.

Duncan rozejrzał się, usłyszawszy znajomo brzmiący głos, i zobaczył krępa postać Lachlana - stał na schodach prowadzących na wieżę i z przerażeniem wpatrywał się w kawałki tynku u stóp Duncana, przekonany, że naczelnik uszkodził wieżę gołymi rękami, a może nawet zębami, w czasie napadu wściekłości.

- Co cię tu sprowadza, Lachlanie?

- Eee, nic takiego, milordzie. - Cofnął się, na jego twarzy pojawił się nerwowy grymas. - Nie chcę przeszkadzać.

- Czego chcesz? - zapytał Duncan.

- Eee... w wartowni znów była zjawa. Ludzie mówią, że powinienem ci to powiedzieć.

- Zjawa?

- Tak... Effie... ta dziewczyna z prosiakami... przygotowywała pokój dla Marsali, tuż obok wartowni, tak jak poleciłeś, milordzie, i wtedy pojawił się duch i klął na czym świat stoi, bo Effie przesunęła nocnik.

- Czy ja się czasem nie przesłyszałem?!

- Ja tam nic nie wiem, milordzie, ale Effie mówiła, że słyszała, jak Giorsal przewróciła zbroję i krzyczała, że „ten przeklęty naczelnik wpędzi mnie do grobu”, ale nie miała oczywiście na myśli ciebie, milordzie, tylko swego zmarłego męża, Bhaltaira, który był naczelnikiem ponad dwieście lat temu.

Uśmiech zamarał Duncanowi na twarzy.

- W takim razie był to na pewno jakiś pijany w nocnej koszuli, który szukał toalety. Na drugi raz nie zwracaj mi głowy takimi bzdurami.

Urwał, gdyż skrzywienie zwodzonego mostu i wściekłe gdakanie zaniepokojonych kurcząt w fosie zwiastowało czyjeś nocne przybycie do zamku. Duncan spojrział w dół i natychmiast zapomniał o Lachlanie.

Marsali zsiadała właśnie z konia na dziedzińcu, jej drobna postać wyciągnęła licznych członków klanu i służących z ciemnych dobudówek. Nawet z tej odległości Duncan mógł zauważyć, że traktowali ją z wielkim szacunkiem i liczyli się z jej zdaniem. Teraz zapewne wymieniali uwagi na temat ich największego wroga.

Którym był nikt inny tylko on.

Wyprostował się niemal w akcie samoobrony, gdy Marsali uniosła głowę i wyzywająco spojrzała w jego stronę, jakby chcąc podkreślić swoje prawo do wolności. Na chwilę - bardzo krótką chwilę - uniosła dłoń w geście pozdrowienia.

- Pojutrze w Wielkiej Sali odbędzie się spotkanie członków klanu - powiedział oficjalnym tonem. Minał Lachlana i skierował się ku tonącym w mroku schodom. - Dopilnuj, żeby wszyscy wzięli w nim udział. I żeby byli trzeźwi.

- Tak, milordzie. - Lachlan wyrzesał z siebie resztki odwagi i nieśmiało pociągnął naczelnika za rękaw. - A co zrobić z duchami?

Perlisty śmiech Marsali zabrzmiał jak srebrny dzwoneczek rozkołysany na wietrze, rzucający wyzwanie nocy. Duncan przystanął; połowa jego twarzy znalazła się w ciemności, połowę rozjaśniało światło księżyca. Niejasne przecucie przyprawiło go o ciarki.

- Zostawcie duchy w spokoju - odpowiedział po dobrej chwili, odwracając się do Lachlana. - Z pewnością pasują tu bardziej niż ja.

9

Śnił o Marsali, kiedy nieludzki wrzask wyrwał go z głębokiego snu. Leżeli na piasku, tuż obok siebie, fale łagodnie obmywały ich ciała. Przywarł ustami do jej ust; jej wargi miały słodki smak, przytulił się do niej jeszcze mocniej, jej ciało stało się cudownie bezwolne, i wtedy usłyszał ten przeraźliwy wrzask.

Drzwi do sypialni stanęły otworem i owionęło go chłodne, zatęchłe powietrze, niemile drażniąc jego zmysły. Czyjś zniecierpliwiony głos raz po raz wymawiał jego imię. Odruchowo, jak czynił to tylekroć w żołnierskich czasach, odwrócił się na łóżku, chwytając szablę leżącą na nocnym stoliku, by stawić czoło intruzowi.

W drzwiach stała Marsali, to ona domagała się, by wstał. Świeca, którą trzymała w ręku, rzucała migoczące cienie na ściany pokoju.

- Co się dzieje? - zapytał przerażony, stając gołymi stopami na podłodze. Przytroczył szablę do długiej koszuli, jedynej części ubrania, jakiej nie zdjął, kładąc się do łóżka. Nie miał pojęcia, co też mogło się stać. Nie było przecież bydła, które mogłoby próbować ukraść członkowie wrogiego klanu. Prawdopodobnie jakiś pijak awanturował się w sali.

- Pośpiesz się, milordzie.

Zajrzał pod łóżko, szukając spodni.

- Nie mam zamiaru stawać do walki niekompletnie ubrany.

- Milordzie, przecież walczyłeś na wrzosowisku jeszcze skromniej ubrany.

- Wtedy nie miałem wyboru - powiedział kwaśno. - Czemu wrzeszczałaś tak, że mogłaś zbudzić umarłego?

- To nie ja. To zmarła Giorsal goniła Bhaltaira.

Podeszła bliżej; przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie jedynie białą koszulę z muślinu, podkreślającą jej kruchość, kobiece krągłości i zagłębienia. Pożądanie obudziło się w nim gwałtownie, jak dzika bestia, zbyt długo pozostająca w stanie uśpienia. Opuścił szablę i wydał głębokie westchnienie.

Mężczyźni z klanu wbiegali już po schodach. Najwyraźniej wciąż mieli nadzieję, że Marsali uda się przepędzić naczelnika jeszcze przed końcem następnego dnia.

- Nie wierzę w te bzdury - powiedział. - Idę spać.

Położył się do łóżka i próbował zasnąć, ale jaka mężczyzna zdołałby zasnąć, gdyby pochylała się nad nim czarująca kobieta? Nie mówiąc już o tym, że gorący roztopiony wosk skąpywał na prześcieradła ze świecy, którą trzymała w ręku.

- Dobranoc. Marsali.

Nie poruszyła się. Zamknął oczy, lecz już po chwili je otworzył, słysząc głośne kroki wokół łóżka.

- Boże - wyszeptał, rozglądając się po sypialni.

Jeden za drugim członkowie klanu wchodzili do jego pokoju, czterej rozzuchwalili się na tyle, że usiedli obok niego na łóżku. Oburzenie odebrało mu mowę.

- Słyszeliśmy, jak krzyczałaś, milordzie - powiedział Owen, klepiąc Duncana po ramieniu. - Nie przejmuj się. To musiał być jakiś koszmar senny.

Duncan podciągnął kołdrę aż pod brodę.

- Wydaje mi się, że właśnie teraz mam koszmarny sen.

Marsali zachichotała i usiadła na krawędzi łóżka. Światło świecy rozjaśniało jej drobną twarz.

- To jest dobry sen, milordzie. A teraz weź się w garść i zrób coś, żeby duchy przestały walczyć ze sobą i żebyśmy mogli spokojnie spać.

Oparł głowę o powleczonej adamaszką poduszkę u wezłowania potężnego łoża z epoki elżbietańskiej. Wciąż czuł oszołomienie, spowodowane nagłym wyrwaniem ze snu. Widział zarys jej

piersi i łagodnie zaokrąglone biodra, a skoro widział on, mogli to widzieć także inni. To niewiarygodne, że jeszcze przed kilkoma godzinami, cudownie nieświadom sytuacji, oczyma wyobraźni widział ją w swoim łóżku.

- Nałóż coś na siebie - polecił oschłym tonem. - Johnnie, Lachlanie, niech któryś z was okryje Marsali swoją chustą.

Dwaj mężczyźni, siedzący tuż obok Duncana, wymienili zakłopotane spojrzenia.

- Dlaczego mamy ją okrywać, milordzie? - zapytał Johnnie.

- Bo nie jest przyzwoicie ubrana, do diabła, dlatego! Owen, nie siadaj mi na nogach.

- Moim zdaniem, wygląda bardzo przyzwoicie - ośmielił się zauważyć Lachlan.

Marsali posłała mu dziękczynny uśmiech.

- Dziękuję ci, Lachlanie. Miło słyszeć, że nie wszyscy uważają, że jestem nieprzyzwoita.

W sypialni zgromadził się już całkiem spory tłum, przybywali nowi członkowie klanu, bardzo swobodnie czujący się w sypialni Duncana, służące rywalizowały o miejsce między szafą a oknem. Donovan przyniósł harfę. Suisan, córka Cook, rozłożyła chustę na podłodze i rozdawała bułeczki i ser.

- O co chodzi? - dopytywała się Effie, wyciągając z rękawa okulary. - Co zrobił naczelnik?

- Obraził Marsali - odpowiedział Donovan. - Zarzucił jej, że jest nieprzyzwoita.

Duncan wychylił się z łóżka i wycedził:

- To nieprawda. Do diabła, wyjdźcie stąd.

- To prawda, milordzie - powiedział Johnnie. - Słyszałem na własne uszy.

Marsali przytaknęła.

- Ja też, milordzie.

- Chodziło mi tylko o to - poważnie powiedział Duncan - że Marsali nie powinna paradować po zamku w muślinowej koszuli. To zbyt rozbudza męską wyobraźnię.

Zaległo krótkie milczenie, a potem Owen chrząknął cicho.

- To wcale nie rozbudza mojej wyobraźni - rzekł.

- Ani mojej - zawtórowało mu kilkanaście głosów.
- Co miał na myśli? - odważył się zapytać Lachlan.

Duncan zazgrzytał zębami.

- Chodziło mi o to, że kiedy jest ubrana tak jak teraz, mężczyzna widzi rzeczy, których nie powinien oglądać.

- Ja tam nic nie widzę - powiedział Johnnie, kręcąc głową. Owen zmarszczył czoło.

- Widzę jej stopy. To chyba o to chodzi naczelnikowi.

- Widzę też twoje stopy - szepnął Lachlan do ucha Johnniego.

- Lepiej śpijmy w butach, jeśli ten widok tak niepokoi naczelnika.

- Przecież ona pływa z nami nago w jeziorze w letnie wieczory - powiedziała Effie.

- Choćby w zeszłym tygodniu - dodała Marsali we własnej obronie.

- Żeby mi to było ostatni raz! - Zgromiwszy ją wzrokiem, Duncan wyprostował długie nogi, spychając z łóżka nieproszonych gości. Myśl o tym, że Marsali publicznie obnaża się podczas igraszek w jeziorze, przypawiła go o irytację. Zaciągając kotary przy łóżku, zauważył, że Marsali biegnie przez pokój.

- Pływałaś nago - powiedział, dobitnie akcentując słowa.

Marsali była już prawie za drzwiami. Duncan zerwał się z łóża, wszyscy obserwowali go z niepokojem. Czuł się jak dworski błazen.

- A dokąd to się wybierasz, Marsali? - krzyknął.

- Ktoś musi stawić czoło duchom! - odkrzyknęła.

Zawahał się, lecz po chwili namysłu pobiegł za nią korytarzem. Jej świeca migotała jak błędny ognik. Marsali była już daleko, w wąskim korytarzyku. Pamiętał o istnieniu tajemnego przejścia, udał się tam i zastał ją tuż przed drzwiami kaplicy. Sprawiała wrażenie zaskoczonej jego pojawieniem się tutaj, lecz niemal natychmiast odzyskała pewność siebie.

- Masz zamiar pomóc mi czy nie? - zapytała chłodno.

- Jest późna noc.

- Wiem o tym, milordzie, ale duchy zazwyczaj nie pojawiają się w środku dnia.

Przybrał łagodniejszy ton głosu, przypomniawszy sobie jej

samotną postać idącą brzegiem morza. Postanowił być dla niej bardziej wyrozumiały. Przecież jej ojciec okazał mu tyle serca...

- Czemu wróciłaś do zamku?

- Bo prosiłaś, żebym wróciła - powiedziała, zupełnie go zaskakując.

- I masz zamiar od tej pory mnie słuchać?

Długo studiowała grę światłocieni na jego twarzy.

- Tylko pod warunkiem, że moje posłuszeństwo pomoże klanowi.

- Rozumiem - powiedział przeciągle. - Jesteś bardzo dziwną dziewczyną.

- Dziękuję. - Odwróciła się. - A teraz, skoro już to omówiliśmy, idę szukać duchów. Jak zwykle w tym zamku, wszystkie zadania spadają na barki kobiet.

Chwyił jej ramię, powoli odwróciła się i spojrzała na niego. Był niezwykle urodziwy, doskonały w każdym szczególnie męskiej urody. Wyraz jego oczu świadczył o tym, że w pełni zdaje sobie sprawę ze swej atrakcyjności. Jego dotyk wzniecał w niej dreszcze, rozchodzące się po całym ciele. Pachniał piżmem i marzanną. Świeca drżała w jej ręce, gorący wosk kapnął na jego bosą stopę. Zaklął pod nosem i pochylił się, by odlepić kroplę wosku.

- Tak mi przykro, milordzie. - Przejęta współczuciem, drgnęła; kilka następnych kropli kapnęło mu na szyję.

Duncan znieruchomiał na dłuższą chwilę, a potem wyprostował się tak gwałtownie, że płomyk świecy zgasł pod wpływem nagłego poruszenia powietrza. W korytarzu zapanowała ciemność. Marsali wstrzymała oddech. Nie sposób było przewidzieć, co zrobi Duncan. Był niebezpiecznym człowiekiem. Marsali żałowała, że sięgnęła po magiczne sposoby, żeby się go pozbyć. Instykt mówił jej, że nie powinna tracić pokładanego w nim zaufania.

Serce niepokojąco zatrzepotało jej w piersi. Ciemność działała jej na wyobraźnię, podniecał ją fakt, że jest tak blisko Duncana, a w ogóle go nie widzi. Czuła, że wszystko może się zdarzyć.

- Jesteś tu, milordzie? - zapytała szeptem. Nie musiała pytać, gdyż i tak doskonale wyczuwała jego obecność, lecz nie potrafiła już dłużej radzić sobie z pełną napięcia ciszą.

- Nie, Marsali, jestem na dziedzińcu. - Z westchnieniem wyjął świecę z jej ręki i oparł się o mur. - Czemu stoimy w tym korytarzu w nocnych koszulach?

- Ponieważ Giorsal to bardzo nieszczęśliwy duch. Kiedy wpadnie w złość, rzuca różnymi przedmiotami w ducha męża - ma na imię Bhaltair - ale czasami nie trafia i wtedy ktoś może zostać uderzony. Dzisiaj wieczorem szukała nocnika. To jej ulubiony pocisk.

Miał ochotę jej dotykać. Marzył o tym, by przycisnąć jej cudowne drobne ciało do ściany i przerwać niedorzeczną rozmowę szalonym pocałunkiem. Jej rozpuszczone włosy podniecająco łaskotały go w ramię, a niski, melodyjny głos niepokoił na tyle, że miał ochotę skorzystać z panujących ciemności.

- Duchy nie używają nocników - powiedział, zastanawiając się, co też pomyślałyby sobie premier, gdyby słyszał tę rozmowę.

- Ale Giorsal używa, bo nie chce, żeby Bhaltair poszedł na wojnę. Nie pamiętasz, jak walczyli ze sobą w wartowni, kiedy tu mieszkałeś? Każdego lata skaczą sobie do oczu i trwa to już prawie dwa wieki.

Duncan uznał, że nie wypada mówić Marsali, co pochłaniało jego uwagę w letnie noce, kiedy przemierzał te korytarze. Nie wspomniał więc o kobietach, które obłaskawiał, uwodził i o których wkrótce potem zapominał. Ścierały się w nim instynkty - pierwotny i opiekuńczy. Mocniej ścisnął jej ramię i bez słowa poprowadził korytarzem, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

- Dokąd idziemy? - zapytała z zaciekawieniem; jej głos odbił się echem od zimnych kamieni.

Nie odpowiedział. Pajączyny łaskotały ją w twarz, gdy przemierzali istny labirynt nie oświetlonych przejść. W końcu znaleźli się w niszy. Duncan tak długo nacierał barkiem na mur, aż otworzyły się sekretne drzwi i znaleźli się we wnętrzu kominka starej wartowni.

Przekroczył palenisko i wszedł do pomieszczenia. Marsali poszła za nim. Potknęła się o skórzaną tarczę, którą Duncan

wyciągnął na środek pokoju, szukając w tym czasie podejrzanie wyglądającej zbroi.

- Nie ma tu żadnych duchów - oświadczył z przekonaniem. Podeszła do niego.

- Nigdy nie twierdziłam, że są. Giorsal była w tym okropnym pokoju, w którym mnie umieściłeś, i zaglądała pod moje łóżko. Kiedy się obudziłam, zaczęła krzyczeć, że coś zgubiła.

- Prawdopodobnie tym czymś był rozum. - Duncan minął Marsali i ruszył do drzwi. - Mam wrażenie, że jeśli dłużej pobędę w tym zamku, i ja stracę rozsądek. Zostań tutaj, a ja tymczasem sprawdzę twój pokój.

Oczywiście nie było tam żadnych duchów. Czego zresztą się spodziewał? Nie mógł uwierzyć, że Marsali udało się nakłonić go do wczolgiwania się pod jej łóżko w środku nocy. Członkowie klanu, podejrzewając go o nieczne zamiary, przyglądali się jego poczynaniom, stojąc na progu. Szli potem za nim, kiedy zmierzał ku wartowni, aż wreszcie udało mu się ich zgubić w labiryncie korytarzy, które pamiętał z dzieciństwa.

Zastał Marsali śpiącą na podłodze, z twarzą opartą o skórzaną tarczę. Zakłopotany przyklęknął i przyjrzał się jej uważnie. Miał ochotę dotknąć jej potarganych włosów, położyć się obok niej i wsłuchać w rytm jej spokojnego oddechu. Sprawiała wrażenie tak bezbronnej, że jego siła wydawała się wręcz nieestosowna.

W ciągu tych wszystkich lat spędzonych w zamku, jakoś zdołał się przystosować do tutejszego życia jedynie dzięki współczuciu Andrew Haya. To dziwne, ale buntowniczość Marsali wydawała mu się lustrzanym odbiciem jego młodzieńczej samowoli.

Dobrze znał skrywany ból, który był przyczyną takiego zachowania. On także podejmował próby zapomnienia o życiu nie do zniesienia, o przejmującym smutku. Teraz też zajął się kretyńskim szukaniem duchów, by wygłuszyć emocje.

- Mam już plan dla ciebie - powiedział cicho.

Poruszyła się i sennie uśmiechnęła do niego.

- Ja też mam plan dla ciebie, milordzie.

Rozbroiła go jej szczerłość i poczucie humoru. Uniósł ją na ręce i przystanął na chwilę, przełykając z trudem, poczuwszy ciepło jej ciała, rozgrzewające jego napięte mięśnie.

- Co teraz będziemy robić? - zapytała ziewając.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. Była lekka jak gałązka wrzosu. Odchyliła głowę do tyłu, tak że jej szyja wygięła się w łuk. Ufała mu tak bezgranicznie, że aż trudno było mu to znieść. Nienawidził siebie za myśli, które przychodziły mu do głowy, za chęć dominowania, posiadania.

- Czemu nie nosisz krzyżyka? - zapytał, by oderwać się od swoich myśli, i ruszył korytarzem.

Przyłożyła rękę do szyi.

- Poprosiłam, żeby rzucono na ciebie czary - wyszeptwała, kryjąc zawstydzoną twarz w fałdach jego koszuli. - Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe... byłam zrozpaczona.

Miała wrażenie, że Duncan głęboko się nad czymś zastanawia. Jego tors pod jej ciepłym policzkiem wydawał się równie zimny jak zamkowe mury. Zwalczyła chęć przytulenia się do niego, choć bardzo chciała się przekonać, że w piersi tego niezłomnego wojownika bije gorące ludzkie serce, że nie kryje się tam pustka.

Lecz już po chwili skłonna była uwierzyć, że jeżeli nawet Duncan ma jakieś serce, to jest ono z kamienia.

Zaledwie weszli do jej pokoju, zaniósł ją na łóżko i położył na nim tak, jakby była workiem owsa.

- Nawet jeśli pojawią się duchy, masz dzisiaj spać w tym pokoju - powiedział i zaraz wyszedł, zostawiając ją samą.
- Chcę, żeby rano założono rygiel w tych drzwiach! - krzyknął już z korytarza tak głośno, że słyhać go było w całym zamku.

10

Duncan siedział z głową opartą o wezgielowie fotela i obserwował wychodzących z sali członków klanu. Słyszał ich narzekania, widział jak posyłają mu urażone spojrzenia. Jeśli nie zdążyli go dotąd znienawidzić, teraz już z pewnością darzyli go tym uczuciem. Gdyby tylko mogli, oj, już oni by podziękowali butnemu lordowi za obarczenie ich licznymi obowiązkami, które hojnie przydzielał wszystkim i każdemu z osobna.

Zamiatanie stajni. Szorowanie latryn. Wygonienie kur z fosi. Wypłewienie chwastów. Odetkanie fosi. Czesanie włosów.

Potem przyszedł czas na ocenę Marsali. Ciężko opadła na krzesło stojące po przeciwnej stronie stołu i podparła głowę dłońmi. Nadmiar emocji, jakie przeżyła w ciągu dwóch ostatnich dni, wycisnął swe piętno na jej twarzy i pozbawił niezwyklej żywotności. Wydobywanie na światło dzienne najlepszych cech naczelnika okazało się zadaniem trudniejszym niż się spodziewała.

Ten człowiek zdawał się czerpać radość z faktu psucia humoru innym.

Tego ranka nazwał swój pierwszy wybryk „ćwiczeniami” na dziedzińcu, gromadząc tam cały klan na bezlitosny przegląd. Marsali nie stawiała się. Wtedy Duncan udał się prosto na zaplecze kuchni, gdzie się schowała, lekceważąc jego rozkazy, i ściągnął ją z wygodnego siennika przy kominku. Następnie, ku przerażeniu członków klanu, zmoczył jej głowę pod pompą.

- Byłaś bardzo nieposłuszna - szepnął jej do ucha. - Nie myśl sobie, że nie wiem, co dzisiaj w nocy wyprawiałyście z Effie w piwnicy.

Oburzona Marsali mogła jedynie wymamrotać pod nosem kilka brzydkich słów, a potem otrząsnęła się z wody jak kot. Była tak odurzona winem truskawkowym, które przed rokiem zrobiły wraz z Effie, że nie miała siły się bronić.

Dwadzieścia minut po zakończeniu „ćwiczeń” Duncan udał się na inspekcję do kuchni. Cook rzuciła naczelnikowi wyzwanie, drąc jego kartki z propozycjami dań i rzucając je w ogień. W odwecie Duncan zabrał jej wałek do ciasta i nie oddawał przez cały dzień.

Nikt nie zjadł śniadania. Wszyscy byli nieszczęśliwi.

- A teraz omówię problem Marsali Hay - powiedział wolno i dobitnie.

Uniosła podbródek i spojrzała z zaniepokojeniem na Duncana sponad licznych kufli stojących na stole. Głęboki baryton dudnił w jej obolałej głowie jak wściekły werbel.

- Długo zastanawiałem się nad twoją przyszłością - oznajmił, uśmiechając się złośliwie.

Wyraził się zdecydowanie nazbyt eufemistycznie. W czasie dwóch ostatnich nocy prawie nie zmrużył oka, niepokojony myślami o duchach, o jakobickich szpiegach, o zbliżającym się terminie przyjazdu Sarah. I - przede wszystkim - o Marsali Hay.

Potarła nos.

- Proszę, mów dalej. Niepewność mnie dobija.

- Zastanawiałem się nad wysłaniem cię do klasztoru...

Udała, że brakuje jej tchu.

- O, nie. Wszystko, tylko nie to.

- Ale, litując się nad zakonnicami, zrezygnowałem z tych planów.

- Doskonała decyzja - powiedziała. Znów poczuła nieznośne, silne pulsowanie w czaszce.

- Ostatniej nocy wypijaś odrobinę za dużo - powiedział oschłym tonem Duncan. - Tak czy owak, była to twoja ostatnia libacja. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że trzeba ci znaleźć męża? Widzę, że to sprawa pilniejsza niż przypuszczałem.

Marsali objęła głowę dłońmi tak delikatnie, jakby miała do czynienia z pękniętym jajkiem.

- Och, to świetnie, milordzie. Jak rozkażesz. Kto będzie moim mężem?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale musi to być człowiek o odpowiedniej pozycji, dla uszanowania woli twojego ojca i jego lojalności wobec klanu. - Wychylił się do przodu, zainspirowany nagłą myślą. - Będzie to ktoś, kogo wyznaczę swoim następcą; myślę, że twój ojciec byłby zadowolony widząc, gdybyś została żoną naczelnika klanu.

Marsali przypatrywała mu się z niedowierzaniem.

- Masz zamiar wydać mnie za kogoś z zamku?

Niemal równocześnie popatrzyli na mężczyzn w sali. Na Angusa, koniuszego, który oparłszy się o ścianę chrapał z głową wtuloną w długą brodę. Na Lachlana, grającego w pchełki za pomocą starej skórki od chleba i równie antycznego ziarenka grochu. Na Johnniego, przyglądającego się pająkowi pełznącemu przez stół z takim skupieniem, jakby był to najbardziej fascynujący widok na świecie.

W końcu ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Rozumiem twoje obawy - powiedział Duncan. - Poszukiwania mogą zająć trochę czasu.

Marsali westchnęła; głowa znów opadła jej na ramiona.

- Doceniam twoją troskę, ale to wszystko na nic. Robert był najlepszym kandydatem, a mój ojciec i tak nie był w pełni zadowolony. Nie ma tu nikogo innego.

- Może rzeczywiście nie ma go w zamku. - Duncan musiał przyznać jej rację. Wstał. - Ale nie trać nadziei, dziewczyno. Na pewno gdzieś w Szkocji znajdzie się ktoś odpowiedni dla ciebie,

Marsali zeszywniała, w osłupieniu patrząc, jak Duncan niepokojnym krokiem przechadza się za stołem. Przywodził jej na myśl lwa w klatce. Wcale nie podobał jej się wyraz zdecydowania w jego oczach,

- Wątpię w to, milordzie.

- Wstań - powiedział nagle, machnięciem ręki dając jej znak. by podeszła do niego.

Zaniepokojona, spojrzała na Johnniego.

- Po co?

- Po prostu zrób, o co cię proszę.

Kiedy wreszcie z ociąganiem spełniła jego polecenie, poddała ją dokładnym oględzinom. Nie odezwał się przy tym ani słowem, jego twarz była jak skalny blok. Z początku Marsali była nawet rozbawiona, spodobało jej się to jego zainteresowanie jej osobą. Położywszy rękę na biodrze, wykonała kokieteryjny obrót.

- Nie ruszaj się - osadził ją Duncan.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu wystarczyło, by jej skołatane serce znów zaczęło walić w piersi jak oszalałe. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że ma mokre włosy, słomę na spódnicy. Czuła, że nie jest zadowolony z jej wyglądu, mimo iż nie wygłosił żadnych krytycznych uwag.

Krzywiąc się, wskazał różowe plamy na staniku jej sukni.

- A to co takiego?

- To chyba od truskawek - odpowiedziała pogodnie. - Z czasem zejda.

- Chyba od truskawek. Z czasem zejda - przedrzeźnił ją.

- Marsali, to absolutnie niedopuszczalne, żebyś spędzała wieczory upijając się w piwnicy.

Zmarszczyła czoło.

- Wcale nie upiłam się celowo. Po prostu próbowałam wino, które Effie ma zamiar sprzedać na jarmarku, a upiłam się tylko dlatego, że nie od razu udało nam się dobrać odpowiedni smak. Uważam, że jest bardzo duża różnica między upiciem się celowym a przypadkowym.

- Ja też tak uważam - wtrącił Lachlan, który przerwał grę w pchełki, by pomóc Marsali.

- A ja mam odmienne zdanie - uciął Duncan. - I uważam, że to się musi raz na zawsze skończyć, podobnie jak nocne przejażdżki i zasadzki na wrzosowisku. Mężczyźni nie żenią się z kobietami, które dotrzymują im kroku w pijatyce. A teraz wypnij pierś.

Oburzona, spłonęła rumieńcem, dumnie unosząc podbródek. Nikt jeszcze nie ośmielił się krytykować jej kobiecych wdzięków.

A może po prostu nikt dotąd nie zauważył, że takowe posiada. Prawdę mówiąc, naczelnik był jedynym mężczyzną w zamku, który dostrzegał jej kobiecość, i sprawił, że i ona zaczynała być jej świadoma.

- Przecież wypinam, milordzie.

- No pewnie - rzekł poważnym tonem Johnnie, - Nigdy jeszcze nie wypinała jej bardziej.

Lachlan posłał Duncanowi ostrzegawcze spojrzenie,

- To nieładnie tak dręczyć dziewczynę, milordzie. Są takie rzeczy, o których zadecydowała natura i nawet naczelnik nie może ich zmienić.

- Jeśli będę potrzebował czyjejś opinii, to o nią poproszę - powiedział karcącym tonem Duncan. Wzrokiem nie wyrażającym żadnych emocji przewędrował z zaczerwienionej twarzy Marsali na pistolet, zatknięty za haftowany pas u jej boku. Był zdumiony, że dziewczyna potrafiła wyglądać tak pociągająco i niechlujnie zarazem. Była jak zamkowa kotka: nierozsądna, przymilna, chroniona przez wszystkich, lecz nie mająca jednego opiekuna mimo serdeczności, jaką wzbudzała.

- Przehandluj pistolet za wachlarz - poradził beznamiętnym tonem.

- Wachlarz? - W jej oczach zamigotały gniewne błyski; poczuła się dotknięta. - A jak będę mogła polować z wachlarzem? Albo łupać nim orzechy?

- Nie wspominając już o obronie własnej - dodał z z troskaniem Johnnie.

Duncan uniósł brwi.

- Jej mąż ją obroni. I o niego właśnie chodzi.

Angus, który obudził się przed chwilą, wydał z siebie urywany chichot.

- Wszystko pięknie, ale czy ten mąż będzie też łowił dla niej ryby i łupał orzechy, milordzie?

- To nie jest takie ważne - odpowiedział Duncan, wyraźnie już znecierpliwiony. - Jeżeli starczy mu energii, zapewne będzie,

Marsali skrzyżowała ramiona na piersi; jej twarz przybrała groźny wyraz.

- To tata kupił mi ten pistolet.
- Chyba mówiłaś, że należał do twojego brata - zaczął Lachlan, lecz zaraz urwał, dostrzegłszy ostrzegawczy błysk w jej oku.

- Dostałam go od taty - powiedziała, dobitnie akcentując słowa, lekko przy tym trącając nogą krzesło stojące pomiędzy nią a Duncanem.

Duncan pochylił się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Z tym pistoletem wyglądasz jak jakiś rozbójnik - stwierdził z dziwną łagodnością w głosie. - Pozbądź się go. Przecież nic jest nawet naładowany.

- Ależ jest.

- Nie, nie jest. - Czuł, że wzbiera w nim złość. - Chciałem z niego strzelić, żeby podniesiono kratę w bramie, już nie pamiętasz? Pistolet nie był naładowany.

- Naładowałam go zeszłej nocy w piwnicy z winem.

Duncan zdrzął na myśl o naładowanym pistolecie w rękach pijanej Marsali.

- Oddaj mi broń, Marsali.

- Ale..."

Urwała, gdyż ciężkie drzwi za nimi otworzyły się z hukiem wróciła Effie; jej szczupła twarz była zarumieniona z emocji czepek na głowie -przekrzywiony. Głęboko zaczerpnąwszy tchu, podeszła do stołu i złożyła przed Duncanem tak głęboki ukłon, że okulary ześliznęły się jej na czubek nosa. Nim zdążyła się wyprostować, dwa różowe prosiaczki podbiegły do stołu, ich ryjki poruszały się w nadziei znalezienia pokarmu.

- O ile dobrze sobie przypominam, wydałem rozkaz, żeby te świniaki nie wałęsały się po zamku - powiedział Duncan z irytacją w głosie. - Johnnie, powiedz Cook, żeby trzymała je w zamknięciu i znalazła przepis na...

- Błagam, nie każ przyrządzać potrawy z bliźniąt! - zawołała przerażona Effie, kurczowo ściskając dłoń Marsali, jakby już sama myśl o tej możliwości napełniła ją takim przerażeniem, że zrobiło jej się słabo.

- Bliźniąt? - zdziwił się Duncan.

- Nazywają się Alan i Ailis - wyjaśniła Marsali i przyklękła, by podrapać szczeniaste uszka prosiaków.

- Prosiaki mają przebywać na zewnątrz - nakazał Duncan.
- A ty, Effie, powinnaś teraz dość krowy.

- Wedle rozkazu, milordzie - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Chciałam tylko zapytać, czy Marsali mogłaby mi pomóc. Nikt nie potrafi dość krów tak jak Marsali. Ma do tego jakiś specjalny dar.

Marsali wstała, wyraźnie zmieszana.

- Przecież nienawidzę dojenia krów, Effie. Co ty wygadujesz?
Effie lekko trąciła ją łokciem.

- Nie bądź taka skromna. Wszyscy w klanie zachwycamy się zawsze, jak znakomicie robisz różne rzeczy... na przykład świetnie doisz krowy... jeździsz konno... łapiesz homary...

Wyraz zaskoczenia zniknął z twarzy Marsali, w jej oczach pojawiły się błyski zrozumienia, które Duncan natychmiast zauważył, lecz nie domyślił się, co oznaczają. Prawdę mówiąc, ostatnio w ogóle niewiele rozumiał.

- Cook mówi, że już czas wydoić krowy, Marsali - powiedziała głośno Effie.

I wtedy, nie czekając na pozwolenie Duncana, Marsali minęła go i wraz z Effie skierowała się do drzwi, a prosiaki pobiegły za nimi.

- Nie wolno ci próbować truskawkowego wina! - zawołał Duncan za odchodzącymi. - A poza tym jeszcze przed kolacją masz się pozbyć tej nieszczęsnej broni.

Patrzył na drzwi, starając się nie dopuszczać do siebie myśli o tym, że coś podejrzanego kryło się w spojrzeniach dziewcząt, że w rozmowie przekazały sobie jakąś zaszyfrowaną wiadomość. Jednakże po tym, jak zmoczył głowę Marsali pod pompą, dziewczyna nie powinna sprawiać mu już kłopotu. Nareszcie udało mu się ją przestraszyć. W końcu zaczynała go słuchać i okazywać mu należny szacunek.

Powoli usiadł w fotelu. Jego wzrok co chwila przyciągały pajęczyny, gęsto oplatające tarczę herbową MacElginów, wiszącą

krzywo nad potężnym kominkiem. Skoro już był myślami przy kłopotach, to jak, na litość boską, miał przygotować zamek na przybycie Sarah za niecałe dwa tygodnie? Zrobił wszystko, żeby zniechęcić ją do przyjazdu w te strony, z wyjątkiem powiedzenia jej prawdy.

Mówi się, że prawda boli. Tym razem miała niemal zabić.

Co prawda nie okłamał Sarah, ale też nie wtajemniczył jej w szczegóły dotyczące swej młodości. Aż się skulił, przypominawszy sobie, w ile kłamstw pozwolił jej wierzyć, kiedy jeszcze nawet mu się nie śniło, że będzie musiał znów rozliczyć się ze swojej przeszłości - w związku z zadaniem zleconym mu przez Koronę. Nie przyszło mu do głowy, że Sarah naprawdę zdecyduje się na męczącą podróż przez Pogórze Szkockie, by odwiedzić go w rodzinnych stronach.

Dla Sarah niemal od dnia swych narodzin był bohaterem wojennym, ukochanym synem szanowanego naczelnika potężnego klanu i żaden skandal, żadne morderstwo nie plamiło jego imienia. Czemuż więc miałby działać na swoją szkodę, wyznając grzechy, których zapomnienie zajęło mu wiele lat? Dlaczego miałby mówić o swojej przeszłości, skoro miał nadzieję, że została raz na zawsze pogrzebana? Boże, dlaczego nie wyznał całej ohydnej prawdy, kiedy miał na to szansę?

Sarah, córka angielskiego hrabiego, z pewnością przeżyje szok.

Na pewno spodziewa się tu zobaczyć bajkowy średniowieczny zamek w chmurach, którego strzeliste wieżyczki wdzięcznie wznoszą się na tle wzgórz pokrytych wiecznie kwitnącym wrzosem. Myśli, że wesołe, rumiane wiejskie dzieci wręczą jej bukiety polnych kwiatów w nieśmiałym geście powitania, przynależnym żonie księcia, którą już wkrótce się stanie.

Oczywiście wyobraźni widzi siebie co wieczór spożywając świeży, soczysty kawał dziczyzny, upolowanej dla niej przez członków jego klanu, zjadającą się smakowitymi pstragami złowionymi w kryształowo czystych wodach górskiego jeziora.

Ma nadzieję, że lojalni słudzy będą się prześcigać, by jej usłużyć.

A co tu zastanie?

Ruinę otoczoną fosą z kurczętami, a jeśli nie zostanie przywa-

łona zwodzonym mostem, to po przejeździe przez nią zostanie zaatakowana strzałami dzieci z klanu.

Potem, w czasie kolacji, zakrztusi się żyłastym kawałkiem kurczaka, a mający jak najlepsze intencje góral walnie ją wtedy w plecy, a jak mocno, to już zależy od tego, jak bardzo będzie pijany.

Jeśli będzie miała szczęście, to nikt nie położy jej żaby na kolanach, kiedy zasiądzie przy stole, ani nie przetoczy jej w beczce po dziedzińcu. A jeżeli dotrwa aż do tej pory i nie ucieknie stąd z krzykiem, najprawdopodobniej zostanie obudzona w nocy przez lokalnego ducha, szukającego nocnika.

A przede wszystkim zorientuje się, że jej narzeczony jest znieawidzony przez klan, który, jak ją zapewniał, darzy go ogromnym szacunkiem.

- Jestem zgubiony. - Wypowiedział te słowa na głos i z niepokojem spozjrzał na dwóch mężczyzn siedzących przy stole.

Przyglądali mu się uważnie. Zbyt uważnie. Wyprostował się, czując ciarki biegnące, wzdłuż kręgosłupa. Musieli wiedzieć coś, czego on nie wiedział. Czuł, że będzie miał kłopoty.

- Co się dzieje? - zapytał, przenosząc wzrok z Angusa na Johnniego i z powrotem.

Angus uśmiechnął się chytrze.

- A co się ma dziać? - spytał niewinnie Johnnie.

Duncan pobladł, zorientowawszy się, że sala jest prawie pusta.

- Gdzie się podział Lachlan? Jeszcze nie omówiłem z nim jego obowiązków.

- Wyszedł, milordzie - powiedział Johnnie.

- Wyszedł? A co ma zamiar robić? Doić...

- Doić krowy. Jeździć konno. Łapać homary.

Duncan powoli uniósł się z fotela, zdawał się wisieć nad dwoma mężczyznami jak młot, który za chwilę miał spaść im na głowy. Homary - brytyjscy żołnierze*! Że też dopiero teraz wydało mu się to oczywiste. Kiedy siedział tu na tyłku, za-

* lobster (ang.) - 1) homar, 2) żołnierz brytyjski (w związku z noszonym dawniej czerwonym mundurem).

stanawiając się nad swoim losem, księżniczka prowadziła swą bandę łapserdaków na kolejnego wroga. Tyle że tym razem w zasadzkę miał zostać złapany prawdziwy, nienawidzący górali angielski kapitan dragonów, który będzie zachwycony, mając potem za co wziąć odwet.

- A więc o to chodziło! - Gwałtownie odsunął fotel. - Nie mogę uwierzyć, że zrobiło mi się jej żal. Wydam ją za męża za pierwszego nieszczęśnika, który nawinie się pod rękę. Angus, siodłaj konie. Johnnie, ruszaj się. Musisz mi pomóc - mówić głosem, w którym pobrzmiwała furia.

Ruszył do drzwi; jego buty z ostrogami głośno stukały w zapadnięte płyty posadzki. Johnnie podciągnął spodnie i pośpieszył za nim. Po mocnych słowach Duncana w sali zapanowała cisza, którą przerwał chichot Angusa. Po chwili stajenny wybuchnął głośnym śmiechem, który dotarł aż do poczerniałego od dymu sklepienia sufitu.

Pędził na swym ogierze w dzikiej furii, pragnąc za wszelką cenę udaremnić zorganizowanie zasadzki, lecz kiedy przybył na miejsce, było już za późno. Prerażony własną bezradnością, mógł tylko obserwować rozwój wypadków z tego samego kopca, na którym zaledwie dwa dni temu śmiał się z Marsali człapiącej w jego butach.

Dwa dni, pomyślał z wściekłością. Tylko dwa dni, a wszystko rwało się jak nici starych arrasów w Wielkiej Sali. Wyjął lunetę z rąk Johnniego; widząc, co się dzieje, zacisnął szczęki aż do bólu.

Członkowie jego klanu nie poprzestali na złapaniu w zasadzkę kapitana dragonów i jego niewielkiego oddziału, zatrzymali również powóz, który był prawdopodobnie przez ten oddział eskortowany. Tysiące myśli przebiegały przez głowę Duncana. A cóż to za idiota mógł wynająć powóz, by przemierzać w nim dzikie tereny Pogórza Szkockiego? Czyżby był to jakiś dygnitarz z zagranicy, który miał kaprys postrzelania sobie do jeleni? Co za przeklęty...

Spojrzał na drobną postać na koniu, trzymającą się nieco na

uboczu. Wykrzykiwała rozkazy do Effie, która jeździła tam i z powrotem jak sierzant; jej prosiaki tarzały się w błocie nad jeziorkiem.

Wychylił się w siodle, czując pulsowanie w skroniach, gdy wysoka postać w pelerynie wyłoniła się z powozu, machając białą chustką na znak, że się poddaje. Lachlan kroczył z tyłu, poszturchując ubraną, na szczęście, ofiarę w stronę grupy żołnierzy, stłoczonych u podnóża skały.

- Już po wszystkim - powiedział cicho Johnnie, kręcąc głową z podziwu lub ze strachu. Duncan był zbyt przerażony, by się w tym zorientować.

Opuścił lunetę, na przemian zginał i rozprostowywał palce osłonięte rękawicami. Co powinien zrobić? Wrócić do zamku i udawać, że nic nie wie o działalności tej diablicy? Po tym wydarzeniu zostanie wyznaczona cena na jej głowę. Kapitan łatwo nie wybaczy doznanego upokorzenia, tego, że musiał świecić gołym tyłkiem przed swoim oddziałem.

Zaniepokojony milczeniem Duncana Johnnie odchrząknął.

- Co teraz zrobimy, milordzie?

- Żebym to ja wiedział. Będzie źle, jeśli pomogę kapitanowi, i źle, jeśli mu nie pomogę. A ten idiota w powozie...

Wspomniany idiota wybrał tę właśnie chwilę na to, by głośno wydmuchać nos w koronkową chustkę. Serce Duncana skoczyło gwałtownie. Wszędzie rozpoznałby to potworne trąbienie.

Zmusił konia do zejścia po zboczu i ponownie unióś lunetę, modląc się w duchu, by jego podejrzenia się nie potwierdziły. Niestety, nie mylił się.

Postać w pelerynie okazała się kobietą. Jęknął zrozpaczony.

- Co z tym idiotą, milordzie? - spytał cicho Johnnie, zdumiony nagłą zmianą wyrazu twarzy naczelnika.

Duncan przełknął z trudem.

- Ten „idiota” to lady Edwina Grayson, ciotka i przyzwoitka mojej przyszłej narzeczonej. Słowa „przyzwoitka” użyłem nieprzypadkowo. Jeżeli w powozie jest Sarah ze swoim ojcem, nie będzie żadnego ślubu, tylko pogrzeb. Mój.

11

Duncan podkradł się do Marsali niczym dzikie zwierzę, jednym susem i przyparł ją do ogromnego łóża, które zajmowało większą część zamkowej komnaty.

- Jeszcze się nie zdecydowałem, co z tobą zrobię - oznajmił z przerażającym spokojem. - Biorę pod uwagę wykręcanie palców. Są też inne sposoby... - Potarł w zamyśleniu podbródek. - Twój ojciec miał zwyczaj zamykać mnie samego w lochach na wiele dni.

Objęła szczupłymi ramionami rzeźbioną kolumnę baldachimu; serce waliło jej jak oszalałe.

- Wszyscy przybiegną mi na ratunek, jeśli będziesz chciał zrobić mi krzywdę.

Zmroził ją przewrotnym uśmieszkiem.

- Zdamę zrobić, co zechcę, zanim tu dotrą. Niech przyjdą. Jestem dziś w nastroju do walki.

Ściągnawszy rękawice, odrzucił je na łóżko. Marsali przy-mknęła oczy, przywierając mocno plecami do kolumny. Gdzie się podziewał wuj Colum, kiedy go potrzebowała? Co za pożytek w rodzinie z jakiegoś cholernego czarownika, jeśli nie ma on poczucia czasu?

- Pomocy - szepnęła załóżnie, niemal czując żar napierającego ciała Duncana. - Pomocy! On chce mnie zabić! - powtórzyła już głośniej, coraz bardziej wystraszona.

Nic się nie wydarzyło.

Eun nie wpadł do komnaty, żeby dziobnąć Duncana prosto w nos.

Ludzie z jej klanu nie wyważyli drzwi, żeby ją ratować.

Nic.

Gorący oddech owiał jej policzek. Groźny głos Duncana wzbudzał w niej dreszcz niepokoju.

- Marsali, wiesz, czyj powóz schwytałaś dziś w pułapkę?

Sztywno pokręciła głową, a potem aż pisnęła ze strachu, gdy chwycił ją za podbródek, nachylając się nad nią z groźną miną. Zaciśnęła powieki w oczekiwaniu najgorszego.

Patrząc na jej ściągniętą strachem, uniesioną twarz, Duncan z trudem pohamował śmiech.

- Przestań popiskiwać. Nie mam zamiaru robić ci krzywdy.

Nieśmiało otworzyła jedno oko.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Ośmieliła się otworzyć drugie i przyjrzała się Duncanowi podejrzliwie.

- A co z tym wykręcaniem palców?

- Nie sądzę, żeby się na coś zdało.

Przełknęła ślinę, szukając w jego twarzy oznak przebaczenia.

- Zrobiłam to, co musiałam zrobić - oświadczyła głośno.

- Schwytałaś w pułapkę powóz mojej przyszłej ciotecznej teściowej.

- Co? Oj, do licha. - Westchnęła ciężko; strach ustąpił miejsca poczuciu winy i zażenowania. - Skąd miałam wiedzieć?

- Jesteś nierozważną, popędliwą osobą.

- Milordzie, powinienesz być nas uprzedzić - prychnęła, urażona nagana.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

- Co mam zrobić, żeby wreszcie skończyć z tymi zasadzkami?
- spytał w końcu.

- Każ wstrzymać budowanie drogi.

- Nie mogę. Żądasz rzeczy niemożliwej.

Opuściła ramiona, czując ucisk w gardle. Jego spokojna rezygnacja przestraszyła ją bardziej niż wcześniejsza złość.

- Jeśli ty nie możesz ich powstrzymać, to nikt nie może, I nadal będą się zabijać.

- Niekoniecznie. Sam sobie z tym poradzę, a ty masz się nie wtrącać.

- Co masz zamiar z tym zrobić?

- Zostaw wojaczkę mężczyznom, moja droga - powiedział spokojnie. - Twoje wtrącanie się tylko pogorszy sprawę.

Patrzyli na siebie wrogo; gniew nie pozwalał im na jakiegokolwiek próby zrozumienia się. Duncan dziwił się, jak takie kruche dziewczęce ciało może mieścić tak waleczną duszę. Marsali zastanawiała się, w jaki sposób pozyskać jego przychyłność.

- Cóż za pożytek z żołnierza, który odmawia walki? - spytała unosząc wyzywająco podbródek.

Drzwi otwarły się, nim zdołał odpowiedzieć; nagłe wtargnięcie intruza wzbudziło w nim niechęć, nie tylko dlatego, że nie zdążył się wytłumaczyć, ale też dlatego, że Marsali zdołała poruszyć jego uczucia głębiej niż ktokolwiek inny.

W połowie ucieczki przez komnatę zastygła w bezruchu, zorientowawszy się z wielkim zdumieniem, że postać w drzwiach nie jest bynajmniej jej krewnym śpieszącym na ratunek, lecz zażywną starszą kobietą w szlafroku z chińskiego jedwabiu. Kobieta, której powóz schwytała w zasadzkę na wrzosowisku.

Marsali cofnęła się odruchowo, wpadając na Duncana, który stał z miną wyrażającą niezadowolenie z najścia. Teraz Marsali sama poczuła się schwyтана w pułapkę.

Angielka uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej przypominając ją sobie; mocno wymalowana twarz pojaśniała w przyjacielskim uśmiechu.

- Ty jesteś tą dziewczyną z wrzosowiska - stwierdziła, przypatrując się zmieszanej Marsali z rozbawieniem. - Muszę przyznać, że zrobiłaś nam wyborny kawał. Dawno nie miałam tak dobrej zabawy.

Nie odzywając się ani słowem, Marsali spojrzała na kobietę

podejrzliwie; obejrzała dokładnie upudrowane srebrzystoblond włosy, perłowy naszyjnik i długie wiszące kolczyki, szerokie, niemal męskie ramiona i wyraziste szare oczy. Dlaczego ta Angielka nie była wściekła jak inni z powodu dozanego upokorzenia? Dlaczego miała na sobie ten nedorzeczny zielony szlafrok z bufiastymi rękawami haftowanymi w motyle? I w ogóle o czym ona plotła? Czyżby była niepoczytalna?

Aż podskoczyła, wyrwana nagle z zamyślenia, kiedy Duncan pochylił się ku niej.

- Wyjaśniłem Edwinie nasz dzisiejszy „figiel”. Powiedziałem jej, że ta zasadzka, jaką zastawiłaś na jej powitanie, jest przejawem naszego góralskiego poczucia humoru.

- I ona ci uwierzyła? - spytała Marsali z niedowierzaniem.

- My z Duncanem zawsze robiliśmy sobie nawzajem kawały.

- Edwina wkroczyła do środka, obrzucając ciężkie stare meble spojrzeniem pełnym odrazy.

- Owszem. - Duncan uśmiechnął się kwaśno. - Pamiętam pewną wigilię Bożego Narodzenia, kiedy ty i Sarah wprowadziłyście do salonu wszystkie zwierzęta gospodarskie.

- To akurat nie był kawał - obruszyła się Edwina. - Biedactwa zamarzały na dworze.

- Sarah pocięła mój ulubiony płaszcz, żeby im poszyć ubrania, i jeszcze uważała, że to zabawne.

Na wzmiankę o Sarah pogodna dotąd twarz Edwiny wyraźnie stężała. Udała, że z zainteresowaniem ogląda kasetkę z kości słoniowej stojącą na toaletce.

- Sarah miewała swoje wybryki - przyznała po chwili, jakby mówiła o kimś, kogo już nie ma pośród żywych.

Marsali posłała jej ukradkowe spojrzenie. Sarah. Bratanica tej dziwnej Angielki, dziewczyna, w której kochał się naczelnik klanu? Marsali odczuła pierwszy poryw zaborczej zazdrości o wszystkich ludzi spoza zamku, którzy uzurpowali sobie prawo do przychylności Duncana. Wystarczająco długo przebywał z dala od domu.

Duncan stanął za jej plecami i odezwał się z niewzruszonym wyrazem twarzy:

- Edwino, to jest Marsali Hay, córka naszego zmarłego rymarza.

Edwina uśmiechnęła się przyjaźnie; jakby z ulgą odwróciła uwagę od Duncana.

- Jesteś śliczną panienką, Marsali.

Marsali opadła na łóżko, zdecydowana nie dać się zwieść miłym słówkom.

- A pani jest niemądrą starszą panią.

Duncan odwrócił się do niej gwałtownie, przesywając ją ostrym spojrzeniem.

- Przeprosisz panią za tę grubiańską uwagę.

Wytrzymała jego wzrok, choć od napięcia ogarniającego całe ciało aż ją mrowiło w palcach stóp. Przepraszać? Zaciśnęła zęby. Prędzej padnie trupem niż przeprosi tę mizdrzącą się matronę z plemienia Sassenachow *, z perłowymi kolczykami dyndającymi w uszach.

Duncan pochylił się nad nią tak, że ich twarze niemal się zetknęły. W jego ściszym głosie wyraźnie słychać było groźbę.

- W lochu jest pełno szczurów.

Uniosła się na łokciach, patrząc spode łba na Edwinę.

- No dobrze. Przykro mi, że jest pani niemądrą starszą panią. Edwina wybuchnęła śmiechem.

- Jakież to orzeźwiające! Ta dziewczyna jest ostra jak szpilka.

Duncan popatrzył na nią z wymuszonym uśmiechem na ustach.

- Mogłaby pobrać kilka lekcji dobrych manier u Sarah, nie sądzisz?

Edwina napotkała jego wzrok w lustrze.

- Nie jestem tego taka pewna - odpowiedziała przeciągłym tonem.

Duncan sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Wszystko przez to góralskie poczucie humoru - odezwał się znowu, trochę niepewnie. - Zaczynamy się do niego przyzwyczajać.

- Cóż. chyba nie mogę jej winić za to, że darzy mnie

* Sassenach (szkock. i irl.) - Anglik, angielski.

niechęcią. - Edwina nachyliła się do lustra, żeby przyglądnąć upudrowane kędziory. - W końcu w tych stronach uchodzę za wroga. Możesz mi jednak wierzyć albo nie, Marsali, ale współczuję Szkotom. Dużo czytałam w gazetach o waszych kłopotach.

Marsali przewróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę. Nie miała zamiaru poddawać się urokowi tej kobiety. Wystarczyło już, że zakochała się w naczelniku klanu, który nie kiwnął nawet palcem, żeby sobie zaskarbić jej zaufanie. Nie mogła postępować nielojalnie wobec tych, których kochała, pozwalając sobie na przychylnie traktowanie wrogów. Gdyby nie Anglicy, jej krewni i inni ziomkowie nadal by żyli.

- Marsali, oczekujemy, że zejdiesz na dół na kolację - oznajmił chłodno Duncan. - Zechciej, proszę, umyć twarz. I przebierz się w inną suknię.

Obróciła się z powrotem na plecy.

- Nie mam innej. Jestem biedna. Naczelnik mojego klanu woli się uganiać po świecie niż dbać o swoich ludzi. Cóż go może obchodzić, że zostawił nas w łachmanach?

Tym razem aż się skurczyła pod srogim spojrzeniem jego niebieskich oczu.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem, Kopciuszkę - rzekł i uśmiechnął się niewesoło, a potem, odwróciwszy się do niej plecami, pośpiesznie wyprowadził Edwinę, jakby się obawiał kolejnych wprawiających go w zakłopotanie słów Marsali.

Leżała nieruchomo na łóżku, wpatrując się ze złością w wychodzących, i uważnie słuchała ich rozmowy.

- Mówiłaś, że kiedy przyjeżdża Sarah? - dobiegł ją zaniepokojony głos Duncana. A potem: - Mój Boże, szkoda, że mnie nie uprzedziłaś o swoim przyjeździe... Chodźmy do kaplicy. To jedyne miejsce w zamku, gdzie nikt nie powinien nam przeszkodzić.

12

Duncan opadł na ławkę, odurzony nowiną, jaką właśnie przedstawiła mu Edwina.

- Jeśli to jeden z twoich dowcipów - odezwał się po chwili - to nie wydaje mi się bardziej zabawny niż to, co ciebie spotkało dziś rano na wrzosowisku.

Edwina spojrzała niepewnie na zwój liny zwisający z krokwi.

- Wiem, że mieszkańcy Pogórza Szkockiego są niezbyt cywilizowani, ale chyba mi nie powiesz, że wieszają tu ludzi - mruknęła, bezwiednie dotykając perłowego naszyjnika.

- Nie zdziwiłoby mnie to - odparł szorstko Duncan, poirytowany rozproszeniem uwagi swojej rozmówczynie. - Żartowałaś, prawda?

Edwina westchnęła, przenosząc wzrok z powrotem na strapioną twarz Duncana.

- Sama bym chciała, żeby to był tylko żart. Jej ojciec i ja zareagowaliśmy z początku tak samo jak ty. To było takie niepodobne do Sarah. - Poklepała go po dłoni. - Ci tchórze przysłali mnie tu, taki kawał drogi, żebym ci to powiedziała. Tylko ja jedna miałam na to dość odwagi.

- Nie mogę uwierzyć, że mogła mi zrobić coś takiego.

- To chyba nie są kurze pióra, tu na podłodze, Duncanie?

- Minęło zaledwie... ile?... jakieś trzy miesiące od chwili, gdy przedstawiła mi listę osób, jakie miały być zaproszone na nasz ślub. Byłaś przy tym, Edwino. Zauważyłaś, żeby między nami coś się psuło? Czyżbym czegoś zaniedbał?

Edwina odwróciła wzrok, zażenowana jakże niecodziennym u Duncana okazaniem emocji.

- Duncanie - powiedziała cicho - w tym właśnie tkwi cały problem. Minęły nie trzy, lecz trzynaście miesięcy od twojej rozmowy z moją bratanicą.

- Co takiego? Trzynaście miesięcy? Niemożliwe. - Na twarzy Duncana odmalowało się najpierw niedowierzanie, potem wstyd.

- Mylisz się. Z pewnością się mylisz.

- Ponad rok, Duncanie. Przysięgam na mój honor, że tyle minęło, a w tak długim czasie wiele się może wydarzyć. Naprawdę nie możesz winić Sarah, że zwątpiła, czy ten ślub kiedykolwiek dojdzie do skutku. Sama w to zwątpiłam.

Duncan poderwał się na nogi. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała uraza i oburzenie.

- Sprowadzę ją z powrotem do domu. Albo nie. Niech ją diabli. Dokąd się udali? Jak dawno temu wyruszyli? Mój Boże, czy twoja rodzina nie próbowała ich powstrzymać? Nie może być jeszcze za późno na odwołanie całej sprawy.

- Owszem jest - powiedziała Edwina, wzdrygając się przed dzikim gniewem widocznym na twarzy Duncana. Przełknąwszy ślinę, dodała łamiącym się głosem: - Kiedy ją ostatnio widziałam, była brzemienna.

Duncan do reszty stracił panowanie nad sobą.

Marsali odskoczyła od drzwi, przy których podsłuchiwała z uchem przytkniętym do dziurki od klucza, wstrząśnięta krzykiem i przekleństwami, jakże niestosownymi w kaplicy. MacElginowie nie odczuwali wprawdzie szczególnej potrzeby odprawiania praktyk religijnych, poza rzadkimi momentami śmierci lub zaślubin z kobietą, którą wcześniej porwali, a i wówczas ich pobożność sprowadzała się do ściągnięcia nieszczęsnego leciwego kapłana przez wrzosowisko, żeby udzielił ostatniego namaszczenia lub pobłogosławił młodej parze.

Słownictwo Duncana, wymyślność jego przekleństw dosłownie poraziło jej uszy. Posługiwał się wyrazami, jakich nigdy wcześniej

nie słyszała, a bardzo chciała zapamiętać - czyż nie zaimponowałyby ludziom z klanu, gdyby umiała tak kłać? Uśmiechnęła się na tę myśl, planując w duchu, jaki użytek może zrobić z tego, czego się właśnie dowiedziała.

Angielska narzeczona porzuciła go dla jakiegoś podstarzałego wicehrabiego... co tylko dowodziło, zdaniem Marsali, że ta kobieta nie była godna Duncana. Wyprostowała się, zadowolona z korzystnego rozwoju wypadków. Teraz całkowicie należał do klanu, bo najwyraźniej taka była wola Najwyższego. Wszystko układało się zgodnie z planem.

Odsunęła się nieco w stronę podestu schodów i nagle aż podskoczyła, wstrzymując oddech, bo drzwi kaplicy otwały się z hukiem i Duncan stanął dokładnie w tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą przykucnięta podsłuchiwała.

Wyraz bolesnej urazy na jego twarzy wzbudził w niej litość; była skłonna wybaczyć mu nawet to, że kazał jej się odnosić przyjaźnie do tej głupiej Angielki, podczas gdy ukochani bracia i ojciec Marsali spoczywali martwi pod samotnym kamiennym kurhanem.

Przyłgnęła całym ciałem do ściany, kiedy ją mijał. Ku jej zdziwieniu nawet nie spojrzął w jej stronę, zbyt wzburzony wieścią o zdradzie, żeby zwracać uwagę na otoczenie.

Przeszedł szybko tuż obok niej; wyraz bólu i gniewu nadał jego rysom ostrość, jakby były wyciosane z kamienia. Odetchnąwszy bezgłośnie, Marsali ruszyła biegiem po schodach; czuła dziwną suchość w gardle, a poczucie zwycięstwa nagle straciło smak w obliczu cierpienia tego dumnego człowieka.

Duncan stał w drzwiach wyłożonej kamiennymi płytami kuchni, próbując opanować niemiłą nastrój, w którym pogrążył się coraz głębiej. Wcześniej spędził dwie godziny w swojej komnacie, zapijając troski marnym winem, a potem następną godzinę przesiedział w pijackim odretwieniu u szczytu stołu w Wielkiej Sali, wpatrując się w zakłopotaną Edwinę; zdrada Sarah stała pomiędzy nimi niczym barykada z głazów.

Kolacja się opóźniała.

Nie pojawił się ani jeden człowiek z klanu. Co więcej, nie podano choćby kawałka łykowego drobiu. W całym zamku panowała przygnębiająca aura opuszczenia. Miał wrażenie, że nawet ściany szepczą obelżywe słowa pod jego adresem, nągrawając się z niego.

A z jakiej przyczyny to wszystko?

Ach, tak, przyczyna. Cóż, przyczyna we własnej osobie siedziała na blacie roboczego stołu w przepastnej kuchni, otoczona zasłuchaną publicznością składającą się z członków klanu MacElgin. Z przejściem godnym występu w Drury Lane, Marsali Hay przemawiała do wdzięcznych słuchaczy. Duncan był bliski podziwu dla jej aktorskiego talentu; nadała swemu głosowi odpowiednie brzmienie, jej twarz oddawała zadziwiająco skalę emocji, a giętkie ciało z wielkim wycuciem odgrywało pantomimę.

A co było treścią przedstawienia? Jakaś komedia Szekspira? Któraś z legend Pogórza Szkockiego?

Bynajmniej. Duncan wykrzywił usta w złośliwym uśmiešku. Dziewczyna odgrywała zdradę Sarah, a kucharka wraz z resztą garkotłuków gapiła się na nią z zachwytem puszczając z dymem łośosia przeznaczonego na wykwinną kolację. Posiekane warzywa rozgotowały się na papkę w zapomnianym rosole. Nic to, że Marsali odgrywała jego postać z sympatią jako stronę oszukaną, a Sarah jako bezduszną, wyniosłą Jezabel. Nic to, że kilku jego zatwardziałych rodaków otarło ukradkową łzę współczucia dla swego przywódcy. Upokorzenie Duncana, nie dość że tak głębokie, iż trudno je było znieść, stało się na domiar złego atrakcją wieczoru.

Usłyszał za sobą kroki. Obejrząwszy się, dostrzegł Edwinę, skradającą się przez nie oświetlony korytarz w wieczorowej sukni z czerwonej tafty. Sprawiała wrażenie kompletnie zagubionej.

- Pięknie, Duncanie - odezwała się głośno, krzywiąc gniewnie swą arystokratyczną twarz. - Nie dość, że zostawiłeś mnie samą przy stole bez choćby okruszka chleba, to jeszcze...

- Uspokój się, Edwino. Posłuchaj tylko.

Edwina zamilkła posłusznie; jej bystre szare oczy aż się zaokrągliły, gdy od kuchennych drzwi dobiegł ją głos zadziwiająco wiernie naśladowający wyszukany ton Sarah.

- Minał już ponad rok, a czy Duncan planuje nasz ślub? Czy Duncan przysyła mi czułe liściki, dyskutuje ze złotnikiem na temat kształtu mojego pierścionka? - Głos Marsali wzniósł się do nabrzmiałego pretensją pisku. - Nie. Duncan jest w Szkocji. - Ostatnie słowo wymówiła z najwyższą odrazą, chwytając się za nos, jakby wdepnęła w kałużę nieczystości. - W zamku z jakimś średniowiecznym klanem łajdaków, którzy mają zwyczaj nosić spódnice. Pomyśleć, że byłam gotowa się poświęcić i naprawdę tam pojechać...

- Co za okropna kobieta - wtrącił Owen; nawet przez moment nie powstało mu w głowie, że opowieść Marsali może być nieco stronicza.

- Ha, zadziera nosa przed nami.
- Wyśmiewa się z naszych strojów.
- I nazywa nas łajdakami - dorzuciła od komina kucharka.
- Nawet nasz przywódca nie zasługuje na taką podłą istotę
- stwierdził Lachlan.

Marsali przytaknęła ochoczo.

- To trudny człowiek, ale ona nie ma prawa tak go traktować.
- Czy to znaczy, że mamy być teraz dla niego mili?
- spytał ktoś.

Marsali wzruszyła ramionami.

- Cóż, nie zaszkodziłoby. Mój ojciec zawsze mawiał, że nawet najdziksza bestię da się podejść łagodnością.

- Wódz dobrze zrobił, że się jej pozbył - zawołał z kąta Johnnie.

Effie precyzyjnie się przez ciżbę; pod pachami trzymała kwiczące prosiaki.

- Łamiesz nam serca, Marsali - powiedziała z ciężkim westchnieniem. - A co on powiedział, kiedy usłyszał tę wiadomość?

- Właśnie do tego zmierzałam, kiedy wszyscy zaczęli mi przerywać - oznajmiła ze złością Marsali. - Zaczekajcie chwilę. Muszę się wprowadzić w odpowiedni nastrój.

Zerknąwszy przez ramię na Edwinę. Duncan zorientował się po wyrazie jej twarzy, że świetnie się bawi występem dziewczyny.

- Edwino, ja ją zabiję - rzekł spokojnie.

- Cicho - odparła szeptem, wspinając się na pałce, by lepiej widzieć. - Teraz gra moją rolę. Do licha, czy ja naprawdę mam taki głos?

Rzeczywiście. Siedząc ze spuszczoną w zawstydzeniu głową, Marsali przeciągała pełną napięcia ciszę.

- Kiedy ją ostatnio widziałam, była brzemienna.

- I co wtedy? - wyrwał się Lachlan, dosłownie zawieszony na krawędzi kamiennego zlewu, gdzie przysiadł wraz z innymi słuchaczami.

Marsali zmrużyła oczy.

- Wtedy stracił panowanie nad sobą. Smutny i przerażający był widok tego wielkiego człowieka tak poniżonego przez niegodną Angielkę. Ach, w życiu nie słyszałam czegoś równie smutnego i przerażającego.

- Co to było? - spytała kucharka głosem drżącym z podniecenia. - Co powiedział?

Marsali wyprostowała się powoli. Chrząknęła, przymykając oczy dla większego skupienia.

- Powiedział... powiedział: „Ta przekłeta mała...”.

Drzwi uderzyły o ścianę z taką siłą, że aż przygasł ogień pod spieczonymi niemal na węgiel kurczętami na rożnie. Marsali otworzyła oczy, wbijając je w ciemną postać przedzierającą się przez tłum w jej kierunku. Nikt nie odezwał się choćby jednym słowem.

Marsali patrzyła na Duncana w przeraźliwej ciszy.

- Całkiem niezłe przedstawienie - rzekł sucho. - Twój talent do naśladowania ustępuje jedynie twojej niedyskrecji i bujnej wyobraźni.

Marsali przełknęła ślinę, czując, jak opuszcza ją pewność siebie. Znow przybrał ten niski ton, zwiastujący kłopoty. Co złego zrobiła? Mówiła przecież prawdę. Ani jedno kłamstwo nie wyszło z jej ust. Zyskała dłoń współczucie i zrozumienie, to wszystko.

Skrzyżowała ramiona na piersi, czując, że serce wali jej szybciej niż zwykle.

- Musieli się dowiedzieć - odezwała się porywczo. - Oni cię potrzebują, a ona najwyraźniej nie.

Rozejrzał się po mrocznej, zadymionej kuchni, zająrzył w nieprzyjazne choć znajome twarze, teraz zwrócone ku niemu wyczekująco. Jego klan. Dobry Boże, stracił Sarah i prosię, oto co otrzymał w zamian od życia. Cóż za złośliwy żart losu.

- Za godzinę kolacja ma być na stole. - Ściągnął wargi, spoglądając z ukosa na kłęby czarnego dymu unoszące się nad kuchenną blachą. - Albo przynajmniej to, co się z niej uda uratować. - Bez żadnego ostrzeżenia podszedł do Marsali, chwycił ją wpół i zarzucił ją sobie na ramię niczym połec sarniny. - Pożalujesz tego, dziewczyno - obiecał cicho i zacieśnił uchwyt, aż usłyszał, jak z trudem chwyta oddech.

- Dobry Boże - jęknęła, odpychając się dłońmi od jego łopatek. - Czy ktoś mógłby go powstrzymać?

- Jak widać - nie - odpowiedział spokojnie Duncan, torując sobie przejście przez ciżbę zaskoczonych, lecz zgoła nie rwących się z pomocą ludzi, którzy rozstąpili się przed nim w milczeniu.

Marsali posłała kucharce rozpaczliwe spojrzenie.

- A ty, Aggie? - jęknęła - Pozwolisz, żeby mnie tak traktował?

Kucharka zastąpiła Duncanowi drogę; przyciskała do bujnego łona długi wałek do ciasta, którego razów zakosztował już niejeden z jej niesfornych rodaków. Nawet na Duncanie to złowrogie narzędzie wywarło pewne wrażenie. Dobrze pamiętał, jak przed laty oberwał tą okrutną bronią w kolano, gdy w któreś święta odmówił zjedzenia rozgotowanego gulaszu z baranich podrobów. Staw kolanowy nadal mu dokuczał w chłodne noce.

Zmierzyli się wzrokiem jak gladiatorzy. Kucharka miała posturę godną celtyckiego wojownika; wysoka masywna postać z długimi siwymi włosami budziła respekt w każdym, komu zdarzyło się stanąć na jej drodze, a mocne ramiona jeszcze niedawno mogły śmiało dzierżyć potężny szkocki miecz. Po prawdzie jednak, według zgodnej opinii wszystkich członków klanu, wystarczająco

wiele szkód czyniła już posługując się najprostszymi kuchennymi urządzeniami.

W latach wczesnej młodości ta kobieta wzbudzała w Duncanie niekłamane przerażenie.

- Odsuń się, Agnes - rzekł teraz, odruchowo chwytając mocniej wiercąca się Marsali.

- W ogóle się nie zmieniłeś - stwierdziła kucharka z twarzą poczerwieniałą od złości. - Te wszystkie wymyślne tytuły, medale, honory... one tylko są zasłoną dla twojego mrocznego charakteru. Zawsze dochodziłeś swego siłą. To okrucieństwo odgrywać się za własny ból na tej niewinnej dziewczynie.

Duncan nienawidził tej rysy w swoim charakterze, która pozwoliła wnikać słowom kobiety do jego duszy.

- Twoje osobiste odczucia nie zmieniają faktu, że jestem przywódcą klanu i nie masz prawa mnie pouczać. Zejdź mi więc z drogi, Agnes. Nie będę dyskutował ze służącą.

Zimny, władczy wyraz jego oczu uciszył kucharkę, utwierdzając ją jednocześnie w przekonaniu, że z rozwyrzonego młodzieńca wyrósł okropny człowiek.

- Co zamierzasz zrobić z tą dziewczyną? - zdobyła się na pytanie, zerkając przy tym na Marsali, której udało się wykręcić tak, że zwiślała teraz z szyi Duncana niczym żywy kołnierz z lisa.

- To nie twoja sprawa. Jedyne, co powinno cię interesować, to kolacja. Ma być na stole za godzinę. Domagam się podania czerwonego wina i to w dużych ilościach. Donovan, a ty nie waż się dziś grać na harfie po pijanemu. Mamy gościa. Effie, zabierz stąd te prosięta albo rano wylądują na patelni w postaci skwierczącego bekonu.

Po ostatnim ostrzeżeniu wygodniej zarzucił sobie Marsali na ramię i ruszył przez kuchnię do drzwi, gdzie czekała Edwina, nie ukrywająca rozbawienia sytuacją. Duncan uznał za znaczący sukces fakt, iż udało mu się wyjść na dziedziniec, nie oberwawszy po głowie wałkiem kucharki. Zwycięstwo to jednakże nie wolne było od goryczy.

Postawiwszy Marsali na ziemi, chwycił ją za rękę, gdyż natychmiast próbowała uciec.

- O nie, nie tak szybko. Naraziłaś na szwank moje dobre imię. Nie wybaczę ci tak łatwo.

Szarpięciem wyswobodziła dłoń; w jej oczach błysnęło zdumienie.

- Ale ja tylko mówiłam prawdę o tym, co ci zrobiła ta okropna kobieta. Nie było w tym twojej winy.

- Upokorzyłaś mnie po raz ostatni, Marsali Hay. Z każdą minutą coraz bardziej podoba mi się myśl o wysłaniu cię do klasztoru.

- W promieniu stu mil nie ma żadnego klasztoru - przypomniała mu niewzruszonym tonem. - Postaraj się uspokoić. Nie czuję się osobiście dotknięta twoim zachowaniem wobec mnie.

- A dlaczegoż to? - Zmarszczył brwi.

- Bo rozumiem, że czujesz się skrzywdzony przez to, co ci wyrządziła tamta kobieta, i tylko ci się wydaje, że jesteś zły na mnie.

- Jestem zły na ciebie. - Głos podniósł mu się niebezpiecznie.

- Uspokój się, Duncanie - wtrąciła Edwina.

- Mam prawo być zły - niemal krzyknął. - I jestem zły.

Marsali uśmiechnęła się do niego współczująco.

- Nie, wcale nie jesteś. Jesteś tylko biednym, zranionym stworzeniem, które miota się z bólu.

- Każdy poczułby litość - dodała Edwina.

- No dobrze, nie jestem zły - warknął Duncan. - Jestem miotającym się stworzeniem. Mimo to moja siostra Judith jest matką przełożoną klasztornej szkoły na pewnej małej wyspie z dala od wybrzeża. Zbudowała tę szkołę z posagów sprawiających kłopoty dziewcząt, takich jak ty, które przysyłały do niej zaniepokojone rodziny.

Marsali skrzywiła się z urazą.

- Czasami się zastanawiam, po co te wszystkie moje starania. W ogóle nie doceniasz tego, co dla ciebie robię.

- Masz całkowitą rację.

- Traktujesz mnie jak dziecko.

- Właśnie.

- Oj, teraz mnie ogarnia złość - ostrzegła Marsali. - Skoro masz ochotę wykazywać troskę o dziecko, to może powinieneś odnaleźć to, które porzuciłeś.

- A cóż to, do diabła, ma znaczyć?

- Och, nic takiego, milordzie. To tylko kuchenne plotki. Przez ciebie trochę się zapomniałam. Słyszałam o czymś takim jako dziecko. Rozgniewałeś mnie i mi się wymknęło.

- Dlatego właśnie ludzie nie powinni wpadać w gniew, Duncanie - znowu włączyła się Edwina.

- Czy w tej plotce jest choćby ziarno prawdy? - spytał.

- Z tego, co wiem. nie - przyznała uczciwie Marsali.

- Więc nie powtarzaj jej więcej.

- Wybacz. - Edwina posłała Duncanowi karzące spojrzenie. ~ Marsali może wprawiła cię w zakłopotanie, ale ma dobre serce i chciała jak najlepiej.

- Nie wtrącaj się - uciszył ją szorstko Duncan.

Marsali znacząco pokiwała głową.

- Teraz wyżywa się na tobie, Edwino.

- To było do przewidzenia - westchnęła ciotka Sarah.

Wymieniły między sobą współczujące spojrzenia, co wyraźnie wzmogło irytację Duncana.

- Nie pozwolę, żeby Marsali mnie upokarzała i narażała tym własną skórę. Zaprowadzę porządek w tym przeklętym zamku i koniec.

- Co Duncan mógłby zrobić, żeby powstrzymać właśnie między wami? - spytała łagodnie Edwina.

- Proszę go jedynie o to, żeby został i zaopiekował się nami...

- Ona oczekuje, że będę się zachowywał jak jakiś średnio-wieczny wódz, który poświęca życie i zdrowie dla swego rozpadającego się w gruzy zamku - przerwał jej Duncan, do reszty tracąc cierpliwość.

- Cóż, tradycyjne zobowiązania są bardzo ważne, Duncanie - rzekła z troską Edwina. - Pomyśl tylko, co czekałoby ten świat, gdybyśmy wszyscy wyrzekli się odpowiedzialności. Z pewnością człowiek, mający kiedyś stanąć na czele księstwa, rozumie wagę swoich obowiązków.

Marsali zaczynała lubić Edwinę.

- Właśnie to próbowałam mu powiedzieć.

Duncan uniósł ręce w geście poddania.

- Z kobietami nie sposób się kłócić.

- Więc panuj nad sobą - doradziła Edwina.

- Dobrze, Edwino. Sądzisz, że jesteś taka mądra, więc sama się nią zajmij. Zajmij się całym zamkiem, jeśli masz ochotę. Należy do ciebie. Ona także jest twoja. Bawcie się dobrze. Ja mam dość.

Z kamiennym wyrazem twarzy odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Na chwilę zapadła pełna napięcia cisza, a potem rozległ się głos Edwiny:

- Jeszcze go takim nie widziałam. Musi być wstrząśnięty utratą Sarah.

Duncan zacisnął zęby, ale stłumił w sobie chęć odwrócenia się. Owszem, nie dość że stracił kobietę, z którą zamierzał się ożenić, to w dodatku przez tę nieznośną dziewczynę nie mógł nawet w samotności uporać się ze swym żalem. Jednak nie mniej niepokojąca wydawała mu się nic porozumienia, która na jego oczach nawiązywała się pomiędzy Edwina a Marsali. Choć wydawało się to niewiarygodne, nawet ciotka jego byłej narzeczonej przechodziła do obozu wroga. Ta myśl poruszyła go. Poruszyła prawie tak mocno, jak uwaga poczyniona przez Marsali na temat dziecka, które jakoby po sobie pozostawił.

13

Jastrząb siedział na drewnianej grzędzie w kabinie statku. Edwina podsunęła mu strzępek surowego króliczego mięsa.

- Co za miły ptaszek. Columie, wierzę, że Eun z każdym dniem coraz bardziej mnie lubi.

Czarownik obrzucił pogodną twarz Edwiny i jej korpulentne kształty pełnym uwielbienia spojrzeniem.

- Milady, oczarowałabyś swym urokiem najdzikszą bestię. Jakże mógłby ci się oprzeć?

Edwina zachichotała, opuszczając zalotnie rzęsy; odwróciła się od grzędy szeleszcząc taftową suknią.

Fiona, trzymająca się z boku z twarzą ukrytą w *Księdze Cieni*, wzniosła oczy ku niebu. Sposób, w jaki tych dwoje starsuszków zawarło przyjaźń niespełna dwa tygodnie temu na wrzosowisku, wydawał jej się ze wszech miar odpychający.

Colum zbierał krzemienne groty wokół kopców. Edwina zażywała spaceru. Wystarczyło jedno spojrzenie, by odtąd widywali się niemal codziennie jak bratnie dusze. Jej ojciec nazywał to wspólnotą umysłów. Fiona nie mogła tego znieść.

Colum wręczył Edwinie kielich zaprawionego korzeniami wina.

- Może zechcesz się napić, pani?

Edwina wzięła kielich w upierścienione dłonie.

- Nie powinnam. Wybieramy się dziś po południu z Marsali łódką na jezioro.

- Jak przebiega batalia pomiędzy nią a przywódcą? - spytał bez większego zainteresowania Colum.

- Bez zmian. Duncan nadal ma zamiar wydać ją za żonę, a ona za wszelką cenę chce go powstrzymać. - Edwina potrząsnęła głową. - Cały czas pracuję nad jej manierami. Jest stanowczo za ładna, żeby skończyć jako wyrzutek.

Colum zmarszczył brwi.

- Nawet najlepsze czary wymagają czasu. Może kiedy skończysz z Marsali, mogłabyś się zająć moją córką?

Równocześnie spojrzeli na małą bosonogą postać, która skulona na koi udawała niewidzialną.

- Owszem - zgodziła się Edwina, pociągając maleńki łyk trunku. - Może przy następnej wizycie. Tymczasem mogę jedynie pomóc kucharce w utrzymaniu spokoju na zamku.

Colum dotknął jej rękawa, z uśmiechem zaglądając jej w oczy.

- Cierpliwości, milady. Od magii nie wolno wymagać pośpiechu. - Ściszywszy głos, odprowadził ją w drugi koniec kabiny, skąd Fiona nie mogła ich usłyszeć. - Więc spotkamy się nad urwiskiem, żebym mógł dla ciebie ściągnąć księżyc?

Edwina westchnęła z nutą radosnego oczekiwania.

- Nie przegapiłabym tego za nic na świecie.

Przez miesiąc żadne czary nie zadziały. Czasami Duncanowi śniło się, że wraca do Londynu z podkulonym ogonem, przyznając się do porażki, tłumacząc, że garstka szkockich górali zdołała go pokonać. Łatwiej by mu było wytresować zamkowe kurczaki niż zapanować nad ludźmi z klanu. Nadzieja na przygraniczne księstwo stawała się z każdym dniem coraz bardziej mglista.

Wchodząc do Wielkiej Sali ugryzł się w język, powstrzymując zjadliwą uwagę. Prosię przebiegło mu pod nogami. Ailis czy Alan - nadal nie był w stanie odróżnić „bliźniaków” i ich obecność właściwie nie robiła już na nim wrażenia. Potknął się o śpiącego na podłodze Lachlana; kufel piwa na jego piersi unosił się i opadał w rytm chrapania.

- Lachlan. - Szturchnął nogą bezwładne ciało.

- Już czas wstawać, milordzie? - zapytał bełkotliwie Lachlan.
- Ależ nie, Lachlanie, skądże znowu. Dopiero minęło południe. Tyle że miałeś zmienić wartownika na wieży cztery godziny temu. Ale nie fatyguj się. Nie chciałbym, żebyś uronił choć sekundę ze swego pięknego snu.

Lachlan podrapał się po krzaczastych brwiach i nie wychwyciwszy w słowach przywódcy ironii, uśmiechnął się do niego, by natychmiast znów zapaść w błogi sen.

W ostatnim miesiącu zaszło wiele cudów, pomyślał Duncan, z ciężkim westchnieniem sadowiac się na ceremonialnym krześle.

Miał trochę za złe Edwinie jej wpływ na życie w zamku, jej upodobanie do strojenia żartów i zabawy. Należny z urodzenia tytuł Duncana zyskiwał mu u członków klanu jedynie dość opieszale wyrażany szacunek, podczas gdy Edwina podbiła serca wszystkich, od kucharki po chłopca stajennego, swym czarującym sposobem bycia. Duncana unikano. Każdy zabiegał o sympatię Edwiny i jej pełne uroku towarzystwo. Łącznie z Marsali. Duncan jeszcze nigdy nie czuł się aż tak odrzucony.

Edwina wzięła dziewczynę pod swoje opiekuńcze skrzydła niczym kwoka, obiecawszy przeobrazić ją w damę, której żaden mężczyzna się nie oprze. Z początku ta zapowiedź rozbawiła Duncana. Ostatecznie, mimo nieokiełznanej natury, Marsali była urodzoną damą. Edwina nie musiała od nowa tworzyć innej kobiety; Marsali potrzebowała jedynie nieco ogłady.

Tak czy inaczej, choć był dopiero koniec czerwca, Edwina zdążyła już sprowadzić kilka szwaczek z Inverness, żeby zajęły się strojami, perfumiarza wprost z Paryża, żeby dobrał oryginalny zapach współgrający z charakterem dziewczyny, i wreszcie szewca, by sporządził na jej śliczne stopki pantofelki do tańca. Duncan nie był wtajemniczony w szczegóły wszystkich tych zabiegów, zmierzających do gruntownego przeobrażenia Marsali w idealną damę. On sam całymi dniami starał się znaleźć dla niej męża.

Podniósł głowę z irytacją, dostrzegłszy na stole cięć uprzykzonej postaci.

- Słucham, Cook. O co chodzi?

Zawahała się, przybierając poważną minę.

- Właściwie, milordzie, szukałam lady Edwiny. Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

- Może wystarczy ci moja osoba. O co ją chciałaś zapytać?

- O nic ważnego, milordzie - zapewniła szybko i dygnawszy niedbale odwróciła się do wyjścia. - Takie tam domowe sprawy.

- Może mógłbym w czymś pomóc - rzekł głośno Duncan.

- W końcu to mój zamek i ja powinienem tu decydować.

Cook odwróciła się sztywno, unosząc brwi w zdumieniu. Niech diabli wezmą Edwinę, pomyślał Duncan z niechęcią. Miała szlachetne intencje, ale robiła się uciążliwa z tym odgrywaniem dobrej wróżki dla Kopciuszka-Marsali. Co w dodatku, uświadomił sobie kwaśno, stawiało go na pozycji podłej macochy.

- O co chodzi, Cook? - powtórzył ostrzejszym tonem.

Kucharka zbliżyła się do niego nieśmiało. Pod wpływem Edwiny zawarli na czas lata coś w rodzaju ostrożnego zawieszenia broni, ale Cook nadal wyraźnie nie ufała Duncanowi, a on wciąż odmawiał zjedzenia pierwszej łyżki gotowanej przez nią stawy.

- Nie chcę ci zaprzętać głowy, milordzie, takimi drobnymi sprawami.

- Obchodzi mnie wszystko, co się dzieje na zamku - rzekł ze zmarszczonym czołem. - Jeśli jest jakiś problem, nawet drobny, chcę, by mnie o nim powiadomiono. W końcu, po to tu jestem.

- Dobrze, milordzie, więc nie mogę się zdecydować, czy powinniśmy podać krostki rybne czy trufle przed piątkowym balem. Mam też pytanie co do tego reńskiego wina, które zamówiła lady Edwina. No i chodzi mi jeszcze o te ciastka z truskawkami i rozmaryn do pieczenia z jagnicia.

- Piątkowy bal? - powtórzył Duncan, czując nerwowe mrowienie w karku. - W piątek ma się odbyć jakiś bal?

- Spytam jeszcze lady Edwinę - wyjąkała przestraszona Cook, wycofując się w stronę drzwi. - Jeszcze...

Duncan podniósł się z krzesła. Miał wrażenie, że cała władza przesypuje mu się między palcami niczym piasek.

- Gdzie jest Abercrombie? - spytał. - Nie widziałem go od tygodnia.

- Znowu ukrywa się w kaplicy - wyjaśniła kucharka. - Dzieci ganiały go po całym zamku i nie mógł tego znieść.

Duncan rozejrzył się dookoła, zbity z tropu widokiem Johnniego i Effie wtaczających do sali puste beczki do śledzi. Za nimi wszedł Owen z naręczem różowych satynowych wstążek, które zaczął rozwieszać na wielkim jelenim porożu wiszącym jako trofeum nad kominkiem.

- Po jakie lichy te beczki? - zainteresował się Duncan.

Johnnie posłał mu smutne spojrzenie.

- Na piątkowy bal, na cóż by innego? Lady Edwina powiedziała, że postawi się na nich dzbany z ciętymi kwiatami. Zażyczyła sobie łąbiny i pachnące groszki. Nie wiem, po co jej one, a poza tym wszystkie rośliny w ogrodzie zeschły.

- Tak powiedziała lady Edwina? - Duncan uśmiechnął się złośliwie, odsuwając krzesło od stołu. - A gdzie to się właściwie podziewa lady Edwina od rana?

Effie poprawiła beczkę ustawioną pod ścianą.

- Jest w gabinecie z Marsali, ale nie wolno im przeszkadzać, dopóki nie będą gotowe. Wypędziły nas.

Duncan pchnął krzesło tak gwałtownie, że uderzyło w Lachlana, który wyrwany ze snu zachnął się i stracił na podłogę kufel z piwem.

- Mnie też nie wolno im przeszkadzać?

Effie zamruwała, chowając się za plecy Johnniego.

- Tak nam powiedziała lady Edwina.

Zatrzymał się pod drzwiami oszklonej werandy, próbując opanować drzenie napiętych mięśni policzków. Sądząc po aurze tajemniczości panującej w całym zamku, pełnych przejęcia szeptach Edwiny i odpowiadających im piskach bólu Marsali, Duncan mógł się domyślać, że w środku dzieje się coś doprawdy niezwykłego.

Słyszał też inne głosy; jakieś dwie inne kobiety półgłosem wymieniały uwagi. Gdyby nie niedorzeczność takiego pomysłu, Duncan byłby skłonny podejrzewać, że Marsali usiłuje przekonać

angielską do szpiku kości Edwinę, by przyłączyła się do jakobitów. Jednak bez względu na to, czego dotyczyła ich konspiracja, on był z niej wykluczony. Nie podobało mu się to. Nie dość, że zabroniono mu korzystać z ulubionego pokoju, to jeszcze kobiety próbowały przejąć władzę w jego zamku, zapanować nad jego życiem.

Otworzył drzwi... i omal nie zemdłał. Jego zwykle utrzymane we wzorowym porządku biurko zaścielone było rozrzuconymi w nieładzie przeróżnymi materiałami, od jedwabi, koronek i taft po szkockie tartany. A jego bezcennych map, pamiętników wojennych i bitewnych planów dosłownie nie było widać spod falbanek, futrzanych obszyć, wachlarzy i sznurów sztucznych pereł.

Stojąc nie zauważony w drzwiach, przysłuchiwał się ożywionej rozmowie kobiet. Marsali podskakiwała wokół dużego lustra, mimo iż Edwina strofowała ją, by stała w miejscu, gdy dwie szwaczki naprędce obszywały brzeg tiulowej spódnicy sukni, która odstawała od cienkiej talii dziewczyny niczym płatki od różanej łądygi. Wśród rozwichrzonych włosów na czubku głowy sterczał diadem przybrany strusimi piórami.

- Można wiele wyrazić odpowiednio posługując się wachlarzem, moja droga - tłumaczyła Edwina. - Co byś, na przykład, zrobiła, gdybyś chciała dać mężczyźnie do zrozumienia, że jesteś nim zainteresowana?

- Powiedziałałabym mu to prosto w oczy - odparła bez namysłu Marsali. - Podeszłabym do niego...

- Nic podobnego - przerwała jej Edwina wznosząc oczy ku niebu. - Dotkniesz wachlarzem policzka, o tak, w taki sposób. To o wiele subtelniejsze. Nie, kochanie. Nie drap się nim po nosie. To niedopuszczalne.

- Ale mnie swędzi - zaprotestowała Marsali. - To od tych okropnych piór wetkniętych w to coś na mojej głowie.

- To jest diadem - wyjaśniła nie zrażona Edwina, celowo dobitnie akcentując słowa. - Opuszczenie wachlarza na szyję oznacza zaproszenie do spotkania na osobności.

Duncan po cichu wszedł do środka. Przekradając się za

plecami Edwiny, ze stosu rzeczy na biurku podniósł inny wachlarz z drewna sandałowego i lekko uderzył nim Edwinę w głowę.

- A to oznacza, że całkiem zbzikowałaś, Edwino. Czy mogłabyś mi wyjaśnić, co wyprawiasz?

Edwina uchyliła się ze złością.

- Uczę tę droga memu sercu młoda kobietę jak pozyskać mężczyznę.

- Edwino, umówiłem się już na rozmowy ze wszystkimi odpowiednimi kawalerami w zasięgu stu mil, na piątek po południu. Oferuję wystarczająco okazały posag, żeby wywabić z grobu samego MacDuffa. Czy musisz mnie dodatkowo rujnować i podważać mój autorytet tymi wybrykami?

Edwina zdjęła z włosów Marsali wplątaną nitkę.

- Domyślam się że miałeś zamiar pokazać ją w tych łachmanach i zachwalać jak handlarz?

Duncan łagodnie odsunął Edwinę i stanął na tle okna, umyślnie omijając wzrokiem Marsali. Szwaczki zamilkły, rzucając zaleknione spojrzenia na swego pana. Rzadko zdarzało im się widzieć go w takiej sytuacji.

- Zdejmę tę suknię, jeśli ci się nie podoba - odezwała się nadasana Marsali, przerywając pełną napięcia ciszę. - I tak wyglądam w niej jak wymęczone kacze piskłę.

Duncan odwrócił się wolno od okna, obrzucając ją długim spojrzeniem spod na wpół opuszczonych powiek.

Prawdę mówiąc, była zła na tę suknię, która całkiem odsłaniała jej drobne białe piersi ponad mocno ściśniętym gorsetem. Wbiła wzrok w ziemię, marszcząc brwi, kiedy cisza się przeciągała.

Duncan przełknął ślinę, próbując powstrzymać uśmiech.

- Wcale nie wyglądasz jak kacze piskłę.

Podniosła oczy, w których w miejsce niepewności pojawiła się nadzieja.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ani trochę, - Rozciągnął usta w uśmiechu.

- Wyglądasz... jak indyjskie piskłę, które lis przewiółł przez podwórze.

Zabrakło jej tchu. Przeskoczyła szwaczki, siedzące na podłodze

i gapiące się na nią szeroko otwartymi oczyma, i udając wielkie oburzenie z całej siły uderzyła go w ramię. Duncan schronił się za biurko; z jego zasłoniętych dłońmi ust wydobywał się złośliwy chichot.

- Przestań - upomniała go surowo Edwina. - A ty, Marsali - zwróciła się do dziewczyny - uważaj, bo zniszczysz suknię. Oboje przestańcie zachowywać się jak smarkacze.

Nie bacząc na jej słowa, Marsali zerwała pierzasty diadem i cisnęła nim w Duncana. Ten złapał go zręcznie, wsadził sobie na głowę i zaczął udawać indyka, przechadzając się z wypiętą pierśią tam i z powrotem. Marsali zaśmiewała się do utraty tchu, aż zgięta w pół wsparła się o biurko.

Edwina przyglądała im się z dezaprobatą. Szwaczki podniosły się z podłogi, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy. Naczelnik klanu jeszcze nigdy się tak nie zachowywał.

- Spójrz na to, milordzie - powiedziała Marsali urywanym od śmiechu głosem, zsuwając suknię z ramion. - Edwina wypudrowała mnie tutaj. Jakby to ktoś miał zauważyć. Widziałeś w życiu coś podobnego?

Edwina naciągnęła jej suknię niemal aż po sam nos.

- Moja droga, on widział więcej pudrowanych ramion niż ktokolwiek inny. Radzę ci zachować ten widok dla męża.

Duncan szybkim ruchem ściągnął z głowy diadem; dobry humor opuścił go, gdy uzmysłowił sobie, jaki cel przyświeca wszystkim tym zabiegom - Marsali miała przyciągnąć uwagę jakiegoś mężczyzny. Dlaczego tak reagował, co mu się stało? Spiorunował szwaczki wzrokiem, mając nadzieję, że uciszy tym pełne zaciekawienia szepty. Przecież powinien był pozwolić, by Edwina kontynuowała swe dzieło.

- Ciekawi mnie, kto będzie płacił za te bezsensowne przygotowania? - zapytał lodowatym tonem.

Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy Marsali. Poczwała skrepowanie, widząc jak Duncan przekłada ubrania z biurka na krzesło. Znow stał się jej obcy, znow zapadła kurtyna nieufności i rezerwy. Miała wrażenie, że był niezadowolony, ilekroć doprowadzała go do serdecznego śmiechu. Co też złego zrobiła tym razem?

- Ty będziesz za wszystko płacił, Duncanie - zdecydowanym tonem odparła Edwina. - Nie uważasz, że Marsali jest tego warta?

Duncan uporządkował papiery na biurku; jego krzaczaste czarne brwi ściągnięte były w gniewną kreskę.

- Mogłyście zapytać mnie o pozwolenie, zanim zamieniłyście mój gabinet w szwalnię. Przygotowanie tych dokumentów zajęło mi kilka tygodni. Tak, myślę, że jest tego warta. Do diabła. Te pióra są wszędzie. - Uniósł głowę, jego roziskrzony wzrok wyrażał emocje, których natury Marsali nie potrafiła się domyślić. - Czy w całym zamku nie ma odpowiedniejszego dla was pokoju niż mój gabinet?

Edwina uważnie przyglądała się Duncanowi.

- Tutaj jest odpowiednie światło. Nie przypominam sobie innego widnego pomieszczenia w tym ponurym zamku. Mam nadzieję, że udzielisz nam pozwolenia na zorganizowanie balu w Wielkiej Sali?

- To niedorzeczny pomysł, - Duncan znów spojrzał na biurko i zdjął koronkową podwiązkę z biografii Juliusza Cezara.

- Miałem zamiar przyjąć konkurentów w cywilizowany sposób. Nie widzę sensu w robieniu z tego widowiska.

- Widzę, Duncanie, że zamierzasz wystawić Marsali na licytację - stwierdziła ze wzburzeniem Edwina.

Duncan odsunął krzesło i chwycił krawędź biurka tak mocno, że aż zbiałały mu kostki dłoni. Dwie szwaczki bezszelestnie okrążyły stół, po czym bez słowa wybiegły na korytarz. Marsali ukradkiem zdjęła z biurka na wpół zjedzony placek owsiany i podeszła do okna. Uwielbiała patrzeć, jak naczelnik traci panowanie nad sobą, szczególnie kiedy działo się to z jej powodu.

- Licytację! - wykrzyknął Duncan. - Dotknęłaś mnie do żywego!

Edwina wzruszyła rozłożystymi ramionami.

- Mógłbyś przynajmniej zadbać o należyłą oprawę tego wydarzenia. Przecież to ty powiedziałeś, że Marsali nie zdoła wyrzeć odpowiedniego wrażenia na poważnych kandydatach, jeśli będzie wyglądała tak, jak wygląda.

- Nigdy nie powiedziałem czegoś podobnego! - zachnął się Duncan.

Ręka Marsali, trzymająca placek owsiany, znieruchomiła w połowie drogi do ust. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku.

- Śmiałeś się z plam po truskawkach na mojej sukience - przypomniała mu.

- Jest pięciu mężczyzn, którzy odpowiedzieli na moje wezwanie i których kandydatury uznałem za warte rozpatrzenia - powiedział Duncan, nie zwracając uwagi na Marsali. - Gościnne przyjęcie na noc lub dwie moim zdaniem nie pociąga za sobą konieczności organizowania balu. Nie jesteśmy w Londynie, Edwino. Nie jesteśmy też oszalałymi rodzicami, próbującymi pozbyć się córki-starej panny.

- Tylko pięciu? - Edwina sprawiała wrażenie głęboko urażonej, że wszystko, co zrobiła dla Marsali, będzie podziwiane przez tak niewielkie audytorium. - Pięciu, Duncanie? To chyba jakieś niedopatrzenie. Skoro są tu takie kłopoty z transportem, należałoby poczekać kilka miesięcy, żeby zebrać wszystkie oferty.

- Potrzebna mi tylko jedna - wtrąciła rezolutnie Marsali, lecz w głębi duszy była przekonana, że chociaż Duncan uchodził za genialnego stratega, okazał się bardzo złym swatem. Nie zapytał jej nawet, jakiego mężczyznę chciałaby poślubić.

W milczeniu jadła placek. Tak czy owak, nie miało to większego znaczenia. Duncan mógł znaleźć choćby i pięciuset górali, a ona mogła pozostać obojętna wobec ich zalotów. Mężczyzna jej marzeń powinien mieć serce głębokie jak morze i odwagę lwa. Musi lubić dzieci i...

- Mam nadzieję, że nie będziesz siedziała w takiej pozie, kiedy przedstawię cię przyszłemu mężowi - powiedział opryskliwym tonem Duncan, wskazując jej stopy, oparte o ścianę. - Nie ma potrzeby pokazywania bielizny całemu światu, nawet jeżeli ta bielizna przyjechała aż z Francji.

To powiedziawszy, usiadł przy biurku.

Rozbawiona Marsali porozumiewawczo spojrzała na Edwinę, która stała obok Duncana z palcem na ustach, jakby chciała ją ostrzec, że teraz jest wyjątkowo nieodpowiednia pora, by droczyć się z naczelnikiem. Marsali wyprostowała się i ukradkiem obciągnęła suknię. W tym tygodniu wybuchy złego humoru

Duncana sprawiły, że wszyscy obchodzili się z nim jak z jajkiem, by nie narazić się na jego gniew. Nie ukrywał, że bardzo by chciał pozbyć się odpowiedzialności za Marsali. Nieustannie powtarzał jej, że przekonanie kapitana dragonów, by nie aresztował jej za zdradę stanu, było nie lada wyczynem, i że musiał przy tej okazji wykazać się sporym kunsztem dyplomatycznym.

Czar, rzucony przez wuja Columa, najwyraźniej nie zdał się na nic. Uczucia naczelnika były jeszcze trudniejsze do odgadnięcia niż kiedykolwiek przedtem.

Marsali poczuła nieprzepartą ochotę, by go pogłaskać, zaczesać do tyłu niesforne pasma czarnych włosów, które spadały mu na ramiona. Chciała, by rozchmurzył się choć na chwilę. Zresztą i tak mogła na niego patrzeć całymi godzinami.

- Stopy, Marsali. - Zerknął na nią znad pliku listów, który trzymał w ręku. W jego głosie pobrzmiwała ironia. - Jak myślisz, czy udałoby ci się potrzymać je trochę na podłodze? A w ogóle to jeżeli ty i Edwina skończyście już to królewskie przymierzanie, może pozwoliłybyście mi cieszyć się chwilą spokoju, żebym mógł naprawić szkody na moim biurku? Znam się tylko na wyposażaniu mężczyzn w bagnety. Wasza garderoba leży poza zasięgiem moich zainteresowań.

Z urażoną miną Edwina sięgnęła po stos halek.

- Chodź, Marsali. Przeniesiemy się do mojej sypialni. I nie życzę sobie, żeby ktokolwiek narzekał na wysoką cenę świec.

Marsali zeskoczyła na podłogę i niepewnie spojrzała na Duncana.

- Odłóżmy to na później, lady Edwino. Chciałabym po południu wybrać się na ryby.

- Na ryby?! - zawołała Edwina. Wzburzona, oparła się o drzwi. - Obiecuj mi chociaż, że przedtem zdejmiesz tę suknię ze złotego tiulu.

Duncan zmrużył oczy.

- Nie pójdziesz na ryby, Marsali. Ani w sukni z tiulu, ani w worku pokutnym. Przecież za cztery dni masz zostać zaprezentowana jako... nagroda.

- Nagroda? - powtórzyła, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Chcesz zorganizować turniej łuczniczy, którego zwycięzca w nagrodę będzie mógł pojąć mnie za żonę?

Duncan opuścił wzrok i odpowiedział cicho:

- Nie.

- Mam nadzieję, że nic takiego nie przyszło ci do głowy - wtrąciła się Edwina. - Turniej! Jakież to prostackie!

Marsali tanecznym krokiem okrążyła biurko Duncana; jej oczy rozbłyły podnieceniem.

- A może będzie to turniej bokserski?

- Nie. Daj mi spokój, dziewczyno.

- Turniej szablowy? - wyszeptwała z zachwytem, stając tak blisko Duncana, że otarła się policzkiem o jego brodę.

Przeniknął go dreszcz. Odchylił się, by nie czuć jej elektryzującego dotyku.

- Nie, ty krwiożercza poganko. Nikt nie straci życia z twojego powodu, jeżeli tylko będzie to ode mnie zależało.

Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- Ale skoro mam być nagrodą, to jak będzie można mnie wygrać?

Duncan znów zmienił pozycję w krześle, zaniepokojony tym, że Marsali prawie siedzi mu na kolanach.

- Uczciwością i umiejętnościami poskromienia twej buntowniczej natury. Nie będziesz „dyndała” jak przynęta przed pstragiem.

- Aha - powiedziała z westchnieniem i sięgnęła po aksamitną wstążkę zwisającą z klepsydry na biurku. - Uczciwością i umiejętnościami poskromienia? Fascynująca perspektywa. Prawdopodobnie zostanę żoną pasterza albo wiejskiego dzwonnika. Wprost nie mogę się tego doczekać.

Duncan wparł się plecami w oparcie krzesła i patrzył, jak urażona Marsali ciężkim krokiem wychodzi z gabinetu.

- Jeszcze będziesz mi za to dziękować. Kiedy będziesz starsza i osiągniesz życiową stabilizację, zrozumiesz, że powodowała mną jedynie troska o twoje dobro.

Już w drzwiach odwróciła się, i zanim jeszcze zanurkowała pod ramieniem Edwiny, by wyjść z pokoju, wypaliła:

- A kiedy ty będziesz starszy, zrozumiesz, że lepiej było chodźć we Włosienicy, żeby odpokutować swoje grzechy niż poświęcić moje życie, żeby ocalić własne.

Duncan w zamyśleniu patrzył na drzwi, za którymi zniknęła Marsali. Przerażona Edwina szybko pobiegła za nią, nie czekając na reakcję Duncana na tę nazbyt szczerą ocenę sytuacji. Nikt jeszcze nie ośmielił się tak otwarcie powiedzieć Duncanowi, co myśli o jego poczynaniach.

W gabinecie zapanowała cisza, lecz ku zaskoczeniu Duncana, Marsali wciąż wydawała się obecna.

Westchnął cicho i starał się o niej nie myśleć, udając przed samym sobą, że jest bez reszty pochłonięty sprzątaniami biurka. Nieokrzesana niewdzięcznica. Niepoprawna, nie uznająca żadnych autorytetów. Nie usłyszał nawet słowa podziękowania za to, że udało mu się pozbyć kilkudziesięciu okropnych konkurentów, zwabionych wspaniałym posagiem. Za listy, które poryła do szlachetnie urodzonych, zamieszkałych w różnych zakątkach kraju, za dyskretne zasięganie informacji na temat starających się o jej rękę.

W końcu na liście Duncana, liczącej początkowo pięćdziesiąt nazwisk, zostało tylko pięć. Pięciu mężczyzn, którzy nie byli znani ze skłonności do perwersji seksualnych, nie mieli fizycznych ułomności ani skłonności do pijaństwa, rozpusty i marnotrawienia dóbr. Pięciu mężczyzn, którzy będą próbowali go przekonać, że są godni ręki córki jego przyjaciela.

Przerwał porządkowanie biurka i podszedł do okna, zauważając starą sukienkę Marsali na parapecie, tam, gdzie ją zostawiła. Bardzo polubił Marsali. Ale jaką mógł mieć gwarancję, że mężczyzna, którego wybierze, będzie ją dobrze traktował? Jak...

- Co jest, do diabła? - powiedział głośno.

Z pomieszczeń kuchennych wybiegła kobieta w złotej tiulowej sukni. Z wiadra zawieszzonego na ramieniu sterczała wędka. Promienie słońca błyszczały w jej włosach, kiedy tak biegła przez dziedziniec, podobna do ważki.

Otworzył okno i wydał westchnienie pełne goryczy.

- Odłóż tę wędkę, zanim haczyk rozedrze ci sukienkę! Nie siedzę na pieniądzach!

Posłała mu promienny uśmiech i przesunęła wiadro bardziej do tyłu. Niestety, wędka była co najmniej o dwa cale wyższa od niej i wystawała znad głowy.

- Jaką wędkę, milordzie?

Rozśmieszyła go jej zuchwałość.

- Włóż tę - poradził, machając starą sukienką z niebieskiego muslinu. - Zostawię ją za drzwiami. Edwina wpadnie w szal, jeśli zobaczy rybnie łuski na swojej kreacji.

- Ale wszyscy poszli już nad jezioro. Jeśli zacznę się przebierać, złowią wszystkie ryby, zanim przyjdę.

- Rób, co mówię.

Cofnął się w głąb pokoju, czując nie znane mu do tej pory ściskanie w gardle na widok maleńkiej, śmiesznej figurki, posłusznie drepczącej w stronę wieży. Nieodpowiedni mężczyzna tak łatwo może zepsuć jej niewinność. Z drugiej strony była przecież silną młodą kobietą. Zbyt długo żyła wśród twardych górali, by nie doświadczyć wielu życiowych ciosów.

W swym młodym życiu zdołała już poznać ból utraty i konieczność walki; energia, jakiej wymagały próby wyparcia Anglików z jej ojczystych stron, powinna być spożytkowana na zaspokajanie dziewczęcych marzeń. Gdy Sarah była w wieku Marsali, jej najbardziej wyczerpującym zajęciem były przejażdżki po Hyde Parku.

Sarah.

Jej zdrada powinna była sprawić mu większy ból, ale najwyraźniej był zbyt otepiały, by czuć cokolwiek poza rozdrażnieniem. A może podświadomie spodziewał się tego, że ją utraci. Mimo powszechnie wyrażanej aprobaty, Duncan nigdy nie czuł się dobrze w sztywnym gorsecie towarzyskich reguł brytyjskiego społeczeństwa. Szkocki markiz i generał kawalerii był, co prawda, osobą jak najbardziej pożądaną w towarzystwie, i dobrze wychowana młoda osóbką mogła kreować sobie różne podniecające wizje barbarzyńcy z Pogórza Szkockiego, lecz małżeńska proza wkrótce odarłaby ją ze złudzeń.

Wcześniej czy później, nawet gdyby Duncanowi udało się nie dopuścić do przyjazdu Sarah do zamku, i tak wyniknąłby temat jego przeszłości. Z pewnością dotarłyby do niej jakieś plotki, a wtedy, być może nic mu nie mówiąc, zaczęłyby się zastanawiać, czy przypadkiem nie poślubiła mordercy. Byłoby to dla niego nie do zniesienia.

W pewien sposób utrata Sarah była dlań wybawieniem. Nie musiał się już martwić, że Sarah dowie się, kim naprawdę był.

Marsali oparła wędkę o ścianę i sięgnęła po sukienkę, którą Duncan położył przed drzwiami gabinetu. Zapomniała również zmienić buty; Edwina wpadnie w furję, jeśli dowie się, że Marsali łowiła ryby w pantofelkach ozdobionych perłami. Jej ulubione dziurawe buty stały teraz pod biurkiem Duncana.

Do diabła. Znów będzie musiała przeszkodzić naczelnikowi. Sądząc po ciszy panującej w gabinecie, był pochłonięty pracą i na pewno nie spodoba mu się, że ktoś mu przeszkadza.

Otworzyła drzwi i cichutko wśliznęła się do środka, kurczowo ściskając wiadro. Zdenerwowana, czekała na wybuch gniewu MacElgina. Nikt nie potrafił krzyżeć tak głośno jak on.

Jednakże Duncan wcale nie siedział za biurkiem. Nie stał też przy oknie. Trochę rozczarowana, że straciła okazję zobaczenia go przy pracy, schyliła się po buty, by po chwili znieruchomieć, słysząc jego głos niemal tuż przy swoim uchu.

- A to sukiny - mamrotał pod nosem. - Okrążyli nasze magazyny. To źle. Bardzo źle.

Marsali uważnie wsłuchiwała się w słowa Duncana, masując kolano, którym uderzyła w krzesło. Do kogo przemawiał z taką złością szorstkim, nieprzyjemnym tonem? I gdzie był?

Wyczołgała się spod biurka i szeroko otworzyła oczy, widząc, że naczelnik siedzi na wytartym tureckim dywanie pod oknem i patrzy na miniaturową wioskę: małe drewniane mostki, filcowe wzgórza, drzewa, rzeki z błyszczącego jedwabiu i małe ołowiane figurki na koniach. Bezszelestnie zbliżyła się do niego na czworakach.

- Nie wiedziałam, że lubisz bawić się lalkami, milordzie
- odezwała się. - To świetna zabawa. Mogę się przyłączyć?

Rzejrzyał się dookoła, zakłopotany, że przytapała go na oddawaniu się ulubionej grze.

- Marsali, nie miałem pojęcia, że tu jesteś.

Oparła się o niego, uważnie przyglądając się rozmieszczeniu ołowianych żołnierzy na dywanie.

- Ja też nie wiedziałam, że tu jesteś, dopóki nie usłyszałam, jak przemawiasz do swoich lalek.

- To nie lalki - zaprotestował urażony, odgarniając pióra jej diademu, łaskoczące go w nos. - To ołowiani żołnierze, a ja właśnie rozgrywam słynną bitwę pomiędzy Scots Greys a francuską kawalerią.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Mogę się przyłączyć do zabawy?

Pochmurną twarz Duncana rozjaśnił chytry uśmiezek.

- Ja się nie „bawię”. Wygrywanie bitew to poważna sprawa, a mimo że jesteś bardzo sprytna, wątpię, czy okazałabyś się dobrym strategiem.

- Boisz się, że przegrasz z dziewczyną? - prowokowała, kładąc się na podłodze tuż obok niego.

Duncan popatrzył na nią, wytrącony z równowagi widokiem apetycznej krągłości jej pośladków. Z łątwością wymyśliłby kilkanaście innych gier, które wolałby rozgrywać z nią na podłodze. Przewędrował wzrokiem w dół jej sukni, ku obciążonym jedwabiem łydkom i kostkom nóg, krzyżujących się i kopiących powietrze z beztroską świadcząca o tym, że Marsali nie zdaje sobie sprawy, jak cudowny widok młeczej skóry i koronkowej halki roztoczył się przed jego oczami.

Przełknął z trudem i chwycił jej stopy, przygważdżając je do podłogi. Cztery dni. Boże, przecież jest na tyle opanowany, że uda mu się oprzeć pokusie, zwalczyć pożądanie.

- Kopnęłam cię w głowę, milordzie? - zapytała cicho, nieświadoma mrocznych fantazji, jakie zawładnęły Duncanem. - Jeśli tak, to bardzo przepraszam. To wszystko przez tę cholerną suknię. Mam ochotę drapać się w różne krępujące miejsca.

- Cokolwiek zrobisz, staraj się nie przeklinać i nie drapać się, kiedy będę cię przedstawiał przysłębemu mężowi.

- A to dlaczego? - Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.
- Przecież chyba nie spodziewa się, że nigdy nie będę się drapać ani przeklinać, kiedy już zostanę jego żoną?

- Szczerze mówiąc, to, co będziesz robić jako mężatka, nie będzie spędzać mi snu z powiek. Odsuń się. - Odepchnął ją lekko, szorstkością pokrywając niemal bolesne pragnienie, by wziąć ją w ramiona. - Będziesz francuską kawalerią.

Marsali natychmiast usiadła i zaczęła ustawiać swoje żółnierzyki na dywanie.

- Co ty robisz? - zapytał po chwili.

- Ustawiam dużych z przodu, żeby opiekowali się małymi.

Duncan uśmiechnął się z przekąsem, stawiając kilkanaście ołowianych figurek za miniaturowym wzgórzem.

- Widzę, że będzie to najkrótsza bitwa w historii. Twoi ludzie znajdują się w zasięgu rażenia ciężkiego działa.

- W takim razie jeszcze chwila, milordzie. Nie powiedziałeś mi przecież, że masz armaty za tymi wzgórzami.

Duncan uderzył dłonią w policzek, udając zadziwienie.

- Och, prawda. Mój adiutant musiał przeoczyć umieszczenie tej informacji w ozdobnych zaproszeniach na herbatę, które rozsyłał dzisiaj rano. Zbiję go za to do nieprzytomności chustką do nosa.

Marsali znów położyła się na dywanie i oparłszy się na łokciu przyglądała się jego ironicznie wykrzywionej twarzy.

- Więc tak to ma wyglądać? Dobrze.

Duncan posłał jej rozeźlone spojrzenie i wyprowadził brygadę piechoty brytyjskiej zza mostu; miał zamiar uświadomić jej, jak niezmiernie skomplikowana jest sztuka rozgrywania wojen. Kiedy ustawiał swe wojsko we wspólnym szyku, Marsali wychyliła się i zabrała mu dwie armaty, stojące w ważnych strategicznie punktach.

- Nie możesz tak postępować, Marsali - powiedział, gromiąc ją wzrokiem. Rozdzielała ich rzeka z jedwabiu. - Nie wolno ci kraść armat.

- Dlaczego? W prawdziwej bitwie nie ma żadnych grzecznościowych reguł.

Duncan przyglądał się jej z rosnącym zainteresowaniem, nie chcąc przyznać, że miała rację. Po chwili sięgnął po kolejny szwadron kawalerii.

- Ostrzeliwujemy cię z prawej. Mamy ogromną przewagę liczebną.

Spojrzała na niego wyzywająco, po czym dłuższą chwilę analizowała sytuację na polu bitwy. W końcu przesunęła swe figurki.

- To nieuczciwe.

- O, nie - powiedział jej Duncan do ucha karcącym szeptem, opierając się o nią. - Atakuj i ponoś ciężkie straty.

Marsali zeszywniała. Jego dotyk rozpraszał ją tak, że nie była w stanie logicznie myśleć. Na dodatek ten wcielony diabeł otoczył ją ramieniem. Poczowała ściskanie w gardle. Czyżby robił to celowo, by wygrać bitwę? Jeżeli tak, to trzeba przyznać, że wybrał bardzo potężną i skuteczną broń. Jak mogła skupić się na grze, skoro była w stanie myśleć jedynie o nim?

- Prowadzisz swoich ludzi na bagna - ciągnął złośliwym tonem. - Twoje konie grzęzną w błocie, kochanie.

Zamrugała, nie mogąc zebrać myśli, jako że jego ręka powędrowała tam, gdzie plecy traciły swą szlachetną nazwę.

- Wyciągamy się z błota, milordzie - powiedziała silnym, choć nieco drżącym głosem.

Duncan głęboko zaczerpnął tchu, wodząc palcami po wspaniałej wypukłości jej ciała. Cudowne doznania psuła mu jednak świadomość, że wciąż jej pragnie. Miesiąc prób zaprzeczania temu faktowi jedynie zwiększył tę niebezpieczną chęć zaspokojenia zmysłów. Jej nie rozbudzona jeszcze kobiecość niesłychanie go podniecała, mimo iż nienawidził swego egoizmu, który był przyczyną pożądania.

- Marsali.

Nie odpowiedziała, w skupieniu wpatrując się w ołowiane figurki. Jej niewinność pobudzała do grzechu. Jej kruchość zagrażała sile.

Zamknął oczy. Był o krok od przyciśnięcia jej swym ciałem i poniesienia wszystkich tego konsekwencji. Przepęniała go bolesna chęć dotykania jej wszędzie, całowania szyi, piersi, brzucha. Wyobrażał sobie, jak odkrywa kolejne kragłości ukryte pod warstwą ubrań, jak dokonuje podboju na polu zupełnie innym niż bitewne. Na tę myśl aż jęknął bezwiednie.

- Jestem już bezpieczna, milordzie - powiedziała drżącym szeptem, w którym pobrzmiwało uczucie triumfu, jako że ostatni z jej żołnierzy znalazł bezpieczne schronienie.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, z tak dziwnym wyrazem zakłopotania na twarzy, że zadrżała, jakby padł na nią nagły cień.

- Wstań - powiedział niskim, chrapliwym głosem, kładąc ręce na jej ramionach i mocno ściskając. Uczucie, którego Marsali nie potrafiła nazwać, odmieniło jego twarz. - Koniec zabawy.

Nie poruszyła się, spojrzała mu prosto w oczy. Wyglądał ponuro i groźnie, lecz czuła, że reaguje podnieceniem na emanującą z niego, ledwie już poskramianą zmysłowość. Przedziwne napięcie sprawiło, że jej ciało stało się bezwolne. Przez cały miesiąc oddawała się marzeniom o jeszcze jednej chwili takiej jak ta, o zakazanym kontakcie cielesnym, o sile i ciepłe jego ciała.

- Wstań - powtórzył ze zniecierpliwieniem. Nie ścisnął jej już tak mocno, ale wciąż trzymał ręce na jej ramionach. - Wyjźdź.

- Chcę dokończyć grę, milordzie.

Oddychał coraz głębiej. Zwrócił twarz w inną stronę, jakby w ogóle nie dotarło do niego to, co powiedziała. A potem, bez ostrzeżenia, pochylił się i przywarł ustami do jej warg.

- To nie zabawa - wyszeptał nieledwie ze złością.

Wygięła ciało w łuk. Nie wiedział, czy w ten sposób chciała oddalić się od niego, czy też może szukała jeszcze bliższego kontaktu. Opanowanie i żądza zostały w jego umyśle rozdzielone czarną zasłoną. Wsunął oszpecone bitewnymi bliznami dłonie w jej włosy, wciągając w nozdrza ich zapach. Przewracając żołnierzy i armaty, przesunął się i nakrył ją swym ciałem.

- Ostrzegałem - powiedział zupełnie zmienionym głosem.

Objęła go, poddając się jego nienasyceniu. Obsypywał pocałunkami jej szyję. Jego usta wzniecały w niej ogień. Całował jej piersi, wychylające się ze stanika sukni, tak namiętnie, że aż jęknęła z rozkoszy. Przesuwała rękami po jego ramionach, plecach, czując, jak mięśnie twardnieją pod jej dotykiem.

Uniósł głowę, chcąc spojrzeć jej w oczy. Przez chwilę czuła lęk. Cóż on sobie myślał, ten człowiek, który wdarł się w jej życie jak burza? Dlaczego niby miałyby rzucić mu wyzwanie, szukać jego miłości?

Przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała i przycisnął do siebie tak mocno, że nie potrafiłaby powiedzieć, do kogo należą kolejne nierówne oddechy.

- Tak nie może być. - Jego głos był ledwie słyszalny, stłumiony przez jej włosy. - Wyrządę ci krzywdę, a potem nigdy sobie tego nie wybaczę. Kobiety, z którymi sypiałem, nigdy nie były niewinne. Ani przedtem, ani potem.

Z trudem powstrzymała się od protestu, gdy rozluźnił uścisk. Chciała go pocieszyć, lecz, zakłopotana, nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

- Dlaczego tak nie może być, milordzie? Nie jestem aż tak niewinna.

Wyprostował się i ostrożnie, jakby Marsali była ze szkła, cofnął ręce. Krew pulsowała mu w skroniach. Opanowywał się z najwyższym trudem.

- Dlatego, że za kilka dni mam zamiar oddać cię jako nagrodę innemu mężczyźnie, a nagroda, której nie trzeba strzec, nigdy nie będzie odpowiednio doceniona. Nie mam prawa cię tknąć.

- Nie chcę być żadną nagrodą - powiedziała buntowniczym tonem.

Niema prośba w jej rozmarzonych oczach trąciła czułą strunę w sercu Duncana.

- Ale jesteś. Odziedziczyłaś po ojcu odwagę i wrażliwość, i mężczyzna, który cię dostanie, musi być ciebie wart. Nie mam prawa tknąć tego, co będzie należało do innego mężczyzny.

- Ale przecież należą do siebie, - Zmarszczyła czoło. - Zawsze

należałam do siebie. Czy to nie ja powinnam decydować o tym, czy mnie tkniesz, czy nie?

- Marsali, wyjadę stąd za dwa miesiące. Będę rozgrywał prawdziwe wojny i zajmował się swoim przygranicznym księstwem. Zachowaj swą niewinność dla mężczyzny, który zostanie przy tobie. Spochmurniała.

- I w ogóle nie zatęsknisz za klanem? Jadąc tu nie miałeś zamiaru zatroszczyć się o nas choć trochę?

- Nikt nie chciał, żebym tu wracał. Nikt nie zapłaci, jeśli odjadę.

- Ja zapłaczę, milordzie - zapewniła go żarliwie. - A innym też nie jest wszystko jedno, ale cię zbyt nienawidzą, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

- Marsali, to, co mówisz, nie ma sensu - powiedział po dłuższym milczeniu. - Wiem tylko, że nie mogę tu zostać. Ten zamek jest dla mnie siedliskiem złych wspomnień, których absolutnie nie chcę wskrzeszać.

Niespokojnie rozejrzał się po pokoju, słysząc odgłos kroków na korytarzu.

- Wstań. Nie wypada, żebyś siedziała na podłodze.

Nie poruszyła się. Była smutna, urażona i rozczarowana, że nie potrafi wzbudzić jego zainteresowania losem klanu. Kiedy wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej się podnieść, udała, że tego nie zauważa. Kroki ucichły. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami.

- Do diabła, Marsali - zaklął pod nosem, a widząc, że dziewczyna nie ma ochoty wstać, wzruszył ramionami i usiadł obok niej na dywanie. Kiedy drzwi się otworzyły, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji i trudno byłoby się zorientować, co przeżywał zaledwie przed chwilą. W pośpiechu ustawiał ołowiane figurki żołnierzy, które przewrócił, szalejąc z pożądania do milczącej, nadasanej dziewczyny, która siedziała teraz naprzeciwko niego.

Do pokoju weszła Edwina. Jeśli nawet odczuła zakłopotanie na widok bezlitosnego markiza z Minorki, pochłoniętego grą wojenną z dziwną góralką, jeśli wyczuła napięcie unoszące się

jak dym naprędce wygaszonego ogniska, była zbyt dobrze wychowana i zbyt taktowna, by wygłosić jakikolwiek komentarz.

- Myślałam, że chcesz pracować w samotności, Duncanie - powiedziała cierpkim tonem. - Marsali, szwaczki czekają już na ciebie.

- Jesteśmy zajęci rozgrywaniem bitwy pod Brusage - rzekł Duncan, ustawiając swych żołnierzy tak, by mogli za chwilę uderzyć na główne siły wojsk Marsali. - Zewrzeć szeregi! Pałasz w dłoń! Naprzód!

Marsali patrzyła na jego poczynania, przejęta oburzeniem.

- Chwileczkę. Przewracasz moich żołnierzy.

- To nie ma znaczenia. - Duncan zachichotał. - Twój ludzie już poległ albo zostali wzięci do niewoli. A co ty robisz?

- Przywracam życie żołnierzom w okopach.

- Nie możesz tego robić! - wykrzyknął Duncan. - Nie może tego robić, prawda, Edwino?

Edwina oparła się o biurko; jej zaciśnięte usta wyrażały dezaprobatę.

- Na pewno nie w złotej tiulowej sukni. Marsali, natychmiast wstań i zostaw Jego Lordowską Mość z jego żołnierzami i bitwami.

Marsali posłała Edwinie błagalne spojrzenie.

- Ale on oszukuje. Pomóż mi, lady Edwino. On okropnie oszukuje.

Duncan przemieszczał swoje wojska wręcz z lubością, posuwał się naprzód, by otoczyć malejące oddziały Marsali.

- Wcale nie oszukuje. Nie muszę oszukiwać. Wojna to wojna, Marsali. - Spojrzał na nią wymownie. - Niech to będzie dla ciebie dobrą nauką. Powinnaś wiedzieć, że nie należy tracić czujności, mając wroga na karku.

- Nigdy nie uważałam cię za wroga - powiedziała miękko, nie mogąc już niczego dodać, jako że Edwina pilnie przysłuchiwała się ich rozmowie. - Na drugi raz będę ostrożniejsza.

- Cóż, jest już za późno na tę bitwę. Sama tego chciałaś. Mówiłem ci, że wygram.

Edwina podeszła do nich; w jej poczuciu niewytłumaczalny pokaz agresji ze strony Duncana uchylał zasadom uczciwej gry.

- Wyprowadź te oddziały zza wzgórza, Marsali - poinstruowała ją, uważnie wpatrując się w pole bitwy. Edwina była niezamężną córką generała armii i rozegrała ze swym ojcem niejedną taką bitwę.

- Nie pomagaj jej - warknął Duncan.

- Jakie oddziały? - zapytała zaskoczona Marsali.

- Oddziały, które masz pod spódnicą - rzekła Edwina. - Nie, nie ustawiaj ich w ten sposób. Atakuj obozowisko wroga.

- Nie przeszkadzaj, Edwino - powiedział Duncan, wykrzywiając twarz w grymasie. - Nikt nie zaprosił cię do gry.

- Ja zapraszam - powiedziała Marsali, wskazując Edwinie miejsce przy swoim boku. - Lady Edwina będzie moim... jak go nazwałeś?... adiutantem.

- Popatrz, Marsali - powiedziała Edwina - zyskałaś przewagę liczebną. Myślę, że już najwyższy czas wyciągnąć broń.

Duncan zmarszczył czoło, starając się skupić na grze. W tym wszystkim nie chodziło jedynie o wygranie bitwy na ołowiane żołnierzyki. Stawka była o wiele większa niż sam skłonny byłby przyznać. Zmuszony do gry w pozycji takiej, że ich ciała niemal stykały się ze sobą, miał utrudnione zadanie. Ilekroć Marsali kładła się na podłodze, zapominał o bitwie, a myślał o wspaniałych chwilach, kiedy leżeli ciasno spleceni. Za każdym razem, kiedy zastanawiała się nad kolejnym posunięciem, przygryzała dolną wargę, a on męczył się, wspominając smak i dotyk jej miękkich koralowych ust. Nieszczęśnik, który będzie chciał zostać jej mężem, powinien zostać ostrzeżony, że przyszła żona nie jest tak eteryczną panienką, jaką się wydaje.

Z kolei Marsali rozgrywała bitwę z mocnym postanowieniem zaskoczenia Edwiny i Duncana. Podstawy sztuki wojennej wydawały jej się dziecinnie proste w porównaniu z zachowaniem naczelnika. Mocno przywarła do podłogi, starając się opanować drżenie. Pożądanie w jego oczach, wyobrażenia jego nagości wzbudziły w niej nie znane dotąd, a niezwykle intensywne emocje. Przez chwilę była nawet gotowa zrobić wszystko, o co by ją poprosił.

W końcu była to bardzo niepokojąca sytuacja, która coraz bardziej wymykała się jej spod kontroli. Było aż nadto oczywiste, że naczelnik jej pożałował i że miał jej to za złe. Powstrzymywała się od uśmiechu, obserwując go kątem oka. Chyba rzeczywiście Duncan wpadnie w szal, kiedy odmówi poślubienia mężczyzny, którego dla niej wybierze, po całym tym zamieszaniu z zalotnikami i szwaczkami.

Walczyli zawzięcie przez ponad godzinę. Edwina stała z boku, służąc radami, lecz Marsali sama prowadziła błyskotliwą kampanię wojenną. W końcu Duncan musiał zapomnieć o swej dumie i cichym głosem poprosił o zawieszenie broni.

Marsali dumnie uniosła podbródek, pokiwała głową na znak, że wyraża zgodę, i wstała. Przekrzywiony diadem opierał się o jej lewe ucho.

- Cóż, milordzie - powiedziała z westchnieniem. - Świetnie się bawiłam. Będziemy musieli jeszcze kiedyś rozegrać jakąś bitwę. Czuję, że z czasem nabiorę wprawę.

Duncan nie potrafił nawet udawać, że porażka nie zrobiła na nim wrażenia. Nie docenił zarówno jej inteligencji, jak i siły swego uczucia. Wstał i podszedł do biurka, a stanawszy przy nim odsunął wędkę, którą oparła o krzesło.

- Chciałbym teraz zostać sam - powiedział zdławionym głosem.

Marsali spojrzała na niego z zatroskaniem.

- To tylko gra, milordzie. Może następnym razem będziesz miał więcej szczęścia.

Edwina czekała na nią przy drzwiach.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mu się przegrać w żoźnierzyki - powiedziała półgłosem, wychodząc wraz z Marsali na korytarz.

Tak było w istocie.

Duncan spojrzał na swe miniaturowe wojska porzucane po całym dywanie i pokręcił głową, oszołomiony. Marsali wprowadziła poprawkę do historii. I w dodatku wygrała jedyną bitwę, której wspomnienie wciąż męczyło Duncana - jedyną bitwę, której w rzeczywistości o mały włos nie przegrał.

Ogarnęło go przerażenie. Przeczucie go nie myliło. Marsali znalazła w jego pancerzu szczelinę, której nadaremnie szukali wrogowie. Jej ujmujący sposób bycia okazał się najprzemysłniejszą ze strategii, jakim musiał stawić czoło.

Czuł się wewnętrznie rozdarty. Co za ironia losu! Chciał być jedynym mężczyzną, który mógłby jej dotykać. A zarazem chciał ochronić ją przed samym sobą.

Nie mógł jej mieć, ponieważ była córką Andrew. A jednocześnie to właśnie cechy odziedziczone po ojcu sprawiły, że od razu zwrócił na nią uwagę. Pragnął nie tylko jej ciała, ale również jej ciepła, szczerości, umiejętności cieszenia się życiem.

Do piątku pozostało jeszcze stanowczo za wiele dni.

Piątek nadszedł stanowczo za wcześnie i nie mogło już być mowy o udaremnieniu bezdusznego planu naczelnika. Marsali szybkim krokiem szła po miękkim białym piasku ku znajomej postaci, zbierającej muszle nad brzegiem morza. Do balu pozostały niecałe cztery godziny, a ona wybiegła z zamku, ogarnięta strachem.

Duncan przywoływał ją z zamkowych murów. Edwina biegła za nią po zwodzonym moście, trzymając w ręku szczypce do układania włosów. Johnnie zastąpił jej drogę na wrzosowisku i mgliście obiecywał, że klan przyjdzie jej z pomocą.

- Nie trasuj się, dziewczyno. Wszystkiego pilnujemy. Nie martw się o dzisiejszy wieczór.

- Chyba nie macie zamiaru zamordować naczelnika?! - zapytała, przejęta zgrozą.

- Rozważaliśmy tę możliwość, Marsali. Rozmowa zaszła aż tak daleko, że zastanawialiśmy się, co zrobić z jego ciałem, ale potem Owen i Lachlan wpadli na lepszy pomysł. - Johnnie uśmiechnął się do niej pocieszająco. - Zadbaliśmy o wszystko. Chłopaki cię nie zawiodą.

Była zbyt przerażona, by zapytać, o jakim to „lepszym pomysle” mówi. Jeśli jej los zależał od jakiegoś niedokładnie opracowanego planu, była zgubiona.

- Wujku Columie! - Dobiegła do niego, rozpryskując wodę na jego nieskazitelnie czystą niebieską szatę. - Od kilku tygodni staram się ciebie znaleźć!

- Lato to gorący okres dla czarownika, Marsali. Natura najobficiej obdarza nas wtedy swymi bogactwami, a ja muszę przygotować się na nadejście smutnych, szarych miesięcy.

- Twój czar nie zadziałał, wujku - wypaliła bez ogródek. - Czas ucieka. Jeśli nie wydostanę się z pułapki, jaką zastawił naczelnik, będę musiała otwarcie mu się przeciwstawić, a wtedy nikt już nigdy nie będzie darzył go szacunkiem.

Colum przyłożył muszlę do ucha.

- Pozory często mylą. Co się stało z twoimi włosami?

- Lady Edwina chciała, żeby loki dobrze się trzymały i zawiązała mi na włosach jakieś kokardki, ale nie zmieniaj tematu. Naczelnik nie odjechał, lecz jego serce nadal jest twarde jak skała. Nie wiem, jaki czar na niego rzuciłeś, ale w ogóle nie zadziałał.

Colum schował muszlę do skórzanego mieszka u pasa i skierował się w stronę wraka statku.

- Doszły mnie słuchy, że dobrze cię traktuje.

- Och, tak - powiedziała, oburzona, idąc za nim. - Wydaje mi polecenia rano, w południe i wieczorem. Poucza mnie, w co mam się ubierać, co mogę, a czego nie mogę pić, za kogo mam wyjść za mąż. Posunął się aż tak daleko, że zabronił mi opuszczać zamek.

- Wiem, Marsali - powiedział sucho Colum, wspinając się na dużą skałę, która zagradzała mu drogę.

Wgramoliła się za nim i spojrzała w górę na Euna, który leciał w ich stronę.

- Dlaczego jesteś taki obojętny, wujku? Dlaczego twój czar nie zadziałał?

Czarownik poszukał oparcia dla stóp na skałach i pochylił się, by pomóc Marsali we wspinaczce.

- Czasami musi upłynąć trochę czasu, zanim zadziała. A poza tym wydaje mi się, że naczelnik nie jest aż takim łajdakiem, za jakiego go uważasz. Czyż nie wydaje balu na twoją cześć?

- Raczej wydaje mnie na pastwę losu, próbuje wyrzucić z klanu. - Marsali zeszywniała, zdawszy sobie nagle sprawę, jakie są pobudki postępowania Duncana. W dodatku Eun zmierzał w kierunku jej gołej głowy. - On próbuje się mnie pozbyć. Nie uwierzysz, wujku, ale on uważa, że przeze mnie są same kłopoty.

- Zastanawiam się, co też mogło nasunąć mu tę myśl. - Zręcznie zeskoczył na piasek, zostawiając siostrzenicę na skale, z Eunem siedzącym na jej głowie.

- Wujku, twoje czary wcale nie działają! - wybuchnęła zrozpaczona. - Zaczynam myśleć, że jesteś starym oszustem!

Obejrzał się przez ramię; na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

- Spóźnisz się na bal.

- Wujku, błagam cię, pomóż mi - powiedziała cicho. - Potrzebuję twojej mocy, żeby się z nim zmierzyć.

Zawahał się, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszeli potworny krzyk Fiony, wychylonej przez luk wraka. Wokół jej przerażonej twarzy kłębił się czarny dym.

- Pomóż mi, tatusiu! Ćwiczyłam właśnie zaklęcie ognia za pomocą magicznych kamieni i coś mi się nie udało! Kiedy dołałam wina, tygiel eksplodował.

Czarownik wzniosł oczy ku niebu.

- Dlaczego niby ja mam ci pomóc? Czy przeszkadzano Merlinowi? Albo Salomonowi? Jak mam pracować nad zagadnieniem nieśmiertelności, kiedy ciągle ktoś zawraca mi głowę ziemskimi problemami? Jak mam kontemplować cuda wszechświata, kiedy muszę zużywać energię na gaszenie ognia?!

Wykonał gwałtowny obrót, jego szata zaszeleściła, piasek zawirował koło jego nóg, i ruszył w stronę płonącej kabiny. Fiona biegała tam i z powrotem, wylewając kolejne wiadra słonej wody w chmury gęstego czarnego dymu.

O skałę, na której stała Marsali, rozbiła się kolejna fala.

- Proszę, wujku, bardzo cię proszę.

Przystanął i posłał jej spojrzenie, w którym na próżno szukała współczucia.

- Moc jest w tobie, Marsali. Wszystkie magiczne siły, jakich będziesz w życiu potrzebować, są zamknięte w twoim umyśle. Wykorzystaj siłę woli. Musisz pomóc sobie sama.

Duncan pojechał za nią, obawiając się, że zniknie i pokrzyżuje jego plany. Położyła dłoń na sercu, spostrzegłszy mrocznego jeźdźca, pędzącego krętą drogą prowadzącą do zamku. To nie było uczciwe. Poza wszystkim, widok jego masywnej sylwetki na dorodnym wierzchowcu wciąż przyprawiał ją o dreszcze. Łapała oddech z coraz większym trudem. Jego surowa twarz była ponura i zacięta.

Zatrzymał konia tuż obok niej. Nie odwróciła wzroku, patrzyła mu prosto w oczy. lecz czuła, jak kruszy się jej odwaga. Przez chwilę miała takie samo poczucie klęski, jakiego doświadczały wrogie wojska na widok sławnego żołnierza na polu bitwy.

Ten człowiek zawsze zwyciężał. Kim była, żeby przeciwstawić się jego woli?

- Mój Boże - powiedział łagodnie. - Spójrz tylko na siebie. Co ty robiłaś w tej sukience, dziewczyno? Sprzątałaś chlew?

W jej oczach pojawiły się wesołe ogniki. Odnalazła w sobie bojowego ducha. Wuj Colum miał rację. Żaden Hay nie poddawał się łatwo. Czyż nie wychodziła zawsze cało nawet z najgorszych opresji?

Tyle że tym razem jej wrogiem był naczelnik, a jej słabe ludzkie serce było bronią, jakiej po mistrzowsku używał przeciwnik jej.

Duncan pokiwał głową nad jej żalonym wyglądem: buntownicza twarzyczka, na wpół zakręcone, potargane przez wiatr włosy, kraj złotej tiulowej sukni mokry i oblepiony piaskiem.

- Staram się być cierpliwy. Marsali. Edwina wytłumaczyła mi, że jesteś bardzo zdenerwowana przed dzisiejszym balem i że nie próbowałem zrozumieć, co czujesz. Chcę, żebyś wiedziała, że...

Nie słyszała, co do niej mówi, zapatrzona w jego urodziwą twarz. Wiele dałaby za to, żeby móc teraz wodzić po niej palcem, poznawać ją przez dotyk. Najbardziej podobały jej się jego oczy,

niebieskie i przejrzyste jak toń górskiego jeziora, najpiękniejsze, kiedy pojawiał się w nich błysk emocji.

- Że niezależnie od tego, co... - Urwał. - Czy ty mnie słuchasz?

- Tak - skłamała, opuszczając wzrok.

- Będziesz musiała przebrać się przed balem - powiedział z westchnieniem. - I wyprostuj plecy, Marsali.

Rzeczywiście, przygarbiła się jak staruszka.

Wychylił się w siodle.

- I wypnij...

Gwałtownie uniosła głowę,

- Już jest wypięta, milordzie - warknęła, posyłając mu urażone spojrzenie. Minęła jego konia, kierując się w stronę ponurego zamku, gdzie jeszcze przed końcem dnia miał zdecydować się jej los.

Natychmiast zawrócił i zagroził jej drogę. Jak anioł pomsty, objął ją w pasie i uniósłszy, posadził sobie na kolanach. Próbowwała z nim walczyć, ale trzymał ją mocno. Jej ciało niepokojąco doskonale pasowało do jego ciała. Krew szumiała jej w żyłach.

- Głowa do góry, dziewczyno - powiedział z udawanym współczuciem i spiął konia ostrogami. - O północy będzie już po wszystkim.

Nie odzywali się do siebie w drodze do zamku. Duncan pomyślał, że na szczęście już po raz ostatni trzyma w ramionach tę piekielnicę. Ogarnięty nostalgią, wdychał zapach morza i wrzосу bijący z jej włosów i rozkoszował ciepłem jej ciała. Przypominał sobie pierwszy dzień, kiedy stojąc przy nim, kazała go rozebrać.

Musiał przyznać, że od tej pory robiła, co w jej mocy, by znieść bariery, broniące dostępu do jego serca.

Spoglądając na zamkowe mury, zdał sobie również sprawę, że uległość Marsali była bardzo podejrzana. Trudno było uwierzyć w to, że jego plan na dzisiejszy wieczór zostanie zrealizowany bez zakłóceń.

- Jestem naczelnikiem, Marsali - wyszeptał jej do ucha

- i ostrzegam cię: masz do wyboru zamażpójście albo klasztor. Jeżeli dzisiaj sprawisz mi kłopot, jutro będziesz haftować na tamborku cytaty z Pisma Świętego.

Gdy tylko dojechali do barbakanu, Marsali zeskoczyła na ziemię. Duncan patrzył, jak dziewczyna biegnie przez most zwodzony, mając nadzieję, że jego obawy okażą się bezpodstawne. Jednakże doświadczenie w ocenianiu sił i słabości wroga mówiło mu, że tak nie będzie.

Może zresztą męczyły go jedynie jego własne wątpliwości, żal, że ją traci. Wciąż czuł niezwykle miły ciężar jej ciała na swoich kolanach. Gdyby nie była córką Andrew, od miesiąca spędzałaby noce w jego łóżku. Uwiódłby ją, byłaby jego.

Niepokojąco znajomy hałas przerwał jego rozmyślenia. Spojrzył na zwodzony most, który podnosił się ze zgrzytem.

- Hej! - krzyknął ostrzegawczo. - Co wy wyprawiacie?! Opuść ten cholerny most, Archie, czy kim ty tam jesteś, opuść natychmiast! Marsali, jeśli to ty, to wiedz, że to wcale nie jest zabawne!

Na murach pojawiła się Effie i włożywszy okulary, posłała mu harde spojrzenie.

- Czy to ty, milordzie?

- Tak, ja. Natychmiast opuść most!

- Nie mogę, milordzie! - zaryczała. - Dzisiaj jest dzień prania i Cook właśnie kazała wywiesić bieliznę. Zamek jest zamknięty na całe popołudnie!

Duncan omal nie spadł z konia.

- Co ja słyszę? Co to znaczy, że jest dzień prania? Nie może być żadnego prania, bo zaraz przyjadą goście na bal! Jak tu wejść?

Effie pokręciła głową, jakby zastanawiała się nad jedną z największych życiowych tajemnic. Po chwili pojawiła się obok niej Marsali, spoglądająca na Duncana ze złośliwym uśmiechem.

- Czy coś się stało, milordzie?

- Opuść ten cholerny most! - zaryczał, podskakując, co tylko wznieciło tumany kurzu i przestraszyło kury, które z wściekłym gdakaniem rzuciły się do ucieczki.

Poruszenie sprawiło, że na murach pojawił się Johnnie, za którym szli Owen, Lachlan i grupka innych zaciekawionych

mężczyzn. Obserwowali Duncana ze spokojem. W końcu na scenę wkroczyła Cook. Mężczyźni rozstąpili się na znaczną odległość, by zrobić jej miejsce.

- To wszystko bardzo przeszkadza w pracy - powiedziała, ciężko dysząc. - Miałam ręce po łokcie w mące. przygotowując się na ten twój bal, kiedy usłyszałam jakieś krzyki i przekleństwa, a przecież dzisiaj będziemy mieli zamek pełen gości.

- Gości? - powtórzył Duncan. podnosząc głos do krzyku. - Jak możemy przyjąć gości, skoro most jest podniesiony?

Cook nie przejęła się złym humorem naczelnika.

- A jak możemy przyjąć gości, milordzie, w nie wypranych i nie wysuszonych ubraniach? Co ci ludzie sobie o nas pomyślą, jeśli podejmiemy ich jak dzikusy, w przepoconych strojach?

- Ona ma rację - poparł kucharkę Lachlan. - Jeśli będziemy brzydko pachnieć, możemy zaszkodzić Marsali.

Duncan miał wrażenie, że oszaleje z wściekłości.

- Od kiedy to ten zamek obdartusów stał się domem elegantów? - zawył. - Co mam powiedzieć gościom, którzy będą stali na zewnątrz po kilku dniach podróży do tej kupy kamieni?

- Bramy zamku zostaną otwarte o ósmej wieczorem - odpowiedziała Cook tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Goście mogą sobie na ten temat myśleć, co chcą.

Sabotaż. Spisek. Niema groźba unosiła się w powietrzu jak zapach londyńskich rynsztoków. Duncan był doprowadzony do ostateczności. Został wystawiony do wiatru przez bandę największych głupców pod słońcem.

Jeden za drugim górale znikali z murów, w końcu została tam tylko Marsali, jak obdarta księżniczka czekająca na księcia, który mógł się w ogóle nie pojawić.

Uśmiechnęła się do niego chytrze.

- Możesz spróbować dostać się do zamku przez latryny, milordzie - zaproponowała. - Oczywiście, jeżeli zniesiesz panujący tam zapach.

Edwina wyrosła za Marsali jak spod ziemi.

- Jaki zapach?

DZIKUSKA

- Edwina! - Duncan wydał westchnienie ulgi. - Dzięki Bogu. Bądź tak miła i podnieś ten most. Ci idioci nie chcą mnie wpuścić do zamku.

Edwina zmarszczyła czoło. Miała na sobie chiński szlafrok. Jej peruka została starannie ułożona i przypudrowana.

- Nie mogę podnieść mostu, Duncanie - powiedziała po chwili namysłu.

- A dlaczegoż to nie?

- Ponieważ właśnie ułożyłam fryzurę, jest dzień prania, a Cook...

Twarz Duncana nabiegła krwią.

- Ty też...

- ...prasuje moją najlepszą suknię na bal - dokończyła Edwina.

- Prawo jest prawem, Duncanie, a ty chyba najlepiej powinieneś rozumieć konieczność przestrzegania poleceń władz zwierzchnich. Tak czy owak, muszę coś zrobić z Marsali. Jeśli będzie wyglądać tak jak teraz, nawet gałganiarz jej nie zechce.

14

Duncan wystroił się w niebiesko-zielony tartan mieniący się złotem, wiedząc, że demonstracja władzy jest niezbędna, by zdławić zarzewie buntu, tłące się w zamku. Dolna część stroju została udrapowana na kształt spódnicy, kiłtu, górna część spięta na ramieniu kościaną broszą. Pod szorstką wełnę włożył białą płócienną koszulę z obrębionymi koronką mankietami. Skarpety z tartanu i buty z klamrami dopełniały całości stroju pozornie dumnego naczelnika.

Naczelnika, którego własny klan mógł nie wpuścić do zamku.

Członkowie klanu zachowywali się tak, jakby incydent z mostem zwodzonym nigdy się nie zdarzył. Jakby nie musiał dostać się do zamku przez latryny, a potem długo moczyć się w gorącej wodzie i szorować ługowym mydłem. Mijali jego krzesło i zajmowali miejsca przy stole, jakby był potworem-ludojadem. Ich uwagę zaprzętał problem Marsali. Dokoła niego było więcej ponurych twarzy, słyszał też więcej ciężkich westchnień niż na pogrzebie królowej Anny. Wszystkim chyba wydawało się, że biedna dziewczyna zostanie złożona w ofierze celtyckiemu bożkowi-ludojadowi, a nie połączona świętym węzłem małżeńskim ze szlachetnym i uczciwym mężczyzną.

Spojrzał w prawą stronę, na Marsali, i natychmiast spochmurniał. Rzeczywiście mogła przywołać na myśl ofiarę składaną bogom w swej białej sukni z brukselskiej koronki. Miał to być strój ślubny, ale w ostatniej chwili zaszły zmiany spowodowane

zniszczeniem sukni ze złotego tiulu. Marsali wyglądała dziewiczo, jak kruchy pączek róży czekający na męskie ciepło, by rozchylić płatki. Mimo wielu kłopotów, jakie mu sprawiła, musiał przyznać, że była uroczym stworzeniem. Prezentowała się teraz jak wzór kobiecej uległości, uosobienie wszystkiego, czego może oczekiwać przyszły mąż, i jeszcze wielu innych zalet.

Było tak, dopóki Lachlan nie pochylił się nad stołem, przewracając dzban burgunda, który wylał się jej na spódnicę. Jednakże zamiast rozpaczać, że zniszczył jej suknię, Marsali zachichotała. Lachlan posłał Duncanowi lęklive spojrzenie i zaczął wycierać wino swą niebieską czapką, rozlewając je przy tym na swój wilgotny, tak niedawno prany tartan.

- Musisz się przebrać - powiedziała przerażona Edwina, wspaniale prezentująca się w różowej ałtasowej sukni z haftowanym stanikiem. - To prawdziwa tragedia. Będziesz musiała wystąpić w tej żółtej, brokatowej, która w świetle świec nie komponuje się tak dobrze z odcieniem twojej skóry.

Duncan zmarszczył czoło.

- Marsali, idź na górę i przebierz się. Lachlanie, na litość boską, nie wkładaj tej mokrej czapki na głowę!

- Pierwszy starający się o rękę Marsali jest już tutaj, milordzie! - zawołał Johnnie od drzwi.

Po jego słowach na sali zapanowała głucha cisza. Cook omal nie upuściła półmiska z truflami, który niosła na stół. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę korytarza, skąd dochodził dziwny klekot.

- Co to jest, u diabła? - Duncan wyprostował się w krześle, na wszelki wypadek kładąc dłoń na rękojeści szabli. W drzwiach pojawiło się coś okrągłego. Johnnie cofnął się, by nie zostać zmiądzonym przez ogromną beczkę na śledzie, z której wystawały włochate nogi.

Duncan zerwał się z krzesła. Jego głos rozległ się w ciszy jak grzmot.

- A cóż to ma znaczyć?!

Z beczki na śledzie wysunęła się głowa i nagie ramiona.

- Mógłbym zapytać o to samo, milordzie - prychnął rozsierz-

dzony przybysz. - Czy to jest przykład gościnności MacElginów... gonienie człowieka przez góry i wrzosowisko, żeby go rozebrać i... i...

Wysunął się z beczki, by ukazać zgromadzonym tłusty zadek oblepiony błotem i pierzem. Marsali zakryła oczy dłonią, lecz nie udało jej się powstrzymać śmiechu. Kilku mężczyzn także aż trzęsło się z radości, lecz śmiech zamarł im na ustach, gdy naczelnik spiorunował ich wzrokiem.

Duncan kolejno spoglądał na głównych podejrzanych. Na Marsali, Johnniego, Lachlana, Owena, Donovaną. Przy stole nie brakowało żadnego ze znanych mu napastników. Ale przecież, na litość boską, ktoś musiał być sprawcą.

- Kim jesteś, sir? - zapytał, przenosząc wzrok na groteskową postać w beczce.

- Jestem Dougal MacDougall z Glen Beag, milordzie. Przybyłem tu na twoje łaskawe zaproszenie i zostałem zaatakowany przez członków twojego klanu.

- Czy w tej sali znajduje się ktoś, w kim rozpoznajesz napastnika, Dougalu MacDougall z Glen Beag?

Dougal skrył się w beczce i kołyszając się jak kaczką, podszedł do stołu. Jego pospolita twarz aż kipiała złością, kiedy po kolei przyglądał się wszystkim zgromadzonym. Dopiero gdy zobaczył Marsali, złagodniał.

- Nikogo tu nie rozpoznaję, milordzie - powiedział zduszonym głosem.

- Może zostałeś zaatakowany przez wrogi klan - zasugerował Lachlan.

Donovan brząknął na harfie.

- Tak. to na pewno znów ci MacKelburne'owie. Zawsze sięją zamęt.

Duncan zmrużył oczy. Długimi palcami niespokojnie bębnił w oparcie krzesła. Wrogi klan, akurat. Od razu wiedział, że to robota MacElginów, jednakże nie mógł przecież powiedzieć, że „nagroda”, którą starał się komuś podsunąć jest przywódczyni napastników. Obrzucił ją spojrzeniem wyrażającym szacunek, zaprawiony niechęcią. Jej oczy błysnęły wesoło.

- Moi ludzie przeczeszą wrzosowisko w poszukiwaniu winnych i dopilnują, żeby została im wymierzona kara - powiedział spokojnym tonem. - Proszę opisać napastników.

Dougal spojrział z wdzięcznością na Duncana, wyraźnie już udobruchany. Z łomotem przesuwał beczkę, próbował sięgnąć po kielich z winem, który podawał mu Lachlan.

- To była kobieta, chuda kobieta w okularach, i jej prosiaki.

Kątem oka Duncan dostrzegł, jak Marsali podnosi kielich do ust, by ukryć uśmiech.

- Zostałeś zaatakowany przez kobietę... i jej prosiaki?

Dougal uniósł drżący podbródek.

- Nie była sama. Była ich cała gromada. - Uniósł beczkę wyżej, jakby chciał się bronić. - Zostałem przewrócony, pokonany...

- Przez gromadę prosiąt? - zapytała Marsali, stawiając kielich na stole.

Lachlan wydał wargi.

- Chyba miał na myśli grupę kobiet. Są bardziej podstępne niż prosiaki.

- Przecież powiedział, że była tylko jedna kobieta - rzekł Owen.

Marsali pokiwała głową.

- Tak. W okularach.

- A może coś źle zrozumieliśmy - odezwał się z kąta sali Donovan. - Może został zaatakowany przez gromadę prosiąt w okularach?

Marsali zmarszczyła czoło.

- Czy prosięta noszą dzisiaj okulary?

- Oczywiście, że tak - rzekł poważnie Owen. - Kiedy w zeszłym roku byłem w Inverness, widziałem tam dentystę jadącego na koniu, który miał sztuczne zęby.

- To się nie mieści w głowie - szepnęła Marsali.

Dougal wyglądał tak, jakby miał zaraz się rozpłakać.

- To była gromada dzieciaków, milordzie! Okropnych, krwiożerczych dzieciaków z łukami i strzałami, wymierzonymi prosto w najważniejsze części mojego ciała! Nie miałem wyjścia, musiałem się poddać!

- Wielki Boże - westchnął Duncan, przykładając dłoń do czoła. - Pomocy!

Marsali położyła rękę na jego ramieniu.

- Boli cię głowa, milordzie? - zapytała słodkim, niewinnym głosem. - Może pomasować ci skronie? Zaparzyć rumianku... zaśpiewać kołysankę?

Duncan opuścił rękę i zmierzył Marsali spojrzeniem, które ją zmroziło.

- A to jest nagroda, Dougalu MacDougall - powiedział, ściskając Marsali za łokieć i podnosząc ją z krzesła - Marsali Hay, córka klanowego dzierżawcy, Andrew Haya, i potomkini Olafa Czarnego - obwieścił z dumą. - Czy nadal zamierzasz ubiegać się o jej rękę?

- Jak może odmówić, kiedy tak mnie zachwalasz? - wtrąciła szeptem Marsali.

Dougal podszedł bliżej, by dokładnie przyjrzeć się Marsali. Przycisnął ją przy tym beczką do krzesła. Duncan obserwował ją z boku, zastanawiając się, jakie myśli muszą teraz przebiegać przez głowę Dougala.

O, tak, dostrzegał podniecenie na twarzy tego głupca. Perspektywa zdobycia apetycznej kobiety sprawiła, że zapomniał o upokorzeniu, jakie musiał znieść, by się tu znaleźć. Zręczne zabiegi Edwiny zmieniły Marsali w uwodzicielską istotę. Jej niesforne kasztanowe kędziory zostały splecione tak, że nadawały wyrazistości rysom jej twarzy. Policzki zostały uróżowane, a biała koronkowa suknia maskowała tak mylącą kruchość, kierując wzrok ku wspaniałym krągłościom.

- Tak - odpowiedział chrapliwie Dougal i głośno przełknął ślinę. - O, tak. Chcę ją, chcę.

Johnnie podszedł do Duncana i stanął pomiędzy nim a beczką.

- Jako porucznik klanu MacElginów mam prawo głosu w radzie i sprzeciwiam się małżeństwu pomiędzy Marsali Hay i tym oto mężczyzną, milordzie.

Lachlan zerwał się na nogi.

- Ja też się sprzeciwiam, milordzie.

- I ja - powiedziała z zapałem Marsali. Wstała.

Duncan zazgrzytał zębami. Stare prawo stanowiło, że członkowie rady mogli się sprzeciwić każdej decyzji naczelnika, ale ktoś by pomyślał, że ci kretyńscy będą umieli powołać się na to prawo, nie mówiąc już o zdecydowaniu się na użycie go przeciwko niemu?

- Marsali, usiądź. Lachlanie, ty też siadaj. Dougalu, za chwilę wypuścisz beczkę z rąk. - Twarz Duncana pozostała nieprzenikniona, gdy popatrzył na Johnniego. - Dlaczego nie chcesz wyrazić zgody na te zaręczyny?

Johnnie ściągnął brwi.

- Milordzie, przypominam sobie, jak mówiłeś, że Marsali potrzebuje opiekuna, a wydaje mi się, że mężczyzna, który nie potrafi obronić się przed Ef... to znaczy przed samotną kobietą, dwoma prosiakami i kilkoma dziećmiakami nie będzie dobrym opiekunem. Nie wiem, czy się ze mną zgodzisz.

Niestety, Duncan podzielał punkt widzenia Johnniego. Nie mógł oddać Marsali temu osłu w beczce. Skinał głową na znak, że zgadza się z Johnniem.

- Proszę zadbać o to, żeby Dougal MacDougall z Glen Beag otrzymał suty posiłek i przyzwoite ubranie, zanim opuści zamek. Pod eskortą!

Przy akompaniamencie burzliwych braw Dougal MacDougall z Glen Beag został wytoczony z sali. Duncan opadł plecami na oparcie krzesła i ciężko westchnął.

Kiedy sięgał po kielich z winem, Effie wśliznęła się do sali bocznymi drzwiami i podeszła do stołu, uśmiechając się niewinnie.

Lachlan poklepał ją po plecach swoją mokrą czapką, a potem mrugnął do Marsali.

- Jednego mamy z głowy. Zostało już tylko czterech.

15

Sir Peadair Forbes, lord Inverdrulich! - obwieścił stojący przy drzwiach Johnnie, uśmiechając się nieznacznie, co nie uszło jednak uwagi naczelnika.

Zaniepokojony Duncan wstał, by spojrzeć na niechlujnie ubranego młodego mężczyznę, prowadzonego do stołu przez siwowłosego służącego w skórzanej kurtce i spodniach z tartanu. Wydawało się, że młodzieniec nie jest w stanie utrzymać się na nogach bez pomocy. Znajdował się w opłakanym stanie. Lśniące zielono-czarne pasma czegoś, co przypominało wyglądem morszczyzn, zwisały ze spódnicy. Mokry piasek skapywał mu z nosa. Na widok potężnej sylwetki Duncana jęknął, przerażony, i wtulił twarz w ramię starego służącego.

- Co mu się stało? - zapytał Duncan, obawiając się, że zna odpowiedź.

Służący pokręcił siwą głową.

- Nie jestem pewien, milordzie. Tak bardzo chciał tu jak najszybciej dotrzeć i poznać przyszlą żonę, że wyszedł ze statku na łód jeszcze przede mną. To, co stało się na drodze od statku do zamku, pozostaje zagadką.

- Więc wasz statek został rozbity? - spytał Duncan z nadzieją, czując ulgę, że przynajmniej jedno nieszczęście przytrafiło się bez udziału ludzi z jego klanu. Oby rozbicie statku było przyczyną tego, że młody człowiek jęczał i miał wodorosty na spódnicy.

Służący znów pokręcił głową.

- Nie-e-e. Nie było żadnej katastrofy, milordzie. Mieliśmy dobrą pogodę przez całą podróż.

Poczucie kłęski zawisło nad Duncanem niczym burzowa chmura.

- W takim razie, co mu się przydarzyło? - zapytał, choć wolałby nie znać odpowiedzi.

- Hmm. - Służący pomógł młodzieńcowi usiąść na krześle i podszedł do Duncana. - To bardzo dziwna sprawa, milordzie - powiedział cichym głosem, przeznaczonym tylko dla uszu naczelnika.

- Dlaczego dziwna? - zapytał głośno Duncan, spoglądając oskarżycielskim wzrokiem w stronę Marsali.

- Nie potrafię tego wyjaśnić, milordzie. Opuścił statek jako wspaniały, roześmiany mężczyzna, skory do ożenku i miłosnych igraszek z uroczą dziewczyną, a za chwilę czołgał się po plaży, przeklinając i twierdząc, że jakiś starzec w niebieskiej szacie zamienił go w homara.

Duncan wyprostował się gwałtownie.

- W homara. W homara?!

- W homara? - pisnęła urażona Marsali. - Dlaczego wujek jest dla mnie taki niedobry? Jeśli mógł to zrobić komuś obcemu, to dlaczego nie zrobił tego naczelnikowi, kiedy go o to prosiłam?

- Czy wciąż mu się wydaje, że jest homarem? - zapytał Duncan i ciężko westchnął.

- Chyba nie, milordzie - odpowiedział starszek. - Myślę, że sir Peadair zupełnie nie wie już, kim jest.

Johnnie podszedł do stołu. Jego spódnica kołysała się niespokojnie.

- Jako porucznik klanu MacElginów sprzeciwiam się małżeństwu pomiędzy...

Duncan pomachał ręką przed twarzą Johnniego, by skrócić formalności.

- Na jakiej podstawie?

- Cóż, na takiej, że obecnemu tu zalotnikowi wydaje się, że

jest homarem. Powód odmowy jest chyba tak oczywisty, że nie ma potrzeby szerzej go uzasadniać.

- Już mu się nie wydaje, że jest homarem - powiedział półgłosem Duncan.

Marsali z z troskaniem pokręciła głową.

- Ale co będzie, jeśli znowu odczuje potrzebę bycia homarem, milordzie?

- Ona ma rację - dodała poważnym tonem Edwina. - Wystarczy wyobrazić sobie, jakie z tego mogą wynikać problemy. Jestem wyrozumiała dla ludzkich słabości, ale nie akceptuję małżeństw z mężczyznami, którzy mają dziesięć nóg.

Lachlan podniósł się z krzesła.

- Ja też sprzeciwiam się temu małżeństwu, milordzie. Dziewczyna nie może wyjść za mąż za homara. Gdzież oni by zamieszkali?

- Właśnie, a co by jedli?

- A jak wyglądałyby ich dzieci?

Przez salę przeszedł pomruk jednomyślności.

I zalotnik numer dwa został szybko wyprowadzony z sali.

Duncan badawczym wzrokiem przyglądał się rozczochranemu mężczyźnie w podartym tartanie. Nieszczęśnik drżał na całym ciele. Gałązki i liście przyłgnęły do jego brudnych łokci i kolan. Na bladej, przerażonej twarzy widoczne były świeże zadrapania. Głowa, drgała przy najlżejszym choćby szeleście, palce kurczyły się konwulsyjnie.

- Czy to były prosiaki? - znużonym głosem zapytał Duncan.

Mężczyzna zamrugał.

- Prosiaki, milordzie?

- Czy byłeś homarem?

Mężczyzna cofnął się o krok, najwyraźniej podejrzewając, że naczelnik jest wariatem, który w złych zamiarach zwabił go do zamku.

- Ja... jja nnnie wwiem, o czym mówisz, milordzie.

- Zostałeś napadnięty, nieprawdaż?

- Ttak - powiedział ostrożnie, cofając się o kolejny krok.
- Nie miałem zamiaru gościć w zamku w takim stanie.
- W takim razie, kto cię zaatakował? - zapytał Duncan, nie zwracając uwagi na chichoty rozlegające się tu i ówdzie.
- To był jastrząb, milordzie. Ogromne, wstrętne ptaszysko z żółtymi ślepiami jak u demona.

Wzrok Duncana spoczął na najdrobniejszej postaci, siedzącej przy stole ze skromnie opuszczoną głową.

- Nie patrz tak na mnie, milordzie - odezwała się, nie podnosząc wzroku. - Od wielu godzin cały czas przebywam w twoim towarzystwie, a poza tym ten ptak jeszcze nigdy w życiu nie był mi posłuszny.

Johnnie podszedł do stołu.

- Jako porucznik...

Duncan opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy.

- Proszę go wyprowadzić.

Lecz zalotnik numer trzy pędził korytarzem, jeszcze zanim członkowie klanu zdążyli podnieść się z krzeseł, przekonany, że uniknął losu gorszego niż śmierć.

Fiona zajęła się zalotnikiem numer cztery. Nigdy nie dotarł do sali. Po raz pierwszy samodzielnie rzuciła czar, zaklinając, by zalotnikowi zwiędło. A potem oparła się o zamkowy mur, upajając się smakiem zwycięstwa i poczuciem władzy.

Nieco później, kiedy o tym pomyślała, nie była już pewna, czy rzeczywiście zadziałały jej czary (jak miałyby się o tym przekonać?), czy też już sama groźba, że czar zadziała, sprawiła, iż kupiec bławatny o zalężnionej twarzy szybko pobiegł po swojego konia i odjechał.

Chciałaby jedynie wiedzieć, jak naprawdę udało jej się tego dokonać. Czy sprawiły to celtyckie zaklęcia? Czy sposób wymachiwania różdżką? Gdyby to wiedziała, mogłaby postarać się o unieważnienie czaru, rzuconego przez ojca. Fiona była zdecydowana użyć wszystkich swych magicznych sił, by wyrwać kuzynkę ze szponów tego złego ducha, Duncana MacElgina.

Zalotnik numer pięć swym wyglądem przypominał starego niedźwiedzia i wydawał się zbudowany z samych mięśni i kędzierzawych brązowych włosów, pokrywających całe ciało i niewidocznych jedynie tam, gdzie zakrywał je tartan w jaskrawych kolorach. Jego czarne, lubieżnie spoglądające oczka paliły się jak węgielki nad krzaczastą rudobrązową brodą. Cała jego wydzielająca silny zapach postać uosabiała pierwotne instynkty i zwierzęcy popęd. Gdy wielkimi krokami przemierzał posadzkę, jego mocna szczęka była zaciśnięta w wyrazie absolutnego zdecydowania.

Nie zadał sobie trudu, by zauważyć obecność naczelnika. Ten człowiek szedł przez życie, używając jedynie swojego ciała. Przystąpił do zalotów z wdziękiem jaskiniowca.

Minąwszy Duncana, przeszedł na drugą stronę stołu i uniósł oniemiałą z przerażenia Effie, Ująwszy ją pod pachami, tak że jej nogi dyndały pomiędzy jego potężnymi udami, zawołał:

- A więc to jest ta dziewczucha do wzięcia? Ale chuda! Dobrze, że ma ładny posag! Chyba wydam go na żarcie, żeby się trochę spasała!

A potem przycisnął ją do piersi, omal nie gruchocząc jej kości. W ciszy, która zapanowała w sali, słysząc było trzeszczenie stawów i był to odgłos tak nieprzyjemny dla uszu, że nawet Duncan, przyzwyczajony do widoku ofiar i kończyn złamanych na polach bitewnych, drgnął, przejęty współczuciem.

Niedźwiedź odstawił ją w końcu i roześmiał się od ucha do ucha. Effie aż dyszała z wściekłości. Powoli zdjęła okulary i podała je Marsali. Siedzący obok niej członkowie klanu na wszelki wypadek oddalili się, co okazało się decyzją ze wszech miar słuszną. Pięść Effie jak młot kowalski rąbnęła rechoczącego górala prosto w nos.

I był to cios nokautujący.

Zwalił się na ziemię jak dąb rażony piorunem. I to był koniec zalotnika numer pięć.

16

10 tyle, jeśli chodzi o twój bal, dobra wróżko - odezwał się ponuro Duncan. Jego głos był ledwie słyszalny w radosnym zgiełku panującym w sali.

Eawina pochyliła się gwałtownie, gdyż nad jej głową przeleciała strzałka, która po chwili wbiła się w harfę Donovana.

- I jeśli chodzi o twoje umiejętności swatania. Gdzie ty znalazłeś tych żałosnych kandydatów, Duncanie? W więzieniu czy w domu wariatów? To była obraza dla dziewczyny.

Duncan nie znalazł w sobie dość sił, by odpowiedzieć Edwinie. Z ciężkim westchnieniem opadł na oparcie krzesła. Czuł się wyprany z wszelkiej energii - chyba wypił za dużo czerwonego wina, chcąc choć trochę osłodzić sobie gorzki smak porażki. Nie docenił przebiegłości członków klanu, którzy dali dziś dowód miłości i lojalności dla swojej małej księżniczki.

A raczej małej czarownicy, pomyślał, przenosząc na nią wzrok.

Rozpłomienionymi oczami obserwował, jak energicznie porusza się po sali. Była już prawie północ i ci członkowie klanu, którzy nie grali w strzałki, tańczyli żywe szkockie tańce, świętując zwycięstwo i udaremnienie podłego planu naczelnika. Marsali rozpuściła warkocze - jej długie kasztanowe włosy lśniły w świetle świec jak wino. Tańczyła z cudowną gracją, a zwycięski rumieniec zastąpił róż, który Edwina wcześniej nałożyła na jej policzki.

Dokąd ma się teraz udać, żeby znaleźć mężczyznę godnego jej niewinnych psot? Gdzie, na litość boską, ma znaleźć mężczyznę,

dysponującego siłą i odwagą, gotowego wziąć na swe barki nie tylko ją, ale cały ten diabelski klan? Wystarczająco wiele kłopotu sprawiło mu znalezienie pięciu odpowiednich konkurentów.

Po raz pierwszy od wielu lat obrona taktyka okazała się niewłaściwa. Niechętnie to przyznał, ale uważał, że okropne zachowanie członków klanu było ze wszech miar usprawiedliwione. Żaden z pięciu, pozał się Boże, zalotników nie był godzien całować choćby jej stóp.

Wparł się plecami w oparcie krzesła, by po chwili wyprostować się gwałtownie na dźwięk słodkiego głosu.

- Zatańczysz ze mną, milordzie?

Marsali. Podejrzliwie spojrzął jej w oczy. Dobrze, pozwoli jej się dzisiaj śmiać. Jutro zapłaci za tę przyjemność.

- Jesteś na mnie zły? - zapytała.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Nie, Marsali. Doprawdy nie wiem, czemu o to pytasz. Świetnie się bawiłem obserwując, jak robisz ze mnie dumnia i uwłaczasz całemu rodzajowi męskiemu.

- Nic podobnego! - zaprzeczyła żarliwie, pociągając go za sobą - promyczek słońca, który nie chciał być przesłonięty przez cień. - Musisz się odprężyć, milordzie.

- Co mam teraz z tobą zrobić? - zastanawiał się na głos.

Uśmiechnęła się, jakby pocieszała dziecko.

- Próbowałeś, miałeś dobre intencje i nikt nie może cię obwiniać za to, że plan się nie udał. Już po wszystkim. Tylko to się teraz liczy.

Tańczący razem Effie i Lachlan wpadli na Marsali. Duncan złapał ją, zanim zdołał się od tego powstrzymać. Fala pożądania, która go ogarnęła, gdy ich ciała się zetknęły, była tak silna, że odczuł ją jak uderzenie pięścią. Bezwiednie przesunął rękami po jej plecach i dopiero po chwili odsunął ją od siebie. Porażka osłabiła jego mechanizmy obronne. Zafascynowany, przyglądał się ponętnej krzywiznie jej obojczyka i misternej koronce ledwie zasłaniającej uroczy przedziałek między piersiami. Poczłł suchość w ustach.

Marsali potrząsnęła głową, niewłaściwie interpretując spochmurniały nagle wyraz jego twarzy.

- Nie przejmuj się - wyszeptwała, ściskając jego ramię. - Za kilka dni wszyscy o tym zapomną. Nasze życie wkrótce wróci do normy. Nikt nie będzie się z ciebie długo śmiał.

Spojrzał na drobne palce zaciśnięte na jego mocnym przedramieniu, zastanawiając się, jak by to było, gdyby dotknęła innych części jego ciała. Zaciśnął szczęki i całą siłą woli wyparł te myśli z głowy.

- Wróci do normy? To znaczy do organizowania zasadzek i zabawiania się cudzym kosztem? - Uśmiechnął się szyderczo.

- Myślisz, że tak łatwo się poddam, dziewczyno?

- Obawiam się, że traktujesz życie trochę zbyt poważnie - powiedziała, wodząc tęsknym wzrokiem za tańczącymi. - Czy nie moglibyśmy odłożyć tej rozmowy na potem? Wszyscy tak wspaniale się bawią. Szkoda byłoby zmarnować tyle wysiłku, włożonego w zorganizowanie balu.

- Marsali - zwrócił się do niej poważnym tonem, ujmując ją za podbródek i zwracając ku sobie jej zarumienioną twarz. - Nie mam już czasu. Zostały mi już niecałe dwa miesiące, żeby uczynić cię szczęśliwą i przywrócić porządek w klanie.

- Nie możesz wyjechać - wyszeptwała. - Potrzebujemy cię.

- Nawet gdybym tak bardzo nie marzył o przygranicznym księstwie, i tak bym tu nie został.

- Ale ludzie z klanu coraz bardziej cię lubią, oczywiście na swój śmieszny sposób.

- A czy ty mnie lubisz? - zapytał cicho, choć pytanie to było formą biczowania się i czyniło ból požądania jeszcze dotkliwszym. Nie potrafił żyć ze świadomością, że pragnął posiadać córkę mężczyzny, który okazał przyjaźń wyrzutkowi, mężczyzny, który potrafił mu wybaczyć winy, chociaż znał najbardziej mroczne zakamarki jego duszy. Mimo to tak bardzo jej pragnął. Marzył o tym, by stać się mężczyzną, który wtajemniczy ją w arkana sztuki miłosnej i utuli potem jej gibkie ciało.

- Oczywiście - odpowiedziała tak spontanicznie, że nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. - Ale jak mogłeś myśleć, że spodoba mi się ten twój głupi plan wydania mnie za męża? Myślałeś tylko o swojej wygodzie i dzięki Bogu, że to się tak skończyło.

- To się wcale jeszcze nie skończyło. Potrzebujesz męża.
Uśmiechnęła się szeroko i kokieteryjnie zakołysała spódnicą poplamioną winem.

- Marzę o tym, żeby zatańczyć. Zatańczmy, milordzie.

Nieznane uczucie ścisnęło mu serce,

- Nie jestem dobrym tancerzem...

Nagle z zewnątrz dobiegło potężne dudnienie. Natychmiast ustało ochrypłe zawrozczenie dud, jękiwy głos skrzypiec i głębokie tony harfy. Tancerze zamarli w bezruchu. Przerwano rozmowy. Nie doszło do pojednania między Marsali a Duncanem, gdyż wszyscy zwrócili się w stronę, z której dochodziły niepokojące dźwięki.

Ciszę letniej nocy małyły zdecydowane kroki kilkunastu osób, maszerujących przez zwodzony most. Duncan instynktownie pociągnął Marsali w stronę bocznego korytarza.

- Uciekaj! - Trzymał już dłoń na rękojeści szabli. - Johnnie, dlaczego wartownik nie powiadomił nas, że mamy gości?

Johnnie zepchnął z kolan Suisan, córkę Cook. Wcale nie urażona z tego powodu, zaczęła szukać na podłodze szabli i sztyletu, które wcześniej odrzucił.

- Wartownicy upili się do nieprzytomności, milordzie - odpowiedział. - Zaczęli świętować tuż po odjeździe ostatniego zalotnika. Poza tym kury nie zagdakały ostrzegawczo.

- To muszą być angielscy żołnierze z fortu - powiedziała niskim głosem jakaś kobieta, stojąca za Duncanem; obejrzawszy się, zobaczył Cook, która weszła do sali bocznymi drzwiami, dzierząc w dłoni topór rzeźniczy i wałek do ciasta. Prowadziła za sobą całą załogę kuchni, odważne dziewczki kuchenne, uzbrojone w chochle, patelnie i blachy do pieczenia.

- Jeżeli to są brytyjscy żołnierze, to nie mamy się czego obawiać - powiedział szorstko Duncan. - Znają mnie. Prawdopodobnie przybyli tu, żeby grzecznościowo zaoferować mi swe usługi. W żadnym razie nie będziemy ich atakować. - Popatrzył na Marsali. - Ale jeżeli to któryś z upokorzonych przez was zalotników przybywa tu ze zbrojną eskortą, to będziemy mieli nie lada kłopot.

Zamek MacElginów został napadnięty przez wrogów groźniejszych niż myszy już tak dawno temu, że jego mieszkańcy zapomnieli, jak powinni reagować. Zmarnowano cenne minuty na zastanawianie się, czy lepiej jest ukryć się za beczkami, czy też pod stołem, uciec do lochów, czy też po schodach na górę. Podniesione głosy na dziedzińcu przesądziły sprawę: nie było już czasu, żeby się chować lub uciekać.

Duncan zeszytniał, obserwując, jak członkowie klanu gorączkowo się zbroją, wyciągając noże z kominka, chwytając ze stołu cynowe półmiski, które miały posłużyć za tarcze, wyciągając strzałki z harfy Donovana. Cook i jej pomocnice, które zajęły strategiczne pozycje, otaczając salę, były znacznie lepiej przygotowane do walki, a na dodatek trzeźwe. Edwina zdjęła starą strzałę ze ściany.

Duncan chwycił Marsali, kiedy wyciągała swój pistolet, i pchnął w ramiona Johnniego.

- Wyprowadź ją do lasu.

Marsali szeroko otworzyła oczy, oburzona, że nie będzie mogła wziąć udziału w tak emocjonująco zapowiadającej się walce.

- Ale przecież muszę pomagać Cook i...

- Zaopiekuj się nią i lady Edwina - polecił Johnniemu Duncan. - I odbierz im broń.

Johnnie przytaknął. Zdziwił Marsali swą siłą, ciągnąc ją za sobą w stronę bocznego korytarza.

- Nigdzie nie pójdę! - protestowała. Szamocząc się, wpadła na Edwinę. - Chcę tu zostać i pomóc naczelnikowi!

- Naczelnik doskonale sobie sam poradzi - rzekł z wyraźnym zniecierpliwieniem Johnnie. Po chwili zawył z bólu, gdyż Edwina niechcący ukuła go strzałą w bok. - Ja też wcale nie chcę odchodzić, ale muszę, bo inaczej...

Urwał gwałtownie. Od strony zewnętrznego korytarza dobiegał stukot butów o posadzkę. Bardzo wielu butów. Marsali skorzystała z nieuwagi Johnniego, wyrwała mu się i dołączyła do Duncana.

Wyciągnąwszy ramię, Duncan pchnął ją na stół, zasłaniając swym ciałem jak tarczą. Odgłos kroków ucichł tuż przed drzwiami.

17

Rozejrzał się po sali, wciąż trzymając dłoń na rękojeści szabli. Z jego nieruchomej surowej twarzy nie sposób było wyczytać, że jest gotów zabić pierwszą osobę, która zrobi choć krok w kierunku dziewczyny, uparcie odmawiającej opuszczenia sali. Dziewczyny, z powodu której najprawdopodobniej dojdzie do rzezi, zanim jeszcze słońce zdąży wejść nad tym kretyńskim zamkiem.

Ciężkie, okute żelazem drzwi otworzyły się z taką siłą, że prawie wszystkie świece na stole zaczęły kapać i zgasły w kłębach dymu. Pośród ciekawej gry światłocieni pozostałe świece oświetliły wysoką, masywną postać, która zastygła we wdzięcznej pozie. Młody przybysz o zbójnickiej urodzie, z burzą jasnych kędziorów spadających kaskadą na ramiona, wystrojony w czerwono-złoty tartan spięty błyszczącą broszą w kształcie lwa, potoczył po sali zaciekawionym wzrokiem.

Ujrawszy Marsali, wydał chłopięcy okrzyk radości.

Duncan usłyszał, jak Marsali łapie powietrze. Najwyraźniej rozpoznała gościa. Natychmiast ruszyła w jego stronę, lecz Duncan chwycił rąbek jej koronkowej spódnicy i nie pozwolił odejść. Spojrzała na niego z nadaśaną miną i wydeła wargi.

Gdzieś w zamku jakiś zegar wybił północ. Zuchwały intruz pstryknął palcami, zaraz też pojawili się obok niego gorliwi służący, otrzepali ubranie z kurzu i przyczesali pyszne kędziory grzebieniem wysadzonym klejnotami. Młodzieniec przestąpił próg i znów zastygł w bezruchu, chcąc wyrzucić jak największe

wrażenie na zgromadzonych. W chwilę później w sali pojawiło się kilkunastu członków jego świty; byli jak chmura niosąca bóstwo z Olimpu. Ustawili się po sześciu z każdej strony Jego Złocistej Wspaniałości, spódniczki kołysały się nad dużymi kolanami.

- Cóż za wejście - powiedziała z zachwytem Edwina. - Jakie wyczucie czasu.

- Co za głupiec - warknął Duncan. - Kim, u diabła, jest ten błazen?

Nikt mu nie odpowiedział.

Prawdę mówiąc, chyba nikt nie pamiętał teraz o jego istnieniu.

Marsali wyraźnie nie mogła się już doczekać, kiedy będzie mogła rzucić się cudakowi na szyję. Członkowie klanu w doskonałych nastrojach walczyli między sobą o przywilej jak najszybszego przywitania śmiałego górala, który wkroczył na salę z miną zdobywcy, wychylił duszkiem kielich wina podany mu przez Effie, rozłożył muskularne ramiona i uśmiechając się lubieżnie zawołał:

- Niech ktoś da Jamiemu świecę, żeby mógł przyjrzeć się dziewczynie! I niech będzie warta podróży do tego zamku, bo inaczej będziecie tu mieć piekło!

Jamie!

- Jamie MacFay, ty wielki baranie! Jesteś jeszcze większy i jeszcze głupszy niż zwykle!

- Gdybyśmy wiedzieli, że jesteś zaproszony, przywitalibyśmy cię na wrzosowisku!

- Aha, i musiałbym paradować z gołym tyłkiem przed kobietą, którą mam zamiar poślubić - zażartował cieszący się niezwykłą popularnością jasnowłosy przybysz, uśmiechając się szeroko.

- Nie jesteś na bieżąco, Jamie! - krzyknęła jedna z dziewczek kuchennych. - Teraz to Marsali przewodzi mężczyznom na wrzosowisku,

- Tak? - zainteresował się Jamie, spoglądając na drobną postać w koronkowej sukni, niecierpliwie stojącą u boku Duncana.

- W takim razie jeszcze jeden punkt na jej korzyść.

Głośno odstawivszy kielich na stół, ruszył ku Marsali jak lew, który dostrzegł swą partnerkę i nie ma zamiaru dać się odstraszyć. Duncan wyprostował się, bezwiednie zaciskając dłoń na spódnicy Marsali.

- Czy to twój przyjaciel? - spytał z przekąsem.

- Widzieliśmy się kilka razy, ostatni raz, kiedy miałam jedenaście lat - wyszeptła, uważnie przyglądając się Jamiemu.
- Przyjeżdżał tu z ojcem, kiedy walczyłeś gdzieś w Europie. Jamie jest synem naczelnika klanu, podobnie jak ty, milordzie.

Jamie nie mógł do nich dotrzeć, zatrzymywany przez licznych członków klanu, którzy chcieli poklepać go po plecach, przez kobiety, które flirtowały z nim i zapraszały do tańca, wreszcie przez swoich ludzi, którzy co chwila stawali na jego drodze, by wypolerować mosiężne guzy, zdobiące jego buty ze świńskiej skóry, albo usunąć przewrócone krzesło, by nie musiał go omijać.

- Wygląda tak młodo, że na razie może odziedziczyć co najwyżej swojego pierwszego kucyka - stwierdził Duncan lekceważącym tonem. - Gdzie są posiadłości jego ojca?

- W Dunlaigh - odpowiedziała cicho Marsali, a zauważywszy, że Jamie zbliża się do niej, przyglądała włosy dłonią.

Duncan aż unióśł brwi, widząc ten kobiecy gest. Czyżby czyściła piórka dla tego młodego pawia? Wyprostował się powoli, z zadowoleniem stwierdzając, że jest co najmniej o trzy cale wyższy od mężczyzny, który właśnie się przed nim zatrzymał.

- Jamie MacFay - odezwał się głosem, który nie zdradzał, że w środku cały gotuje się ze złości. - Jesteś bardzo daleko od domu. Czyżbyś zgubił drogę?

Jamie oderwał wzrok od Marsali i spojrzał na Duncana tak, jakby dopiero teraz go zauważył. Jego uśmiech, znamionujący pewność siebie, nieznacznie przybladł, gdy Jamie dostrzegł błysk wrogości w niebieskich oczach naczelnika. Natychmiast jednak wypiął pierś i surowości autorytetu przeciwstawił beztronski młodzieńczy śmiech.

- On pyta, czy Jamie zgubił drogę? - parsknął Jamie, patrząc na Duncana takim wzrokiem, jakby naczelnik był pustelnikiem, który niespodziewanie znalazł się w cywilizowanym świecie po

pięćdziesięciu latach odosobnienia. - Czy narodził się kiedyś taki MacFay, który nie trafiłby do domu nawet po ciemku?

Duncan uśmiechnął się kwaśno.

- Ale nie przypominam sobie, żebym wysyłał ci zaproszenie.
- Zaproszenie? - Urażony Jamie przyłożył dłonie do klatki piersiowej, nie posiadając się ze zdumienia. - A od kiedy to MacFayowie potrzebują zaproszeń do zamku MacElginów? Poza tym przybywam tu w interesach.

- W interesach?

- Tak. - Wzrok Jamiego znów zatrzymał się na Marsali.
- Przyjechałem tu po narzeczoną. Sprawy finansowe przedyskutujemy później. Teraz chciałbym rozpocząć zaloty.

Jamie nie czekał na reakcję naczelnika na tak obcesowe oświadczenie. Pewny siebie, i tak nie przyjąłby odmowy do wiadomości. Zanim Duncan i Marsali zdążyli wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo, chwycił jej dłoń i nakazał całej sali świętować zaręczyny.

Wesoła muzyka i głośne wiwaty przerwały krótką chwilę ciszy, jaka zapanowała po tych słowach. Członkowie świty MacFaya podeszli do miłych i chętnych dziewczek kuchennych MacElginów i zaczęli z nimi flirtować pod czujnym okiem Cook. Duncan zmrużył oczy, widząc, jak Jamie wiruje w tańcu z Marsali. Pięknie prezentująca się w swej sukni, śmiała się perliście, najwyraźniej zachwycona prymitywnym pokazem męskiej potrzeby dominacji.

- No, cóż - powiedziała Edwina do Duncana - wygląda na to, że jednak osiągnąłeś swój cel. On jej się podoba. Ona mu się podoba. Dlaczego więc nie śmiejiesz się i nie klaszczesz jak wszyscy?

Duncan usiadł, nie odezwawszy się ani słowem. Nie spuszczał ponurego wzroku z tańczących i dopiero gdy Johnnie podszedł do stołu po swój kielich, odwrócił wzrok i pociągnął porucznika za ramię.

- Dlaczego go tak lubicie?

- Kogo? Jamiego, milordzie? Ano dlatego, że to wspaniały chłopak, syn MacFaya...

- Wiem.

- A poza tym jest zagorzałym jakobitą. - Cook stanęła za krzesłem Duncana jak królowa-matka. - Nie znajdziesz ani jednego brytyjskiego żołnierza wycinającego pola pod budowę dróg na terenach MacFayów. MacFayowie będą walczyć do upadłego, żeby ochronić swoje ziemie.

- Jakobici - mruknął Duncan. - Agnes, a tobie też się on podoba?

- Tego nie powiedziałam, milordzie. To zapaleniec, mal-kontent.

Duncan spojrział na nią, zaskoczony. Mimo że kucharka go nie lubiła, najwyraźniej wykazywała instynkt opiekuńczy w stosunku do Marsali.

Przeniósł udręczony wzrok na tancerzy i natychmiast zerwał się z krzesła.

Złotowłosey młodzian i dziewczyna w białej sukni zniknęli mu z oczu. Jamie MacFay ośmielił się popełnić akt seksualnej agresji tuż pod jego nosem. Była to zniewaga, jakiej nie mógł puścić płazem.

Przez chwilę stał ze skamieniałą twarzą.

- Poszli sobie - powiedział z niedowierzaniem, kierując słowa w przestrzeń. - Zabrał ją bez mojego pozwolenia.

Johnnie wypił kolejny kielich wina i zachichotał złośliwie.

- A jak ma się do niej zalecać w pokoju pełnym ludzi? Niech pobędą sami godzinę albo dwie, milordzie.

- Godzinę albo dwie? - powtórzył ironicznie Duncan, od-suwając krzesło. Czuł, że za chwilę może stracić panowanie nad sobą. - Mają być sami, żeby ten gbur rozpoczął miesiąc miodowy, mimo że jeszcze nawet nie zgodziłem się na małżeństwo?

Edwina spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

- Nie są już dziećmi, Duncanie. Cóż w tym złego, że pospacerują sobie po zamku albo po plaży?

- Cóż w tym złego? - powtórzył Duncan. - Mógłbym napisać encyklopedię na temat własnych doświadczeń w tej dziedzinie.

Jamie nie sprawia na mnie wrażenia mężczyzny, który potrafi powściągać swój apetyt seksualny. A Marsali jest jak dojrząca poziomka, czekająca na kogoś, kto ją zerwie.

Podszedł do drzwi, ze złością obchodząc prosiaka, który stał mu na drodze. Muzyka i gwar rozmów brzmiały w jego głowie jak brzęczenie os. Jakiś przepełniony radością człowiek z klanu przez nieuwagę rzucił strzałkę tak, że ze świstem zmierzała ku ramieniu Duncana. Złapał ją. Poczłł piekący ból, z rany wypłynęła krew, lecz nie zważał na to, skupiony na przeżywaniu doznanej zniewagi.

Nie wiedział, co zrobi, kiedy ich znajdzie. Nigdy jeszcze, nawet w gorąco bitewnej, nawet gdy porażka wisiała mu nad głową jak nagi miecz, nie pozwolił sobie na to, by powodowały nim emocje. Nigdy jeszcze od czasu pamiętnych, bolesnych dni dzieciństwa jego postępowaniem nie kierował zwierzęcy instynkt.

Tymczasem teraz czuł się wspaniale, tracąc kontrolę nad sobą. Tak, cieszyły go te dzikie emocje, ogarniające go jak fale przyływu. Miał prawo decydowania o przyszłości Marsali i byłby niespełna rozumu, gdyby jakiś zapalczywy gamoń, kręcący tyłkiem, posiadł ją tuż pod jego bokiem. Czy mu się to podobało czy nie - a właśnie, ku jego zdumieniu, zaczynało mu się podobać - był naczelnikiem i bez jego pozwolenia nikt nie mógł tknąć Marsali choćby palcem.

18

Odnalazł ich w zamkowym ogrodzie, o ile można było tak nazwać to miejsce, bo kępy ziół, zwiędłych kwiatów i chwasty sięgające pasa przypominały raczej zapuszczone uprawy jakiejś czarownicy. Spod porzuconych taczek wyskoczyła na niego para rozbawionych białych kociąt. Odruchowo złapał je i włożył do zardzewiałego wiadra, po czym cicho ruszył w stronę, z której dobiegały głosy swobodnej rozmowy. Był gotów udusić Jamiego gołymi rękami.

- Wyrosłaś na wyjątkowo urodziwą pannę - uwodzicielskim tonem mówił Jamie. Duncan zacisnął zęby przypomniawszy sobie, że sam używał kiedyś tego tonu, i to z powodzeniem.

- Cóż, wyglądam nie najgorzej - potwierdziła Marsali ze szczerością, którą Duncan w niej uwielbiał. - Chciałabym tylko być trochę bardziej okrągła. Mój brat Gavin ciągle mi powtarza, że jestem płaska jak naleśnik. Naczelnik też zawsze każe mi wypinać piersi.

Duncan zmarszczył brwi. To już było trochę za szczere i nie całkiem zgodne z prawdą. Miała śliczne drobne ciało. Zachwycały go jej pięknie ukształtowane piersi. Nie podobał mu się natomiast kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa; gdyby to on był na miejscu Jamiego, z pewnością wykorzystałby naiwność dziewczyny.

Co też uczynił Jamie.

- Chodź, usiądź mi na kolanach - zachęcił przymilnie,

- Przyjrę się troszkę dokładniej i dowiodę, że twój brat jest wierutnym kłamcą.

Zapadła podejrzenie długa cisza.

Duncan pociemniał na twarzy; znalazł się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji: musiał albo ujawnić swą kryjówkę i zapobiec temu, na co się nieuchronnie zanosilo, albo pozwolić, by Marsali zaspokoila seksualną dociekliwosc Jamiego McFaya. Rozchylił jagodowe krzewy, żeby mieć lepszy widok na rozwój wydarzeń. Przygięte kolczaste pnącze odskoczyło uderzając go w twarz, jakby wymierzając karę za podglądanie. Zaklął w duchu, ścierając kroplę krwi z czubka nosa. Jeszcze nigdy w życiu nie znajdował się w równie żalonym położeniu.

- O, popatrz, Jamie! - usłyszał ożywiony głos Marsali.

- Musiały się same wydostać. Czyż nie są słodkie? Chciałbyś je potrzymać?

Potrzymać? Czy chciałby je potrzymać? Serce Duncana zaczęło walić tak mocno, że słyszał je w uszach niby huczącą falę przypływu. W tym momencie postanowił wtrącić Jamiego do lochu na kilka dni, by ostudzić jego nazbyt wybujałe chucie. Potem miał zamiar odesłać Marsali do klasztoru, bo najwyraźniej potrzebowała moralnego wsparcia. Ta dziewczyna była naiwna jak... jak kocię,

- Jeszcze nigdy nie widziałem pary takich białych małych

- zachichotał Jamie. - Och, jakie są mięciutkie i miłe w dotyku.

- Jamie, uważaj, żebyś za mocno nie ścisnął. Nie są przyzwyczajone, żeby ich ktoś dotykał.

Duncan nie był w stanie panować nad sobą ani chwili dłużej. Do licha z szacunkiem dla cudzych uczuć. Do licha z dyskrecją. Wskoczył z krzaków jak wściekły byk, z rykiem rzucił się w stronę pary siedzącej spokojnie na ławeczce otoczonej różami.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Marsali, podnosząc wolną rękę do szyi. Drugą ręką przytrzymała wiercący się na jej kolanach biały kłębuszek. - Przestraszyłeś mnie śmiertelnie, milordzie.

- I kocięta także - zauważył Jamie, kiedy druga biała kuleczka czmychnęła po jego nodze pod ławkę.

Duncan zamrugał. Czarna mgła gniewu nagle opadła; ze wstydem ujrzał niewinną scenę, której jego mroczna wyobraźnia nadała tak niepokojącą formę.

- Myślałem... słyszałem...

Marsali wstała z ławki potrząsając głową z dezaprobatą.

- Uratowałam te kocięta ze studni mojego brata, milordzie. Nie są przyzwyczajone, żeby je brać na ręce, a przez te twoje wrzaski pewnie już nikomu nie pozwolą się do siebie zbliżyć. Doprawdy, powinieneś lepiej nad sobą panować.

- Nie podnoś na mnie głosu, Marsali. Wracaj do zamku.

Chwyła się pod boki.

- A to dlaczego?

- Dlatego... - Duncan przeniósł wzrok na Jamiego, który stanął obok dziewczyny, obejmując ją w talii. - Po prostu wracaj do domu, Marsali - powtórzył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Jamie klepnął ją poufale w pośladek.

- Zmykaj. Musimy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Podjąć pewne decyzje.

- Jakie decyzje? - spytała podejrzliwie.

- Idź już, Marsali - powiedzieli równocześnie Duncan i Jamie.

Uśledzała niechętnie. Oba kociaki pobiegły za nią czepiając się paska koronki oderwanej od spódnicy. Duncan patrzył na nią, kręcąc głową z politowaniem, dopóki nie zniknęła za murem.

Jamie zachichotał, kładąc Duncanowi dłoń na ramieniu.

- Mogłeś trochę poczekać, nim nam przerwałeś - odezwał się rubasznie, - Jamie szykował się do właściwych zalotów, jak przystało na MacFaya.

- Słyszałem. - Duncan nie odwzajemnił uśmiechu; oczyma duszy widział rękę Jamiego na pośladku dziewczyny i swoją rękę zacisniętą na gardle zalotnika. - Niestety, nie zostałeś tu dziś zaproszony po to, żeby ją uwodzić. Właściwie w ogóle nie zostałeś zaproszony.

- Ale wszyscy mnie lubią - stwierdził lekko Jamie, przyglądając bujne jasne kędziory. - Szczególnie Marsali.

- To nie Marsali będziesz musiał zadowolić. - Duncan oparł się o ścianę altany, krzyżując ręce na piersi. - Tylko mnie.

Na widok złowieszczonego wyrazu twarzy naczelnika, Jamiemu uśmiech zamarł na ustach.

- Nie podoba mi się to, co mówisz, milordzie.

- Akurat mnie obchodzi, co ci się podoba. Mnie się natomiast nie podoba to, że znałeś Marsali od lat, a dopiero teraz starasz się o jej rękę. Po tym, jak się dowiedziałeś o jej znacznym posagu.

Jamie zamrugał z urazą.

- Starałbym się o nią wcześniej, ale jej ojciec nigdy by mi jej nie dał. Zawsze strasznie zadzierał nosa. A poza tym słyszałem, że ma wyjść za kogoś innego.

- Jej ukochany, z którym była zaręczona zginął razem z jej ojcem i braćmi w powstaniu przed dwoma laty.

- Tak? - Jamie pokiwał głową ze współczuciem. - Cóż, jeszcze cztery zacie żyć oddane za sprawę. Marsali ma powód do dumy.

- Nic nie rozumiesz - zirytował się Duncan. - Zginęli niepotrzebnie. Marsali ma powód do smutku i złości, że stracili życie.

- A na cóż innego jest życie, milordzie? - szczerze zdziwił się Jamie. - Nie broniłbyś swego zamku, gdyby go zaatakowali Sassenachowie?

- Oczywiście, że tak, ale... - Duncan urwał zniechęcony. Po cóż miał zdzierać sobie gardło tłumacząc niuanse wojskowej strategii temu pustogłowemu młokosowi? James Francis Edward Stewart nie pojmował też zapewne skomplikowanych uwarunkowań związanych z sukcesją. Stronnicy Jakuba II byli zbyt rozproszeni i słabo uzbrojeni na wojnę z Anglią.

- Człowiek z twoim doświadczeniem rozumie chwałę walki, milordzie - rzekł Jamie dyplomatycznie.

- Ja rozumiem chwałę pokoju - ostudził go Duncan.

- Pokój? - parsknął Jamie. - Nie będzie pokoju, dopóki Anglicy będą nam wpychać do gardeł te swoje prawa. Tak czy inaczej, chcą nas pozabijać. Uważasz, że powinniśmy umrzeć, nawet nie podejmując walki?

- Uważam, że należy bardziej cenić życie ludzi ze swego klanu.

Jamie poruszył się niespokojnie; najwyraźniej nie podzielał zdania naczelnika, ale bał się z nim spierać.

- Chcę się ożenić z Marsali - powiedział z nutą wyrzutu, jak dziecko, któremu odmówiono słodyczy. - Nie masz powodu mi odmawiać, zwłaszcza że wystawiasz ją jak marchewkę na przynętę każdemu mężczyźnie z okolicy.

Duncan z trudem się opanował, żeby nie zdrześć Jamiego pięścią między oczy.

- A ona chce za ciebie wyjść?

- Dlaczego miałyby nie chcieć? - zdziwił się Jamie. - Tuziny kobiet tego pragną.

- Cóż, nie wiem - wycedził zjadliwie Duncan. - Może ona ma większe wymagania niż tamte tuziny. Dlaczego chcesz się z nią ożenić?

Jamie zawahał się; był człowiekiem nawykłym raczej do czynu niż do refleksji.

- Bo to Marsali, dlatego. Bo jest inna niż wszystkie.

- To na pewno - mruknął Duncan z ironicznym uśmiechem. Nawet ten głupiec Jamie od razu się poznał na jej wyjątkowym uroku.

- Będę mógł się z nią ożenić? - spytał bez osłonek Jamie, Duncan wyprostował się. Westchnął głęboko.

- Ta decyzja zapadnie w Wielkiej Sali w obecności całego klanu.

- Wszyscy mnie lubią - rzucił Jamie szczerząc zęby. - O czym więc mają zdecydować?

Uśmiech Duncana nie wyrażał przychylności.

- Ostateczna decyzja należy do mnie, Jamie. A ja właściwie jeszcze się nie zdecydowałem, czy cię lubię.

Zaraz po tym, jak Jamie odszedł ze złością rozdeptując chwasty, z kraciatą spódniczką płaczącą mu się wokół kolan, Duncan odwrócił się w stronę ogrodowego muru.

- Marsali, możesz już wyjść.

Po chwili ciszy rozległ się szelest suchych liści i ukazała się dziewczyna.

- Wcale nie podsłuchiwałam, milordzie. Naprawdę.

- Oczywiście.

- Próbowałam znaleźć kocięta. Twoje krzyki przestraszyły je śmiertelnie.

Duncan przyglądał jej się z góry. Miała we włosach liście i kilka piór ze zniszczonego diademu. Na sukni widniała wielka czerwona plama z wina. Koronka u halki oddarła się o następnych kilka cali. Marsali wyglądała słodko, bezbrannie i zniewalająco. Czemu Jamie nie miałyby chcieć jej za żonę?

- Wygląda na to, że północ nadeszła wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Kopciuszku.

- Przykro mi, że wszystkie twoje plany wydania mnie za mąż spełzły na niczym - powiedziała, drapiąc się po nosie.

Zauważył, że trzyma w dłoni rękawicę ze świńskiej skóry, należącą do Jamiego.

- Pierwszy miłosny upominek? - spytał zgryźliwie.

- Co? Ach, o to chodzi. Kociaki się w niej chowały. Muszę ją zwrócić. Szpiegowałeś nas, co? Powinieneś się wstydić, naczelniku.

Owszem, męczył go nie tylko wstyd. Wstyd, zazdrość, sprzecznosc uczuć, jakie do niej żywił. Ściszył głos.

- Bardzo go lubisz, prawda?

- Wszyscy lubią Jamiego, milordzie.

- Tak, ciągle to słyszę. Chodzi jednak o to, czy ty lubisz Jamiego?

Zgniotła liść czubkiem brudnego, wyszywanego perełkami pantofelka. Trudno było wyczytać coś z jej twarzy.

- A chcesz, żebym go lubiła?

- Nie ma znaczenia, czy ja go lubię, Marsali.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Ale przecież powiedziałaś Jamiemu... Nie ma?

- Nie ma. To nie ja mam za niego wyjść, tylko ty.

- Ja? - Oczy jej się zaokrągliły.

Kocięta doskoczyły do jego kostki; drobne pazurki wbiły się w skórę zadrapując ją do krwi.

- To jeszcze nie zostało postanowione. Nie mogę mu udzielić odpowiedzi, dopóki nie będę wiedział, czy lubisz go na tyle, by za niego wyjść.

Uderzyła ją dziwna nuta w jego głosie. Czyżby naczelnik był zazdrosny o Jamiego? Na tę myśl usta same złożyły jej się do uśmiechu.

- Hmm, Jamie jest bardzo przystojny. Te jego długie złociste włosy...

- Istny z niego Adonis. Aż się trzęsę z zazdrości.

Był zazdrosny. Marsali nie mogła w to uwierzyć.

- Ma mnóstwo pieniędzy.

- Pewnie większość wydaje na grzebienie i fryzjerów.

Marsali powstrzymała śmiech.

- Jest silnym mężczyzną, przy całej swej próżności. Daleko mu do ciebie, rzecz jasna. Ale widziałeś, jakie ma szerokie ramiona?

- Mój Boże, mógłbym go zgnieść jak karalucha - rzekł Duncan, nim zdążył pomyśleć.

- Już jako małe dziecko chwycił otoczaki, które jego ojciec spychał ze wzgórza.

- To wiele wyjaśnia. Jeden z nich musiał mu spaść na głowę.

Westchnęła przeciągle, wyciągnęła z włosów piórko i puściła, by wirując w powietrzu wolno opadło na ziemię.

- Zostanie naczelnikiem, kiedy jego ojciec umrze.

- O ile sam tego dożyje - wtrącił sucho Duncan. - Jeśli będzie się prowadził tak jak dotąd, może nie przeżyć miodowego miesiąca.

- Przynajmniej nie uważa się za brytyjskiego żołnierza - mruknęła Marsali, nie mogąc znaleźć więcej miłych cech w charakterze Jamiego.

Duncan łagodnie strząsnął kocięta z nogi.

- Odniosłem wrażenie, że bardzo go lubisz, kiedy tam siedzieliście razem na ławce - rzekł ponuro.

Marsalii uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Pocałował mnie - wyznała cicho.

Duncan nie mógł ścierpieć jej tajemniczego uśmiechu. Uśmiechu dziewczyny zadurzonej w mężczyźnie, który chciał się z nią ożenić. Duncan zastanawiał się, co z nim jest nie w porządku. Przecież to było zupełnie naturalne, że Jamie jej się podoba. To jego własna reakcja była nienormalna, jego nieuzasadniona niechęć do tego człowieka. Czyż nie tego właśnie pragnął?

- Sądząc z twojej niemądrej miny, musiał ci się podobać jego pocałunek - wyrwało mu się.

- Dosyć mi się podobał. ~ Potrząsnęła głową niepewnie. - Ale nie wszystko mi się podobało.

Patrząc jej w oczy Duncan czuł dziwny ucisk wokół serca. Rozsądek podpowiadał mu, że czas przerwać tę rozmowę, nim zaprowadzi ich za daleko. Odesłał rozsądek do diabła.

- Co ci się nie podobało, Marsali?

Wzruszyła ramionami, udając, że przygląda się kocieciom chwytającym ją za pantofle.

- To nie... hmm, to nie byłeś ty.

Duncan wpatrywał się w nią osłupiały.

- Co masz na myśli?

- Nic takiego.

Obejmując dłonią jej podbródek, zmusił ją, by na niego spojrziała.

- Nie mów mi, że nic takiego, dziewczyno. Co chciałaś przez to powiedzieć?

Nie spuściła wzroku,

- Po prostu to nie byłeś ty, milordzie, i tyle. Kiedy Jamie mnie całował, wcale nie czułam tego, co tamtej nocy z tobą w jaskini. To chyba nawet lepiej. Nie chciałabym spędzić życia z mężczyzną, którego pocałunki wprawiają mnie w taki niepokój.

Nastąpiła chwila, gdy Duncan powinien był powiedzieć coś mądrego, co pomogłoby utrzymać na wodzy uczucie, jakie ich łączyło. Mógłby jej poradzić, żeby nie ufała zbyt swoim

emocjom. Należało powiedzieć, że małżeństwo powinno być zbudowane na mocniejszych podstawach. Ale żadne mądre słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Wstrząśnięty tym, co od niej usłyszał, czuł zupełną pustkę w głowie. Jej wyznanie ugodziło go prosto w serce włócznią tęsknoty, otwierając mu duszę na oścież. Przyglądał jej się bez słowa; miał przed sobą jej oczy, kuszące usta, ciało.

Milczenie przedłużało się.

- Pod koniec lata powinienem wrócić do swojego regimentu - przypomniał bardziej sobie niż jej. - Wolałbym do tego czasu wiedzieć, że jest ktoś, kto się tobą opiekuje. Ale nawet jeśli takiego kogoś nie będzie, i tak wyjadę.

Nadzieja, rozkwitła w jej sercu, zwiędła niczym delikatny pączek w mroźnym zimowym podmuchu. Odsunęła się od niego, dotykając plecami obrośniętej różami ścianki altany; wybujałe kolczaste gałązki okalały jej twarz.

- Jamie nie jest tobą, milordzie - powiedziała lekko łamiącym się głosem. - Ale myślę, że mimo to się nada.

Duncan nie ruszał się jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut po tym, jak wybiegła z ogrodu. Gdyby tylko spróbował, mógł ją złapać, nim zdążyła uciec. Dokończyłby dzieło uwodzenia, tak niezręcznie rozpoczęte przez Jamiego. Zasługiwała na najlepsze, na nieskończoną czułość. Jego ciało i umysł dręczył ból rozpaczliwie tłumionego pożądania. Marsali pasowała do tego zdziczałego, opuszczonego ogrodu - baśniowa księżniczka w łachmanach, która zaczarowała i ujarzmiła drzemiącego w nim smoka. Jej ufność obudziła w duszy Duncana wściekłą bestię nienawiści do samego siebie. Nie mógł sobie wyobrazić, by taka dziewczyna jak Marsali należała do mężczyzny o tak mrocznej przeszłości, jaka była jego udziałem.

Ale też nie mógł sobie wyobrazić, by mógł ją oddać komuś innemu. Podejrzewał, że nawet gdyby przeszukał całą Szkocję, nie znalazłby kandydata, który by spełnił wszelkie jego oczeki-

wania. Mógłby wręcz zabić Jamiego MacFaya i z uśmiechem udać się na spoczynek.

„On nie jest tobą, milordzie”.

Dobry Jezu, dopomóż. Jakież pokusy budziło w nim to jedno niewinne zdanie.

Podniósł wzrok, kiedy z zamku dobiegł ochryply, fałszywy śpiew, zakłócając spokój ogrodu. Marsali była silna i rozsądna. Zapomni o nim po kilku miesiącach i pogodzi się z takim życiem, jakie on dla niej wybierze.

Natomiast jego życie to inna sprawa. Szczęście najwyraźniej nie było mu pisane w planach Najwyższego. Ale przecież istniały jeszcze inne pola do zdobycia. Istniały łupy do zagarnięcia, tytuły, które mógł dodać do swego nazwiska, tuziny kobiet, które mogły zaspokoić fizyczne żądze. Teraz mógł przynajmniej żyć z poczuciem, że spłacił długi z przeszłości najlepiej jak to było możliwe. Teraz przynajmniej wiedział, że nigdy się nie zakocha w kobiecie, która nie będzie mogła do niego należeć.

Cienie rzucane przez pochodnie płonące w stożkowatych żelaznych uchwytach podkreślały wyraz zdecydowania na twarzy Duncana. Decyzja została podjęta. Błysk zaciętości w oczach wcale nie zdradzał walki, jaką jego uczucia toczyły z rozsądkiem. Patrząc na naczelnika trudno było się domyślić, że w ogóle ma serce, a co dopiero, że to serce właśnie bezgłośnie pęka w szerokiej piersi.

Marsali miała poślubić MacFaya.

MacFaya...

Duncan przystanął w połowie korytarza. Dziwny hałas wyrwał go z zamyślenia - zduszony męski głos i odpowiadający mu zalotny śmiech kobiety. Jamie i Marsali. Odwróciwszy głowę, z przerażeniem spojrzął w stronę ciemnego przedsionka obok schodów prowadzących na wieżyczkę.

Na dolnych stopniach dojrzał dwie splecione ze sobą postacie. Dobry Boże, ten nieokrzesany wieprz zabawiał się z nią na

schodach jak z pierwszą lepszą ladacnicą. Ich namiętne pojękowania i zmysłowy śmiech wbijały się w mózg Duncana niczym gwoździe. Nie namyślał się ani chwili; owładnęła nim bez reszty wściekłość zrodzona z bezsilności i rozczarowania.

Nigdy dotąd nie zaznał tak głębokiej zazdrości. Nawet jako chłopiec, kiedy na wpół nagi i drżący z zimna zaglądał do ludzkich domostw, wpatrując się łapczywie w jedzenie leżące na stołach. Nawet kiedy obserwował, jak inni rybacy na plaży dokazują ze swymi synami, podczas gdy on mógł się spodziewać od Fergusa jedynie gniewnych kuksańców i przekleństw.

Czarny dym wściekłości przesłonił mu oczy, wypełnił trzewia powodując bolesny skurcz w żołądku. W jednej sekundzie stracił zdolność logicznego myślenia, ulegając pierwotnemu odruchowi, który kazał mu rzucić się w stronę schodów.

Bez zastanowienia wyszarpnął szablę zza pasa. Przez głowę przeszła mu straszna myśl; choć nie był rodzonym synem Fergusa, to jednak odziedziczył po tym łotrze nieopanowany charakter. Miał zamiar zabić Jamiego MacFaya. W tym momencie nie dbał nawet o to, że tragiczne wspomnienie będzie przesładować Marsali do końca życia.

Stanął nad złączoną w uścisku parą - posępny niczym cień kruczego skrzydła. Jego głos, zimny jak lodowa kra, wdarł się w miłosne posapywania. Oparł koniec ostrza na wypiętym gołym pośladku Jamiego.

- Opuść kilt i broń się, MacFay. Nie zabijam mężczyzn znajdujących się w tak poniżającym położeniu.

Kobieta przygnieciona ciałem Jamiego krzyknęła cicho, próbując się wyswobodzić. Jamie odwrócił gwałtownie głowę; z jego oczu spod gniewnego zdumienia wyzierała zwierzęca żądza.

- Kto do cholery...

Zamilkł, dostrzegłszy szpadę, celującą teraz w jego pierś. Obciągnął spódniczkę i pozbierał się na nogi stając twarzą w twarz z Duncanem. Przestraszona kobieta osłoniła się brunatną barchanową spódnicą i wsparta na łokciach próbowała się ukryć w mroku pod ścianą. Na widok furii naczelnika była wprost sparaliżowana ze strachu.

Duncan bez słowa obrzucił zimnym spojrzeniem drżącą sylwetkę. Nie była to Marsali, lecz ta nieszczęsna dziewczyna, która wyskoczyła z beczki na wpeł goła tamtego pierwszego wieczoru, kiedy przybył do zamku. Po pierwszym odruchu wstępu poczuł dla niej współczucie, że aż tak nisko się ceni, by usługiwać swym ciałem obcemu mężczyźnie, i to na schodach. Przede wszystkim jednak poczuł niewysłowioną ulgę, od której aż zawirowało mu w głowie. To nie była Marsali.

- Przynosisz wstyd sobie i klanowi - odezwał się do kobiety głosem, który przywiódł ją do płaczu. - Idź na górę i nie pokazuj się do rana. - Zaciśnął zęby na widok wdzięczności w jej oczach. - I nie wspominaj o tym nikomu.

Usłuchała natychmiast.

Jamie uniósłszy gęste jasne brwi z uśmiechem patrzył, jak dziewczyna pośpiesznie wspina się po schodach. Zwrócił się do Duncana, nie wiadomo czy z czystej głupoty, czy zuchwałości, ignorując szpadę wciąż dotykającą jego piersi;

- Włóczyła się za mną przez całą wieczór. Żał mi się zrobiło...

- Zamilcz.

Jamie zmarszczył brwi.

- Ja tylko...

Szpada przebiła gęstą tkaninę; zimne ostrze dotknęło ciała. Zwyciężył rozsądek i Jamie usłuchał polecenia.

Wzrok Duncana spoczął na szabli zalotnika, porzuconej nie-
dbale na podłodze.

- Tylko młokos odkrywa tyły zostawiając broń poza zasięgiem ręki dla chwili przyjemności.

- Odkąd to MacFay musi uważać na swoje tyły w zamku przyjaciela? - odciął się Jamie zaczepnie,

- Odkąd to przyjaciel plami honor kobiety z klanu MacElginów, wciągając ją pod siebie zaraz po tym, jak obiecuje kochać i chronić inną?

Jamie przyglądał długie złote kędziory; skrzywił nieznacznie usta.

- Nie ma nic złego w tym, że mężczyzna korzysta z przyjemności od chętniej kobiety. Słyszałem, że sam to często robiłeś.

- Zabiłem też kilku ludzi, Jamie. O tym też słyszałeś?
- Do diabła, byłem pijany. Nawet nie pamiętam imienia tej baby.

Duncan zacisnął palce na rękojeści szabli.

- Nie wyglądałeś na pijanego, kiedy wychodziłeś z Marsali.
- Pragnę Marsali Hay - powiedział wolno Jamie, nagle uświadamiając sobie, do jakiego celu zmierza rozmowa. - Naprawdę. Ona też mnie pragnie.

Duncan starał się nie zwracać uwagi na ból, jaki mu sprawiły te słowa.

- Wątpię, czy by cię chciała, gdyby cię przyłapała z zadartym kilem.

- Przecież nie jesteśmy jeszcze po ślubie - bronił się Jamie. Poczzerwieniał na twarzy, - A gdybyśmy nawet byli, to nie jest to najgorszy grzech, jaki mężczyzna może popełnić. - Popatrzył na szablę, wciąż opartą na jego falującej gwałtownie piersi. - Zabiłbyś mnie za to, że szukałem w twoim domu odrobiny niewinnej przyjemności?

- Gdybyś skrzywdził Marsali... - wycedził Duncan przez zacisnięte zęby.

Przerwało im echo zbliżających się kroków. Jamie oblizał wargi wdychając z ulgą, bo naczelnik wreszcie schował broń. Zza rogu ukazała się drobna kobieca postać. Mignęła biała koronka, a zaraz potem odezwał się pełen wahania szept.

- Jamie, więc jednak się zgubiłeś? Ostrzegałam, żebyś szedł za mną, ale nie chciałeś słuchać. Wiem, że strasznie dużo wypiłeś, ale zniknąłeś na przeszło pół godziny...

Marsali zatrzymała się raptownie milknąc na widok Duncana. Cofnęła się dostrzegłszy wyraz troski na jego twarzy.

Jego spojrzenie... Przycisnęła dłoń do piersi. To spojrzenie, pełne niewypowiedzianej tęsknoty, zaskoczyło ją i wprawiło w zmieszanie. Zapewne mylnie je odczytała. Z pewnością otwarte pożądanie w oczach Duncana nie było skierowane do niej.

Potrząsnęła głową zdumiona widząc u stóp schodów Jamiego,

który obserwował wymianę spojrzeń pomiędzy nią i naczelnikiem. Zmarszczył brwi, kiedy uśmiechnęła się z przymusem.

- Jamie - powiedziała z lekką zadyszka. Jej głos zabrzmiał dziwnie nienaturalnie; udzieliło jej się napięcie panujące pomiędzy mężczyznami. - Więc jednak się zgubiłeś.

- Taak. - Spuścił głowę zerkając z wahaniem na Duncana, po czym sięgnął po porzuconą broń.

Marsali przyglądała mu się ze zdziwieniem; wyglądał zupełnie jak niesforny uczeń ostro zganiony przez nauczyciela. A Duncan wyglądał jak - podniosła wolno oczy - jak zawsze: jak mężczyzna. Władczy naczelnik, zdolny wydać ją za obcego człowieka, a równocześnie patrzący na nią jak skazaniec na ostatni wschód słońca w swoim życiu.

- Co zaszło między wami? - spytała cicho, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

Jamie podniósł głowę. Jego bezczelny uśmiech przez chwilę kusił Duncana, by wyznać całą prawdę. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził jednak, że nie jest w stanie tego uczynić. Prędzej by sobie odciął lewą rękę, niż naraził Marsali na takie upokorzenie.

- Nic nie zaszło - odparł z miną zniechęcającą do dalszych pytań. - Udzieliłem Jamiemu kilku rad na temat tego, co się przytrafia mężczyznom, którzy zbyt dużo piją, a potem włączają się po ciemku. To wszystko.

Wyminął ją, a ona aż podskoczyła, kiedy ich ramiona przypadkiem się zetknęły.

Odprowadziła wzrokiem wysoką postać Duncana znikającą w otchłani mrocznego korytarza. Całym sercem pragnęła pójść za nim, ale powstrzymało ją wspomnienie ciężkiego milczenia, jakim odpowiedział na jej wyznanie w ogrodzie. Zaskoczyła go tym, co powiedziała. Cóż, siebie także zaskoczyła; nie uświadamiała sobie w pełni żywionych do niego uczuć, dopóki te słowa same nie wymknęły jej się z ust.

„On nie jest tobą, milordzie”.

Pięć prostych słów, które wyjawiały więcej o jej marzeniach, niż ośmielała się przyznać sama przed sobą. Jakież to było głupie

z jej strony pragnąć mężczyzny, który wyparł się wszelkich ludzkich uczuć, podczas gdy ona żyła kierując się uczuciami, a jej przepełnione nadzieją serce wręcz dopraszało się, by ktoś je złamał.

Jamie objął ją w pasie. Odruchowo zeszywniała.

- Arogancki drań - mruknął, całując ją w szyję.

- Duncan? - Odsunęła się od niego zdziwiona. - Nie lubisz naczelnika?

- A ktoś go lubi?

- Więc jednak się z nim pokłóciłeś?

- Owszem, pokłóciliśmy się.

Serce jej mocniej zabiło.

- O mnie?

- Niezupełnie. - Wyjął piórko z jej włosów i połaskotał ją nim po nosie. - I tak cię wyda za Jamiego. Wie, że się tobą dobrze zaopiekuję. Dotknij tych muskułów, Marsali.

- Co? - Odchyliła głowę do tyłu, bo podsunał jej przed same oczy napięte ramię. - Nie wygłupiaj się.

- Pomacaj. - Wziął jej rękę i położył na sterzącym bicepsie. - Jamie jest silny. Marsali jest słaba. Jesteśmy dobraną parą.

Uderzyła go w wyciągnięte ramię.

- Nie kocham cię, Jamie MacFay.

- Cóż, Jamie też cię nie kocha, Marsali Hay - odrzekł bez zmieszania. - Ale podziwiałem cię od czasu, gdy młotkiem złamałaś mojemu bratu palec za to, że chciał pojeździć na twoim kucyku.

- Jak można budować małżeństwo na takim wspomnieniu - oburzyła się.

- Są też inne. - Wziął ją za rękę, doprowadził z powrotem do schodów i usiadł, wciągając ją sobie na kolana. - Jako dzieci pływaliliśmy razem nago w jeziorze. Pamiętam, że bardzo lubiłaś Jamiego.

- Uważałam cię za kłótliwego małego drania - powiedziała

sucho, pochylając się tak, że ich głowy się zetknęły. - Jamie, o co się pokłóciliście z naczelnikiem? - spytała po chwili.

Zawahał się; objął ją mocniej, jakby się spodziewał, że usłyszawszy prawdę, będzie chciała uciec.

- Kotku, to, co powiem, zrani cię głęboko, ale nie chcę, żebyś się dowiedziała od naczelnika. Przyłapał mnie z jedną z kobiet z twojego klanu.

- Na czym cię przyłapał?

- No wiesz...

- Przyłapał cię... - Pojawszy o czym mowa, zeszywniała w jego objęciach. - Jesteś świnią, Jamie MacFay. Jesteś niewiarogodną, obrzydliwą świnią. Żałuję, że nie mam tu teraz tego młotka.

Poderwała się do ucieczki, ale zdążył ją złapać. Uśmiechnął się zachwycony jej temperamentem.

- Z tego, co widzę, zdobywam cię walkowerem, Marsali Hay. Nie ma drugiego mężczyzny, który by sobie z tobą poradził.

- Jesteś wstrętnym zwierzęciem, Jamie.

- Owszem, ale to się skończy, jak tylko weźmiemy ślub. Według słów twoich przyjaciół masz do wyboru albo mnie, albo życie w staropanieństwie w domu twojego brata. A jeśli nawet ja zdradziłem cię cielesnie, to głupstwo w porównaniu z tym, jak patrzyłaś na naczelnika przed kilkoma minutami.

Wstała; rozsypane pukle włosów otoczyły jej wystraszoną twarz,

- To aż tak widoczne?

- Dla mnie tak. - Podniósł się także i ujął ją za rękę.

- Potrzebuję twojego posagu, Marsali, a ciebie pragnąłem od lat. Jeśli będziemy żyć długie lata i stworzymy rodzinę, to dobrze. Ale jeśli umrzemy razem walcząc przeciw Anglikom, to też dobrze. Chodzi o to, że jesteśmy do siebie podobni, ty i ja. Naczelnik nie należy do takich jak my. On nie ma serca.

Przypieczętował swoje wyznanie miękkim pocałunkiem. Marsali poddała się, ale nie odwzajemniła czułości. Choć Jamie miał dużo szorstkiego uroku, przed oczyma stała jej posepna twarz

Duncana. Chciała zapomnieć jego spojrzenie sprzed chwili, ten wyraz bólu i żalu z przegranej, którego nie udało mu się ukryć.

- No, chodź - ponaglił ją Jamie. - Udajmy, że prosimy go o zgodę, a potem wynośmy się stąd.

- Mamy się wynosić?

Ruszył w kierunku wielkiej sali.

- Mój ojciec jest umierający. Miło byłoby wziąć ślub jeszcze przed pogrzebem, nie sądzisz?

Nie odpowiedziała. Szła za nim jak w transie. Nie mogła sobie wyobrazić małżeństwa z Jamiem ani życia w ponurym Dunlaih na wschodnim wybrzeżu, tak jak i tego, że miałyby opuścić wszystko i wszystkich, których kocha. Nie była w stanie myśleć o niczym poza gruboskórnością Duncana, który gotów był wydać ją za człowieka przyłapanego na zwierzęcym parzeniu się z inną kobietą. Obydwaj wzbudzali w niej odrazę, i Duncan. i Jamie.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Chcę pojechać do Wirginii, Jamie.

- Do Wirginii? - Odwrócił się gwałtownie, niemal przygniatając ją do ściany.

- To moje marzenie.

Spojrzał na nią z góry i rzekł wolno kiwając głową:

- Dobrze, kotku, pojedziemy. - Nie miał pojęcia, gdzie jest ta Wirginia; pewnie gdzieś koło Londynu. Zamierzał jednak ją tam zabrać, bo po pierwsze był w niej zadutrzyony na tyle, by się zgodzić na wszystko, a po drugie, pewnie rozbiłaby mu głowę młotkiem, gdyby odmówił.

Przystanął przed drzwiami do Wielkiej Sali.

- Dobrze wyglądam?

- Co?

- Nie mam potarganych włosów?

Marsali przyjrzała mu się bez słowa. Tak, był przystojny dumną urodą Apolla. Problem polegał na tym, że jego próżność jeszcze przewyższała urodę, a do tego już jako młoda dziewczyna Marsali często odnosiła wrażenie, że rozmowa z Jamiem przypomina gadanie do obrazu.

DZIKUSKA

- Masz piękne włosy, Jamie - zapewniła, wymijając go. Chwytał ją za ramię i mrugnął do niej porozumiewawczo.
- Poczekaj, kotku. Pozwól Jamiemu wejść najpierw. Żeby nie byli rozczarowani.

Ustąpiła wzruszając ramionami. Jamie ceremonialnie otworzył drzwi i wkroczył do środka. Tak jak się spodziewał, już w progu powitały go pochlebstwa ze strony przychylnych członków klanu. Promieniał uśmiechem niczym samo słońce. Odgarnął bujne loki i wyrzucił w górę ramiona z jawnym zadowoleniem przyjmując oznaki uwielbienia.

- Jamie wrócił! - zakrzyknął, pozwalając się unieść napierającej na niego gromadzie. - I przyprowadził swoją narzeczoną!

19

Duncan ściągnął usta w zimnym uśmiechu widząc ich wchodzących do sali. Zaciśnął dłonie na poręczy krzesła, kiedy Jamie poufale nachylił się do Marsali dotykając jej ramienia, a potem wziął ją za rękę, jakby już do niego należała. Kiedy przyciągnął ją do stołu, rozległy się gromkie okrzyki radości. Donovan zaczął grać na harfie wyciskającą łzy miłosną melodię.

Edwina pociągnęła nosem, osuszając rzęsy wyperfumowaną chusteczką.

- Uroczą para. - Głośno wysiąkała nos. - Pomyśleć tylko, że przyczyniłam się do ich związku.

- On jest świnia - odezwała się Cook za plecami Duncana; kiedy na nią spojrzął, dodała ściszym do szeptu głosem: - Tam, na schodach, to była moja bratanica.

Zerknęli na siebie porozumiewawczo; po raz pierwszy tych dwoje zagorzałych przeciwników zjednoczyła niechęć do MacFaya. Jednak rozejrzawszy się wokół po rozanielonych twarzach swoich współplemieńców, wpatrzonych z uwielbieniem w młodą parę, Duncan stwierdził, że on i Agnes stanowią mniejszość. Nawet Edwina, zdrajczyni, sprawiała wrażenie zachwyconej rozkwitającym na jej oczach romanssem.

Jamie MacFay. niezłomny jakobita i zarazem gorącochrwisty szkocki góral, miał wziąć za żonę ulubienicę całego klanu. Byli w siódmym niebie.

Duncan aż wstrzymał oddech; fala zazdrości dosłownie nim

zachwiała z siłą dobrze wymierzonego kopniaka. Był przygotowany na oddanie Marsali, ale nie takiemu człowiekowi. Jamie posłał mu arogancki uśmieszek, jakby chciał powiedzieć: „Nie-długo sam zasiądę na miejscu naczelnika. To ja będę się cieszył słodkim ciałem Marsali przez całe noce. Moje nasienie zakiełkuje w jej brzuchu. A kiedy umrę, ludzie będą płakali nad moim grobem wspominając moją dzielność, podczas gdy ty odejdiesz zapomniany... i bez przebaczenia”.

Przetarł oczy dłonią, jakby chciał odegnać mroczne obrazy podsuwane przez wyobraźnię. Kiedy odzyskał jasność widzenia, Jamie i Marsali stali przed nim jak bajkowi książę i księżniczka, oczekując wyrażenia zgody na ich związek. Nie podobało mu się, że Marsali unika jego wzroku; Jamie trzymał ją mocno za rękę. Trudno było odgadnąć, jakie myśli wypełniają umysł dziewczyny.

Mimo późnej godziny cały klan zgromadził się w Wielkiej Sali. W nabrzmiałej oczekiwaniem ciszy można było usłyszeć pojedyncze westchnienia i ciche pochrząkiwania prosiaków Effie, które pożywiały się resztkami ze stołu i zlizywały rozlane wino.

Johnnie chrząknął, spoglądając wyczekująco na Duncana.

- Zgromadziliśmy się tu dzisiaj, milordzie, żeby prosić o pozwolenie na ślub Jamiego MacFaya z naszą drogą Marsali Hay...

- Oby żyli długo i szczęśliwie - włączył się rozanielony Lachlan, wyrzucając w górę czapkę.

Uśmiechnięty półgębkiem Jamie trącił łokciem Marsali. Odwzajemniła mu się tym samym, nie odrywając oczu od podłogi. Czapka wylądowała w półmisku z resztkami baraniego gulaszu. Duncan poczuł palce Cook zaciskające się na jego ramieniu. Nie wiedział, czy uścisk miał wyrażać poparcie, czy też ostrzeżenie, ale nie miało to znaczenia. Już powziął decyzję.

Podniósł się wolno z krzesła. Jakiś podochocony biesiadnik z drugiego końca stołu rzucił w jego stronę kolejną świszczącą strzałkę. Cook zręcznie odbiła ją wałkiem.

- Nie możesz sam o nią poprosić, MacFay? - surowo zapytał Duncan.

Jamie zachnął się, wypinając pierś z miną bohatera, który wie, że ma za sobą co najmniej tuzin szabel.

- Jamie pragnie Marsali Hay - rzekł dumnie, wyraźnie świadom przychylności zgromadzonych. - I bierze ją za żonę.

- Nikt mnie nie bierze - odezwała się nagle Marsali, rzucając Jamiemu gniewne spojrzenie. - Posłucham rady wuja i odtąd sama będę o sobie decydować. Jadę do Wirginii.

- Jedziemy do Wirginii - poprawił ją z naciskiem Jamie. Jedziemy tam na nasz miesiąc miodowy.

- Doprawdy? - zdziwił się Duncan. - No, no, chciałbym to zobaczyć, MacFay.

- Trzymaj język za zębami, Jamie - rzuciła mu Marsali przez ramię. - On chce z ciebie zrobić idiotę.

Jamie przywołał skinieniem jednego ze swych popleczników; zwrócił się doń zaniepokojony:

- Czy on próbuje zrobić z Jamiego idiotę?

Duncan zacisnął wargi w nieprzyjaznym uśmiechu.

Nagle drzwi otworzyły się z hałasem.

- Tylko nie to - westchnął Duncan, widząc, jak Effie ciągnie przez salę jakichś ludzi.

- Poczekajcie! - zawołała Effie z trudem chwytną oddech.

- Przyprowadziłam jeszcze dwóch świadków, żeby obejrzeli zareczyny!

Dość niechlujnie wyglądający młody człowiek o ciemnych włosach i zielonych oczach zatrzymał się przy stole. Nim spojrzał na naczelnika, dokładnie przyjrzał się Marsali i Jamiemu. Towarzysząca mu kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży w milczeniu zrobiła dokładnie to samo.

- Domyślam się, że powinienem wyrazić zgodę - powiedział mężczyzna z wyraźną niechęcią. - Czas, żeby ktoś się za nią zabrał.

- Czas, żeby się ustatkowała z mężem i dziećmi - dodała ciężarna, mierząc Jamiego wzrokiem z góry na dół jak poćć wołowiny. - Ostatecznie może być. Dużo mięśni, mało mózgu. Miałam nadzieję na coś lepszego. Przynajmniej zapewni jej dom.

- Bardzo przepraszam. - Duncan wychylił się przez oparcie krzesła. - A kim wy, u diabła, jesteście?

- To mój brat Gavin i jego żona, Bride - wyjaśniła spokojnie Marsali. - Mają siedmioro dzieci...

- Ośmioro - sprostowała Bride, klepiąc się po wydatnym brzuchu. - Następne w drodze. A tak nawiasem mówiąc. Jamie, do Wirginii nie można jechać konno. Ona leży za oceanem.

Duncan kiwnął palcem na Marsali, każąc jej się zbliżyć. Kiedy stanęła przed nim, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Naprawdę chcesz wyjść za tego głupka? - spytał z udawaną łagodnością.

Jamie usłyszał jego pytanie; zmarszczył brwi. Wezwawszy jednego ze swych ludzi, spytał szeptem;

- Czy on próbuje mnie obrazić?

- Ależ skąd, Jamie. Dlaczego ktoś miałby cię obrażać, chłopcze?

Jamie z zadowoleniem przyjął wyjaśnienie; zbliżył się do siedzących razem krewnych. Atmosfera romantyzmu zaczęła się stopniowo ulatniać. Dawały o sobie znać skutki wypitych trunków. Zapalone ponownie świece z rybiego tłuszczu skwierczały i kopciły. Kilku najbardziej strudzonych biesiadników zległo pod stołem.

Jamie uderzył dłonią w rękojęść pałasza.

- Milordzie, mam już błogosławieństwo rodziny. Potrzebuję jeszcze tylko twojego.

Duncan zmierzył Jamiego zimnym spojrzeniem spod opuszczonych powiek.

- Nie - poniósł się echem po sali jego donośny głos. Skrzyżował ramiona na piersi. - Jako lord i naczelnik klanu MacElginów odmawiam ci prawa poślubienia tej kobiety, która znajduje się pod moją opieką - Uśmiechnął się złośliwie. - A nawiasem mówiąc, Jamie, doszedłem do wniosku, że wcale cię nie lubię.

Jamie otworzył usta z niedowierzaniem. Tupnął nogą i natychmiast u jego boku stanęło sześciu jego ludzi.

- Czy on odmówił Jamiemu?

Z początku wszyscy byli przekonani, że naczelnik po prostu żartuje. W pełnej zdumienia ciszy rozległo się kilka niepewnych chichotów. Marsali patrzyła na Duncana gubiąc się w domysłach. Do czego zmierzał? Jego zaciśnięte usta świadczyły o nieodwołalności decyzji. Od tygodni robił wszystko, żeby się jej pozbyć, a teraz, kiedy miało wreszcie do tego dojść, jednym mchem zagarnął ją z powrotem pod skrzydła swej władzy, jak któregoś ze swoich ołowianych żołnierzyków.

Ogarnęła ją złość. Nie dlatego, że odmówił jej zgody na posłubienie Jamiego, czego i tak nie zamierzała zrobić. Dlatego, że wykorzystywał swoją pozycję do dyrygowania jej życiem. Tak, podobało mu się robienie błazna z Jamiego - co, musiała przyznać, wcale nie było trudne - ale wszystko wskazywało na to, że Duncan ani nie chciał jej dla siebie, ani nie chciał pozwolić, żeby wziął ją ktoś inny. Chciał po prostu rządzić jej życiem.

Odepchnawszy ją lekko, Jamie chwycił się pod boki.

- Nie możesz mi tego zrobić. Zepchnął ze stołu półmisek z grochem i zaczął deptać rozsypane ziarna jak dziecko wyładowujące bezsilną złość. - Cały twój klan stoi za mną murem.

- Duncanie - szepnęła zaniepokojona Edwina chwytając go za łokieć - co cię napadło?

Strząsnął jej rękę nie siląc się na odpowiedź.

Klucząc między płamami rozgniecionego grochu, Johnnie zbliżył się do Duncana.

- Jamie MacFay jest dobrym człowiekiem, milordzie. Nie masz powodu odrzucać jego oświadczyn. - Ściszył głos. - Myślałem, że go lubisz. Może nie jest zbyt bystry, ale i tak znacznie lepszy od pozostałych.

Opinię Johnniego poparła fala aprobujących pomruków. Duncan wciąż wzbudzał sporo niechęci u członków klanu z powodu dyscypliny, jaką uparcie starał się wprowadzić. Według standardów Pogórza Szkockiego jego postawę uznawano za wysoce niewłaściwą. Najgorsze do zniesienia było to, że zmuszał ich do pracy.

- Jeszcze nawet nie złożył przysięgi na białym kamieniu
- mruknął ktoś krytycznie pod adresem naczelnika.

- Do tego bawi się lalkami.

- Nie ma prawa wypowiadać się w imieniu nas wszystkich.

- MacElginowie i MacFayowie od wieków byli przyjaciółmi.

Wyraz twarzy Duncana nie zmienił się ani na jotę na widok ziaren rebelii kiełkujących niczym jęczmień po wiosennym deszczu. Niech ich diabli! Nie miał zamiaru bronić decyzji, którą sam nie do końca rozumiał. Jego odmowa, jako naczelnika, powinna wystarczyć. Po raz pierwszy docenił władzę pochodzącą z racji urodzenia.

Nagle u jego boku znalazła się Cook; zaczęła energicznie stuknąć wałkiem w stół. Duncan skurczył się odruchowo. Johnnie cofnął się o krok na wszelki wypadek.

- On mówi w moim imieniu - oświadczyła kucharka wyzywająco. - Oddaję mój głos przeciwko MacFayowi.

- Ja też - włączyła się Edwina, spoglądając z respektem na wałek.

- Edwino, doceniam poparcie, ale nie należysz do klanu. Nie masz prawa głosu - ostudził ją Duncan.

- Stoję za Cook - obwieścił głośno Lachlan. Duncan nie miał żadnych wątpliwości, że gniew kucharki i widmo śmierci głodowej wywarły znaczący wpływ na jego decyzję.

Jeden po drugim, ludzie z klanu zgłaszali swoje poparcie dla Cook. Duncan był zdumiony autorytetem, jakim cieszyła się ta kobieta.

- Dzięki, Agnes - mruknął.

Skinęła wyniośle, niczym królowa odbierająca należny jej hołd.

- Będziesz teraz miał pełne ręce kłopotów z Marsali - ostrzegła go cicho.

Duncan skierował wzrok na postać w białej koronce stojącą w cieniu Jamiego. Rozmawiali szeptem, pochyleni ku sobie jak spiskowcy. Zacisnął zęby. Nie uszedł jego uwagi wyraz dzikiej furii na twarzy Marsali, w chwili gdy odmówił Jamiemu zgody na ślub. Cóż, jakoś sobie poradzi z jej złością. Przynajmniej nie

będzie w nocy leżał bezsennie torturowany myślami o tym, że dotykają jej wstrętne łapy MacFaya.

Podniosła głowę, jakby czując na sobie jego wzrok. Z błędej twarzy świeciły błyszczące gniewem oczy. Czy ta dziewczyna nie rozumiała, że próbował tylko zaoszczędzić jej cierpień?

Jamie nagle oderwał się od Marsali i podszedł do Duncana. Ściągnawszy groźnie jasne brwi, uderzył naczelnika w pierś. Duncan ani drgnął. Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył tej dziecinnej zaczepki.

- Nikt nie odmawia Jamiemu.

Wszyscy na sali wstrzymali oddech w oczekiwaniu reakcji Duncana. Nawet prosięta pod stołem przestały chrząkać unosząc ryjki z zaciekawieniem.

Duncan się uśmiechnął. Nie był to miły uśmiech, ale Jamiemu brakło bystrości, by zdać sobie z tego sprawę. Zachęcony biernością naczelnika, wyciągnął dłoń do następnego ciosu.

Nikt dokładnie nie widział, co zaszło, ale tym, którzy stali najbliżej krzesła Duncana, wydawało się, że naczelnik jedynie przyłożył rękę do mostka Jamiego z siłą nie większą niż ta, jakiej potrzeba do pacnięcia muchy. Jamie dosłownie przeleciał przez salę, ponad krzesłami i półmiskami, i wylądował w ramionach swych osłupiałych kompanów.

- To jeszcze nie koniec, MacElgin - zawołał Jamie od progu, podtrzymywany przez swoich ludzi. - Nie jesteś w tym kraju sędzią ostatecznym! Zwrócę się do wyższej władzy!

- Co on ma na myśli? - zainteresowała się ubawiona Edwina.

- Ten wieprz nie ma chyba zamiaru zwracać się ze swoją sprawą do króla?

Duncan wolno potrząsnął głową.

- Pójdę do naczelnego wodza twojego klanu - odgrażał się Jamie.

- Tak, pójdę do samego wodza MacElginów. Przekonamy się, kto tu naprawdę ma władzę. - Jego ludzie próbowali go uspokoić, wiedząc, że mniej liczni i nie przygotowani mają małe szanse w ewentualnej walce, Ale Jamie miotał się targany urażoną dumą.

- Jamie cię pragnie, Marsali Hay! - darł się jeszcze z korytarza.

- I będzie ją miał. MacElgin, ty cholerny bękarcie!

20

W zamieszaniu, jakie nastąpiło po dramatycznym wyjściu Jamiego, pośród krzyków, przepychanek dla lepszego widoku, dymu świec zmuchniętych od gwałtownego zatrzęsnięcia drzwi, Duncan stracił Marsali z oczu.

Wpadł w panikę na myśl, że mogła uciec śladem Jamiego. Poderwał się z krzesła omal nie wpadając na buszującego prosiaka. Bez słowa minął Edwinę. Nagle kątem oka dostrzegł błysk białej koronki, niczym pasemko dymu znikające w bocznym korytarzyku. Zatem uciekała z miejsca swego upokorzenia, ale, dzięki Bogu, nie przyłączyła się do tego głupca MacFaya.

Pobiegł za nią, lecz nim dopadł przedsiönka schodów, dziewczyna zniknęła.

- Marsali!.- zawołał z niepokojem, wbiegając po trzy stopnie naraz, żeby ją dogonić.

Usłyszał ciche szuranie bosych stóp o kamień. A potem nagle jakiś cień oderwał się od ściany i spadł na niego. Osunął się o kilka stopni, a odzyskawszy równowagę sięgnął do szabli. W momencie, gdy zdał sobie sprawę, że napastnikiem jest dziewczyna, czarnowłose stworzenie o dziwnie znajomym uśmiechu, chlusnęła mu w twarz wiadro zimnej słonej wody.

- A masz - zawołała z przejściem sypiąc mu na głowę garść mokrych płatków.

- A cóż ty, u diabła, robisz? - krzyknął, osłaniając się wyciągniętymi rękami.

Odskoczyła przestraszona.

- Chronię moją biedną kuzynkę Marsali. Wprawdzie moje czary nie są tak skuteczne, jak czary mojego papy, ale to ci powinno wystarczyć, milordzie naczelniku. A masz!

Pomachała sękatą różdżką nad jego... dobry Boże, wciąż miał oczy zalane wodą, ale mógłby przysiąc, że machała nad jego... nie, to niemożliwe.

- I niech pozostanie martwy aż do następnej pełni księżyca - dodała szeptem, po czym ominąwszy go zwinnie rzuciła się do ucieczki.

Przez chwilę Duncan z wrażenia nie był w stanie się poruszyć; patrzył w ślad za małą czarownicą, która zmykała objijając pustym wiadrem o schody. Ocknąwszy się wreszcie, przebiegł resztę stopni i wpadł na wieżyczkę.

Ścigał nie tę dziewczynę, co trzeba. Marsali pędziła na koniu przez zwodzony most. Z oddali wyglądała jak biała gołębica odlatująca w perłową szarość zmierzchu. Zraniona gołębica uciekająca przed bólem, jaki Duncan jej zadał, choć jedynie pragnął ją chronić.

Nie mógł pozwolić jej odejść. Nie z tym poczuciem krzywdy w oczach, które by go prześladowało przez resztę życia. Nie z Jamiem, który włókł się wybrzeżem wraz z bandą swoich pijanych towarzyszy. Teraz naprawdę czuł się jak złośliwa macocha Kopciuszka. Dlaczego dał się namówić Edwinie na ten nedorzeczny bal? Gdyby rozmawiał z kandydatami do jej ręki na osobności...

I tak by nie znalazł ani jednego, który byłby jej godny.

Zbiegł ze schodów i przez dziedziniec udał się do stajni, nie zważając na rozpaczliwe nawoływania Edwiny.

Ruszył spod zamku gnając jak sam diabeł; znalazł porzuconego wierzchowca Marsali na szczycie urwiska, w pobliżu wraku zamieszkiwanego przez czarownika. Podchodząc bliżej kamienistą ścieżką dostrzegł białą koronkową spódnice Marsali powiewającą na maszcie niczym flaga poddania. A może była to oznaka

triumfu, którą miał odebrać jako symbol niezależności i gniewu? Może to Jamie ją tam zostawił, naigrawając się z jego porażki?

Zdrętwiał z przerażenia. Czyżby jednak uciekła z MacFayem? Czy będzie musiał wszcząć wojnę klanów, żeby ją odzyskać? Na samą myśl o jakimkolwiek wojskowym szkoleniu ludzi z jego klanu zbierało się człowiekowi na płacz.

Mógł sobie to wyobrazić. Strzelanie gotowanymi jajami z katapult. Kucharka prowadząca tych nieudaczników w ataku na twierdzę MacFayów. Prosiaki Effie zamykające wyprawę w celu odbicia dziewczyny, która sprawiła mu więcej kłopotów niż całe francuskie siły razem wzięte. Nie, generał MacElgin nie poległby w chwale na obcej ziemi. Prawdopodobnie zostałyby zabity przez któregoś z własnych żołnierzy podczas wrywania Marsali z rąk MacFaya.

Nagle ujrzał jej zagniewaną drobną twarzyczkę obserwującą go przez bulaj i owładnięty przemożnym poczuciem ulgi omal nie spadł z pomostu. Był może mistrzem strategii wojennej, ale w sprawach serca niedoświadczonym nowicjuszem. Nie uciekła z Jamiem... więc co miał z nią teraz zrobić?

Wpadł do kabiny i natychmiast został zaatakowany przez Euna. Czarownika nie było na statku. Nie było tam też czarno-włosej dziewczyny, która machała nad nim różdżką i kopnęła go w goleń.

- Do licha! Pomóż mi! - zawołał, bo Eun okładał go skrzydłami po twarzy, wbijając mu jednocześnie ostre jak igły szpony w skórę na szyi. W kabinie było ciemno niczym w jaskini; paliła się tylko jedna świeca. Nie dość, że ptaszysko w ciemności miało nad nim przewagę, to jeszcze straciwszy równowagę, Duncan włożył nogę w wiadro, zapewne to samo, które mała wiedźma opróżniła na niego na schodach.

- Marsali, każę tego ptaka wypchać i zawiesić na ścianie, jeżeli natychmiast go ze mnie nie ściągniesz!

Marsali przyglądała mu się zmrużonymi jak u kocicy oczyma, leżąc na koi pod stertą kołder. W końcu, z troski o to, że atakując

Duncana Eun mógłby doznać uszczerbku, wstała i ostrożnie złapała ptaka.

Jastrząb natychmiast się uspokoił; usadowił się na jej głowie i stamtąd obserwował Duncana spod opuszczonych powiek. Nie zważając na przekleństwa naczelnika, Marsali przeniosła ptaka na jego żerdź i przywiązała go luźno, nie nakładając mu jednak zamszowego kapturka.

- Miałś zakaz opuszczania zamku, Marsali - zrobił jej wymówkę Duncan, kiedy z powrotem usiadła na koi. - Dobry Boże, jak ty wyglądasz? Nie wstyd ci paradować w samej bieliźnie? Gdybyś jechała w tym stroju po plaży, nie mógłbym mieć za złe MacFayowi, gdyby uznał, że ma prawo cię porwać.

- A ty jak wyglądasz, milordzie? - nie pozostała mu dłużna. - Stoisz tu z nogą uwięzioną w wiadrze. Nie cierpię takich falbaniastych, drapiących sukienek. Chyba ci tego jeszcze nie mówiłam. Ciebie też nienawidzę. I tego też ci jeszcze nie mówiłam.

Przykuśtykał do koi, próbując dyskretnie strząsnąć wiadro z nogi i równocześnie starając się nie gapić niczym smarkacz na jej niemal nagie ciało.

- Okryj się czymś, Marsali.

W odpowiedzi tylko cisnęła w niego kołdrą.

- Zachowujesz się bardzo dziecinnie. - Ośłonił się uniesioną ręką. - Wyglądasz w tych jedwabnych majtkach jak rozpustnica.

- A kto mi kupił te majtki, pytam? - Odwróciła się do niego ze złośliwym uśmiechem.

- Ja tylko zapłaciłem za te stroje - odrzekł szybko, siadając obok niej na koi. - To nie był mój pomysł, żebyś je nosiła. A jeśli już, to pod czymś, za co pewnie też zapłaciłem.

- Świetnie więc. To je zdejmę,

- Nie ma mowy. - Przerażony, że gotowa jest spełnić groźbę, bo zaczęła się niebezpiecznie wiercić, chwycił ją obiema rękami za biodra. Rozzłoszczona wygięła plecy w łuk, usiłując wyswobodzić się z uścisku.

- Przestań - syknęła przez zęby. - Wolałabym, żebyś tu nie przychodził, milordzie.

- Ja też. Uspokój się, Marsali. Jestem od ciebie silniejszy, więc niepotrzebnie się ciskasz. Muszę z tobą poważnie porozmawiać, a trudno się skupić na rozmowie z kobietą w samej bieliźnie. Gdybyś była naga, byłoby to już całkiem niemożliwe. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana tym, co dzisiaj zaszło. Rzeczywiście, skończyło się nieprzyjemnie i zupełnie nie tak, jak było zaplanowane, ale ty i klan również ponosicie za to odpowiedzialność. Nie wyłączając twojego wuja, kuzynki i tego ptaszyska.

- Próbowali tylko mnie chronić - przypomniała.

- Owszem, a ty robisz wszystko, by to utrudnić. A właściwie, gdzie się podziewa twój wuj?

- Wyszedł pracować z Fioną nad rzucaniem uroków.

Siedziała bez ruchu z rękami skrzyżowanymi na piersi jak święta męczennica. Duncan bezwiednie przeniósł wzrok z jej twarzy na ponętne wypukłości i wgłębienie rysujące się pod cieniutkim jedwabiem. Na domiar złego, przez cały wieczór wyobrażał sobie, że się z nią kocha, w różnych pozycjach i miejscach. Zdumiewające i przerażające zarazem, z jaką łatwością jego ciało wymykało się spod kontroli umysłu. Tego wieczoru dziwna dwoistość jego natury ujawniła się ze szczególną siłą; myślał, że MacFay odbierze mu dziewczynę na zawsze, wzbudziła w Duncanie wręcz barbarzyńską żądzę zagarnięcia jej dla siebie.

- Bał wcale nie skończył się „nieprzyjemnie”, milordzie - odezwała się pierwsza po dłuższej chwili ciszy, jaka między nimi zapadła. - To była katastrofa. Koszmar. Całe moje życie legło w gruzach. - Zmarszczyła brwi. - Kto mnie teraz zechce? - spytała całkiem trzeźwo.

- Każdy mężczyzna, który ma oczy.

- I tak wyjeżdżam do Wirginii - prychnęła.

- Na koniu Jamiego?

Zagryzła dolną wargę,

- To wcale nie jest śmieszne. Zrobiłeś z niego głupca.

- On jest głupcem. - Dotknął jej pobladłego policzka. Pożądanie walczyło w nim z poczuciem obowiązku, skręcając mu trzewia w bolesny węzeł. - On by ci nie dał właściwej opieki.

Zadrżała, kiedy przesunął palcem wzdłuż jej ucha do podbródka.

- A kto kogo prosił o opiekę nade mną?

- Popatrz na mnie, Marsali.

- Nie.

- Naprawdę mnie nienawidzisz?

- Owszem. Poza tym, ilekroć spojrzę ci w oczy, coś złego dzieje się z moim umysłem i zawsze mówię rzeczy, których potem żałuję.

- Chcę cię widzieć zameżną, nim wyjadę - rzekł spokojnie.

Uniosła się na łokciach i odepchnęła jego rękę; była zła, że znów wspomniał o wyjeździe, bo wiedziała, że mówi poważnie.

- Bawiłeś się mną jak marionetką - szepnęła z żalnym wyrzutem. - Machałeś mną jak kością przed sforą psów.

- Oni wszyscy byli jak psy. - Pokiwał głową. - Każdy z nich, łącznie z tym durniem MacFayem.

- Wyjdź za tego człowieka, Marsali. Nie, zmieniłem zdanie. Wyjdź za tamtego. Włóż to na głowę. Włóż złotą bieliznę. Wypnij piersi, dziewczyno. - Nie potrzebuję cię, milordzie.

- Głos jej się załamał. - Nikogo nie potrzebuję. To, że kogoś potrzebujesz, oznacza, że stajesz się od niego zależny. A potem ten ktoś wyjeżdża wyrwijąc ci kawał serca, które już nigdy się nie zagoi. - Urwała zanosząc się bezgłośnym szlochem.

Gardziła sobą za to, że powiedziała tak wiele; zbyt zawstydzona, by oczekiwać od niego odpowiedzi, ukryła twarz w podciągniętych pod brodę kolanach. Długo tłumione uczucia - żalu, straty, odrzucenia - napłynęły potężną falą, nie pozwalając się odepchnąć.

Duncan patrzył na nią bez słowa. Miał wielką ochotę pogłaskać ją po opuszczonej smutno głowie, ale nie śmiał jej dotknąć. Zdumiała go głębia nieszczęścia, jakie musiało być jej udziałem, jakiego musiała doznać utraciwszy wszystkich, których kochała. Ile jeszcze cierpienia ukrywała pod radosną powierzchownością ukazywaną światu? I co on sam dla niej zrobił poza tym, że od samego początku krzywdził ją i upokarzał?

Wyrzuty sumienia ścisnęły go za gardło.

- Chciałem znaleźć człowieka, który by ci dał opiekę... nie.

nie tylko opiekę, ale uczucie i radość. Za bardzo mi na tobie zależy, żebym ci pozwolił nadal wieść takie życie.

Wolno uniosła głowę i spojrzała na niego oczyma zasnutymi smutkiem.

- Nie chcę już żyć - szepnęła beznamiętnie.

- Nie mów tak. - Jej wyznanie napełniło go przerażeniem. Wprawdzie mógł podejrzewać coś takiego po jej straceńczym zachowaniu, ale słysząc te słowa miał ochotę jednocześnie nią potrząsnąć i mocno przytulić, by dodać otuchy.

- Byłeś moją ostatnią nadzieją - powiedziała cichym, jakby zmęczonym głosem.

Rysy mu stężyły.

- Nie jestem niczyją nadzieją, chyba że chodzi o wyszkolenie wojska czy zdobycie cytadeli. Dla klanu nic nie znaczę, i właściwie dlaczego miałbym znaczyć?

- Nie rozumiesz. - Przełknęła ślinę; mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał. - Chciałam cię dla siebie.

Przez jedną szaloną chwilę, kiedy ich oczy się spotkały, był gotów poddać się jej marzeniom. Przeszłość i przyszłość przestały istnieć. Pragnął jej z mocą, która nie pozwalała mu logicznie myśleć. Nadludzkim wysiłkiem zdołał się jednak opanować.

- Wydaje mi się, że nie do końca wiesz, co mówisz - odezwał się wreszcie. - Ojciec pragnął dla ciebie jakiegoś zagranicznego księcia, nie wyrzutka.

Jakby zapomniała o własnych troskach, zaniepokojona nutą rezygnacji w jego głosie.

- Chcesz powiedzieć, że naczelnik klanu nie jest wart córki dzierżawcy?

- Nie taki naczelnik.

Wyprostowała się na koi. Najwyraźniej nadszedł czas na ściągnięcie masek, na odkrywanie tajemnic. Jeszcze nigdy dotąd Duncan nie pokazał jej się od takiej strony; rozbroiła ją jego bezbronność.

- Ale dlaczego, milordzie?

Duncan patrzył gdzieś ponad nią, wsłuchany w jednostajny szum fal uderzających o kadłub. Jak miał wyjaśnić mroczną

pokretność swoich myśli komuś prostolinijnemu i czystemu niczym promień słońca?

- Po prostu nie nadaję się dla ciebie - powiedział po chwili, znużonym gestem pocierając skronie. - Może nawet nie nadaję się dla nikogo.

Złość uleciała gdzieś z jej serca; chowanie urazy nie leżało w jej naturze, a poza tym zrozumiała, że on cierpi bardziej niż sądziła.

- Nadal jesteś smutny z tego powodu, że siostrzenica Edwiny uciekła z tamtym mężczyzną? - spytała, dotykając ze współczuciem jego ramienia.

Dotyk jej delikatnych palców wzbudził w nim dziwny lęk; jakby patrzył na motyla, który przysiadł na groźnej bestii nie wyczuwając niebezpieczeństwa. Uświadomił sobie, że Marsali nigdy nie patrzyła na niego tak jak inni członkowie klanu. Może była zbyt młoda, żeby ulegać wpływom cudzych opinii. A może jej ojciec, błogosławić jego mądrą duszę, nauczył ją odkrywać własne prawdy. Tak czy inaczej, postrzegała Duncana jako dumnego, władczyego mężczyznę, silnego i pewnego siebie. Naczelnika. Markiza. Geniusza wojskowego. Widziała go takiego, jakim chciałby być.

To był wizerunek, jaki narzucił reszcie świata. Wizerunek, który sam stworzył, żeby zatrzeć w pamięci bolesne wspomnienia o brudnym, zaniedbanym chłopcu, który musiał przeżyć poniewierkę dzieciństwa i burzliwe dojrzewanie. Ale ten wizerunek był iluzją; zbudowany z piasku, kruszył mu się pod stopami, opadając ziarenkiem po ziarenku. Pewnego dnia, kiedy się całkiem rozsypie, Duncan zapadnie się w otchłań rozpacz.

- Co ja mam teraz z tobą zrobić, dziewczyno? - pomyślał na głos, patrząc na nią z zakłopotaniem.

- Kochaj mnie - powiedziała, a jej usta same rozciągnęły się w uśmiechu.

- Nie mów tak. Twój ojciec gotów powstać z grobu.

- Kochaj mnie. - Zarzuciła mu na szyję szczupłe ramiona. Drobne ciało lgnęło do ciepła jego szerokiej piersi. - Kochaj mnie - szepnęła mu prosto do ucha.

Od jej słodkiego oddechu poczuł na skórze niebezpieczne mrowienie. Chciał zaprotestować, ale słowa nie przechodziły przez dziwnie ściśnięte gardło. Swoją prośbą skruszyła mur, którym przez całe życie próbował odgradzać się od świata. Duncan nakazał sobie w duchu odepchnąć ją od siebie i natychmiast opuścić kabinę.

Zaraz potem wciskał ją w koję, całując do utraty tchu. Była słodka jak wrzosowy miód. Ufała mu; pragnienie widoczne w jej oczach budziło w nim zarazem poczucie winy i dzikie pożądanie, któremu nie sposób się oprzeć.

- Każ mi przestać - odezwał się resztką woli; jego głos brzmiał jak jęk torturowanego. - Dziewczyno, czy ty nie rozumiesz, co ja ci chcę zrobić?

Przesunął wargami po jej policzku do szyi, przyszczypując zębami skórę z delikatną zmysłowością, od której przebiegł ją rozkoszny dreszcz aż po czubki palców u nóg. Słyszała jego głos, ale docierał do niej jako gardłowy pomruk, znaczenie słów rozplątywało się w odurzającej chmurze słodyczy. Gdy jego usta odnalazły poprzez cienką tkaninę czubek jej piersi, aż wstrzymała oddech, wstrząśnięta szybko rozprzestrzeniającym się po ciele, gwałtownym odczuciem przyjemności.

- Powiedz mi, co chcesz mi zrobić, milordzie - szepnęła, drżąc w radosnym oczekiwaniu.

Przymknął oczy wciskając twarz we wgłębienie pomiędzy jej piersiami.

- I bez twoich zachęt wystarczająco lubieżne myśli chodzą mi po głowie - wymruczał.

Przesunął dużą silną dłoń po jej biodrze, zatrzymując się na wypukłości u zbiegu ud. Ogarnęła go istna gorączka. Wystarczyło, że jej tam dotknął, by całe jego ciało dosłownie stanęło w płomieniach.

- Hmm, na przykład to, na początek - rzekł, z trudem wydobywając z siebie głos. - A potem cię rozbiore i będę cię całował wszędzie.

- Wszędzie? - zdziwiła się wesoło.

Musiał się uśmiechnąć; jej rozbajająco szczerą ciekawość

podniecała go bardziej niż zabiegi wszystkich znanych mu kurtyzan razem wziętych. Był w stanie zrozumieć wściekłość MacFaya, kiedy mu jej odmówiono. Należała do typu kobiet, które, nawet się o to nie starając, wzbudzają dzikie żądze bywając przyczyną wojen.

- Owszem, wszędzie. Będę cię całował i dotykał wszędzie.
- Wsunął palec w rozcięcie jej majtek, w wilgotne ciepło ciała ukrytego w gęstwinie skręconych włosów. Teraz on zadrżał, ostatnim przeblaskiem świadomości czując jak ulatują resztki jego woli. Niewiele brakowało, by posiadał ją nie bacząc na konsekwencje.

- Ooch... - Marsali wyprężyła się pod dotykiem jego dłoni, zaskoczona nowym doznaniem. Była zaciekawiona i zdumiona reakcją własnego ciała. Duncan wparywał się w nią z niepokojącymi błyskami w oczach. Zmieszana skryła twarz na jego muskularnej piersi, wdychała mocny męski zapach, który mieszał się ze słodką wonią ziół zawieszonych u sufitu, przyprawiając o zawrót głowy. Podobał jej się ciężar przygniatającego ją ciała i delikatna pieśczoła palców wzbudzająca wciąż nowe fale przyjemności.

Duncan zacisnął zęby, przywołując do rzeczywistości umysł owładnięty pożądaniem. Kiedy przeżywając rozkosz krzyknęła cicho, wtulona ustami w jego ramię, miał wrażenie, że zaraz wybuchnie. Wyobraził sobie, jak się w niej zagłębia, raz po raz, aż do osiągnięcia spełnienia. Całe jego ciało boleśnie domagało się samczego zaspokojenia; pragnął się z nią zespolić, naznaczyć ją, zagarnąć.

- Gdybyś teraz znała moje myśli. Marsali - rzekł, przygarniając ją mocno do siebie - wiedziałabyś, dlaczego się dla ciebie nie nadaje.

Oderwała głowę od jego ramienia, nieświadoma rozterek, z jakimi musiał się zmagać. Zaspokojenie i poczucie ciepła płynące z bliskości pomiędzy nimi sprawiło ją w nastrój błogości. Patrząc gdzieś w dal, uśmiechnęła się z zamyśleniem.

- O czym myślisz? - spytał cicho Duncan.

Przeniosła wzrok na jego twarz.

- Myślałam właśnie o historii Mojżesza ze Starego Testamentu. On mi przypomina ciebie. Czytałeś kiedyś Biblię, milordzie?
- zapytała niespodziewanie.

Duncan zamrugał. Był pewien, że musiał się przesyśleć.

- Co?

- Biblię. Jest tam opisane, jak Bóg wpływa na niedoskonałych ludzi, kierując ich na właściwą drogę. Byłeś dawniej bardzo zły, a teraz masz szansę odkupić swoje grzechy.

- Czy ty jesteś pijana, Marsali?

- Nie rozumiem, skąd ci to mogło przyjść do głowy.

- Bo tylko ktoś kompletnie pijany mógłby pomyśleć, że Bóg przysłał mnie do tej kabiny dla zbawienia, podczas gdy jestem o krok od pozbawienia cię niewinności. To mi wcale nie wygląda na biblijną historię.

- Miałam na myśli to, że przysłał cię do zamku w szczególnej misji. - W jej pełnym przejścia tonie nie było śladu miłostnego oszołomienia sprzed zaledwie chwili. - Chyba nie mamy na myśli tego samego.

- Najwyraźniej - przyznał kwaśno. - Ja mówię o seksie, bo mężczyźni głównie o tym myślą, a po tym, co między nami właśnie zaszło, temat wydaje mi się całkiem na miejscu.

- Może jednak powinieneś poczytać Biblię - szepnęła, patrząc mu w oczy. - Podsunęłaby ci inne tematy do rozmyślań.

Potrząsnął głową z rezygnacją i przygarnął dziewczynę mocno do siebie. Wtuliła się w niego, nie zdając sobie sprawy, jak na niego działają jej dziecięco niewinne gesty. Świece rzucały szarozłote cienie na ściany kabiny, nadając otoczeniu nierzeczywiste, jakby widziane we śnie kształty.

Poczuł się zaspokojony. Nie seksualnie. Dobry Boże, nadal był niczym kipiący kocioł pełen wrzącej namiętności. Nie. Jego zadowolenie płynęło z głębszych pobudek. Trzymał ją w ramionach. Jakby ustąpiła chmura zaciéniająca jego duszę. Zaspokojenia żądzy doświadczał aż za wiele razy w życiu. Ale czegoś takiego nigdy... takiego dziwnego pomieszania uczuć - dojmującego pragnienia i radującej serce pewności.

- Gdzie teraz pójdziemy? - spytał z troską.

Bez słowa spojrzała przez bulaj. Duncan słyszał, jak jastrząb nerwowo przemieszcza się po swojej grzędzie. Gdyby Duncan w tym momencie mógł bezkarnie porwać Marsali, zrobiłby to bez wahania.

Usłyszał, jak szepce mu do ucha:

- Nie wiem, dokąd pójdziemy, milordzie, ale powiem ci jedno: musimy pójść, i to szybko. Na pokładzie jest mój wuj i moja kuzynka.

Duncan zastygł z przerażenia.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, że poszli rzucać uroki.

- Owszem. - Marsali aż podskoczyła, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły. - Ale na tym polega problem z czarami. Albo działają, albo nie. Nie można na nich polegać.

21

Duncan zapomniał o wiadrze, które z trudem ściągnął z nogi. W pośpiechu podrywając się z koi, znów w nie wdepnął, stracił równowagę, zachwiał się i runął z powrotem na Marsali. Krzyknęła odruchowo. Kiedy Colum i Fiona weszli do kabiny, ujrzeli Duncana leżącego na plecach, przygniatającego swym ciężarem dziewczynę, która krzyczała i machała ramionami niczym wiatrak.

Fiona, wyciągnąwszy pochopnie pierwszy nasuwający się wniosek, rzuciła się Duncanowi na nogi, żeby ratować kuzynkę. Duncan okładany z góry przez Fionę po udach i targany po uszach przez Marsali, przez chwilę poważnie obawiał się o swoje życie.

Czarownik nie wyrzekł ani słowa. wstał na środku kabiny z dziwnym wyrazem twarzy. Duncan mógłby przysiąc, że dostrzegł w jego oku błysk zadowolenia.

- Zejdź ze mnie. milordzie - wystękała Marsali. - To nie wygląda zbyt dobrze.

- Do licha, Marsali. Próbuję się poruszyć, ale ta dziewczyna siedzi mi na nogach i albo sama ze mnie zejdzie, albo będę ją musiał zrzucić siłą, co jeszcze bardziej rozżłości twójego wuja.

- Zejdź z nóg naczelnika, Fiono - słabym głosem poprosiła Marsali, - Sam naczelnik jest ciężki jak skała, a ty jeszcze pogarszasz sprawę.

Fiona niechętnie zsunęła się z Duncana i wdrapała się na koję, skąd patrzyła współczująco na kuzynkę.

- Nie chce mi się wierzyć, że mógł się tak zachować. Brutal. Całe szczęście, że rzuciłam na niego urok, żeby mu zwiędło przyrodzenie, bo mogłoby być jeszcze gorzej.

Duncanowi udało się wreszcie wstać; schylił się, żeby zrzucić z nogi uprzykrzone wiadro, które odrzucone przeleciało przez kabinę i potoczyło się pod nogi Columa. Marsali podciągnęła kołdrę pod samą brodę i wodziła przestraszonym wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

- Hmm - odezwał się wreszcie Colum; pełnym pogardy ruchem podsunął Duncanowi pod nos zaplamioną winem białą sukienkę Marsali. - Namiętność to jedno, milordzie, ale czy musiałeś ją ogłaszać całemu światu rozbierając moją siostrzenicę na pokładzie?

- Ja jej nie rozebrałem. - Duncan rzucił Marsali wymowne spojrzenie. - Sama się rozebrała - dodał, jakby to miało coś usprawiedliwić.

Marsali przytaknęła słabo.

- To prawda, wuju. Zdjęłam sukienkę, bo byłam na niego zła, że najpierw kazał mi wyjść, a potem nie wychodzić za MacFaya.

- Jamiego MacFaya? - spytała Fiona prostując się na koi. - Naczelnik chciał cię zmusić do poślubienia tego wielkiego, gruboskórnego typu? - Zerknęła na ojca znacząco. - No, no. Nie wygląda na to, żeby twoje cudowne czary miłosne tym razem zadziałały, tato. Prosiłam, żebyś mi pozwolił pomóc.

Marsali zmrużyła oczy wyczuwając zmowę.

- Jakie miłosne czary? - spytała przeciągle. - Fiono, czy chcesz powiedzieć, że wuj Colum próbował połączyć mnie z MacFajem za pomocą czarów?

Colum posłał Fionie ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie, nic takiego nie chce powiedzieć - mruknął. - A poza tym nie o moje zachowanie tu chodzi. Chciałbym wiedzieć, co robiliście z naczelnikiem na koi, kiedy tu wszedłem.

Zapadła cisza.

- My... - Marsali przełknęła ślinę, na próżno szukając wsparcia u Duncana, który stał oparty o przepierzenie zakrywając rękami

oczy. - Prawdę mówiąc, wujku Columie, kiedy wszedłeś, rozmawialiśmy akurat o Biblii.

Duncan opuścił ręce i z niedowierzaniem przyglądał się, jak siedząc na wpół nago na koi Marsali próbuje wybrnąć z sytuacji na pozór bez wyjścia.

- Rozmawialiście o Biblii? - powtórzył Colum tonem więcej niż sceptycznym.

- Tak... właściwie to ja mówiłam o Biblii. Mówiłam naczelnikowi, że być może Bóg wyznaczył mu rolę podobną do roli Mojżesza.

- Mojżesza? - Colum osłupiał.

- No tak, Mojżesz stracił panowanie nad sobą i popełnił morderstwo, a mimo to Bóg wprowadził go na drogę chwały.

- Urwała marszcząc brwi, po czym dokończyła: - Bóg lubi robić takie rzeczy.

- Kiedy otwarłem drzwi, wrzeszczałaś jak wiking - przypomniał jej Colum. - Nie zauważyłem, żebyś recytowała Pismo Święte.

- To prawda, wujku Columie, ale naczelnik trafił nogą w wiadro i kiedy na mnie runął, poczułam się, jakby mnie przygniótł zaprzęg wołów. Ty też byś krzyczał w takiej sytuacji.

- Ja bym krzyczała - poparła ją Fiona.

Colum spojrział na wiadro; na jego pociągłej twarzy odbijały się trudne do odczytania emocje. Wolno przeniósł wzrok na Duncana.

- Sam się wiele razy potknąłem na tym cholernym wiadrze - stwierdził swobodnie. - Cud, że jeszcze sobie przez nie nie złamałem nogi.

Marsali przyglądała się wujowi podejrzliwie. Tylko skończony głupiec mógł przyjąć jej wyjaśnienia za dobrą monetę, a wuj był najtrzeźwiej myślącym człowiekiem, jakiego znała - nikt nie był w stanie go nabrać, a on sam nawet nie mrugnął okiem, nie przemyślawszy wpierw, czy mu się to opłaci. Stary wyga bez wątpienia coś knuł, a instynkt ostrzegał ją, że lepiej będzie odkryć jego zamiary.

Duncan natomiast skwapliwie przyjął przeprosiny czarownika,

jakkolwiek były niezasłużone. Przeżył chyba najdziwniejszy i najbardziej niepokojący wieczór w swoim życiu.

- Wracam do zamku, Marsali - oznajmił, próbując ocalić resztki autorytetu. - Chcę, żebyś jechała ze mną. MacFay z pewnością jeszcze się tu gdzieś kręci.

Marsali się zawahała. Z jednej strony nie była jeszcze gotowa wybaczyć mu, że nią manipulował, że zranił jej dumę. Z drugiej jednak coś w niej rwało się ku niemu i kazało jej pójść za nim choćby w przepaść, gdyby tylko tego zażądał. Zresztą, nawet kiedy ze sobą walczyli, dawał jej więcej przyjemności niż ktokolwiek inny na świecie.

Wstała unosząc dumnie podbródek. Duncan zdumiał się, jak dostojnie potrafiła wyglądać z kołdrą narzuconą na ramiona niby królewski płaszcz.

- Nie wracam do zamku, milordzie.

- Zatem do jutra.

Wzruszyła ramionami.

- Mogę już nigdy nie wrócić do zamku, po tym, co tu zaszło dziś wieczorem.

Duncanowi trudno było zebrać myśli, po części z powodu jej wuja i kruczowłosej dziewczyny wyraźnie czyhajacej na pretekst, by się znowu na niego rzucić. Nie byłby poważanym w świecie generałem, gdyby nie wiedział, kiedy należy się wycofać. Przynajmniej Marsali miała przed sobą bezpieczną noc pod opieką krewnych. Wątpił, by Jamiemu starczyło rozumu na przechytrzenie starego czarownika.

- Świetnie - rzekł sucho. - Ale kwestia twojej przyszłości musi być rozstrzygnięta w ciągu tygodnia, Marsali. Tak czy inaczej. Na razie do niczego nie doszliśmy.

Echo Duncanowych kroków na pokładzie zadudniło w ogarniętej ciszą kabinie niczym gniewne bicie serca. Marsali wyrwała wujowi z ręki swoją białą sukienkę i włożyła ją na siebie. Spojrzała z wyrzutem na Fionę, która zwiesiła głowę, żeby ukryć twarz ściągniętą poczuciem winy. Ubrawszy się, Marsali pochwyciła różdżkę i wolno wycofała się na środek pomieszczenia.

- Dobrze. Poszedł sobie. Zostaliśmy w rodzinnym gronie, a wiem, że coś knujecie. Wujku Columie, co Fiona miała na myśli mówiąc o miłosnym zakłęciu?

Colum rzucił Fionie niespokojne spojrzenie, a potem schylił się, żeby podnieść wiadro.

- Odtąd masz je zostawiać na pokładzie, Fiono. Nie na środku schodów, gdzie mogę sobie skrócić kark, pamiętaj. I nie przy drzwiach...

- Zatrzymam twoją różdżkę jako zakładniczkę, wujku Columie.
- Marsali zwróciła się do dziewczyny z oczyma płonącymi złością. - A jeśli ty mi nie powiesz, Fiono, to zrobię ci coś strasznego.

- Jak strasznego? - spytała szeptem Fiona i wcisnęła się w głębiej w koję, zdjęta przyjemnym dreszczykiem emocji.

Marsali poczuła płynące od różdżki mrowienie w palcach.

- Jeszcze nie wiem... najstrasznieszczą rzecz, jaka może przyjść do głowy.

Fiona zwilżyła usta.

- Strasznieszczą od tego, co zrobiłaś Georgie na początku zimy?

- Owszem. - Głos Marsali brzmiał dziwnie gardłowo, nawet w jej własnych uszach, a z jej ciałem działo się coś niezwykłego, jakby przepływały przez nią fale energii. Zdumiona spojrzała na swoje ręce; krew pulsowała jej w żyłach ze zdwojoną siłą. Różdżka zachowywała się niezwykle, wibrowała jej w dłoniach jak żywa istota.

- Idź do swojej kabiny, Fiono - polecił Colum. Jego ton przywodził na myśl ciszę przed burzą. - Marsali nie jest dziś sobą.

Fiona wygrzebała się z koi, ale Marsali zastąpiła jej drogę. Wyglądała jak rozgniewana wróżka na wojennej ścieżce.

- Ojciec - szepnęła Fiona - ostrzegałam, żebyś się nie mieszał. Spójrz, co się dzieje.

Spojrzał i zaniemówił.

W miarę jak rosła złość Marsali, fale z coraz większą siłą uderzały o kadłub starego wraku. Różdżka w jej dłoni sypała niewidzialne iskry, od których gęstniało powietrze. Kiedy Colum

zbliżał się do niej powoli, jego długa szata aż trzeszczała od wytworzonej przez nią energii.

- Znakomicie - pochwalił, aprobując kiwając głową. - Zawsze wiedziałem, że posiadasz ten dar. Na boginię, miałem rację.

Marsali spoglądała na różdżkę z niedowierzaniem, niezdolna wymówić słowa. To była prawda: czuła, jak całe jej ciało drży w jakimś tajemniczym, czarodziejskim rytmie. Mrowiło ją w stopach. Miała wrażenie, że gdyby drzwi były otwarte, mogłaby wylecieć pomiędzy gwiazdy. Owładnęło ją poczucie mocy, uderzające do głowy i niebezpieczne.

Zaczerpnęła tchu.

- Zrobię coś bardzo, bardzo strasznego wam obojgu, jeśli mi nie powiecie, o co tu chodzi. - Uderzyła różdżką o rozpostartą dłoń. - I to już!

Fiona zatrzęsała się jak piórko. Czarownik wzruszył ramionami, poddając się władzy Marsali.

- Rzuciłem miłosny urok, żeby cię na wieki związać z naczelnikiem - przyznał się Colum bez cienia skruchy. - Z tego, co widziałem tu dzisiaj wieczoru, było to jedno z moich najbardziej skutecznych magicznych przedsięwzięć.

Fiona przytaknęła skwapliwie; aż się trzęsała z chęci wyjawienia szczegółów ekscytującego sekretu.

- Użył włosów oplecionych na krzyżu twojej matki. Twojego i naczelnika. To było najmocniejsze zaklęcie, Marsali. Nieodwracalny urok.

- Ty... - Marsali nie mogła wydusić z siebie słów. Czerwona mgła przesłoniła jej oczy. Znowu była manipulowana, tym razem za pomocą czarów. Zdradzona przez własnych krewnych, przez dwoje członków rodziny, którym najbardziej ufała. Czyżby nie było ucieczki przed tymi wszystkimi chybionymi próbami wpływania na jej życie?

Colum uśmiechał się z satysfakcją, niewzruszony jak głaz. Fiona przemknęła obok niego i skryła się pod stołem. Książki, moździerz i gliniane dzbanki zrzucane z półek lądowały kolejno na ziemi. Pył z utartych ziół zawirował w powietrzu. Fale waliły o kadłub niczym artyleria.

Marsali minęła wuja trzymając różdżkę w zaciśniętej dłoni. Energia biła z niej jak para. Eun zerwawszy się z uwięzi przeskakiwał tam i z powrotem z grędy na koję. Kiedy Marsali wreszcie uniosła różdżkę do góry, drzwi otwały się gwałtownie, a podmuch wichury rzucił Cołuma na kolana.

Marsali, oszołomiona mocą, nad którą nie była w stanie zapanować, wybiegła z kabiny.

Eun wyfrunął za nią; czarownik zrozumiał, że odtąd ptak nie będzie już tylko jemu posłuszny.

Duncan siedząc na koniu obserwował statek ze szczytu urwiska. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. W kabinie działo się coś bardzo dziwnego. Przez okna widać było rozbłyski kolorowego światła. Najdziwniejsze jednak było to, że dalej morze pozostawało całkiem spokojne, a wokół statku kłębiło się wściekle; rozjuszony fale niemal zgniatały kadłub potężnymi uderzeniami. Z całą pewnością to nie była normalna rodzina.

Nagle ujrzał Marsali, biegnącą po pokładzie w białej ślubnej sukni, i lecące jej śladem piekielne ptaszysko. Kiedy dziewczyna dopadła trapu, Duncan zeskoczył z konia i ruszył w jej stronę poprzez zarośnięte zwichrzoną trawą wydmy. Nie tak sobie wyobrażał spokojny wieczór w domu.

Spotkali się na ścieżce. No, niemal się spotkali. Kiedy Duncan znalazł się o zaledwie trzy stopy od Marsali, gwałtowny podmuch wiatru dosłownie wcisnął go w zbocze, niczym pięść niewidzialnego giganta. Stracił dech. Przez zasłonę falującej mgły widział twarz Marsali, równie zdumioną jak on tym niesamowitym zjawiskiem.

- Co to, u licha, było? - wykrztusił.

Minęła go wolno; jej głos brzmiał jak szept na wietrze.

- Nie mogę ci powiedzieć, milordzie. Wiem tylko, że jestem bardzo, bardzo zła i jeśli będziesz mnie próbował zmuszać, żebym wróciła do zamku, może ci się przytrafić coś złego. Mogę zupełnie stracić panowanie nad moją mocą.

- Marsali, nie wierzę w żadne uroki i zaklęcia! - krzyknął za nią.

Odwróciła się. Duncan cofnął się o dwa kroki; zatrząsł się jak rażony piorunem. Jeszcze przez chwilę potem dziwne dreszcze chodziły mu po kręgosłupie.

- Ja też w nie nie wierzyłam, przynajmniej do dzisiaj. Wyciągnęła ramię i Eun natychmiast na nim przysiadł. - Wygląda jednak na to, że istnieją na tym świecie pewne moce, chociaż w nie nie wierzymy.

Włosy skłębily jej się wokół głowy; wyglądała zarazem krucho i władczo, dziko i nieziemsko, a on pragnął zabrać ją do zamku, do swego łóżka, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek w całym swoim życiu. Chciał być tym, który poskromi jej dzikość. Chciał się z nią zjednoczyć ciałem i duszą.

Chciał ją całować. Do licha, zamierzał ją całować. Wyciągnął ręce, żeby ją pochwycić, ale zamarł w bezruchu, bo jastrząb ostrzegawczo zamachał skrzydłami.

Duncan z trudem się powstrzymał.

- Wracaj ze mną do zamku, Marsali.

Kusiło ją, bardzo ją kusiło. Stał na tle ściany urwiska, w stroju naczelnika, jakby sam był wyczarowaną zjawą. Przy całej swej arogancji, przy wszystkich grzechach, jakich się dopuścił, była w nim także dobroć. To przedziwne połączenie cienia i jasności najbardziej chwyciło Marsali za serce.

- Nie wracam! - zawołała. Potrząsając głową, targana wiatrem, cofnęła się ścieżką pod górę. - Nadal jestem na ciebie zła. Nie próbuj mnie powstrzymać.

Spojrzał w dół, przestraszony, że wichura zdmuchnie ich w dół na skały. Jeszcze nigdy nie szarpały nim tak ostre podmuchy.

- Marsali...

- Nawet nie próbuj mnie dotykać - ostrzegła. - Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło. Nie panuję nad tym. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Może się skończyć na tym, że zabiję nas oboje.

Niech to diabli. Ilekroć się zbliżał, żeby ją chwycić, wiatr go od niej odpychał.

~ Dokąd pójdziesz? - krzyknął. - Kto o ciebie zadba?
- Sama zadbam o siebie - zapewniła z przekonaniem. - Robiłam to z powodzeniem, zanim tu przybyłeś.

- Powstrzymaj ten wiatr, Marsali.

- Jeszcze nie wiem jak, milordzie, - Nagle uśmiechnęła się odgarniając włosy z czoła. - A poza tym podoba mi się. Podoba mi się ta moc. - Czy tak właśnie się czujesz siedząc naprzeciw swoich poddanych i wydając im rozkazy?

Nie odwzajemnił uśmiechu, coraz bardziej przerażony. Mogła zniknąć i nigdy więcej by jej nie zobaczył. MacFay mógł ją zabrać, a on nawet by o tym nie wiedział, zanim by było za późno.

- Podaj mi rękę, Marsali.

Starał się ją złapać, ale umykała ścieżką coraz wyżej: traktowała to jak zabawę, sprawdzanie swej mocy. Wciągnął go wietrzny wir; słona piana i piasek wionęły mu w twarz odbierając zdolność widzenia. Kiedy odzyskał wzrok, dziewczyny już nie było.

Morze uspokoiło się. Wiatr zamarł. Jeśli coś mogło go pocieszyć po jej zniknięciu, to jedynie fakt, że MacFay również nie będzie mógł jej złapać.

Przeklinając bezradność, tak niezgodną z jego naturą, wspiał się ścieżką do swego wierzchowca. Dokąd mogła się udać? Jeśli ta dziwna scena, jaka się pomiędzy nimi rozegrała, była magią, a mocno w to wątpił, to co go czekało? Czy rzeczywiście miała aż tak wielką moc? Ta myśl była tyleż intrygująca, co budząca grozę.

22

Z otchłani snu wyrwało Duncana głośne chrząkanie tuż przy uchu.

Otworzył oczy i natychmiast zmrużył je przed światłem bijącym z odsłoniętego okna. Mokry włochaty nos łaskotał go po nie ogolonej szczęce.

Bał się rozejrzeć. Po chwili ruszył głową na poduszce. Wielkie nieba. Nie był sam.

I to nie był mokry nos. To był świński ryj. Spał ze swinią.

- Do jasnej cholery!

Ochryply wrzask pobudził do życia naczynia krwionośne w otępiałym mózgu. Butelka brandy, która utuliła go do snu, stoczyła się z jego nagiej piersi. Kiedy gwałtownie uniósł się na łóżku, świnka Effie, Ailis, w falbaniastym czepeczku nałożonym na łeb, przestraszona wcisnęła się pod jego nogi. Prosiak Alan zainteresowany podbiegł do leżącej na podłodze butelki, żeby ją obwąchać.

Duncan przez chwilę patrzył na ryjek wystający spomiędzy jego nóg, a potem znowu wrzasnął. Ailis uciekła w popłochu. Alan rozpląszczył się na podłodze. Oba warchlaki nie znosiły krzyku.

Drzwi stanęły otworem; Edwina i Effie wpadły równocześnie do środka, zderzając się w progu ramionami. W pokoju unosił się intensywny zapach brandy. Naczelnik siedział na łóżku w samych spodniach i ryczał jak ranny lew. Pod kołdrą wierciła się Ailis.

Edwina prychnęła z dezaprobatą. Effie sprzątnęła Alanowi sprzed ryja butelkę, upominając go matczynym tonem:

- Przecież jesteś jeszcze malutki. - I wyprostowawszy się dodała: - Naczelnik powinien się wstydzić, że sprowadza na złą drogę niewinne zwierzątko.

Duncan jęknął zakrywając twarz poduszką. Ostry głos Effie szarpał mu nerwy.

- Ten pokój cuchnie niczym gorzelnia - wtrąciła się Edwina, z obrzydzeniem zatykając nos. - Nie rozpałiłabym tu ognia w obawie przed wybuchem.

Duncan chwycił Ailis i nie zważając na protesty postawił ją na podłodze.

- Czy Marsali wróciła rano? - spytał głosem, który brzmiał, jakby się wydobywał z głębi wyschniętej studni.

- Marsali nie wraca - odpowiedziała radośnie Effie. - Ma zamiar na dobre zamieszkać ze swymi ludźmi na wrzosowiskach. Tym razem obraziłeś ją na dobre, milordzie.

Edwina oparła się o ścianę.

- Nawiasem mówiąc, Duncanie, major Darling czeka na ciebie na dole. Chce twojej oficjalnej zgody na zrównanie z ziemią... jak on to ujął?... kilku nędznych chałup i drzew stojących na zawadzie jego drodze.

- Drań! - wykrzyknęła Effie, stojąc w drzwiach z wrywającym się prosiakiem pod każdą pachą. - Powstrzymasz go chyba, milordzie? Nie pozwolisz mu zniszczyć ludzkich domów?

Duncan opuścił poduszkę ukazując zasepione oblicze. Nie słuchał ich. Wydawało mu się, że usłyszał na dziedzińcu głos Marsali. Zerwał się z łóżka i podszedł do okna, trąc przekrwione oczy, żeby lepiej widzieć. Nie. To tylko jakaś dziewczka kuchenna wydzierała się na Lachlana za to, że ukradł jej świeżo upieczone placki.

Zaklął pod nosem. Cóż, w końcu zatoczyli pełne koło, on i Marsali. Ona znów była małym wyrzutkiem, tułającym się po wrzosowiskach ze swoim klanem, a on był więźniem swojego dziedzictwa, nienawidzącym samego siebie. Przyłożył ręce do skroni, starając się rozmasować nieznośny, pulsujący ból.

- Powstrzymasz ich, prawda, milordzie? - powtórzyła pytanie Effie, przyglądając mu się z napięciem.

Odwrócił się i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Kogo przed czym powstrzymam? - warknął. - I dlaczego wszyscy rządzą się w moim pokoju jak u siebie?

- Powstrzymasz brytyjskich żołnierzy. - Edwina zmarszczyła brwi. - Wiesz, naprawdę ostro namieszałeś wczoraj wieczorem. A major Darling od ponad dwóch godzin czeka, żebyś wstał.

Duncan podszedł do umywalni i jednym łapczywym haustem wypił cały dzbanek wody. Skrzywił się na widok swojego odbicia w lustrze. Miał nadzieję, że ostatni wieczór nie zdarzył się naprawdę. Przelatywały mu przed oczyma oderwane od siebie obrazy; w świetle poranka wcale nie wydawały mu się bardziej zrozumiałe niż w nocy.

Marsali, kłębowisko zerwanych z uwięzi uczuć. Marsali, zraniona i upokorzona w wielkiej sali, flirtująca z MacFayem. Podnosząca wiatr i morze. Uciekająca z jastrzębiem. Krucha i rozłószczona, w końcu próbująca swoich skrzydeł.

Odeszła. Niemal czuł, jak zamek z powrotem zapada się w przekleństwo ciemności, a on zapada się wraz z nim, powraca do zimnej krypty opanowania. Jak, do licha, mógł do tego dopuścić?

Odsunął się od lustra spoglądając tępo przed siebie. Teraz to ona postawiła na swoim i wcale mu się to nie podobało. Nie chciał jej skrzywdzić, ale też nie mógł pozwolić, żeby nim otwarcie dyrygowała. Nie powinien był pozwolić, żeby jego uczucia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Jeszcze go takim nie widziałam - powiedziała zaniepokojona Edwina do Effie. - Mam w Bogu nadzieję, że weźmie się w garść przed wyjazdem do Londynu. Nikt by nie uwierzył, że jest „Bezlitosnym Markizem z Minorki”.

Duncan ruszył do drzwi, sztywno jak jeden z jego ołowianych żołnierzyków.

- Mówiłaś, że jak nazywa się ten kapitan?

Edwina i Effie wymieniły pełne troski spojrzenia.

- On nie jest kapitanem, Duncanie - powiedziała Edwina.
- Ten człowiek jest majorem, ale niezależnie od jego stopnia, nie możesz się do niego zwracać...

- Major. Hmm, przynieś francuskiej brandy. A przy okazji

znajdź tego osła Abercrombiego. - Przyjrzał się sobie z niesmakiem. - Co się, u diabła, stało z moją koszulą?

- Wyrzuciłeś ją z wieży wczoraj wieczorem, kiedy zaczęła się bitwa duchów, milordzie - przypomniała mu Effie wyraźnie rozbawiona. - Chciałbyś pożyczyć mój szal?

Ni m nadeszło południe, wszyscy mieli serdecznie dość Marsali. Odkrywszy w sobie talent do czarów, nie mogła się oprzeć eksperymentowaniu z użyciem swojej mocy. Żadna krowa, pies czy człowiek z klanu nie uchowali się przed jej magicznymi zabiegami.

Z początku odwiedzali ją w grocie, którą zajęła dla siebie, i zachęcali do wysiłków. Próbowwała zmienić cielaka Donovana w dorodnego byka, ale uciekł.

Próbowwała wyhodować włosy na łysinie Lachlana, ale jej się nie udało.

Próbowwała nawet usunąć znamię na szyi Owena, a on przysięgał, że przez nią urosło jeszcze większe.

- No, dobrze. - Lachlan oparł się o głaz u wylotu groty, rozcierając bolące miejsce na czaszce, gdzie wielokrotnie uderzała go różdżką, by pobudzić porost włosów. - Zrobiłaś, co mogłaś, dziewczyno. Może to, co się zdarzyło wczoraj wieczorem, było wybrykiem natury.

- Chciałabym, żeby tak było, Lachlanie, ale obawiam się, że moja moc jest dla mnie przekleństwem - powiedziała Marsali marszcząc czoło. - Gdybym mogła pomówić z Fioną i moim wujem, poprosiłabym ich o radę, jak nad nią panować.

- Naprawdę posiadasz tę moc, Marsali?

Wzruszyła ramionami.

- Tak sądzę. Wzburzyłam morze, podniósł się też potężny wiatr. Ale chyba nie chciałabym robić tego codziennie. To się na człowieku odbija. Szkoda, że nie widziałeś naczelnika, kiedy próbował mnie złapać tam na urwisku. Po raz pierwszy zobaczyłam go przestraszonego nie na żarty.

Marsali zamilkła na chwilę. Powtarzała sobie, że cudownie być z dala od tego wilgotnego, ograniczającego wolność zamku. Żaden

gburowaty naczelnik nie wydaje jej rozkazów, nie krytykuje jej strojów, zachowania, przekonań. Nikt na nią krzywo nie patrzy, nie każe jej wypinać piersi. Co za ulga wymknąć się spod jego wpływu.

Jednakże prawda była taka, że czuła się okropnie; nie zmrużyła oka, przez całą noc wmawiając sobie, że z jej życiem wszystko jest w najlepszym porządku. Nie mogła zasnąć, bo po pierwsze nie pozwalało jej własne ciało, napinając się jak struna na samo wspomnienie przeżyć ostatniego wieczoru. Po drugie, ilekroć zamknęła oczy, widziała ciemną twarz Duncana.

„Zależy mi na tobie”.

Zależało mu na niej. A jej zależało na nim. Można by pomyśleć, że sytuacja jest jasna. Problem w tym, że naczelnik wszystko komplikował swoim spaczonym poglądem na życie.

Sam cierpiał i ją ranił. Teraz oboje byli nieszczęśliwi i co z tego wynikało?

- Rzuć urok na naczelnika, Marsali - doradził ktoś. - Spraw, żeby się wyniósł na dobre.

- Próbowałam namówić wuja Columa, żeby rzucił na niego urok - wyjaśniła posępnie. - I właśnie stąd spadły na mnie te wszystkie kłopoty. Magia, w zмовie z moją ludzką słabością, popycha mnie w ramiona tego człowieka.

Owen wyraźnie się zaniepokoił.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Marsali?

Wzdychając ciężko, wyrysowała różdżką na ziemi sylwetkę Duncana.

- Wuj Colum rzucił zaklęcie, żebyśmy się z naczelnikiem nawzajem w sobie zakochali, ale podziałało tylko na mnie. MacElgin to twardy orzech do zgryzienia. Nawet czary się go nie mają.

Lachlan i Owen spojrzeli po sobie z niepokojem, bo dziewczyna opadła na kolana wpatrując się w nieporadnie wyrysowany wizerunek naczelnika.

- Myśleliśmy, że chcesz wyjść za Jamiego MacFaya - powiedział Lachlan.

- Właśnie - potwierdził Owen kiwając głową. - Byłaś wściekła jak diabli, kiedy wczoraj naczelnik odmówił ci swojej zgody.

Marsali westchnęła ciężko, dodatkowo przygnębiona tym, że nikt jej nie rozumie.

- Tak naprawdę wcale nie chciałam wyjść za Jamiego. Nie rozumiecie? Udawałam tylko, bo naczelnik tego chciał, a byłam zmęczona słuchaniem jego rozkazów i... wydawało mi się to prostsze, niż przyznanie się do uczuć, jakie do niego żywiłam, a których sobie nie uświadamiałam, dopóki tak na mnie nie spojrział tam w korytarzu, po tym, jak przyłapał Jamiego z tą kobietą. Jego spojrzenie to sprawiło.

Lachlan przysiadł na ziemi; zmarszczenie krzaczastych brwi świadczyło o głębokim wysiłku umysłowym.

Owen udawał, że z wielką uwagą wyskubuje z ubrania ciernie janowca.

Żaden z nich nie potrafił złożyć w sensowną całość tego, co usłyszeli, ale do obydwu dotarło, że ich Marsali jest nieszczęśliwa i winę za to w jakiś sposób ponosi naczelnik.

Podniosła się, kręcąc głową.

- W niczym nie możecie pomóc. Sama do tego doprowadziłam i teraz muszę znosić ciężar swoich talentów magicznych, które, jak się spodziewaliście, miały się okazać użyteczne.

- Taak, przydatne - mruknął ostrożnie Owen.

- Można było tak sądzić - poparł go Lachlan.

Marsali stała u wylotu grotty zapatrzona ponad wrzosowiskiem w stronę zamku.

- Nawet magią nie można zmusić naczelnika, żeby się we mnie zakochał, co nie znaczy, że tego chciałam. Ale to znaczy, że miałam rację: jeśli coś ma się zdarzyć, to się zdarzy tak czy owak. Z pomocą magii lub bez.

Kilka minut później do grotty wpadł młody bratanek Marsali, by wezwać ją do bratowej, Bride, która zaczęła rodzić. Gavin, jak zwykle, okazał się bezradny. Czy Marsali mogłaby pomóc? Co więcej, Bride oczekiwała, że Marsali użyje swoich magicznych mocy, by przyspieszyć ten uciążliwy i bolesny proceder.

Marsali zgodziła się z miną męczennicy, zabierając ze sobą różdżkę i prosząc Najwyższego, by nie skończyło się na zamienieniu dziecka Bride w kozę. Najwyraźniej jej życie nie należało już tylko do niej. Posiadanie mocy wiązało się z poważną odpowiedzialnością. Nic dziwnego, że wuj Colum zniknął samotnie na długie miesiące zaszywając się w sekretnych kryjówkach.

Lachlan i Owen w milczeniu patrzyli, jak odjeżdża, dopóki jej wierzchowiec nie zniknął między drzewami za wrzosi-wiskiem.

- O rety - stęknął Owen ze współczuciem. - Biedna dziewczyna, że zakochała się akurat w naczelniku. Podły los.

- Ona się w nim nie kocha, ty głupku. Dziewczyna usycha z tęsknoty za MacFayem - obruszył się Lachlan.

- Za MacFayem? - Owen zamrugał zdziwiony. - Ale powiedziała...

- A kiedy to kobieta mówi prawdę, gdy chodzi o miłość? Tak czy owak, najważniejsze jest to, czy możemy pomóc Marsali?

- W czym? - odezwał się mrukliwy głos u wylotu grotty.

Owen obejrzał się. To był Johnnie.

- Próbujemy pomóc Marsali odzyskać MacFaya - wyjaśnił z powagą.

Johnnie błyskawicznie wpakował sobie do ust placki, które znalazł na zewnątrz.

- A po co miałyby chcieć odzyskiwać MacFaya? To świnia.

- Ona jest zakochana w tej świni - rzekł Owen.

Johnnie tak się zdziwił, że brwi wjechały mu wysoko na czoło.

- Tak? A ja bym przysiągł, że kocha naczelnika.

- Może kocha ich obydwu - zasugerował nieśmiało Owen.

Johnnie zagwizdał przez zęby.

- Ciężka sprawa.

- No - zgodził się z nim Lachlan. - To dlatego ja się nigdy nie zakochuję i Bogu niech będą dzięki. Cholera, wolałbym, żeby się kochała w naczelniku niż w Jamiem.

Johnnie z apetytem przeżuwał wielki kawał placka.

DZIKUSKA

- Naczelnik zamierza nas opuścić za miesiąc - ciągnął Lachlan.
- A czy nam się to podoba, czy nie, nasze życie zmieniło się na lepsze od jego powrotu.

- Naprawdę? - spytał Owen z niedowierzaniem.

- Owszem - potwierdził Lachlan. - Po pierwsze, dzieciaki już nie strzelają mi w brzuch za każdym razem, gdy biegnę do stajni. Po drugie, przez prawie dwa miesiące nikt nie umarł od wyczynów kucharki.

- Ale on często się wścieka - przypomniał Johnnie. - Szczególnie na Marsali. A swoją drogą, gdzie ona się podziewa? Muszę z nią omówić coś ważnego.

- Pojechała do wioski - powiedział Lachlan.

Johnnie skrzywił się i powiedział ściszym głosem:

- Anglicy grożą zburzeniem następnych domów na ich drodze: domu mojej matki, starego Tynana i nawet siedliska brata Marsali. Nadszedł czas na pokaz siły.

Lachlan przez dłuższą chwilę myślał nad tym, co usłyszał.

- Johnnie, nie wydaje mi się, żeby rozbieranie do naga miało ich tym razem powstrzymać. Choćby dlatego, że jest ich za dużo.

- Właśnie dlatego potrzebujemy Marsali - podchwycił Johnnie z przejęciem. - Myślę, że zrobimy to dziś w nocy. Marsali będzie wiedziała, co zrobić. Uchroni nas od Anglików.

Owen patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Może powinniśmy zostawić to naczelnikowi.

- Naczelnik ma inne sprawy na głowie - powiedział Johnnie ze złośliwym uśmieszkiem. - Poza tym czas udowodnić temu człowiekowi, że nie jesteśmy bezradnymi głupkami, za jakich nas uważa.

23

Jeszcze raz przepraszam, że zostawiłem pana czekającego w zamku, majorze Darling - powiedział Duncan, jadąc konno nadbrzeżną drogą za korpulentnym Anglikiem.

W istocie wcale nie kazał temu człowiekowi czekać. Zupełnie zapomniał o majorze Darlingu, owładnięty szaleńczą potrzebą upewnienia się, że Marsali przez noc nie uciekła z Jamiem MacFayem. W ciągu godziny wielokrotnie dokładnie przeszukał okolicę. Nie znalazł ani śladu tego zuchwałego głupca.

- MacElgin, z rozmowy z czarującą lady Edwina zrozumiałem, że pańskich górali jest zaledwie garstka.

- Cóż...

- Nie miałem zamiaru deprecjonować pańskiego dziedzictwa. Po prostu czasem zapominam, że sam pan stąd pochodzi. - Major Darling wybuchnął ochrypłym śmiechem, od którego stado mew poderwało się w popłochu. - Naczelnik... czy nie tak pana tytułują? Na Boga, wyglądałby pan cudownie w spódniczce ze swoimi wielkimi owłosionymi nogami.

Duncan udał, że się uśmiecha.

- Ludzie z mojego klanu są bardzo zaniepokojeni tym, że zamierza pan zburzyć ich domy, by zbudować drogę, sir.

Major zawrócił konia; stanął twarzą w twarz z Duncanem.

- Nie zajmujemy się burzeniem domów, MacElgin. Ale jeśli jakieś porzucone chałupy czy kamienie stoją nam na przeszkodzie, to co innego. Prawdę mówiąc, nigdy byśmy się nie pchali na

pańskie Pogórze, gdyby nie pańscy przekłeci jakobici, którzy próbują wsadzić na tron tego uzurpatora.

- Moi jakobici? - wycedził Duncan.

- Nikt nie kwestionuje pańskiej lojalności, milordzie - zapewnił major z pojednawczą miną. - Gdyby było więcej takich rozsądnych Szkotów jak pan, którzy pilnowaliby tu porządku, nie musiałbym stacjonować w tej diabelskiej fortecy. Osobiście nie mam nic przeciwko pańskim ludziom.

- Niektóre z tych kamieni, które pan chce wyrzucić, są dla nich święte. Szkoci wierzą nawet, że są obdarzone magiczną mocą.

Major westchnął głośno.

- Zawsze wzbudzał pan mój podziw, sir, i nie waham się przyznać, że obydwaj marnujemy się na tych szkockich pustkowiach. Ale cóż, jeszcze miesiąc lub dwa i znów znajdziemy się na polu bitwy, tam gdzie nasze miejsce. Proszę się nie niepokoić. Nadzorca powiedział mi dziś rano, że nie będziemy musieli ruszać żadnego domu. A co do tych magicznych kamieni... zrobię, co będę mógł.

- To zacnie z pana strony - rzekł Duncan. Ulżyło mu, że problem został rozwiązany; zastanawiał się, ile czasu zajmie mu jazda z powrotem do zamku po lunetę. Właśnie zauważył niewielki ciemny punkt przy końcu zatoki. To mógł być przyczajony Jamie. Powinien był się nim zająć zeszłej nocy, kiedy miał ku temu okazję.

- Wracam do fortecy - oznajmił major, nie zdając sobie sprawy z tego, że Duncan przestał go słuchać. - Proszę tylko, żeby pan miał na nich oko. Nie chciałbym aresztować kogoś z pańskich krewnych, ale rozkazy są rozkazami, a płacą mi za ich wykonywanie. Nawiasem mówiąc, słyszałem, że stara się pan o stanowisko w rządzie. Niech pan o mnie pamięta, milordzie.

Ludzie odwracali się, kiedy Duncan przejeżdżał wolno przez zamkowy dziedziniec zmierzając do stajni. Nie mieli dla niego przychylnych uczuć. Po upokorzeniu, na jakie naraził ich ukochaną

księżniczkę, naczelnik jawił im się w jeszcze gorszym świetle niż dotychczas. Nie miało znaczenia, że kierowała nim chęć chronienia Marsali. Nikt nie wierzył w jego dobre intencje.

Słyszał, jak szepczą za jego plecami. Rozczarował ich, jeśli się spodziewali, że okaże skrucę za swoje postępowanie.

- Nie wystarczyło mu, że wczoraj wieczorem złamał serce biednej dziewczynie. Musiał jeszcze częstować tego angielskiego żołnierza najlepszą brandy po dawnym naczelniku.

- Zrobił z MacFayów naszych wrogów, po stu latach przyjaźni.

- Biedna Marsali. Tuła się teraz sama po wrzosowisku.

- Wystraszył ją śmiertelnie.

- Urodził się złośliwym bękartem i będzie złośliwy aż po grób.

- Dobrze, że wyjeżdża z końcem lata. Że porzucą krewnych, klan i zamek.

- A czego się można spodziewać po człowieku, który porzucił własne dziecko i nawet się za siebie nie obejrzał?

Duncan zeszywniał w siodle; wiedział, że to, co usłyszał miało dotrzeć do jego uszu. Zapadła cisza; czuł, że ludzie wyczekują na jego reakcję. Zsiadł z konia i z kamienną twarzą ruszył w stronę wieży.

Dziecko. Jego dziecko. Już po raz drugi od czasu jego powrotu była o tym mowa. Czy plotka mogła być prawdą? Czy jeden z małych łuczników terroryzujących zamek mógł być jego potomkiem? Ta możliwość wzbudzała w jego sercu zaprawioną lękiem ciekawość.

Nie chciane dziecko, które porzuciło kolejne nie chciane dziecko. Daj Boże, jeśli było jakieś dziecko, żeby miało życie szczęśliwsze niż los zgotował jemu. W każdym razie uznał, że nadszedł czas, by się dowiedzieć prawdy.

Poszedł prosto do zamkowej kuchni i spytał kucharkę o przesładujące go od chwili przyjazdu pogłoski.

- Zawsze byliśmy ze sobą szczerzy - zaczął. - Powiedz, Agnes, czy zostawiłem po sobie jakieś dziecko?

Zanim udzieliła mu odpowiedzi, wygoniła służbę z kuchni. Na

palenisku spokojnie płonął ogień. Wiedział, że tylko Cook będzie miała dość odwagi, by powiedzieć mu prawdę prosto w oczy. W istocie, po wydarzeniach poprzedniego wieczoru była jedyną osobą w zamku, która w ogóle chciała rozmawiać z naczelnikiem.

A poza tym Agnes w głębi duszy zachowała resztki matczynego współczucia wobec wszystkich istot na ziemi.

- Owszem, milordzie, spłodziłeś dziewczynkę, ale musiała umrzeć zaraz po urodzeniu, bo żona doktora pochowała ją, zanim ktokolwiek zdążył ją zobaczyć - powiedziała cicho, wałkując ciasto na zniszczonym dębowym stole.

Duncan wpatrywał się w jej ziemistą, pozbawioną uśmiechu twarz, dostrzegając w niej okrutną prawdę, której był nieświadomy przez piętnaście lat.

- Ojciec nigdy mi nie mówił, że z tego związku było dziecko.

- A jaki miałyby w tym cel? - Cook potrząsnęła głową.

- Wszyscy troje w końcu zapłaciliście za to. Doktor, który nie mógł mieć swoich dzieci i stwierdził, że jego zaniedbywana żona jest w ciąży z kochankiem. Ona... bo wywiózł ją tego samego dnia, kiedy dziecko umarło. Od tego czasu nikt o nich nie słyszał.

Duncan milczał; przypominał sobie, jak zuchwały i popędliwy był w wieku siedemnastu lat. I pijany. Tak, obudził się o świcie w łóżku doktora, nie wiedząc dokładnie, gdzie się znajduje i co właściwie zrobił, a Cecelia wypchnęła go przez okno, wyrzucając za nim ubranie.

- To było dawno - odezwała się Cook po dłuższym milczeniu. W tych słowach brzmiała tak rzadka u niej gotowość przebaczenia.

- Plotkarze nie mają prawa rzucać kamieniem.

Duncan nie mógł się rozeznac w swoich uczuciach.

- Chyba miałem nadzieję, że upewnisz mnie, że to tylko plotka. Dzięki, że powiedziałaś mi prawdę.

- Jestem uczciwą kobietą.

Odwrocił wzrok, wyraźnie zakłopotany sytuacją.

- Pojadę rozejrzeć się po okolicy, sprawdzić, jakie naprawy będą potrzebne zanim wyjadę. - Ruszył do drzwi. - Jak sądzisz, czy Marsali wróci do zamku? - spytał. Miał smutną minę.

- Nie umiem powiedzieć, milordzie.

Cook wytarła ręce w fartuch; patrzyła za nim z troską, kiedy nie odezwał się więcej, opuszczał kuchnię.

Przeszłość nawiedzała go, jakby nie dość miał bieżących kłopotów. Czy powinna mu była powiedzieć o planowanym na ten wieczór przez ludzi z klanu wypadzie na brytyjską fortecę? Czy nie powinna go była prosić, żeby temu zapobiegł? I tak pewnie nie miało to żadnego znaczenia.

Tak czy inaczej, czy klanowi tym razem wyprawa uda się, czy nie, Agnes obawiała się, że w końcu przyjdzie im za to słono zapłacić.

Było wczesne popołudnie, gdy Duncan zsiadł z konia i wolno szedł przez niewielki przykościelny cmentarz. Statek MacFaya, o ile właśnie tym był tajemniczy obiekt dostrzeżony przez Duncana w zatoczce, zniknął gdzieś, nim zdążył mu się bliżej przyjrzeć.

A teraz, na domiar złego, miał stawić czoło tragicznym skutkom jeszcze jednego ze swych grzechów.

Zatrzymał się gwałtownie, bo jego wzrok przyciągnął niewielki biały krzyż z kamienia. Stał samotnie na zboczu wzgórza, w cieniu starego cisa. Przez moment Duncan walczył z pokusą, żeby się odwrócić i odejść. Coś, czego nie znał, nie mogło go zranić. Tyle że już wiedział. Westchnął głęboko; czekała go najcięższa próba.

Uczucie silniejsze niż strach czy nawet instynkt samozachowawczy kazało mu wykonać następny krok. Jakaś cząstka jego samego leżała w tym smutnym, niepozornym grobie. Młodość i niewinność pogrzebana pod ciężarem dojrzałych grzechów.

Porzucony owoc jego cudzołożnego związku z samotną żoną doktora. Dziecko, któremu był ojcem i o którego istnieniu dotąd nawet nie wiedział. Jedynym znakiem jej narodzin i śmierci był okrucieństwo kamienia i bukiet suchego wrzosu, jaki ktoś, zapewne Cook, zostawiła na grobie na pamiątkę.

Przyklęknął i gładząc dłonią nie oznaczony krzyż, powiedział zduszonym głosem:

- Jak mam ci okazać, że mi przykro, skoro cię tu nie ma. bo jesteś w niebie?

Odpowiedziała mu głęboka cisza.

Marsali zsiadła z konia i cicho skradała się od drzewa do drzewa. Musiała mieć przywidzenia. To przecież nie mógł być naczelnik, ta postać schylona nad dziecięcym grobem. Czy naprawdę ten potężny tyran klęczał tam pogrążony w żalu?

Zaintrygowana, podeszła najbliżej jak mogła do kepy cisów. Szerokie ramiona poruszyły się w głębokim westchnieniu, ale nie wydał z siebie żadnego głosu. Widać było, że cierpi.

Współczucie i chęć udzielenia pociechy popychały ją ku niemu. Nagle usłyszała głos Duncana i postanowiła zostać w ukryciu. Przycisnąwszy twarz do szorstkiej kory, słuchała zdumiona.

- Nic dziwnego, że mnie nienawidzą - mówił do krzyża. - Ze wszystkich grzechów, za które próbowałem zadośćuczynić, twoja śmierć, moja mała córeczko, nie może znaleźć przebaczenia.

Marsali dostrzegła jego twarz; wzruszenie nadało miękkość ostrym rysom. Zdjęta współczuciem, gotowa ulżyć mu w cierpieniu, przypomniała sobie, jak kiedyś sama oskarżyła go o porzucenie własnego dziecka.

Nie śniło jej się wówczas, że popędliwie rzucone słowa mogą być prawdą. Doszły ją takie pogłoski i wykorzystała je w chwili złości, by go zranić.

Poczucie winy ścisnęło ją za serce; uświadomiła sobie, że bezwiednie dołożyła kolejny gład do przygniatającego go ciężaru.

Nadal jednak nie wiedziała, jak do niego dotrzeć.

Jakby był zamkiem pogrążonym w zakętym mroku samotności, ze swymi duchami i tajemnicami, a ona wrzosowiskiem, przestrzenią wielką i otwartą jak jej serce. Jego serce było zamknięte. Ona wychodziła życiu naprzeciw, on tkwił w swojej skorupie. Zaczęła się niepostrzeżenie wycofywać, myśląc ze smutkiem, czy te różnice pozwolą im kiedyś znaleźć wspólny język.

Bukiet ziół, które zebrała idąc do domu Bride, rozsypał się jej pod stopami. Nie była w stanie w żaden sposób pomóc naczelnikowi. Cała magia świata nie mogła zaleczyć jego krwawiącego serca.

Prosto z cmentarza Duncan pojechał do osady. Skoro nie zdołał ochronić małej dziewczynki, która spoczywała teraz w grobie, mógł przynajmniej spróbować pomóc swoim ludziom, zanim stąd wyjedzie. Nie oczekiwał uznania dla swoich wysiłków.

Przystanął w miejscu, ujrawszy Marsali przed dobrze utrzymaną chatą w leszczynowym zagajniku. Na jej widok jakby promień słońca przedarł się przez mroczną pajęczynę jego myśli.

- Co ty tu robisz? - spytał, zsiadając z konia. Szorstki ton miał ukryć poruszenie niespodziewanym spotkaniem.

Odwrociła się wolno. Chociaż jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, wyczuła napięcie w jego głosie. Nie mogła mu dać poznać, że wie, iż właśnie się dowiedział o stracie dziecka.

- Idę do mojej szwagierki - wyjaśniła. - Tym razem Bride bardzo się męczy. Co za niespodzianka spotkać cię tutaj.

- Chcę obejrzeć domy. - Patrzył na jej drobną, ożywioną twarzyczkę. Wszystko w niej, poczawszy od burzy potarganych włosów, po zakurzone stopy, tchnęło życiem i wolnością, których nagle zapragnął i dla siebie. - Wejść z tobą do środka.

Robiła wrażenie zakłopotanej.

- Ale jesteś naczelnikiem, a od kiedy Gavin ma chore plecy, cała jego rodzina jest zmuszona żyć w nędznej chacie.

- Urodziłem się w nędznej chacie, dziewczyno - przypomniał jej, zostawiając posłusznego ogiera, żeby czekał na skraju zagajnika.

- Ale moja siostra ma ośmioro dzieci.

- Byłem synem rybaka, zanim zostałem naczelnikiem. Dowodziłem najświetniejszą kawalerią na świecie. Sądzę więc, że zniosę widok kilku dzieciaków przez godzinę.

24

Marsali wraz z akuszerką zniknęła w chacie brata za przegrodą z surowego kamienia. Porzucony Duncan został na łasce jej ośmiorga bratanców i bratanków w wieku od dwóch do dwunastu lat. Dzieci otoczyły go kołem, przyglądając mu się w milczeniu. Uśmiechnąwszy się, niepewnie zrobił krok w stronę drzwi.

Najstarszy z chłopców odważnie wystąpił na czoło rodzeństwa.

- Mój tata mówił, że jak będziemy niegrzeczni, to nas wyśle do zamku, żeby naczelnik wymierzył nam karę.

Dwunastoletnia siostrzyczka przytaknęła mu z powagą.

- Mówił, że ugotujesz nas w rosole z krwi, potem nas zjesz, a naszych kostek użyjesz do dłubania w zębach.

- Doprawdy tak mówił? - spytał kwaśno Duncan. akurat w chwili gdy Gavin, autor wyszukanych gróźb, kulejąc wszedł do izby. Zaczerwieniony ze wstydu, bo usłyszał rozmowę, dawał dzieciom rozpaczliwe sygnały rękoma, żeby poniechały drażliwego tematu.

Postawiwszy przy kominie wiadro świeżo nałowionych pstrągów, Gavin odchrząknął i rzekł:

- Dzieci czasem przesadzają, milordzie.

- Z tego, co słyszę, dorośli również - mruknął Duncan.

- Ale skoro już tu jesteś. Hay, chyba wyjdę na zewnątrz obejrzeć...

- Oooh. Aaach. - Gavin wydał z siebie przeciągły jęk, jakby zaraz miał skonać w męczarniach. Trzymając się za plecy opadł

na dębowy stołek przy ogniu. Dzieci otoczyły go ze współczuciem; młodsze okryły go peleryną, starsze pośpieszyły po poduszkę, pomogły mu też ściągnąć mokre buty. Najmłodsza latorośl przysiadła u jego stóp, poklepując go czule po nodze.

Najwyraźniej był to uświęcony rytuał.

- Wybacz, że nie stoję w twojej obecności. - Gavin urwał, żeby zaprezentować przejmujący grymas. - Ból jest zbyt silny, milordzie.

- Tak, widzę... - Duncan zmarszczył czoło.

Zza przegrody dobiegł przeciągły jęk, tak nieludzki, że zjeżył Duncanowi włosy na karku.

- Czy wszystko w porządku, Marsali? - spytał zaniepokojony, wycofując się ku drzewom.

- Wszystko idzie dobrze, milordzie - zabrzmiała wesoła odpowiedź.

Bride znowu jęknęła.

Gavin stęknął.

Duncan spojrział na dzieci - nie spuszczały z niego wzroku.

- Marsali, gdybyś mnie potrzebowała, będę na zewnątrz...

Bride jęczała.

Gavin stękał.

Duncan mógłby przysiąc, że konkurowali w swoistym turnieju, czyj ból jest bardziej dotkliwy. Otworzył drzwi, starając się ukryć nieprzepartą chęć ucieczki.

- Zabierz ze sobą dzieci, milordzie - zawołała Marsali, kiedy był już jedną nogą za progiem.

Zastygł w bezruchu, niczym więzień przyłapany przez strażnika. Dzieci rzuciły się na niego pokrzykując z radości, uczepliły się jego nóg z entuzjazmem zaiste zdumiewającym w świetle jego reputacji kanibala.

- Jak miło z twojej strony, milordzie - powiedział Gavin słabym głosem. - Prawdę mówiąc, one mnie trochę męczą.

Trzyletnia Claire wysnuwała nitkę z peleryny Duncana. Jej brat bliźniak, Connor, strzelał w niebo owsianką, której pełną miskę ściągnął ze stołu.

- Poczekajcie chwilę. - Duncan ostrożnie wyswobodził się od nich i zajął za przegrodę.

- Dzień dobry, milordzie - przywitała go Bride, uśmiechając się dzielnie dopóki nie złapał jej kolejny skurcz. Stęknęła wyginając plecy w łuk.

Zaraz potem Gavin jęknął.

Duncan chwycił Marsali za ramię i odciągnął ją na stronę. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego domu.

- Wygląda na to, że panujesz tu nad wszystkim. Pojadę do zamku i przyślę Effie, żeby zajęła się dziećmi.

Bride już nie jęczała, lecz miotała przekleństwa godne handlarki ryb. Duncan zrobił się bładny pod opalenizną; zatoczył się na stołek.

- Nie możesz teraz nigdzie jechać - powiedziała spokojnie Marsali. - Ona jest bardzo blisko.

- Blisko czego? - szepnął przerażony.

Bride przykucnęła w kącie. Duncan z wrażenia wpadł na ścianę. Bitwy to jedno, rodzenie dzieci to drugie. Przerastało go już samo wyobrażenie porodu. Kobiety wydawały się przecież takie kruche.

- Co ja, do licha, mam robić z ósemką dzieci? - zastanowił się na głos.

- Po pierwsze, nie klnij przy nich i nie trać panowania nad sobą. Wszyscy się tego boją... poza mną, oczywiście.

Duncan stał bez ruchu, coraz bardziej wystraszony.

- Wyprowadź je z domu. Niech się pobawią nad potokiem. - Marsali odeszła zająć się rodzącą; podtrzymała ją, chwytając za ramiona. - Opowiedz im coś, milordzie - dodała z lekkim zniecierpliwieniem. - Pozwól im robić to, co ty robiłeś dla zabawy jako chłopiec.

- Świetnie. Na początek będziemy wrzucać kule z błota do kominów. Jak im się to znudzi, pójdziemy nad zatoczkę wycinać dziury w łodziach rybackich. Potem siedząc w grotach będziemy się przyglądać, jak łodzie toną, a rybacy klną wybierając czerpakami wodę. Na koniec ukradniemy kilka kóz i wystroimy je w ubrania, które suszą się między domami.

- Doskonale - rzuciła, nawet na niego nie patrząc. - Przypilnuj tylko, żeby Amelia za bardzo się nie zamoczyła. Ma brzydką kaszel.

Wychodząc słyszał za sobą śmiech kobiet i wypowiedane półgłosem uwagi.

- Widziałas jego minę, kiedy Bride przykucnęła? - To był głos akuszerki. - Choćby mężczyzna był nie wiem jak silny i władczy, w tych sprawach wszyscy są jednakowi.

- Beznadziejni - przyznała Bride dysząc ciężko.

Marsali zachichotała.

- Hmm, wiem, że umie sobie poradzić z oddziałem jeźdźców. Ale z ośmiorgiem dzieci? Mam poważne wątpliwości.

To bardzo uprzejmie z twojej strony, milordzie - powiedział Gavin, kiedy Duncan przekraczał próg obwieszony gromadą rozkrzyczanych dzieciaków.

Duncan spojrzął z góry na rozpromienione twarzyczki.

- Jak długo będę musiał ich pilnować?

- Bride zazwyczaj szybko się uwija - Gavin wyprostował się z żalosnym westchnieniem. - Zapewne jeszcze z godzinkę. Czy mógłbyś przed wyjściem podać mi ten dzbanek ze stołu, milordzie? Tak, ten, dziękuję. Och. i jeszcze ser. I nóż, jeśli to ci nie sprawi kłopotu. I troszkę miodu... nie, to nie ten garnek. O, tak, właśnie ten.

Duncan wziął się pod boki.

- Coś jeszcze?

- Jeszcze Biblię, skoro już pytasz. Gdybyś jeszcze mógł uchylić nieco okiennice i wpuścić więcej światła...

Duncan poczuł szarpnięcie za nogawkę.

- Gordie zniknął, milordzie.

To była dwunastoletnia dziewczynka o imieniu Dora. Patrząc w jej błyszczące niebieskie oczy, Duncan z uczuciem bolesnego żalu uświadomił sobie, że jego własna nieznana córka, gdyby żyła, byłaby jeszcze starsza. Czy to jego nie chciane dziecko zaznało choć trochę miłości w swoim jakże krótkim życiu? Czy

DZIKUSKA

też, jak Duncan, od chwili poczęcia doświadczało jedynie niechęci od ojca, który nie umiał jej uznać za swoją.

Przełknął gorzką kulę, która nagle urosła mu w gardle.

- Gordie nie mógł się zbyt oddalić. Widziałem go przed chwilą.

- Tak, milordzie. Ale to było, zanim nakarmił twojego konia plackiem i popędził na nim za wzgórze.

25

Duncan był wykończony. Żadna bitwa go tak nie wyczerpała. Poród, dzieci. Nie nadawał się do tego. Lato spędzone z Marsali też było męczące. W porównaniu z tym wszystkim wojna zaczęła mu się wydawać rozrywką.

Po krótkim pościgu schwytał swojego konia i małego koniokrada, następnie zebrał pozostałą trzódkę dzieciaków i ustawił je z wojskową dokładnością na zalanych słońcem brzegach potoku. Stały posłusznie, ale ich wyzywające miny zapowiadały dalsze psoty.

- Dobrze - odezwał się, zacierając ręce. - Teraz naczelnik pokaże wam, jak potrafi odgrywać niańkę. W stylu wojskowym.

Gemma pisnęła z zachwytem, wskazując na coś za drzewami.

- Spójrzcie na to!

Duncan obejrzał się na krytą strzechą chatę. Z komina wraz z pióropuszem szarego dymu, wylatywały kolorowe iskry. Miał wrażenie, że dach zaraz się uniesie i odleci. W chwilę potem potok zmienił kierunek. Dzieci krzyczały z radości, patrząc na bulgoczącą pod stopami wodę.

- Oooch - szepnęła Dora z podziwem. - Ciocia Marsali uprawia czary.

Nim Duncan zdążył wyrazić jakąkolwiek opinię, rozległ się donośny wrzask nowo narodzonego dziecka.

Leith prychnął z obrzydzeniem kopiąc kamień.

- Jeszcze jedno niemowie. Nigdy nie dotrzemy do Wirginii w takim tempie.

- Może ciebie moglibyśmy zostawić - dogryzł mu starszy brat Keith, wymierzając mu przy tym kuksańca w ramię.

Duncan chwycił obu chłopców za kołnierze i lekko nimi potrząsnął.

- Żadnych rozmów pomiędzy więźniami. Następny, który złamie dyscyplinę, wie, jaka go spotka kara.

Marsali wolno schodziła trawiastym zboczem w stronę potoku. Ułyszała z daleka mocny głos Duncana wybijający się ponad szum spienionej wody i oblało ją przyjemne ciepło, podobne do tego, jakie wzbudził widok Bride, karmiącej nowo narodzonego synka. Powracały z trudem tłumione uczucia do naczelnika: tęsknota, złość, fascynacja. Myślała o tym, jaka pustka zapanuje w jej sercu po jego wyjeździe.

Leżał pod drzewem i opowiadał coś dzieciom. Jakież to urocze, rozrzewniła się. Kto by uwierzył, że groźny naczelnik jest zdolny do tak czułego zachowania? Dzieci otaczały go kręgiem; stały nieruchomo, z otwartymi szeroko oczyma chłonąc każde jego słowo. Ten widok sprawił, że łzy nabiegły jej do oczu. Pociągnęła nosem szczerze wzruszona.

- I nie będę tolerował żadnego pijaństwa - oświadczył naczelnik grzmiącym głosem. - Każdy żołnierz, który złamie zakaz, będzie przywiązany do armaty i wychłostany.

Marsali osłupiała; z trudem chwytając oddech. On im nic nie opowiadał... on ich straszył karami cielesnymi! A dzieci wcale nie stały tam z własnej woli. Przywiązał je do drzewa sznurem do wieszania bielizny! Wypaczał ich młode niewinne umysły okrutnymi wizjami wojskowej dyscypliny.

Podkasawszy spódnicę, puściła się biegiem.

- Co ty właściwie wyprawiasz, Duncanie MacElgin? Kto ci pozwolił znęcać się nad moimi bratankami i bratanicami?

Duncan odwrócił głowę i przez moment w milczeniu podziwiał jej kształtne, opalone łydki.

- Chcesz, żebym ciebie też związał?
- Nie! Bawmy się dalej, milordzie - poprosił Gordie. Przejęty dziecienny głosik przywrócił ich do rzeczywistości.
- Będzie wam się śnił po nocach przez długie miesiące
- powiedziała gniewnie Marsali, podchodząc do drzewa, żeby odwiązać dzieci.
- Ale my chcemy być przywiązani - zaprotestowała nieśmiało Gemma. - To zabawne.

Duncan wsparł się na łokciu i chichocząc obserwował wysiłki Marsali. Zmierzwione włosy zakryły jej twarz. Od przyspieszonego oddechu falowały jej piersi, dobrze widoczne pod cienką tkaniną sukienki. Pragnał jej, a poprzedni wieczór jeszcze wzmógł jego żądzę.

- A co się stanie, jak już będziemy porządnie wychłostani, milordzie? - spytał Gordie, ze złością uchylając się przed Marsali. - Co będzie, jeśli nadal się nie poprawimy?

- Hmm, w zależności od tego, ile krwi stracie i czy nadal zachowacie przytomność...

Marsali zbladła.

- Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej, milordzie.
- Możemy was zostawić przywiązanych jeszcze na jakiś czas, żebyście dodatkowo pocierpieli.

Marsali zakryła usta dłonią, by po chwili z tym większą zaciętością szarpać węzły. Dziwnym trafem, mimo usilnych starań, by je rozplątać, zaciągały się coraz mocniej.

- Wszystko jest w porządku, ciociu - szepnął do niej Keith.
- On nas uwięził.
- Barbarzyńca, wiązać bezbronne dzieci...
- Ale nam się to podoba - wyjaśniał cierpliwie Keith.
- Przecież to tylko zabawa.

Marsali zaparła się stopami w ziemię. Z twarzą poczerwieniałą od wysiłku, warknęła:

- Tak... wygląda na to, że zostaniecie przywiązani do tego przekłętego drzewa już na zawsze... sądząc po tych węzłach.

Duncan przetoczył się na plecy, wspominając jak słodka i bliska uwiedzenia była ostatniego wieczoru w jego ramionach.

Tok jego rozkosznych rozważań przerwał nagły krzyk. Siadając zobaczył, że Marsali leci na niego, a ponieważ nie zdążył się usunąć, wyładowała mu na piersi.

Zrobiło mu się ciemno przed oczyma; jej spódnica zakryła mu twarz. Zapach jej skóry niebezpiecznie przyspieszył bicie serca. Objął ją za kolana. Waliła go pięściami po plecach, śmiejąc się i przeklinając go, przede wszystkim za zbyt mocne zaciągnięcie węzłów. Najwyraźniej zapomniała o obecności dzieci.

On też o nich zapomniał. Dopiero po ostrzegawczym szturchańcu Marsali postawił ją na ziemi.

- Moje więzy nie dadzą się rozplatać - rzekł z przeciągłym uśmiechem. - O to w końcu chodzi. Nie oddaję tego, co zabiorę.

Dzieci, nie rozumiejąc, że naczelnik ma zupełnie inne cele taktyczne wobec ich młodej ciotki, zaatakowały bez uprzedzenia. Gordie z resztą chłopców skoczył mu na ramiona. Bliźniaki obsiadły mu nogi. Mała Claire bombardowała go zeschłymi żołądkami. Gemma zaczęła go bezlitośnie łaskotać.

- Mamy go związać, ciociu Marsali? - spytał zdyszany Keith, pomagając Dorze odciągnąć sznur od drzewa.

Marsali cofnęła się o krok; ze ściśniętym sercem obserwowała Duncana, broniącego się łagodnie przed bandą okładających go bezlitośnie dzieciaków. Trudno było w tym rozbawionym olbrzymie dostrzec bezwzględne naczelnika, który złamał jej serce.

- Zwiążcie go - rozkazała z udawaną wesołością, żałując w duchu, iż ten kawałek sznura nie wystarczy, by go do siebie przywiązać.

Ponieważ go kochała.

Ponieważ nie mogła znieść myśli, że ją opuści.

26

Marsali sama się dziwiła, że dała się namówić ludziom z klanu na nocną wyprawę. Osaczyli ją, kiedy wracała z chaty Bride na wrzosowisko. Błagali, żeby ich ocaliła przed Anglikami, upierali się, że nadszedł czas działania. Zignorowała własne przeczucia, bo nie chciała zawieść rodaków, gotowych do upadłego bronić swoich domostw.

Teraz czuła się okropnie, miała wrażenie, że z nerwów zaraz zwymiotuje. Co innego w letni dzień na wrzosowisku rozebrać do naga angielskiego oficera, a co innego zaatakować potężną brytyjską fortecę, obsadzoną w pełni uzbrojonymi żołnierzami. I to w środku nocy.

Szczególnie, jeśli samemu jest się właściwie bez broni i dowodzi godnymi pożałowania, nie wyszkolonymi ludźmi z klanu MacElginów. I do tego nie ma się pojęcia, co robić.

- Dobrze. - Odetchnęła głęboko, kierując wierzchowca na pierwszą linię. - Lachlanie, pamiętasz, co masz robić?

- Tak jest. - Stłumił ziewnięcie. - Mam dowodzić tymi, którzy będą spychać z urwiska wozy z zaopatrzeniem.

- I do wszystkich dotarło, że ma nie być żadnej przemocy?

Około tuzina głów skinęło potakująco. Ailis i Alan chrząkały, buszując w rzadko porośniętym ogródku, otaczającym fortecę. Marsali mogła się jedynie modlić, by huk fal rozbijających się o brzeg zagłuszył inne dźwięki.

- Dobrze.

- Już to mówiłaś, Marsali - spokojnie zauważyła Effie.
- Nie rozumiem, czemu jesteś taka przejęta - dodał Owen.
- Jeśli nas złapią, zawsze przecież możesz użyć swojej magii i nas uwolnić.

Marsali spojrzała na ciemny zarys rozłożystej budowli.

- Tak, to właśnie najbardziej mnie niepokoi. - Pociągnęła nosem z obrzydzeniem. - Na litość boską, Lachlanie, co to za smród dolatuje z twoich juków?

- To gotowane jajka, panienko.

- Myślałam, że ustaliliśmy, by nie brać ze sobą żadnej broni.

- Mam je nie po to, żeby nimi ciskać, Marsali. Są do zjedzenia. Nie mogę spychać ciężkich wozów do morza z pustym żołądkiem.

Przełknąwszy suchość w gardle, uniosła rękę dając sygnał do rozproszenia się.

- Dobrze.

- Już trzeci raz - mruknęła Effie. - To na pewno zły znak. Mam fatalne przeczucia. Powinniśmy byli zwrócić się o pomoc do naczelnika.

- Trzymaj język za zębami i pilnuj tych swoich świń, Effie - ucięła sucho Marsali. - Gdyby naczelnik chciał nam pomóc, nie byłoby nas tu dzisiaj.

Opuściła wolno rękę i zsunęła się z konia; z drzeniem nóg patrzyła, jak jej ludzie wtapiają się w mrok niczym duchy. Ona też miała złe przeczucia, ale jeszcze gorzej byłoby przyglądać się, jak Anglicy będą burzyć ich domy i kopce. Czyż nie?

Marsali postanowiła już nigdy nie ignorować złych przeczuc. Atak od samego początku przebiegał niepomysłnie.

Złą passę zapoczątkował Owen, który pchając wóz przejechał nim po stopie Johnniego łamiąc mu duży palec, co doprowadziło do takiej kłótni między nimi, że strażnicy na wieży przerwali grę w kości, by sprawdzić, co się dzieje.

Ledwie wrócili do gry, Lachlan wepchał sobie do ust trzy jaja na twardo naraz, zakrztusił się i zakaszał. W tym momencie

Marsali zaczęła się poważnie zastanawiać nad odwołaniem całej operacji. W zamieszaniu, jakie powstało przy ratowaniu życia Lachlanowi, prosięta Effie, które nie znosiły odgłosów kłótni, wymknęły się na nocną przechadzkę.

Effie wpadła w histerię,

- O Boże! Poszły do kuchni! Patrzcie, tam przy drzwiach widać czepek Alana. Anglicy zjedzą moje biedne świnki. O Boże! Pomóżcie mi! Zróbcie coś!

- Effie, świnię hoduje się po to, żeby je zjadać - odezwał się Owen. Jego uwaga, rzecz jasna, nie była najlepszym pocieszeniem w zaistniałych okolicznościach.

Kucali w piątkę pod plandeką okrywającą jeden z wozów, który przepychali cal po calu przez dziedziniec. Reszta ludzi zajęła pozycje przy bramie i na szczycie urwiska.

Johnnie odjął od oczu lunetę; na jego ogorzałej twarzy zagościł wyraz głębokiej troski.

- Będziemy musieli je ratować.

- No - zgodził się z nim Lachlan. - Bliźniaki należą do tradycji MacElginów. - Zerknął wyczekująco na Marsali. - Co mamy robić, panienko?

Poklepała Effie po ramieniu.

- Będziemy musieli odwrócić ich uwagę.

- Mógłbym wrócić do zamku, żeby sprowadzić kucharkę i pomywaczki do pomocy - zaproponował Owen.

Marsali pokręciła głową.

- Nie ma na to czasu. Ailis i Alan mogą do tego czasu skończyć jako kiełbaski śniadaniowe... Oj, wybacz, Effie,

- Możemy wzniecić ogień - rzucił Johnnie, wskazując na fortecę. - Spójrzcie na tamtą stertę drewna pod oknem.

Marsali zagryzła wargę, żałując, iż nie zwróciła się jednak o pomoc do Duncana. Nie zrobiła tego, ale on pewnie i tak nie chciałby się wtrącać, więc jej rozważania nie miały sensu, a odpowiedzialność jak zwykle spadała na nią.

- Dobrze - zgodziła się. - Effie i ja pobiegniemy za bliźniakami, a Johnnie z Owenem rozpalą ogień. Lachlanie, ty będziesz stał na straży przy drzwiach do kuchni.

Plan był prosty. O tej porze nocy powinien się powieść i pewnie by się powiódł... gdyby nie to, że okno wychodzące na stertę drewna należało do osobistej kwatery majora Darlinga, którego właśnie wyгнаła z łóżka uporczywa zgaga.

Duncan wpatrywał się w listy leżące przed nim na stole. Pierwszy był osobistym zaproszeniem od księcia bugene'a Savoya na inspekcję oddziałów Królewskiej Kawalerii. Drugi przyszedł z brytyjskiego ministerstwa wojny i potwierdzał, że sprawa nadania tytułu książęcego jest w toku, więc przybycie Duncana do Londynu jest w najwyższym stopniu pożądane. Był też list od Sarah, zawierający aluzję, że jej małżeństwo okazało się; pomyłka. Tęskniła za Duncanem. Pytała, czy ma zamiar kiedyś wrócić do Anglii.

Słowa długo wyczekiwanymi wiadomości migotały w blasku świecy i domagały się odpowiedzi.

Przeniósł wzrok na okno; na jego ustach zaigrał niewesoły uśmiech.

Nie myślał wcale o wojnach, koniach, książęcych tytułach czy utraconych miłościach. Myślał o niej. Prześladowała go. Zaczęło mu brakować radości i śmiechu, jakich zaznawał jedynie w jej obecności. Tak, naprawdę czekał na nowe kłopoty, których Marsali z pewnością wkrótce nawarzy w kotle swoich dobrych intencji. Na tym polegała jej magia: potrafiła najnudniejsze codzienne wydarzenie zmienić w przygodę. Tyle razy w życiu był świadkiem przemocy, że jej słodycz działała na jego duszę jak balsam.

Odrzucił na bok pióro. Pozostawało coraz mniej czasu na zadecydowanie o jej przyszłości. Nie byłoby w porządku trzymać ją z dala od Jamiego MacFaya, jeśli rzeczywiście chciała poślubić tego głupca.

Duncan wiedział, że tylko pogorszył sprawę, próbując ją uwieść ostatniej nocy. Niemal słyszał głos Andrew Haya przeklinającego go z zaświatów. Słyszał...

Kroki. Ciche, skradające się, tuż za drzwiami.

Wstał od biurka z nadzieją, że zaraz ujrzy jasną twarzyczkę Marsali wyglądającą zza framugi. Gdyby znów zaproponowała zabawę żołnierzami, wcale by na nią nie krzychał. Zgodziłby się. Cieszyłby się tym krótkim czasem, jaki jeszcze mieli dla siebie. Daj Boże, żeby decyzja w sprawie jej przyszłości była zadowalająca dla nich obojga.

Abercrombie!

Ukazał się w kręgu światła rzucanego przez świecę; jak zamkowe szczury pojawiał się zwykle w nocy, z rozbieganym wzrokiem i umysłem owładniętym jakąś szaleńczą tajną misją.

- Czego chcesz? - spytał Duncan, nawet nie próbując ukryć rozczarowania.

Oczy Abercrombiego błysnęły złośliwą wesołością.

- Aresztowano ich, milordzie.

- Kogo aresztowano? - Duncana przebiegł dreszcz strachu, bo już wiedział. A Abercrombie wiedział, że on wie.

- Czarownicę i jej bandę, milordzie. Major Darling ma ich w swoich rękach.

- Gdzie? - spytał Duncan, żałując, że nie ułatwił sobie życia, wtrącając ich wszystkich do lochu pierwszego dnia po przybyciu do zamku.

- W fortecy, milordzie - odparł poruszony Abercrombie. Chodził za Duncanem krok w krok po pokoju. - Próbowali ją podpalić Fortecę, To było prawie jak wypowiedzenie wojny.

- W fortecy - powtórzył Duncan z pobladłą twarzą. Spojrzał oskarżycielsko na wysoką postać w nocnej koszuli, która wcisnęła się do środka za Abercrombiem. - Edwino, wiedziałaś, że Marsali ma zamiar podpalić angielskie koszary?

Edwina cofnęła się przerażona, trzęsąc potarganymi lokami.

- Niemożliwe, żeby to zrobiła. Dobry Boże.

- Próbowaliśmy cię ostrzec, milordzie - zaczął Abercrombie.
- Mówiłem...

Urwał wylęknięty, gdy Duncan zaczął się do niego zbliżać z wyciągniętymi ramionami, z miną zdradzającą dziką wściekłość.

- Nie bij mnie, milordzie. Nie mam z tym nic wspólnego. Ja nie...

Duncan sięgnął ponad schyloną tchórzliwie głową Abercrombiego po swój purpurowy płaszcz i kapelusz z kokardą, zawieszony na średniowiecznym herbie wystającym ze ściany. Musiał się wcielić w rolę generała MacElgina, żeby zapobiec oskarżeniu o zdradę.

- Przyniosę ci szablę - zaferowała Edwina. - Jadę z tobą.

Duncan odwrócił się na pięcie. Rondo kapelusza skrywało wyraz jego twarzy.

- Nie. Poradzę sobie sam.

- Nie jadę ze względu na ciebie, Duncanie - wyjaśniła Edwina ze ściągniętymi gniewnie brwiami. - Chcę pomóc Marsali. Ktoś musi obronić ją przed tobą.

Byli w pułapce.

Brytyjscy żołnierze przyparli ich do wysokiego kamiennego muru dziedzińca. Major Darling wykrzykiwał rozkazy, równocześnie upychając nocną koszulę w pośpiesznie wciągnięte spodnie. Prosięta Effie zdezorientowane biegały w kółko, wydając z siebie rozpaczliwe pokwikiwania.

Johnnie rozpostarł ramiona, żeby osłonić Marsali i Effie przed zabójczą salwą, jaka według ich oczekiwań miała zaraz rozszarpać miękką ciszę przedświt. Żołnierze czujnie podeszli bliżej.

- Koniec z nami - głośnym szeptem rozpaczła Effie.

- Tak, a wszystko przez te twoje świnię, które i tak skończą na talerzu - nie mógł się powstrzymać Owen.

Marsali zerknęła przez ramię Johnniego na rząd muszkietów wymierzonych w nią i jej towarzyszy walki.

- Nie możemy tak stać i dać się wystrzelać - powiedziała stanowczo. - Musimy coś zrobić.

- Zejdź z mojej stopy, Marsali - poprosił Johnnie, krzywiąc się z bólu. - I stój spokojnie. Jak będą strzelać, przyjmę na siebie pierwsze uderzenie.

- Uważajcie! - zawołał major Darling, bardziej śmieszny niż groźny z bagnetem wystającym spod pachy. - Mogą być uzbrojeni i niebezpieczni.

- Nie jesteśmy uzbrojeni - odrzyknęła Marsali. - Poza gotowanymi jajkami Lachlana, ale one są do zjedzenia.

- Właśnie - włączyła się Effie. - Wcale nie jesteśmy niebezpieczni.

- Chyba że dla samych siebie - mruknął Johnnie, odruchowo zagładając do lufy muszkietu.

Nagle z drugiego końca dziedzińca przybiegł młody żołnierz.

- Okrzyknęliśmy resztę wrogów, sir. Chowali się na urwisku... jest ich co najmniej setka.

- Znaleźć prowodyrę - rzucił ostro major Darling.

- To ja - zgłosił się Johnnie, występując odważnie z szeregu.

- Ja jestem tym człowiekiem, którego szukacie.

- To nieprawda - przerwała mu Marsali. Stała obok Johnniego z dumnie zadartą głową. - Ja jestem dowódcą.

Effie wepchnęła się pomiędzy Marsali i Johnniego.

- Ja też.

- I jeszcze ci dwaj pod ścianą? - kpiącym tonem spytał major Darling.

Owen i Lachlan nie odpowiedzieli. Marsali wyprostowała się, niemal stając na palcach.

- Może pan wypuścić pozostałych. To ja ich zmusiłam, żeby tu dziś przyszedli.

Major przyjrzał się drobnej, wyzywająco uniesionej twarzy,

- Na Boga - powiedział miękko - ty jesteś tą małą wojowniczką z klanu MacElginów. Ostrzegałem go, co się może stać, jeśli nie będzie cię pilnował. Czy zdajesz sobie sprawę, jaka jest kara za to, co dziś zrobiłaś?

Marsali przełknęła ślinę; groźne błyski w oczach majora nieco nadweryły jej odwagę.

- Może pan wypuścić resztę - powtórzyła, czując, jak Effie dodaje jej otuchy ściskając za rękę.

- Nie mogę ich wypuścić. - Major zmarszczył czoło, jakby uświadomienie sobie tego faktu wcale go nie cieszyło. - Żadne z was nie zostanie nigdzie wypuszczone. Jako zdrajców Korony czeka was los nie do pozazdroszczenia.

Marsali wyczuwała, że jej czterej towarzysze patrzą na nią wyczekująco z nadzieją, iż znajdzie jakieś wyjście z sytuacji. Pierwsze promienie świtu przedarły się przez ciężką zasłonę chmur. Powietrze znieruchomiło. Spojrzawszy w niebo, dostrzegła Euna, krążącego nad odległym urwiskiem. Był zbyt daleko, żeby mogła liczyć na jego pomoc. Znow była zdana tylko na siebie.

Wiedziała, co musi zrobić.

- Cofnijcie się - szepnęła do Effie i Johnniego.

Johnnie popatrzył na nią z góry wyraźnie zatroskany.

- Bądź ostrożna, panienko - poprosił cicho.

Effie jeszcze raz ścisnęła ją za rękę i spełniła polecenie.

- Powodzenia, Marsali. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką miałam w życiu.

Pokiwała głową. Wzięła bardzo głęboki oddech. Podniosła oczy ku niebu. Mrowienie zaczęło się w stopach i stopniowo szło w górę ciała, obejmując dłonie, ramiona, wreszcie czaszkę, na końcu podnosząc włosy na głowie. Naelektryzowane końce palców rzuciły trzeszczące iskry.

W oddali rozległ się grzmot. Poryw wichury zamiótł dziedzińiec. Kilku żołnierzy cofnęło się z przestrachem.

- To tylko jedna z tych cholernych miejscowych burz - rzekł zniecierpliwiony major Darling. - Nie ma powodu...

Nie dokończył, bo świetlisty piorun uderzył w ziemię pomiędzy nim i Marsali. W białoniebieskiej poświacie widać było triumfalny uśmiech na jej twarzy. Owen i Lachlan zaczęli podskakiwać niczym para zwariowanych królików. Major Darling stał osłupiały z otwartymi ustami.

- Teraz pan nas wypuści - oznajmiła Marsali, zwracając się do majora. - Ja wywołałam tę błyskawicę i mogę sprawić, żeby następna spadła wprost na pańską angielską głowę.

- No, to do dzieła - odrzekł spokojnie major.

Uśmiech zamarł Marsali na ustach. Nie była w stanie powtórzyć wyczynu, przynajmniej nie tak od razu.

- Chwileczkę. - Zerknęła niespokojnie przez ramię na swoich kompanów, którzy wystraszeni zbili się w ciasną gromadę.

Wciągnęła głęboko powietrze, odmówiła w duchu błagalną modlitwę. Patrząc na majora wolno uniosła rękę. I nic się nie stało. Spróbowała jeszcze raz.

Jego szyderczy uśmiech zmroził jej krew w żyłach.

- Aresztować ich - padł rozkaz.

Duncan wpatrywał się w stertę wojskowych map i szkiców na biurku majora, modląc się w duchu, by to wszystko okazało się jedynie złym snem, z którego zaraz się obudzi. Książęcy tytuł i stanowisko w rządzie ulatniały się na jego oczach. Potwierdziły się jego najgorsze obawy.

Major nie był w stanie ukryć rozczarowania, gdy recytował:

- ...aresztowano trzynastu szkockich zdrajców, w tym dziewięciu mężczyzn, dwie wyjątkowo bezczelne kobiety i dwie...
- rzucił Duncanowi wymowne spojrzenie - ...świnie, samca i samicę.

Duncan pochylił się nad biurkiem z tak wściekłą miną, że major bezwiednie przełknął ślinę.

- Chcę, żeby zostali zwolnieni.

- Zwolnieni, milordzie? Ależ to niemożliwe. Zostali przyłapani na gorącym uczynku, kiedy chcieli podpalić fortecę. Kara za...

Duncan podniósł się z krzesła; zasłonił w ten sposób światło padające z pojedynczej pochodni zawieszanej w uchwycie na ścianie.

- Rozumiem, że ceni pan swoje stanowisko, majorze - rzekł beznamiętnym tonem. - Oni nie próbowali podpalić fortecy. Ratowali tylko świnie.

Major Darling wstał, zastanawiając się w duchu, co go wcześniej zabije: zgaga czy ten porywczy Szkot, którego odwaga na polu bitwy, jak mawiano, graniczyła z szaleństwem. Żałował, że nie może po prostu wrócić do łóżka udając, że w ogóle nie zauważył tego pożałowania godnego incydentu.

- Osobiście zapłacę za wszelkie szkody spowodowane przez ludzi z mojego klanu - powiedział Duncan zmęczonym głosem.

odwracając się ku drzwiom. - Ma pan moje słowo, że to się więcej nie powtórzy.

- Będę musiał złożyć raport.

Duncan odwrócił się, nie kryjąc złości.

- Będę... musiał - bronił się major. Honor wymagał zwycięstwa przynajmniej na tym polu.

- Majorze, chce pan napisać w raporcie, że garstka bezbronnych górali prześliznęła się przez pańskie straże? Że dowodzony przez pana garnizon został zaatakowany przez parę prosiaków?

Major Darling zapadł się w krzesło.

- Dobry Boże! - Nagły śmiech wstrząsnął jego masywną pierśią. - Wyjdę na kompletnego głupca.

Duncan odpowiedział powściągliwym uśmiechem.

- Ja też.

- I tak nikt w to nie uwierzy.

- Zapewne.

Major spoważniał.

- Tylko że oni zniszczyli królewską własność.

- Szkoda zostanie naprawiona.

- W zatoczce widziano obcy statek, milordzie. Może to francuscy szpiedzy.

Duncan zmarszczył brwi. Czyżby chodziło o statek Jarniego? Cóż, Jamie był przysięgłym jakobitą, a do tego typem spruwającym kłopoty. Tak, mógł narazić klan na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Jeśli jest tam jakiś statek, to sprawdźcie, czego szuka. Nie ma nic wspólnego z moim klanem.

- Powinienem jednak napisać ten raport.

Serce Duncanowi zamarło.

- Proszę... o osobistą przysługę.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie ponad biurkiem; Thomas Darling dziwił się, że MacElgin zdobył się na prośbę, skoro w rzeczywistości to w jego rękach spoczywała przyszłość majora.

- To się więcej nie powtórzy. - Duncan włożył kapelusz.

- Dopilnuję tego. Ma pan moje słowo.

27

Duncan zatrzaskał drzwi sypialni tak mocno, że świecznik w formie cherubinka z kości słoniowej spadł z nocnego stolika na podłogę. Z satysfakcją patrzył, jak Marsali, zalekniona, rzuca się zbierać kawałki.

Przykucnęła u jego stóp udając, że ogląda zniszczenia. Była zadowolona, że to drobne wydarzenie pozwoliło jej na moment odwrócić uwagę od jego dzikiej złości, poprzedzonej straszną ciszą, jaka panowała podczas nie kończącej się drogi powrotnej do zamku.

- O rany - powiedziała wreszcie. - Złamałeś aniołkowi skrzydło.

Patrzył spod gniewnie ściągniętych brwi na wdzięcznie uformowane ciało rysujące się pod mokrym muślinem spódnic, które opinały każdą wypukłość. Wracając do domu przemokli do suchej nitki. Duncan był tak wściekły, że nawet na nią nie krzyczał.

Przynajmniej dopóki nie wjechali na zamkowy dziedziniec. Wówczas okazała niewiarygodną odwagę i oznajmiła dumnie:

- To ja wywołałam tę burzę, wiesz, milordzie? Na niebie nie było ani jednej chmurki, dopóki ich nie ściągnęłam.

Wtedy zaczął na nią krzyżeć. Obejmując ją w pasie dosłownie przeciągnął ją przez dziedziniec do zamku. Kilku napotkanych ludzi z klanu aż zatykało sobie uszy, szczególnie kiedy Marsali zaczęła mu odpowiadać pięknym za nadobne. Nikt jednak nie

ośmielił się wtrącić. Wiadomość o sromotnej porażce w fortecy całkiem złamała słabego ducha klanu. Nawet kucharka nie była w stanie nikogo zdzielić wątkiem aż do późnych godzin rannych, a i wówczas bez przekonania rozdzielała pojedyncze razy.

- Zdejmij ubranie, Marsali.

- Dlaczego? - wyprostowała się drżąca, ale uniosła rękę, żeby rozpiąć guziki u stanika. Miała nadzieję, że awantura na dziedzińcu stępiła nieco ostrze jego gniewu. - Położymy się razem bez ubrań tak jak w kabinie mojego wuja?

Duncan przymknął oczy; z całych sił starał się nad sobą panować. W jakiś przedziwny sposób to niewinne pytanie uspiło jego złość, budząc zgoła inne emocje, stawiając mu przed oczyma obrazy z gorących fantazji seksualnych, których mimo usilnych starań nie mógł się wyzbyć przez całe lato. Z całą pewnością potrzebował kobiety. Wstrzemięźliwość była konieczna podczas wojaczki, ale to nie znaczyło, że odpowiadała mu na stałe.

Zbliżyła się na palcach i stanęła za jego plecami.

- Jesteś na mnie zły, prawda?

- Rzykowałeś własne życie i moje dobre imię - odezwał się sztywno. - Myślisz, że nie mam o co być na ciebie zły?

- Ktoś musiał ich powstrzymać przed zburzeniem naszych domostw.

Nic nie powiedział. Nie poruszył się. Nie ufał sobie na tyle, by na nią spojrzeć.

- Jestem naga, milordzie - powiedziała. - Co będziemy teraz robić?

Wbrew rozsądkowi Duncan obejrzał się jednak i aż jęknął. Stała przed nim jak ją Pan Bóg stworzył, bez cienia wstydu. Jej smukłe ciało zaróżowiło się pociągająco od porannego chłodu. Zza kaskady długich do pasa rudawych włosów wyzierały drobne piersi. Nieduże, kuszące, doprowadzające zmysły do szaleństwa.

Umysł Duncana jakby skamieniał, ale cała reszta dosłownie pulsowała najprymitywniejszą z ludzkich żądz.

- Dobry Boże! - Odetchnął głęboko. Bezwiednie ocenił odległość od łóżka. Był draniem. Zawsze był draniem.

- Podejdź tutaj - odezwał się cicho.

Zbliżyła się ufnie niczym jagnię prowadzone na rzeź.

Patrzył na nią i nienawidził siebie.

- Co... - zaczęła, ale reszta słów uleciała jej z głowy, kiedy pociągnął ją w ramiona, wdychając jej zapach, zamykając ją w uścisku, z którego nie było ucieczki.

Kolana się pod nią ugięły. Złapał ją, podtrzymując bez trudu jej ciało. Błądził ustami w jej mokrych włosach; jego ciepły oddech łaskotał ją w ucho. Potem odchylił jej głowę i pocałował w usta. Było w tym pocałunku pragnienie, którego żadna inna kobieta na świecie nie mogła zaspokoić. Całował ją, przeklinając mroczne instynkty, które nim kierowały.

Marsali nie wykonała żadnego ruchu. W głowie jej wirowało. Pragnęła tego. Czekała na tę chwilę przez całe lato. Podniecała ją jego siła. Chwyciła go, zagarniając pełne garście wilgotnego płótna koszuli. Pożerał jej usta, dając upust długo powściąganego namiętności i udręce. Wspięła się na palce, żeby odpowiedzieć pocałunkiem z całą miłością i pragnieniem od dawna ukrywanym w sercu. Całowała go z wielką, nieodpartą siłą niewinności.

- Boże - jęknął łamiącym się głosem, jakby zadała mu ranę

Naparł na nią, aż oparła się plecami o balustrady łóżka. Jednym niecierpliwym szarpnięciem rozpiął koszulę i przygarnął ją do nagiej piersi. Kiedy ich ciała się zetknęły, wydał z siebie jęk rozkoszy.

- Marsali!

Patrzyła mu w oczy, pograżając się coraz głębiej w otchłani pożądania. Dzielące ich bariery opadły; nagle przestraszyła ją siła ich wzajemnego przyciągania, nieposkromionego uczucia.

Czuła się nabrzmiała, podniecona. Miała świadomość jego rozmiarów; potężny twardy kształt uciskał ją w brzuch. Duncan całował jej piersi; słodki dreszcz odebrał jej oddech. Wodził językiem po wrażliwych brodawkach, aż zamknąwszy oczy ścisnęła go za ramiona, wygięła się w łuk, zmierzwiłone włosy przesłoniły jej twarz.

- Wolałbym cię nigdy nie spotkać - szepnął chrapliwie, przesuając swymi wielkimi dłońmi po jej plecach. Po chwili głosem pełnym udręki dodał: - Mogli cię przecież zabić i wtedy bym oszalał.

Opadł przed nią na kolana, obejmując dłońmi jej pośladki. Resztką zmaconego pożądaniem umysłu modlił się, by mu stawiła opór. Ale to było niepodobieństwem. Czuł, jak mu się poddaje. Wodząc językiem po jej brzuchu czuł delikatne drżenie drobnego ciała. Wdychał łapczywie odurzający zapach jej skóry. Był gotów posiąść ją, nie bacząc na nic.

- Powstrzymaj mnie - poprosił, unosząc ku niej pociemniałą twarz.

Łagodnie potrząsnęła głową. Przyłożyła dłoń do jego policzka, pogładziła szorstki zarost ocieniający wyraziste rysy.

- Przecież cię kocham - powiedziała, jakby to miało wystarczyć za wszelkie wyjaśnienia. - Czemu miałabym cię powstrzymywać?

Zduślił w sobie ostrzegawczy pomruk. Z na wpół opuszczonymi powiekami, przyspieszonym oddechem, przesunął dłonią po jej udzie do magicznego trójkąta kobiecości. Zanurzył palce w wilgotnej gęstwinie włosów, potem delikatnie wsunął je w miękką szczelinę.

- Jesteś taka śliczna - szepnął z ledwie słyszalnym westchnieniem. - Słodka. - Zamknął oczy próbując uspokoić coraz silniej wrzącą krew.

Zawładnąć. Zdobyć. Posiąść. Na podłodze, w łóżku, pod ścianą. W jego umyśle rozbłyskiwały kolejno obrazy męskiego ataku i kobiecego poddania. Miękką białą skórą podatną na jego dotyk. Krucho ciało przyjmujące go w siebie.

Była taka drobna; każdy kontur jej ciała miał piękno doskonałej rzeźby, każde zaokrąglenie kusiło cudowną miękkością. Nigdy jeszcze nie był tak dalece świadomy własnych rozmiarów, swojej siły. Nigdy jeszcze nie miał w rękach takiego baśniowego stworzenia.

Ona także osunęła się na kolana, opierając dłoń na jego piersi; czuła, jak serce mu wali pod jej dotykiem.

- Duncanie,

Otworzył oczy; musiał użyć całej siły woli, by odrzucić tę zniewalającą słodycz, jaką złożyła u jego stóp.

- Nie. Przestań - rzekł niemal gniewnie, odpychając jej rękę.

- Nie dotykaj mnie. Wstań z podłogi. Zrobię ci krzywdę, jeśli tego nie przerwiemy. Ty nic nie rozumiesz, Marsali. Jesteś uparta i żyjesz mrzonkami. Gdyby zastrzelili ciebie i tych nieszczęsnych idiotów, to byłaby twoja wina.

W jej oczach pojawiły się kolejno: zaskoczenie, uraza i niechęć.

- Przynajmniej próbowałam ochronić te domy. Czego nie można powiedzieć o naszym naczelniku.

Chwycił ją mocno za ramię, ze złością zaciskając usta.

- Te domy miały pozostać nietknięte, moja droga. Miałem na to słowo majora Darlinga, które teraz nie jest warte nawet splunięcia.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - szepnęła z rozpaczą. Jej twarz wydała się jeszcze bledsza w obramowaniu wzburzonych kędziorów.

- Bo rozmawiałem z nim zaledwie wczoraj po południu i nie śniło mi się, że możesz zrobić coś tak niewiarygodnie głupiego, jak atak na fortecę. Masz świadomość, na jakie ryzyko się naraziłaś? To mógł być koniec mojej reputacji.

- Duncanie, przepraszam - szepnęła skruszona.

Chrząknął z zakłopotaniem.

- Ja też przepraszam. Za wszystko, co się wydarzyło tego lata. I za to, co muszę uczynić. - Puścił jej rękę. - Mogłem wykazać więcej rozsądku. Niepotrzebnie wmieszałem w to uczucia wobec twego ojca. Wstań.

- Duncanie.

Zesztywniał, słysząc błagalny ton w jej głosie.

Chciał się podnieść, ale złapała go za rękaw i trzymała z całej siły.

- Nie podoba mi się to, co mówisz. Co zamierzasz zrobić?

- Puść mnie. - Odwrócił twarz. Nie mógł znieść jej spojrzenia, wiedząc, że nigdy mu nie wybaczy. - Włóż jakieś suche ubranie, na litość boską, bo inaczej nigdy nie wyjdziemy z tego pokoju.

Wpatrywała się w niego, wciąż uczeplona rękawa, zmieszana i upokorzona.

- Kocham cię, Duncanie,

- Nie kochaj mnie. - W jego oczach pojawiły się mroczne cienie.

- Nie kochaj mnie. Jestem urodzonym mordercą, Marsali. Miałas rację, że moim światem jest wojna. Inni też mieli co do mnie rację.

Nie mogła się pogodzić z tym, co mówił. Należał do niej. Jej ranny wojownik. Podniosła do ust jego nawykłą do noszenia broni dłoń i pocałowała szorstką skórę.

- Nie dbam o to. Cokolwiek zrobię, to było dawno. Nie dbam o to, co ktoś o tobie sądzi.

Jej bezwarunkowe oddanie powinno być balsamem dla duszy Duncana, a tymczasem zabołało niczym polanie octem nie zagojonych ran. Była naiwna. Jak mogła go kochać, skoro on nie mógł kochać samego siebie?

- Powinnaś brać pod uwagę to, co mówią ludzie. Powinnaś ich dobrze słuchać - rzekł dobitnie, niemal ze złością. Wyrwał dłoń; jej miękki dotyk budził w nim pragnienia, które nie mogły być zaspokojone.

Ich spojrzenia się spotkały; Duncan poczuł ukłucie bólu na widok niemego pytania w jej oczach. Czy naprawdę zamordował swoich rodziców? Czy to możliwe? Czy ta straszna pogłoska mogła być prawdą?

- Nie - szepnęła. Wstrzymała oddech. Przysiadła na gołych piętach. - Nie.

Duncan w milczeniu przyglądał się swoim dłoniom.

- Tak - odezwał się wreszcie głosem pozbawionym wszelkich uczuć.

Nie poruszyła się, szukając w jego twarzy potwierdzenia. Potem wolno uniosła się na kolana i niezgrabnie objęła go, próbując pocieszyć. Bezwiednie naprężył mięśnie, broniąc się przed jej gestem, choć serce przepełniała mu ludzka potrzeba przebaczenia i zrozumienia. Już miał ją do siebie przytulić, szukać u niej ukojenia, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

- Zakłułem mojego ojca widząc, jak zabił moją matkę. Kłócili się o to, że na kolację pozwoliła mi zjeść ostatni kawałek mięsa. Zawsze mnie nienawidził. Zawsze wiedział, że nie jestem jego prawdziwym synem.

Był spokojny. Po raz pierwszy od tamtego wydarzenia powiedział na głos, co zaszło. Zapamiętane obrazy stawały mu przed oczyma z przerażającą wyrazistością. Wbijał wzrok w zakopcony sufit, żeby nie patrzeć na paskudną scenę pomiędzy Fergussem i matką. Siostra tuliła się do niego na strychu, wzdragając się na dźwięk podniesionych głosów dobiegających z dołu. Potem odgłosy bicia, kopania i wreszcie głucha cisza, która była najgorsza ze wszystkiego.

Zeskoczył na nierówne klepisko i rzucił się na Fergusza. Duncan był wyjątkowo wysoki i silny jak na chłopca w swoim wieku. Kątem oka dostrzegł matkę leżącą koło komina. Była blada, nie ruszała się; pomiędzy żeber wystawał nóż. Tak samo delikatna i bezbronna po śmierci, jak była za życia.

Duncan stracił panowanie nad sobą. Cały strach i bezradna złość wypełniające jego młode życie nagle dały o sobie znać. Uderzył głową w pierś Fergusza, spychając go na drabinę. Sam ledwie czuł uderzenia kija, którym Fergus w pijackiej furii okładał go po twarzy i barkach. Nie od razu zauważył, kiedy ciosy ustały, aż Fergus zwałił się na niego ze sztyletem wystającym z przebitej szyi.

Patrzył Marsali prosto w oczy.

- Jesteś jedyną osobą, poza moją siostrą i twoim ojcem, która zna prawdę. Andrew nigdy później nie zadawał mi żadnych pytań. Wierzył mi. - Głos mu się lekko załamał. - Nigdy mnie nie osądzał. Wierzył mi.

- I ja ci wierzę. - W oczach Marsali szkliły się łzy.

Odwrocił głowę.

- Wstań, Marsali. Muszę się zająć pakowaniem. Wstań, zanim przekonam nawet siebie, że w mojej duszy nie ma ani odrobiny przyzwoitości.

- Ale ja cię kocham - powtórzyła bezradnie. - Niezależnie od tego, co zrobisz.

Wstał nie patrząc na nią, zostawiając ją nagą i nieruchomą jak szklana figurka. Wydawała się taka krucha, że mogłaby pęknąć, gdyby znów ją dotknął. Ze ściśniętym sercem schylił się po ciężki, okuty brązem kufer stojący przy łóżku. Postanowił, że nie zniszczy jej życia, nie dopisze tego do długiej listy swoich grzechów.

Marsali podniosła się wolno.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy Duncan przeniósł kufer bliżej szafy i zaczął starannie układać w nim wszystkie jej ubrania.

- A co z twoimi rzeczami? - Spojrzała na niego podejrzliwie.
- Już się spakowałeś? I dokąd się wybierasz?

Oparł się plecami o drzwi szafy i stał tak przez chwilę, nim odpowiedział:

- Na wyspę Inverrothes. Tam jest klasztor mojej siostry.
- Nie. - Patrzyła na niego z niedowierzaniem, a kiedy uświadomiła sobie w pełni znaczenie jego słów, ze złością.
- Niech cię wszyscy diabli, Duncanie MacElgin. Już wolę pójść do więzienia za zdradę.

Zaśmiał się drwiąco.

- Za zdradę nie idzie się do więzienia, mała dziewczynko. Napierv cię wieszają, potem odcinają, kiedy jeszcze walczysz o złapanie tchu, żeby kaci mogli cię poćwiartować. Jeśli dobrze wykonają swoją robotę, będziesz nadal żyć, żeby doświadczyć kolejnego cierpienia, kiedy będą ci przypiekać wnętrzności... i siekać na drobne kawałki, wystawiając na widok publiczny.

Łzy dławiły ją w gardle; cofnęła się zahaczając nogą o porzucone na podłodze mokre ubranie.

- Nie jadę - oznajmiła stanowczo.
- Pojedziesz. Sam cię zawiozę.
- Nie zostanę tam. Będziesz mnie pilnował dniem i nocą? Naprawdę myślisz, że garstka zakonnic zdoła mnie tam zatrzymać?
- Jeśli wystawisz stopę poza klasztor, choćby jeden mały palec, twoja „armia” zostanie aresztowana i będzie sądzona za zdradę. Obiecałem to.

Jego rzeczowość zmroziła jej krew w żyłach. Mówił poważnie. Ten bezwzględny diabeł gotów był wydać ludzi, których miał bronić.

- Jak mógłbyś? - szepnęła, kuląc się z lęku, jakby był potworem.

Zabolał go wyraz obrzydzenia w jej oczach.

- Nie miałem wyboru. Jeśli już kogoś musisz winić, win siebie. Ceną twojej wolności było słowo dane majorowi Darlingowi, że będę cię trzymał z daleka, dopóki droga nie zostanie ukończona.

Odwróciła się od niego, kierując wzrok na wieżę. Tak, myślała z rosnącym gniewem, znów wpadła w jego pułapkę. Duncan wiedział, że nigdy by nie skrzywdziła tych, których kocha. Wykorzystał jej uczucia, żeby nią manipulować. Znał ją aż za dobrze.

Wyczuła, że zbliża się do niej od tyłu. Jej ciało odpowiedziało zdradliwym dreszczem tęsknoty do jego bliskości, ale trawiony rozpaczą umysł przywołał je do porządku.

- Robię to, co wydaje mi się najlepsze. - Chwycił ją za ramiona i odwróciwszy do siebie zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Twoja sukienka jest na podłodze - dodał cicho.

- Zostaw. - Wyrwała mu się wzburzona. - Nie dotykaj mnie, Duncanie. Kiedy udajesz, że cię to obchodzi, jest jeszcze gorzej.

- Obchodzi mnie, Marsali.

- To zostań tu. - Połykała łzy, nienawidząc i kochając go tak mocno, że bała się, iż serce jej pęknie. - Należysz do nas, milordzie.

Potrząsnął głową ze smutkiem.

- W tym zamku jest za wiele duchów. Nie rozumiesz tego?

- Skoro zamierzasz mnie stąd odesłać, możesz przynajmniej zostać, żeby przewodzić klanowi. Ktoś musi ich powstrzymać, żeby się nie pozabijali.

- Nie ja.

Zacięła się w sobie; nie odpowiedziała na grymas bólu, jaki na krótko ukazał się na jego twarzy.

- Więc nie rozumiem. Nie rozumiem tego, co mówisz i co robisz, tak jak nie rozumiem wody w jeziorze. Wiem tylko, że nie ma w tobie lojalności i miłości dla samego siebie. Nic dziwnego, że siostrzenica Edwiny cię porzuciła.

28

Posępne głosy rodaków dochodziły do uszu Marsali, kiedy przez zwodzony most zmierzała ku swemu przeznaczeniu. Nawet kurczęta w fosie zamilkły; żaden pisk czy drapnięcie nie zakłócało smutnego wydarzenia. Z parapetów zwiślały na wpół opuszczone pirackie flagi z trupią czaszką.

- Żegnaj, panienko. To tragiczny dzień dla klanu MacElginów.
- Okrutny koniec, Marsali.
- Nigdy o tobie nie zapomnimy.
- Pokaż tym siostrzyczkom, co potrafisz.

Cook uściśnieła rękę Marsali.

- Nie jesteś pierwszą Szkotką, której przyszło poznać smak poświęcenia, ale jesteś jedną z najlepszych. Jestem dumna, że mogłam cię poznać.

Effie stała pod murem, tryskając łzami jak fontanna.

- Bliźniaki i ja będziemy bardzo za tobą tęsknić - zapewniła głośno pociągając nosem.

Marsali patrzyła w dal ponad wrzosowiskiem, zachowując stoicki spokój osoby świętej. Fiona wraz w wujem widzieli z daleka krąg skamieniałych postaci. Niebieskie szaty Columa zlewały się z tłem nieskazitelnie czystego letniego nieba, tym boleśniej przypominając Marsali o czekającym ją uwięzieniu. Ogarnęła ją rozpacz.

- Też mi czarodziej - mruknęła do siebie ze złością. - Dużo mi pomogły twoje czary.

Drogę zastąpił jej długi cień Duncana.

- Łódź czeka. Pośpiesz się, Marsali.

Johnnie, Lachlan i Owen byli zbyt wzburzeni, żeby podejść się pożegnać. W końcu Johnnie schwycił ją za rękę.

- Nic nie trwa wiecznie, panienko - powiedział ściszone głosem. - Jeśli wiesz, o czym mówię.

Niestety, wiedziała. Planowali ją uwolnić. Tyle że ci szlachetni głupcy prędzej by utonęli podczas krótkiej przeprawy przez morze na wyspę, niż zdołali tego dokonać. Nie chciała brać tego na swoje sumienie,

- Zostańcie i opiekujcie się klanem - poleciła stanowczo. - Ja sobie jakoś poradzę.

Duncan położył jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się. Pomimo tego wszystkiego, co zaszło, jego dotknięcie nadal wzbudzało w niej miłe poruszenie. Serce jej się ścisnęło na wspomnienie dnia, nie tak znów odległego, kiedy stali razem w tym samym miejscu. Jakże się co do niego myliła.

- Powinnaś była pozwolić, żeby most spadł ci na głowę, milordzie.

- Może rzeczywiście powinnaś - zgodził się Duncan z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Ale nie pozwoliłaś.

Ta młoda kobieta chyba nie jest z tobą w ciąży, Duncanie?

To bezceremonialne pytanie rozwiało nadzieje Duncana na ciepłe przyjęcie. Kobieta siedząca naprzeciw niego przy stole mogła go wiele nauczyć w kwestii panowania nad sobą. Trochę koścista, choć ładna twarz pod welonem wyrażała więcej rozczarowania niż siostrzanej miłości.

- Bardzo mnie denerwuje to pytanie... - Urwał i wyprostował się na krześle, nasłuchując, jak za drzwiami Marsali przeklina niemiłosiernie. - Posłuchaj tylko.

- Słyszę - przyznała Judith kwaśno. - Klnie jak żołnierz... Zastanawiam się, gdzie się mogła tego nauczyć. A tak żarliwie się modliłam, żebyś się odmienił.

Duncan spuścił głowę; nie był w nastroju do kłótni. Zresztą

o co? Ze wszystkich ludzi właśnie Judith nie mogła zapomnieć tego, co zrobił.

- Mam nadzieję, że przynajmniej będziesz miał na tyle przyzwoitości, by zaopatrzyć dziecko, kiedy się już narodzi, Duncanie - westchnęła. - Jesteśmy skromnym zgromadzeniem. Wprawdzie mamy możnych darczyńców...

Poderwał się z krzesła.

- Marsali Hay nie jest w ciąży i dopilnuję, by tak pozostało, dopóki nie wyjdzie za mąż.

Judith rozprostowała ramiona, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Rozumiem. Więc wygląda na to, że jednak się co do ciebie myliłam.

Wzruszył ramionami; widział przez okno, jak pięć zakonnic z wielkim wysiłkiem próbuje zaciągnąć Marsali do wyznaczonej celi. Ordynarne słowa niesione czystą morską bryzą raziły uszy jego siostry, ale Duncan wiedział, że Judith dorastając słyszała o wiele gorsze rzeczy od swego ojca.

- Nie sądziłam, że jeszcze cię zobaczę - powiedziała łagodniejszym tonem, kiedy na zewnątrz zapadła już cisza. - Wiele osiągnąłeś w życiu.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Jesteś tu szczęśliwa?

- Owszem. - Zawahała się. - Trzeba by raczej powiedzieć: zadowolona.

Zapanowało krepujące milczenie. Czasami, w rzadkich chwilach wątplenia, Judith wciąż się zastanawiała, dlaczego Bóg dopuścił do tego, co się stało. Dlaczego pozwolił, by Fergus zamordował ich matkę. I dlaczego Duncan zasztyletował Fergusa w porwywie morderczej rozpacz. Nigdy jej się nie śniło, że jej biedny, dręczony brat jest zdolny do czegoś takiego.

- Mogłam próbować cię powstrzymać - powiedziała zduszonym głosem. - Byłam tak samo winna jak ty wszystkiemu, co się stało tamtej nocy. - Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Chciałam, żeby się tak stało.

Duncan podszedł do siostry i położył jej ręce na ramionach.

- Nic wypieram się winy za to, co zrobiłem, ale zasługiwał na śmierć. Zapomniałaś, co on ci zrobił?

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie zapomniałam. - Wpatrywała się w zatroskaną twarz brata, żałując, iż nie może wygładzić ostrych rysów zastygłych w bólu. - Byłeś naszym jedynym bohaterem, naszym wybranym - powiedziała miękko. - Dźwigasz wielki ciężar.

- Całą tę krew, Judith. - Sprawiał wrażenie wyczerpanego. - Moje życie składało się z samych bitew, jednej za drugą. Nikt się nigdy nawet nie domyślał, jak bardzo nienawidzę zapachu śmierci. - Westchnął ciężko. - Nie chcę więcej zabijać.

- Więc nie zabijaj. Przecież nikt nie może cię zmusić.

Nie odpowiedział. Jak mogła zrozumieć ziemskie pokusy, żądze władzy, których się wyrzekła dla życia w odosobnieniu?

- Proponują, żebym objął stanowisko w ministerstwie wojny. Chcą wykorzystać moją wiedzę do planowania nowych bitew. Jeśli rebelia jakobitów będzie się przeciągać, mogą mnie zmusić do wystąpienia przeciwko moim ludziom.

Judith rozpromieniła się.

- Chyba że wykorzystasz swoją wiedzę dla osiągnięcia pokoju. O ile rozumiem, masz znaczące wpływy.

Jej słowa rozпалиły iskierkę nadziei w jego sercu. To była prawda. Posiadał władzę, szacunek, posłuch u światowych przywódców.

- Może - mruknął w zamyśleniu.

Dotknęła jego dłoni.

- Nie znalazłeś w życiu ukojenia?

- Nie. Poza...

Przed oczyma stanęła mu drobna twarzyczka. Chciał o niej zapomnieć. Pragnął zerwać tę nić uczucia, która mogła oplątać mu serce.

Przez jedno szalone lato pozwoliła mu się wynurzyć z ciemności. Już samo jej wspomnienie było jak płomyk świecy roz-taczający krąg miłego ciepła.

- Marsali - powiedział, nieświadom, że wymienił głośno jej imię.

Judith spojrzała na niego zaskoczona.

- Ta dziewczyna. przeklinająca jak pirat?
- Owszem, ta sama. - Mimowolny uśmiech rozciągnął mu usta. - Judith, życzę ci powodzenia.

- Nie podoba mi się ten ton, Duncanie. Jak długo mam ją tu trzymać?

- Dopóki jej nie znajdę męża. - Nagle poważniejąc przysunął się do okna. - Jest córką Andrew Haya.

- I?

Chcę ją dla siebie, pomyślał, i nie wiem utrzymać z dala od niej moich splamionych krwią rąk. A ona mówi, że mnie kocha.

Wzruszył szerokimi ramionami. Siostra przyglądała mu się trochę zbyt wnikliwie. Zbyt wiele sekretów ich łączyło.

- Jest pewien młody jakobita z Pogórza, o nazwisku MacFay, który nie chciał się pogodzić z odrzuceniem jego oświadczyn. Nie wolno wypuszczać Marsali z nikim, dopóki jej przyszłość nie zostanie postanowiona.

- Myślę, że to rozsądne.

- Z nikim, Judith. Nie zdziwiłbym się, gdyby MacFay próbował przekupstwa lub wtargnięcia siłą do twojego klasztoru.

- Wytrzymały zalotnik. Miałam do czynienia z kilkoma takimi. Twoja mała podopieczna będzie u nas bezpieczna. Chcesz się z nią pożegnać?

Duncan zawahał się. Ostatnie spojrzenie, jakie Marsali posłała mu od klasztornej furty, aż płonęło od gniewu i niechęci.

- Nie. To by tylko pogorszyło sprawę.

- Dla ciebie czy dla niej?

Nim zdążył odpowiedzieć, w oddali rozległ się grzmot.

- O. nie - jęknęła Judith. - Jeśli będzie padać, wymyje wszystkie moje sadzonki. Na niebie nie było ani jednej chmurki, kiedy je sadziłam dziś rano.

Duncan ruszył do wyjścia; przystanął, kiedy poczucie winy zwyciężyło nad odruchem ucieczki.

- Jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć o Marsali.

Judith uniosła się w krzesło.

- To też mi się nie podoba. Tak jak twój głupawy uśmiech. Co właściwie jest nie tak z tą dziewczyną?

- Niektórzy sądzą, że jest czarownicą.

- Czarownicą?

- Głupie, co? - Wycofał się ku drzwiom widząc niepokój w oczach siostry. - Nie przejmuj się. Jest dobrą czarownicą, jeśli w ogóle wierzysz w takie rzeczy.

- Duncanie...

- Będę regularnie przysyłał pieniądze na jej utrzymanie - rzekł pośpiesznie, nie dając siostrze czasu na zmianę decyzji. - Pamiętaj, nie wolno wypuścić jej z nikim. Jej życie może od tego zależeć. Klan MacFayów od dawna słynie z bezprawia.

I już go nie było.

Judith stała przy oknie, kiwając głową w zadumie.

Na wiele pytań nie znajdowała odpowiedzi, mimo że już dziesięć lat spędziła na kontemplacji i poświęceniu. Jasne było tylko to, że na skutek tamtego tragicznego przeżycia Duncan nie stronił od przemocy, a ona poświęciła się pomaganiu kobietom i dzieciom w podobnej sytuacji. Bóg nieraz dawał jej okazje ratowania czyjegoś młodego życia.

Była w tym pociecha, jeśli nie odpowiedź, której poszukiwała. Jednak serce jej brata nadal pozostawało w stanie wojny z przeszłością. Gorąco pragnęła mu pomóc.

I teraz, po piętnastu latach, przerywanych od czasu do czasu listem z jakiegoś odległego kraju, zostawił tę szaloną młodą istotę w jej klasztorze. Czarownicę, jak powiedział. Dziewczynę, której najwyraźniej pożądał dla siebie, ale zbyt szanował, by zrujnować jej życie. Postąpił z honorem.

Jej modlitwy odniosły skutek. Nauczył się panować nad swoimi popędami. Ale Judith wiedziała, że Bóg nie skończył jeszcze rozrachunków z jej bratem.

Pochyliła głowę, złożyła ręce. gotowa obmyślić własną strategię walki. O ile Duncan osiągnął wysoką biegłość w wojennym rzemiośle, o tyle Judith miała spore doświadczenie w sztuce walki duchowej. Jej brat żył władzą, ona wiarą, ale tak samo jak Duncan nigdy by się nie przyznała do porażki.

Naprawdę nie chciałam, żeby siostra Isobel zemdlała, Wielebna Matko. Nie sądziłam, że ktoś może mnie słyszeć, kiedy upuściłam sobie balię na nogę.

- Nasz Pan zawsze słucha, Marsali. Twój język jest niewybaczalny.

- Nauczyłam się tych słów od Duncana. Podśledzałam, jak używał ich w zamkowej kaplicy.

- W kaplicy? Moj brat bluźnił... używał takich słów w kaplicy?

- Proszę lepiej usiąść, Wielebna Matko. Jest Matka całkiem błada. Tak, to prawda. Używał też gorszych słów, ale ich nie pamiętam. Ale proszę się nie martwić, pewnie sobie przypomnę w czasie mszy.

Naprawdę nie chciałam, żeby ta święcona woda tak tryskała, Wielebna Matko.

- Więc dlaczego to zrobiłaś, Marsali? A ściślej mówiąc, jak to zrobiłaś?

- Cóż, ćwiczyłam moją moc, rozumie Matka. Idzie mi coraz lepiej. To prawdziwy pech, że Matka akurat tędy przechodziła, kiedy woda trysnęła jak fontanna.

- Masz więcej nie używać tych swoich „mocy”, Marsali. Obojętnie, czy ktoś akurat przechodzi, czy nie.

- Postaram się, Wielebna Matko.

Naprawdę nie chciałam, żeby tak lało dziś po południu, Wielebna Matko. Próbowałam tylko wywołać tęczę. Tęcze są takie śliczne.

- Marsali, powinnaś się skupić na modlitwie i medytacjach. Nasza kolatorka nie była zadowolona, że całą drogę powrotną do domu musi płynąć w burzy, którą ty wywołałaś.

- Następnym razem lepiej się postaram. Obiecuję.

Umieram z głodu. Wielebna Matko. Proszę mnie uszczypnąć. Dosłownie skóra i kości.

- Następnym razem, jak cię przyłapię na próbie ucieczki przez

mur, otrzymasz karę znacznie dotkliwszą niż jeden dzień postu. Rozumiesz?

- Tak, Wielebna Matko.

- Wracaj do swojej celi. Masz tam pozostać, aż usłyszysz dzwon. O co chodzi? Czemu się tak gapisz?

- Nie mieści mi się to w głowie. Wielebna Matko. Nigdy bym nie przypuszczała, że Matka ma dość siły, by wspiać się za mną na ten mur. To musi być rodzinne.

Marsali odkryła w sobie nowy talent: potrafiła wywoływać mgłę. Prawdę mówiąc, jedyną dobrą stroną uwięzienia w klasztorze było to, że nauczyła się panować nad swoimi nadprzyrodzonymi zdolnościami. Ponieważ zawsze musiała płacić za łamanie klasztornych zwyczajów, miała mnóstwo czasu na ćwiczenie swojej mocy.

Od tygodnia pracowała przy pieleniu ogrodu.

Ciągnąc obojętnie za korzeń mlecza zastanawiała się, czy ma dość mocy, by czarować ludzi. Poprzedniego dnia próbowała zmusić Duncana, żeby się pojawił w ogrodzie, przy czym oczy omal nie wyszły jej z orbit. Złość na niego powoli przechodziła w dotkliwy ból tęsknoty. Jak mógł ją porzucić, skoro tak jej potrzebował? Wydawało się przecież oczywiste, że są sobie przeznaczeni.

Przerzuciła za siebie nad głową żółty chwast. Ten głupiec gotów był wyruszyć na kolejną wojnę i dać się zabić, zamiast spędzić z nią resztę życia. Cóż, jeśli będzie odpowiednio dużo ćwiczyć, może magia wsparta modlitwami sprowadzi go z powrotem.

Zerknęła przez szczelinę w wysokim murze. Żadnego statku na horyzoncie. Do licha, gdyby jakiś statek przybył ją uratować, pewnie by się zgubił w tej mgłę i rozbił na skałach.

- Czego wypatrujesz? - rozległ się za nią zaciekawiony kobiecy głos.

Marsali z westchnieniem odwróciła się od muru. Jedna z klasztornych uczennic, wysoka kruczowłosa dziewczyna o imieniu

Hannah, ostrych rysach twarzy i niebieskich oczach, podeszła do niej przez ogród.

- Niczego.

- Piratów? - spytała z nadzieją Hannah. Sama nachyliła się do szczeliny, żeby popatrzeć, lecz zaraz cofnęła się rozczarowana.

- Nie ma szans. Nigdy nie zostaną uprowadzona.

Marsali uśmiechnęła się współczująco. Według krążącej po klasztorze plotki, dziewczyna była sierotą i spędziła w tym miejscu całe dotychczasowe życie. Ktoś mówił, że jest daleką krewną Wielebnej Matki i z tego powodu pozwalała sobie na pewną wyniosłość. Często przeklinała, miała krnąbrny charakter i już choćby za to Marsali od razu ją lubiła.

- Czekam na naczelnika - powiedziała Marsali, sama nie rozumiejąc, dlaczego zwierza się z czegoś takiego dziewczynie, której prawie nie zna.

- Naczelnika? Brata Matki Judith? - Hannah myślała przez chwilę nad jej słowami, a potem zerkając na Marsali podejrzliwie powiedziała: - Mam nadzieję, że naprawdę znasz się na czarach, bo na tej wyspie przynajmniej od stu Jat nie było porządnego mężczyzny.

- Chwasty same nie znikną, Marsali - zauważył za ich plecami czyjś zgryźliwy głos.

Marsali westchnęła wyciągając z ziemi delikatną zieloną roślinkę.

- To była sadzonka fasoli, nie chwast - powiedziała przełożona.

Wielebna Matka minęła je, mówiąc do siebie:

- Może to ta mgła. Coś niepokojącego wisi dziś w powietrzu.

- To nuda - mruknęła pod nosem Hannah.

- Właśnie - przytaknęła jej cicho Marsali. - Każdy by oszalał nosząc te drapiące habity, biegając tam i z powrotem do kaplicy za każdym razem, jak zadzwonią. To przez ten dzwon muszę dziś za karę wrywać chwasty.

- Co się stało? - zainteresowała się Hannah.

- Była moja kolej dzwonić na godzinki. Cóż, nie doceniłam swojej siły i zerwałam dzwon z tej starej, zetłałej liny. Nim się spostrzegłam, już leciałam przez dzwonnice. - Marsali przerwała,

krzywiąc się na przykre wspomnienie. - Wpadłam na belkę i spuściłam dzwon aż na dno wieży.

Ten sam dzwon, połatany w wielu miejscach, zaczął je wzywać na komplety. Mijało kolejne popołudnie, a Duncan nie przybywał.

Pozbierawszy się z ziemi, Marsali rzuciła ostatnie tęskne spojrzenie na zasnute mgłą morze rozciągające się za klasztornym murem.

Nienawidziła go. Kochała go. Tęskniła za nim tak bardzo, że bolało ją nawet wyobrażanie sobie jego twarzy. Wciąż nie mogła uwierzyć, że był tak okrutny, by ją porzucić. Nawet teraz jej uparte serce trzymało się nadziei, że w ukochanym odezwie się dobroć.

29

Miał opuścić zamek za niespełną godzinę. Wreszcie stąd uciekał.

Powinien biegać po korytarzach, okazywać radość z odzyskanej wolności przed nękającymi go duchami. Z grubsza biorąc spłacił swoje długi. Starał się jak mógł. Gdy tylko wyniesie się z tych przytłaczających murów, ten nieznośny ciężar spadnie mu z serca.

Zmierzając ku drzwiom podniósł z podłogi gabinetu ołowianego żołnierzyka. Uśmiechnął się bezwiednie na wspomnienie bitwy przegranej z Marsali.

„O, żołnierzyki. Czy mogę się też pobawić, milordzie?”

- Niemądra dziewczyna - powiedział na głos. ściskając w dłoni ołowianą figurkę. - To nie zabawki. Ja się wcale nie bawiłem.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi. To była Edwina, dziwnie rozdęta i usztywniona w szkarłatnym płaszczu i ozdobionym piórami kapeluszu z wojskowego munduru jej ojca; pod spodem miała własny strój do konnej jazdy.

- Konie są gotowe. Dobry Boże. Chyba nie bawisz się znowu swoimi żołnierzykami, Duncanie? Zdawało mi się, że chcesz wyruszyć zaraz o świcie.

Duncan odrzucił figurkę na biurko.

- Nie masz nawet zamiaru pożegnać się z klanem? - spytała z troską.

- Po co? - Duncan spochmurniał. - A gdzie się podziewa Abercrombie? Miał mi doręczyć rachunki.

- Cook twierdzi, że uciekł do brytyjskiej fortecy błagać o azyl. Tak na marginesie, oddałam swój powóz bratanicom i bratankom Marsali... - Zawiesiła głos dla lepszego efektu i zmarszczyła się gniewnie. - Przynajmniej tyle mogłam dla nich zrobić, po tym jak ich ciotka została okrutnie wyrwana z łona rodziny.

- Nie zaczynaj znowu, Edwino. Dostała to, na co zasłużyła.

Minął ją nie zatrzymując się. Nie chciał się oglądać na pokój wciąż przesiąknięty atmosferą bolesnej utraty i żalu.

- Nie licz na czułe pożegnanie - rzekł twardo. - Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się przejść przez dziedziniec bez strzały w plecach.

Tak jak przewidywał, musiał ryknąć, żeby opuszczono most. Nie musiał się natomiast martwić strzałami. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby w ogóle zauważyć jego odjazd. Ostatecznie było jeszcze wcześniej.

A on nie był już naczelnikiem.

Poprzedniego wieczoru przekazał cały ciężar odpowiedzialności Johnniemu, choć można było wątpić, czy Johnnie, wówczas na wpuł śpiący, pamiętał o tym.

Teraz odjeżdżał ze swego walącego się zamku po raz ostatni. Cekał na niego Londyn, ze strojnymi damami, które będą go wabić zalotnymi spojrzeniami spoza wachlarzy, oraz dygnitarzami, którym będzie schlebiał. Cekał tytuł książęcy. Wracił do świata pełnego blichtru, który miał go powitać jak bohatera.

Nareszcie był wolny od tych buntowniczych oberwańców i niesubordynowanych podwładnych. Patrzył przed siebie na oblane słońcem wzgórze i upajał się aromatem wędnącego wrzosu i nie spełnionych nadziei.

Przejeżdżając wolno obok kościelnego cmentarza, bezgłośnie pożegnał grób matki. Następnie głośnym przekleństwem posłał Fergusa do piekła na całą wieczność.

Ciężar nie stawał się ani trochę lżejszy. Nim minął skałę, gdzie

Marsali schwytała go w pułapkę, czuł się tak jakby jego serce znowu przygniótł głąz, którego już nigdy nie poruszą żadne uczucia.

A jednak na krótko, na jedno magiczne lato, przedarł się doń promień słońca. Marsali, Johnnie, Lachlan, Owen. Nawet Effie i jej prosiaki znalazły swoje miejsce w jego sercu. I pozostawiły je krwawiące.

Edwina podniosła wzrok na skałę, trzymając dłoń na pistolecie, który Marsali podarowała jej na pożegnanie.

- Skoro rozbierają cię do naga, kiedy przybywasz, jak sądzisz, co robia, kiedy wyjeżdżasz? - zapytała z niepokojem.

- Pewnie rzucają za tobą na drogę kilka większych kamieni...

- Duncan uniósł się w siodle, nagle zaniepokojony. - Mój Boże, czy widzisz to co ja?

Stukot kopyt dobiegający ze wzgórza zapowiadał zbliżanie się pojedynczego jeźdźca... a właściwie amazonki. Z wigorem celtyckiego wojownika, Cook galopowała prosto na nich na klaczy Marsali, wymachując nad głową wątkiem do ciasta.

Za kucharką biegła Effie dmąc w myśliwski róg. Obok truchtały prosięta, kołyszac pulchnymi brzuskami. Po krótkiej chwili na wzgórzu ukazali się Johnnie, Lachlan i Owen na swoich wynędzniałych kucykach.

- Zabiją nas. Mówiłam ci, żebyś nie odsyłał Marsali. - Edwina wstrzymała konia, chowając się za występem skały. - Nie siedź tak, Duncanie. Broń nas.

Duncan sprawiał wrażenie, jakby jej nie słyszał. Był zbyt skupiony na wczytywaniu się w twarz Agnes, kiedy zatrzymała dyszącego wierzchowca tuż przy nim. To raczej strach, nie chęć zemsty, przygnał ją za nim z zamku.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony.

- Milordzie. - Urwała dla złapania tchu. Czepek zwiślał jej z jednego ucha. - Stary MacFay nie żyje. Jamie rozpowiada wszem wobec, że pierwsze, co zrobi jako nowy naczelnik, to wykradnie Marsali z klasztoru. Zagroził, że zabije każdego, kto

stanie mu na drodze. Brytyjski pułkownik, który próbował mu się przeciwstawić, został dotkliwie pobity.

Duncan zaklął pod nosem. Pomyślał o swojej siostrze, o Marsali i pozostałych zakonnicach, bezbronnych na zagubionej wyspie, mających do obrony jedynie swe ciche modlitwy. Wyobraził sobie Jamiego i jego rozbuchanych kompanów naruszających spokój małego klasztoru. To by była zbrodnia i nie przypuszczał, by nawet Jamie mógł się na nią zdobyć.

- Agnes, skąd to wszystko wiesz?

- Jeden z kuzynów Jamiego odmówił wzięcia udziału w napadzie i został wygnany z klanu. Wiosłował całą drogę i przybył tutaj, żeby cię ostrzec i prosić o opiekę. - Cook patrzyła mu z napięciem prosto w oczy. - Ma się rozumieć, nie wiedział, że zrezygnowałeś z funkcji naczelnika.

- Masz nad nimi dzień przewagi! - krzyknęła Effie ze wzgórza.

Duncan w milczeniu rozważył jej słowa, obliczając w myślach odległość klasztoru od zamku i od siedziby MacFayów. Nawet przy jednodniowym opóźnieniu Jamie miał wszelkie szanse dotrzeć na wyspę przynajmniej kilka godzin przed nim.

Patrząc na wrzosowisko, powiedział:

- Wszystko zależy od pogody.

Reszta dołączyła do nich; stali pod skałą, patrząc na Duncana wyczekująco.

- Nie mogę do tego dopuścić - zwrócił się do Edwiny.
- Nawet za cenę książęcego tytułu. Za nic na świecie.

Edwina pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Wiem. Nie martw się... Wymyślę dla premiera jakąś smaczką wymówkę w twojej obronie.

- Cokolwiek poza prawdą - zastrzegł Duncan, myśląc o tym, że bitwa w obronie klasztoru może się okazać jego ostatnią potyczką.

W obronie Marsali.

Duncan poczuł wdzięczność dla swej starej przyjaciółki, która gotowa do drogi smagnęła wierzchowca szpicrutą.

- Edwino.

Angielka ściągnęła wodze; wielkie perłowe kolczyki w jej uszach zakołysały się błyskając w słońcu.

- Chcesz, żebym pojechała z tobą? - spytała z nadzieją.

- Nie. - Duncan obnażył zęby w uśmiechu. - Chcę, żebyś pociągnęła jeszcze za kilka sznurków i ogłosiła zapowiedzi mojego ślubu. Coś mi mówi, że to będzie przyspieszona ceremonia. Ale najpierw wracaj do zamku i każ Martinowi jechać do fortu po eskortę dla ciebie. Jestem pewien, że major Darling skwapliwie skorzysta z okazji wyświadczenia ci przysługi.

Edwina, szczęśliwa, że może się okazać pomocna, spięła konia ostrogami.

- Każę też Columowi wyczarować dobrą pogodę na podróż dla każdego z nas! - zawołała i puściła się galopem przez wrzosowisko.

Lachlan z Owenem zsiadli z kucyków. Spoglądali po sobie ze zdziwieniem.

- Żenisz się, milordzie? - zapytał Owen.

- Owszem.

- Przed czy po uratowaniu Marsali? - dociekał Lachlan marszcząc brwi.

- Po. Przecież nie mogę się ożenić w klasztorze.

- Nie wiedziałem, że naczelnik ma ukochaną w klasztorze - mruknął Owen.

Lachlan wzruszył ramionami.

- Może zaprzyjaźniła się z Marsali. Będziemy musieli uratować je obie.

Johnnie potrząsnął głową.

- Bóg jeden wie, jakiego piwa Marsali nawarzyła tam do tej pory. Podejrzewam, że Jamie chce ją porwać nie tylko po to, żeby się z nią ożenić, ale też żeby zrobić ci na złość.

Duncan starał się opanować przerażenie, jakie go ogarnęło na tę myśl; musiał zachować zimną krew i jasność umysłu.

- Johnnie, będę potrzebował twojej pomocy. Chcę, żebyś ze mną pojechała.

Johnnie wyraził zgodę skinieniem głowy.

- Tak wszyscy będziemy walczyć u twego boku, jak za dawnych dobrych czasów - dodał Owen. choć dotąd używał szabli najwyżej do krajania chleba.

Effie zerwała z siebie fartuch i oddała go kucharcze.

- Bliźniaki i ja też chcemy się zaciągnąć, milordzie.

Duncan z wysiłkiem przełknął ślinę. To dziwne, ale czuł niezrozumiałą słabość do tych niepoprawnych ludzi.

- Effie, doceniam twoją ofiarność, ale wolałbym, żebyś razem ze świnkami została bronić zamku. Agnes, tobie powierzam dowództwo. Johnnie, ty i reszta ludzi pojedziecie ze mną do zatoki. Wypływamy natychmiast.

Johnnie błysnął promiennym uśmiechem.

- Tak jest, milordzie. Jesteś naczelnikiem.

- Ano jestem - potwierdził kwaśno Duncan. Skierował potężnego ogiera w stronę wzgórza, następnie zerwany z siebie płaszcz i kapelusz cisnął przez ramię do stawu, poświęcając je dla kobiety, która przywróciła go do życia.

Minął samotny kopiec na wrzosowisku, gdzie spoczywał pochowany Andrew Hay. Nie miał zamiaru przystawać; aż się palił, by przeszkodzić Jamiemu, nim będzie za późno.

Jego wzrok przyciągnęła biała róża, umieszczona na grobie Andrew przez któregoś z pogrążonych w żalu rodaków. MacElginowie byli bandą lojalnych idiotów, musiał przyznać.

Powstrzymał nieco konia w drodze pod górę.; ciężkie ciało ogiera dygotało z niecierpliwości. Wierne zwierzę miało walkę we krwi, tak samo jak człowiek, którego wyniosło z wielu ciężkich bitew.

Duncan patrzył na samotny kopiec, ściskając wodze w osłoniętej rękawicą dłoni. Łagodna bryza pieściła nadwędłe płatki róży, nasycając powietrze słodkim zapachem. Trudno było uwierzyć, że porywczy duch Andrew na zawsze spoczął pod tą stertą kamieni.

- Wybacz mi, Andrew - powiedział cicho. Koń przebiegał nerwowo nogami rwąc się do biegu. - Mogę ci tylko powiedzieć,

DZIKUSKA

że ją kocham. Nie pozwolę nikomu jej skrzywdzić, ale chcę, żeby była moją żoną. Mam nadzieję, że jeszcze raz mi wybaczysz.

Ogier potrzasał ciężkim łbem, paraskał, tłukł ziemię kopytami. Duncan przeżegnał się i spał wierzchowca ostrogami. Kiedy wracał na drogę, zdawało mu się, że słyszy wybuch niepokojąco znajomego śmiechu i mrukliwy głos, który wzbudził w nim bolesną tęsknotę.

„Zmarnowałeś dość czasu, chłopcze. Na co jeszcze czekasz?”

30

Fiona patrzyła przez właz do kabiny na czterech mężczyzn, którzy kołysali się na falach w łodzi do połowu homarów. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na dziobie siedział naczelnik we własnej osobie. Machając wiosłami bez śladu wysiłku, prowadził łódź tak szybko, że po chwili ledwie ją widziała na horyzoncie.

- To MacElgin, tato - oznajmiła ze zdumieniem. - Jak myślisz, wie o tym, że Jamie chce wykraść Marsali?

Colum jakby nie słyszał pytania. Pogrążony w głębokim skupieniu pochylał się nad kotłem, wspartym na trójnogu w kącie kabiny. Na powierzchni morskiej wody wypełniającej żelazną miednicę pływała maleńka drewniana łódeczka z czterema postaciami z wosku.

Z najwyższą ostrożnością wrzucił do wody pierwszy z trzech kamyków. Delikatnie dmuchnął na łódkę powtarzając jakieś celtyckie zaklęcie.

- To całkiem zabawne - odezwała się Fiona prosto do ucha ojca. - Co robisz?

Zachnął się zaskoczony. Kamyki wyleciały mu z dłoni i wpadły do wody z głośnym pluskiem. Łódeczka zachybotała gwałtownie. Woskowe figurki, poruszone, obijały się o siebie.

- Na litość boską! - wykrzyknął poirytowany Colum. - Nie widzisz, że pracuję, Fiono? Przez twoje wtrącanie się nie w porę ci głupcy mogą się potopić.

- Głupcy... Masz na myśli naczelnika i ludzi z jego klanu?

Otoczyła ojca szczupłym ramieniem. - Och, tato. Masz przecież zamiar pomóc Marsali. Wiem, że tak.

Zmarszczył się gniewnie.

- Wyjdź na zewnątrz i poświęć mówienie do drzew. Fiono. Wypoleruj srebrny pentagram. Poszukaj jakichś ładnych kamyczków do twojej kolekcji amuletów. Przenieś się w zaświaty.

- Ale tato...

- Idź już, Fiono. Nie mam ani chwili do stracenia. Jeśli Jamie MacFay dotrze do klasztoru przed naczelnikiem, nie będzie takiego zaklęcia na ziemi, które by mogło uratować twoją kuzynkę. Skończy przed ołtarzem z tym prostakiem, a potem zginie wraz z nim w jakiejś bezsensownej rebelii.

Nuta paniki w głosie ojca wzbudziła w niej żywy niepokój.

- Biedna Marsali - szepnęła błada ze strachu i poderwała się na równe nogi.

Colum westchnął z ulgą; sięgnął do kotła, żeby ustawić łódeczkę nieruchomości.

- Zabierz ze sobą Euna. Wypuść go nad skałami.

- Dobrze, tato. Żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie dla Marsali.

Podeszła do ptaka, spokojnie siedzącego na grzędzie i czyszczącego sobie pióra. Nie powiedziała ani słowa więcej. Nawet kiedy Eun wskoczył jej na głowę trafiając ostrym szponem w jej ucho. Ze łzami w oczach myślała o losie Marsali. Uwięziona w klasztorze, nieświadoma, że Jamie MacFay, ta świnia, jest w drodze, żeby ją porwać. Dlaczego to jej kuzynkę spotykają te wszystkie podniecające rzeczy?

Chlipnęła cicho, ocierając łzę z nosa. Była tak przejęta, że zapomniała o ojcu przykucniętym na podłodze. Nie pamiętała nawet o jego celtyckim wiadrze, dopóki nań nie wpadła, wychlapując dookoła całą jego zawartość.

Kiedy kolejna fala uderzyła o burzę, Duncan odrzucił wiosła i złapał Owena za kostki. Burza rozpełtała się zupełnie bez uprzedzenia, jakby wzniciły ją jakieś nieczyste morskie siły.

Niewielka łódź co chwila wystrzelała w górę na fali, by zaraz potem runąć w dół.

Johnnie wpadł na Lachlana, ten z kolei zatoczył się na Duncana, który zdążył na szczęście chwycić Owena, bo groziło im, że łódź się wywróci. Duncan musiał użyć całej swej siły, żeby się wyrwać z wiru okręcającego ich w kółko.

Co dziwne, słońce nie przestawało świecić poprzez strugi gęstej ulewy. Duncan jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Mógłby przysiąc, że dostali się w sam środek nawałnicy szalejącej tylko w tym jednym miejscu na morzu. Mieli swoją własną letnią burzę.

- Utoniemy - załkał Owen, kiedy wiosło przeleciało mu nad głową i zniknęło w odmętach.

Nagle wyrosła im nad głowami potężna fala i uderzyła w łódź niczym bryła zielonego lodu. Słona woda zalała Duncanowi oczy i usta. Lachlan z krzykiem rzucił mu się na szyję, po czym przywarł do niego jak pijawka. Duncan upadł na twarz, obolały z zimna i zdrętwiały od trzymania Owena za kostki. Przy swojej wojennej profesji zawsze liczył się z możliwością nagłej śmierci. Gwałtownej śmierci.

Ale nie takiej. Nie z utonięciem w łodzi do połowu homarów, z jednym idiotą wiszącym mu u gardła, duszącym go niby żelazna obroża, i drugim wyrwijającym mu ręce ze stawów. To niegodne. To nie było w porządku.

- Boże - próbował przekrzyczeć wiatr. - Zawsze sądziłem, że masz poczucie humoru, ale nie pozwól mi umrzeć, zanim nie uratuję Marsali.

Wtedy, równie tajemniczo jak powstała, burza ucichła. Straszliwe bałwany zmieniły się w niewinnie pluskające zmarszczki na wodzie. Dzika wichura ucichła, przechodząc w miłą bryzę. Łódka stanęła na wodzie, jak listek zatrzymany niewidzialną ręką, Lachlan zwolnił morderczy uścisk na szyi Duncana. Owen spokojnie przysiadł na burcie.

- Dzięki Bogu - westchnął Duncan odgarniając splątane mokre włosy z twarzy.

Rozejrzał się po wodzie. Sztorm rzucił ich na tyle daleko, że

powinien był już dostrzec wyspę Inverrothes. Ale widział jedynie tajemnicze skupisko mgły podnoszącej się z morza w miejscu, gdzie powinien być klasztor. Żadnego drzewa. Żadnej skały. Żadnego brzegu.

Johannie wybierał zardzewiałym wiadrem wodę z łodzi.

- I co, milordzie? - spytał z niepokojem. - Co teraz zrobimy?

Duncan przetarł twarz, przyglądając się bezradnie dziwnemu zjawisku na wodzie. Czyżby z mgły wyłaniał się zarys dzwonnicy, czy też miał do czynienia z wytworem swojej wyobraźni? Co, u licha, stało się z wyspą? Przecież nie mogło ich zepchnąć aż tak daleko na otwarte morze.

W czasie swojej wojskowej kariery nie stronił od ryzyka. Rzucił na szalę losy całych narodów, kierując się jedynie własnym wyczuciem. Jeszcze nigdy aż tak nie przejmował się wynikiem rozstrzygnięcia.

Pragnę Marsali Hay. I będę ją miał, ty cholerny draniu, postanowił.

- Dobrze się czujesz, milordzie? - spytał z przestachem Owen. Duncan zadarł głowę; wysoko nad mglistymi konturami szybował dostojny ciemny kształt. Nieomylny znak.

- Eun - rzekł Duncan uśmiechając się z ulgą i wdzięcznością.
- Jastrząb wskazuje nam miejsce jej pobytu.

Judith zaskoczona przyglądała się bratu poprzez kraty klasztornej bramy. Duncan zjawił się tak nieoczekiwanie, wyrastając spomiędzy nadbrzeżnych traw i kamieni otaczających klasztor, że aż się przeżegnała. Właśnie wyrzucała okruchy dla mew.

Dopiero po chwili rozpoznała zaciętą śniadą twarz. MacElgin, wojownik. Ten człowiek żył według zasad świata, którego ona się wyrzekła. Wyglądał jak barbarzyńca, kiedy tak walił w bramę obnażoną szablą; splecione długie czarne włosy opadały mu na plecy.

- Co ty tu robisz? - zapytała doszedłszy do siebie. - Jesteś zupełnie przemoczony. - Czemu wywijasz tą okropną bronią?

Duncan wodził oczyma po arkadach za jej plecami.

- Czy Jamie MacFay był tu już?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Przeniosła wzrok na trzech innych mężczyzn, wyciągających łódź na brzeg. - Duncanie, kim są ci oberwańcy? Jak śmiesz zakłócać nasz spokój i to w tak nieokrzesany sposób?

Nadal z posepną miną, schował szablę do pochwy.

- Chcę zabrać Marsali. Przyrowadź ją do mnie, to zniknę, nim ktokolwiek mnie tu zobaczy.

- Możesz przyjeżdżać w odwiedziny pod koniec miesiąca, na godzinę, wraz z innymi rodzinami - pouczyła go sucho. - Proszę, odejść, zanim kogoś przestraszysz. Zrządzeniem opatrności ma do nas dołączyć irlandzka ksieni i trzy siostry. Nie chciałabym, żeby zaraz po przybyciu zobaczyły uzbrojonego mężczyznę dobijającego się do bramy.

Duncan chwycił za pręty kraty; w jego głosie rozpacz mieszała się z irytacją.

- Chyba mnie nie rozumiesz. Jamie MacFay zmierza tu, by porwać Marsali. Zabiorę ją, nim on zrobi krzywdę jej lub komuś innemu.

Ze spokojem wytrzymała jego spojrzenie.

- To ty nie rozumiesz. Dałam słowo, że Marsali będzie chroniona, dopóki nie znajdzie się dla niej odpowiedni mąż, a ja nie łamię danego słowa. Do tego czasu nie opuści klasztoru, jeśli tylko w mojej mocy będzie temu zapobiec.

Duncan był bliski tego, by chwycić ją przez kratę i odebrać jej klucze.

- Posłuchaj mnie. Jamie MacFay i jego ludzie nie dbają o religijne sentymenty...

- Odprawiałam już niejednego namolnego zalotnika, a poza tym zechciej powściągnąć swój język. Bóg nas obroni.

- To jest atak na moją osobę, Judith. Jego ludzie bez skrępowań zdepczą twoje zakonnice niczym płatki śniegu. Gdzie jest Marsali?

- Za karę ma siedzieć zamknięta w umywalni, bo zniszczyła klasztorny dzwon, klasztorny warsztat tkacki i rozlała wodę na schodach do piwnicy, przez co omal nie skręciłam sobie karku.

Duncana zaczęła ogarniać panika. Jeśli w ciągu pół godziny nie uda mu się wyrwać stąd Marsali, skończy się na tym, że będą wracać do domu przez ciemne, zamglone morze w zniszczonej łódce do łowienia homarów. Jeśli natomiast poczekają do rana, z pewnością nadzieją się na Jamiego i ziemia tego spokojnego odludzia spłynie krwią. Krwia rozlaną z jego winy.

Dzwonienie na komplety przerwało jego ponure rozmyślenia. Zakonnice w białych welonach odłożyły swoje zajęcia, by pośpieszyć do kaplicy; dryfowały przez klasztorne arkady niby widma.

- Proszę - jęknął. - Otwórz bramę i wpuść mnie. Zabiorę ją, kiedy wszyscy będą pogrążeni w modlitwie. Zapłacę za wszystko, co zniszczyła. Zbuduję nową dzwonicę, Judith. Przysięgam ci, że nie zbrukam czystości twojego klasztoru. Nie wniosę do środka broni. Z mojej ręki nie zostanie przelana ani kropla krwi. Przysięgam na grób twojej matki. Na duszę mojej córki...

Przerwało mu jej zdziwione spojrzenie.

- Córki? Jakiej znów córki?

- Później ci wyjaśnię. Proszę. Daję ci moje słowo.

- A ja dałam moje. - Judith odwróciła się, wdzięcznie zawijając habitem. - Odchodząc dodała spokojnie: - Nie chcę się przez ciebie spóźnić do kaplicy, Duncanie. Marsali pozostaje pod moją opieką.

Do diabła.

Duncan spacerował nerwowo po plaży; fale podpływały, łamiąc się na jego wysokich butach. Jedynie honor powstrzymywał go przed złamaniem przysięgi i pójściem w ślady wikingów, którzy jako najeźdźcy podbili tę maleńką wysepkę przed wiekami. Zakonnice padłyby trupem, gdyby się wdarł do klasztoru i szukał w nim Marsali. Do licha, dlaczego siostra musiała być aż tak do niego podobna? Uparta, nieustępliwa, zdecydowana postawić na swoim za wszelką cenę.

- Może by rozbić mur i zabrać Marsali? - zasugerował Owen, wyciągnięty na plecach w zakotwiczonej łodzi.

- Dałem słowo, że nie wedrę się do klasztoru siłą.
- Nie widzę problemu. Lachlan wskoczył na kamień uciekając przed falą. - Wystarczy, żebyś złamał słowo, milordzie. Od tego się nie umiera.
- Nikt by się specjalnie nie zdziwił - dodał zgodnie Owen.
- Wszyscy wiedzą, że z ciebie kawał drania.
- Dzięki, że mi o tym przypomniałeś - rzekł zgryźliwie Duncan. Spojrzał ponuro na klasztor, a raczej jego słabe zarysy we mgle. - Nie widać jeszcze statku Jamiego? - zwrócił się do Johnniego.
- Nie. Ani śladu, milordzie.

Lachlan palcem u nogi drażnił kraba. Owen zaczął pogwizdywać. Duncan westchnął bezradnie.

Owen przerwał gwizdanie, by zaspokoić swą ciekawość:

- Właściwie czemu się tak przejmujesz, żeby zadowolić swoją siostrę? Będzie miała powód, żeby się modlić o przebaczenie dla ciebie. Dzięki takim grzesznikom jak my one mają co robić.

Duncan nie odpowiedział. Jak mógł oczekiwać, że któryś z nich go zrozumie? Judith była jedyną osobą na świecie, która widziała, jak popełnił morderstwo. Jak miał kiedykolwiek przekonać nie tylko ją, ale i siebie, że jego duszą kierowała nie tylko chęć zadania gwałtu?

„Wystarczy, żebyś złamał słowo. Nikt by się specjalnie nie zdziwił.”

Odpiął sprzączki; pas z bronią spadł na mokry piasek u jego stóp. Musiał istnieć jakiś sposób oswobodzenia Marsali bez użycia siły. Do licha, nie miał zamiaru potwierdzać najgorszych wyobrażeń siostry kolejnym aktem przemocy.

Ale ty znasz tylko przemoc, przypomniawszy mu drwiąco jakiś wewnętrzny głos. Bez swojej fizycznej siły jesteś niczym.

Wpatrywał się w zamkniętą bramę; z rozczarowania powoli wyłaniało się postanowienie. Nadszedł czas, by stoczyć ostateczną walkę, stawić czoło mrocznym demonom, które zaciemniały dotąd całe jego życie. Nadszedł czas, by zmierzyć się z samym sobą.

31

Tego dnia odbywało się w klasztorze wielkie pranie.

Każda mieszkanka klasztoru miała tylko dwie zmiany odzieży. Jedna była noszona przez cały miesiąc i dopiero wówczas szła do prania, zastępowana drugim kompletem. Jako karę za zniszczenie krosna Marsali musiała wyprać i rozwiesić w ogrodzie okazałą stertę welonów, habitów i pończoch.

Pranie.

Westchnęła. Niemiłe zajęcie przypomniało jej boleśnie tamten poranek, kiedy schwytała Duncana w pułapkę na wrzosowisku i rozebrała go. Wierzyła w niego od chwili, gdy rozłożył na ziemi siedmiu napastników, skupiając na sobie uwagę całego klanu. Oddała mu serce nad balią z praniem.

I nadal w niego wierzę, pomyślała ze smutkiem, ciągnąc ciężki wiklinowy kosz pod mur. Wierzyła w niego, mimo iż porzucił ją z jakiegoś niezrozumiałego powodu.

- Pranie nigdy nie wyschnie, jeśli przez cały dzień będziesz je trzymać w tym koszyku. - Od strony ławki, gdzie siedziała siostra Anna, nadzorująca wysiłki Marsali, dobiegł zrzędlawy głos. - Czemu ciągle wyglądasz za ten mur?

Marsali znów westchnęła.

- Lubię patrzeć na morze.

- Hmm, nie wiem, jakim cudem możesz w ogóle coś widzieć.

- Starsza zakonnica przeżegnała się, zaciągając mocniej poły płaszcza. - W życiu nie widziałam takiej mgły. Módlmy się, żeby

nasze zacne siostry z Irlandii nie wpadły na skały swoją małą łódeczką. - Urwała, wwiercając w Marsali podejrzliwe spojrzenie. - Jeśli w ogóle zdołają tu dopłynąć. Ta mgła nie jest normalna.

- Hmm, rzeczywiście, siostró Anno. - Marsali w poczuciu winy spuściła wzrok i zabrała się do wieszania mokrych ubrań. W istocie całkiem dobrze szło jej wywoływanie mgły, ale jeszcze nie odkryła, jak się jej pozbyć.

Ciężki czarny habit, który właśnie zarzuciła na sznur, z plaśnięciem osunął się na ziemię. Schyliła się; zapach ługu i mokrej wełny tak mocno przypomniawszy jej Duncana, że aż coś ją ścisnęło w gardle.

Kiedy się wyprostowała, zaczęło ją dziwnie łaskotać w plecach. Nagle poczuła jego obecność, jego siłę, jakby stał tuż przed nią. Może jednak magia działała.

Zaskoczona cofnęła się o krok, przyciskając do piersi wilgotną tkaninę. Ogarnęło ją przyjemne napięcie, jakby z daleka spoczęło na niej zmysłowe spojrzenie Duncana.

Siostra Anna poruszyła się, zaniepokojona dziwnym zachowaniem dziewczyny. Została uprzedzona przez matkę przełożoną, że ma pilnować Marsali, choć przed czym, nie zostało jasno określone.

- Co się dzieje? - spytała szeptem, wstając z ławki.

- To... ja... - Marsali zmarszczyła czoło. Jak mogła wytłumaczyć komuś takiemu jak siostra Anna, że zapach mokrej wełny przywołał w jej wyobraźni obraz naczelnika? - Chyba mam widzenie.

Siostra Anna wytrzeszczonymi oczyma patrzyła na wiszące na sznurze welony. Zapytała głosem łamiącym się z wrażenia:

- Widzenie Najświętszej Paniienki?

- Niezupełnie, siostró Anno. - Marsali ukryła mimowolny uśmiech i wróciła do przerwanej pracy, starając się nie zwracać uwagi na utrzymujące się w jej ciele przyjemne mrowienie.

Była tak blisko, że Duncan, stojący po drugiej stronie muru, ledwo mógł się powstrzymać przed zawołaniem jej po imieniu. Nie pozwolił sobie jednak na to z obawy, że staruszka pilnująca Marsali mogłaby dostać ataku serca. Sprawa wymagała delikatnego podejścia.

- Jestem głodny, milordzie - odezwał się Lachlan przenikliwym szeptem. - Nie możemy przeleźć przez ten mur?

Duncan nie odpowiedział. Przez szczelinę między kamieniami widział tylko drobne stopki Marsali, drepczące tam i z powrotem od sznura do koszyka... i to, że ciągle upuszczają czyste pranie na ziemię. Słyszał, jak przeklina pod nosem i brzmiało to w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka. Najwyraźniej atmosfera modlitwy i nabożnego skupienia nie zdołała zbyt głęboko zmienić jej prawdziwej natury.

Bardzo pragnął ją zobaczyć. Gdyby nie obawa, że śmiertelnie przestraszy starszą zakonnice, rozbiłyby mur niczym jakiś barbarzyński najeźdźca i porwał to diabłu wcielone.

- Skończyłam, siostrzo Anno - oznajmiła Marsali, sięgając po pusty koszyk.

Duncan przycisnął twarz do muru. Zastygł w oczekiwaniu. Gdyby szczelina była choć odrobinę większa, mógłby wsunąć przez nią rękę i chwycić Marsali. Oczywiście, gdyby to zrobił, pewnie zaczęłaby krzyczeć z przerażenia. Ale tak bardzo pragnął ją dotknąć...

Rozległ się dzwon wzywający na nieszpory.

- Szybciej, szybciej - ponaglała siostra Anna, zaganiając Marsali na ścieżkę. - Cały klasztor będzie wznosił do Boga modlitwy, żeby ksieni i jej towarzyszki nie utonęły w tej mgle. - Przystanęła potrząsając głową; swą sylwetką przesłoniła Duncanowi cały widok. - To bardzo dziwne, nienaturalne, ta mgła. Wcale mi się nie podoba.

Trzej kompani Duncana przykucnięci za skałą oczekiwali na powrót naczelnika. Zachowywali całkowitą ciszę, jeśli nie liczyć głośnego burczenia w brzuchu Lachlana i odgłosu obgryzania paznokci przez Owena. Duncan wyruszył na swą tajemniczą misję zaledwie przed kwadrans, ale zdenerwowanej trójce zdawało się, że minęła co najmniej godzina.

- Nie mogę wytrzymać tego napięcia - odezwał się w końcu Johnnie. - Co mu się mogło przytrafić?

- Z pewnością nic ciekawego - mruknął w odpowiedzi Lachlan. - W końcu to klasztor.

Ich uwagę przyciągnął nagle szeroki cień na szczycie klasztorowego muru. Po chwili Duncan rzucił coś ciężkiego pomiędzy skały.

- W porządku, teraz do stróżówki. Mam plan, jak wydostać stąd Marsali nie robiąc zamieszania.

- To kosz z praniem - stwierdził rozczarowany Owen zaglądając pomiędzy kamienie. - Po co nam kupa kobiecych ubrań?

Który z was, durnie, zabrał moją drugą pończochę? - Duncan usiłował wepchnąć dobrze umięśnioną lewą nogę do ciężkiej wełnianej spódnicy płaczącej mu się wokół stóp. Rozległ się trzask rozrywanego materiału. W małej stróżówce przy bramie, gdzie stłoczyło się czterech mężczyzn z koszem skradzionych habitów, było ciemno jak w grobie.

Duncan dostał po głowie mokrą pończochą. Złapał ją, ale nie był jej w stanie wciągnąć zbyt wysoko ponad kostkę. Wyżej pyszniła się muskulaturą, dorodna męska łydka.

- Jak ci się udało włożyć welon, milordzie? - zadane szeptem pytanie Lachlana przedarło się jakoś przez soczyste przekleństwa Duncana i jęklive narzekania Johnniego, który obawiał się, że od noszenia halki dostanie wysypki.

- Trzeba to cholerstwo przypiąć spinką.

- A na co są te zwisające po bokach tasiemki?

- Jeszcze nie wiem, co z nimi zrobić. - Posępna twarz Duncana okalał biały płócienny welon. - Pomogę ci, jak tylko przeciagnę Owenowi habit przez brzuch.

- To mój brzuch, milordzie - sprostował Johnnie. - Owen siedzi nadąsany w kącie, bo dałeś mu welon, który Marsali upuściła w błoto. Nawiasem mówiąc, przypiąłeś te rękawy do góry nogami.

- Przecież nie jestem pokojówką, nie? Owen, chodź tu. Podaj mi szpilki.

- Au, milordzie! Ukłułeś mnie w delikatne miejsce. Au!

Przy próbie obrotu Duncan zaplątał się w obszerne fałdy ciężkiej tkaniny,

- Odsłońmy to okno, wtedy przynajmniej będziemy widzieli, co robimy. Jak to dobrze, że się dziś rano ogoliłem.

Szarpnął okiennicę; w szarawym świetle zatańczyły kłęby kurzu. Na widok Duncana trzej mężczyźni aż odskoczyli z przestraszeniem.

- Co wam jest? - warknął Duncan. Wyprostował się, odrzucając na plecy zwisające mu po obu stronach twarzy tasiemki. Duży biały welon zatrzepotał, podkreślając cieniem wyrazisty zarys szczęki. - Czemu się tak na mnie gapiacie? Włożyłem coś tyłem do przodu?

Johnnie pierwszy doszedł do siebie; przyglądał się naczelnikowi z dziwnym grymasem.

- Może tyłem do przodu wyglądałoby lepiej, milordzie. Nie chciałbym ci uchybiać, ale jesteś najbrzydszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- Zgadza się - potwierdził Owen z obrzydzeniem. - Najbrzydszą i do tego największą.

Nim skończyli się ubierać, zapadł zmierzch. Widząc ze zgrozą swoje odbicie w szybie Duncan pomyślał, że żaden wieczór nie byłby dość ciemny, żeby pomóc ich przebraniu. Wyglądali okropnie.

Bóg widać jednak docenił komizm sytuacji i postanowił ich wesprzeć.

Duncan wybrał się na rekonesans w okolice kuchni, z nadzieją, że uda mu się spotkać Marsali. Kiedy się przekradał obok tylnego wejścia, został przyłapany przez małą ruchliwą zakonnicę, która na jego widok omal nie wypuściła z ręki chochli.

- Chwała Bogu! - wykrzyknęła. Czerstwe policzki załśniły niczym wypolerowane połówki jabłka. - Irlandzkie siostry już tu są, a to pewnie ksieni we własnej osobie przyszła w pokorze ducha pomóc nam przy wieczerzy. - Promieniejąc zadowoleniem, wciągnęła go do gorącej zagraconej kuchni, żeby go przedstawić

dwóm innym zakonnicom, zajęтым nalewaniem zupy do glinianych misek.

W refektarzu, gdzie podawano posiłki, siostronom nie wolno było się odzywać poza odmawianiem modlitwy lub czytaniem Pisma Świętego, ale w kuchni siostra Bridget i jej pomocnice nie miały takiego zakazu. Gwarzyły z przejęciem o tym, że ich prośby zostały wysłuchane, że irlandzkie siostry nie zaginęły w niezwyklej mgle i że sama ksieni szczęśliwie zjawiła się, by wysłuchać modłów wznoszonych przy kolacji.

Słuchając ich radosnej paplaniny, Duncan nie odzywał się ani słowem, myśląc z cynicznym zadowoleniem o tym, że klasztor nie może sobie pozwolić na palenie zbyt wielu świec naraz i że nikt nie widział zbyt dokładnie jego twarzy, na której lada moment musiała zacząć kiełkować ciemna broda. Miał w Bogu nadzieję, że nikt nie przyjrzy się też zbyt dokładnie jego nogom.

- Pozwól, że pomogę ci nieść to naczynie, siostró Bridget
- zaproponował, licząc na to, że udawany irlandzki falset różni się choć trochę od głębokiego barytonu, jakim mówił na co dzień.
- Powinnyście cięższe prace zlecać uczennicom. - Przeszedł na drugą stronę stołu, manewrując tak, by welon osłonił mu policzki.
- A gdzie to się podziewają młode panienki? Zapewne przy jakichś pożytecznych zajęciach?

Uśmiech ożywił surową twarz siostry Bridget.

- Oczywiście, Wielebna Matko Ksieni. Nakrywają stół do kolacji i sprzątajają kaplicę. Mielśmy dziś mały wypadek, ale winowajczyni już odbywa naznaczoną karę...

Urwała zaniepokojona, bo Duncan sięgnął ponad stołem po ciężki półmisek, który jedna z zakonnice dopiero co zdjęła z pieca. Duncan zawahał się na widok strachu w jej oczach. Czyżby zauważyła jego owłosione ramiona? A może zarost na podbródku?

A może tak jak on dostrzegła w oknie drobną twarzyczkę wykrzywioną grymasem zdziwienia?

Marsali. Uśmiechnął się do niej; wszystko inne stało się nieważne. Z trudem opanował chęć, by do niej pobiec nie dbając o to, co się stanie. Jego mała księżniczka z bajki była cała

i zdrowa. Odnalazł ją i miał zamiar już nigdy nie spuszczać jej z oka.

- Nie, Wielebna Matko Ksieni! - słyszał ostrzegawczy krzyk siostry Bridget, ale rozrzuwniony widokiem Marsali nie zwrócił uwagi na ton niepokoju w jej głosie. Widząc, że jej nie słucha, zakonnica walnęła go w plecy i wrzasnęła mu do ucha jak sierżant podczas musztry:

- Głucha jesteś? Nie dotykaj tego półmiska!

Za późno. Zdażył złapać gołymi rękami rozpalone do czerwoności uchwyty. Upłynęło kilka sekund, nim poraził go przejmujący ból; cisnął o podłogę półmiskiem pełnym smażonej ryby, a nim zdażył ugryźć się w język, wymknęło mu się:

- Do diabła!

Siostra Bridget upuściła chochlę, szepcząc ze zgrozą:

- Wielebna Matko! Jak można...

- Do diabła z tymi, którzy ulegają pokusom i kierują się fałszywą dumą - dodał Duncan przez zaciśnięte zęby, schylając się po półmiskę; dłonie paliły go nieznośnie. - Tak bardzo chciałam okazać pokorę, że nie zwróciłam uwagi na twoje ostrzeżenie. Wychłostaj mnie batem, siostrzo, za moją zarozumiałość.

- Hmm. - Zakonnica spojrzała niepewnie; na jej twarzy malował się wysiłek, by zrozumieć, o co mu chodzi. - Cóż, bardzo dobrze, Wielebna Matko. Może trochę mocno powiedziane, ale jakie głębokie. Fałszywa dumą jest grzechem często popełnianym przez nasze siostry. Jednakże...

Stłumione parsknięcie przyciągnęło jej uwagę do okna; Marsali zaglądała do środka, zakrywając sobie usta dłonią, by ukryć rozbawienie.

Siostra Bridget pogroziła jej palcem.

- Nie będzie ci do śmiechu, kiedy dostaniesz następną karę za śmianie się z wypadku Wielebnej Matki, Marsali Hay. Wynoś mi się natychmiast do refektarza i nie daj mi dziś już więcej powodów do gniewu. - Zwróciła się przepaszająco do Duncana: - To nasza nowa podopieczna, Wielebna Matko. Wyposażona we

wszelkie możliwe ułomności ludzkiej natury. Jest prawdziwym utrapieniem dla klasztoru.

- Może powinnam zamienić słówko na osobności z tą małą niewdzięcznicą - zasugerował obojętnie Duncan. - Mogłabym się pomodlić razem z tą dziewczyną, udzielić jej kilku wskazówek.

Siostra Bridget, z wdzięcznością przyjąwszy od innej zakonnicy czystą chochlę, odparła:

- Bardzo to zacnie z twojej strony. Jestem pewna, że Matka Judith doceni twoje wstawiennictwo, szczególnie, że sama spędza ten wieczór w izbie chorych, doglądając kilku przeziębionych sióstr. To przez tę mgłę. Jeszcze nie widziałam czegoś podobnego. Dzięki Bogu, że się nie potopiłyście w drodze na wyspę.

Nucąc pod nosem jakiś hymn, siostra Bridget zajęła się nalewaniem kapuśniaku do misek. Duncan spuścił głowę i ruszył do drzwi z dwoma półmiskami smażonej ryby.

Nim się znalazł na zewnątrz, Marsali gdzieś zniknęła. Rozzłościł się, że gra z nim w ciuciubabkę, podczas gdy ten pomyłony MacFay może w każdej chwili napaść na klasztor. Oczywiście wzięła wszystko za żart, albo też wymierzała mu w ten sposób karę za to, że ją tu zostawił. Nie mógł długo pozostawać w tym przebraniu. Habit już pękał w szwach rozpychany jego szeroką piersią.

- Niech to licho - zaklął, rozglądając się w dziwnej perłowej mgłę spowijającej klasztor. - Gdzie wy się, do diabła, ukrywacie?

- Tutaj, milordzie.

Lachlan, Owen i Johnnie wyłonili się spod łuku arkady niczym trójka przerośniętych nietoperzy.

- Żarcie, dzięki Bogu - ucieszył się Owen sięgając po półmisek.

Duncan odepchnął go łokciem.

- Poczekaj, aż zostaniesz obsłużony przy stole. - Skarcił ich za niecierpliwość. - Dobry Boże, Jeśli ktoś się tu w ogóle modli,

niech błaga Stwórcę o całkowite zaćmienie. Jesteście najbardziej żałosnymi imitacjami kobiet, jakie widział świat.

- I kto to mówi - zachnął się Owen. - Ta, co ma ramiona jak zwodzony most.

- Owenie, wyjmij ten nóż zza pasa - polecił ostro Duncan, po czym dał półmisek do potrzymania Lachlanowi i naciągnął mu welon głębiej na czoło. - Johnnie, jestem pewien, że kazałem ci pozbyć się tych butów. Masz być zakonnica, nie rybakiem. A teraz zachowujcie się przyzwoicie i chodźcie za mną do refektarza.

- Tak jest, milordzie.

- Co to jest refektarz, milordzie?

- To sala jadalna - wyjaśnił Duncan. ruszając przodem, w czarnym habicie, który z ledwością zakrywał mu kolana.

- Każdy, kto będzie przeklinał, spluwał lub drapał się przy stole, odpowie mi za to potem. Zabieramy Marsali i już nas tu nie ma. Zrozumiano?

- Tak jest. milordzie.

Wszystko zapowiadało się prosto. Do licha, powinno być proste. Czyż nie podejmował w życiu większego ryzyka i to w bardziej niebezpiecznych okolicznościach? Czyż nie pertraktował nad zwolnieniem zakładników, nie szturmował wrogich cytadel, nie brał do niewoli całych armii? Tyle że tym razem kierowała nim nie żądza sławy, lecz dobro dwóch kobiet, które kochał najbardziej na świecie i które, choć znały jego najgorszą tajemnicę, także go kochały.

Marsali jeszcze w życiu nie widziała brzydszych kobiet. W istocie, radość, jaką poczuła usłyszawszy za oknem głos Duncana dobiegający z refektarza, zakłócił nieco wstrząs, jakiego doznała widząc biały welon okalający jego wyraziste męskie rysy.

Gnana pośpiechem, by sprawdzić, co naczelnik robi w klasztorze, wchodząc do refektarza wpadła na pulpit. Mleko z wysokiego dzbanka, który niosła na stół, ochlapało mu z góry na dół cały habit.

- Duncanie. - Przykleknęła, próbując zetrzeć plamy mleka własnym rękawem. - Co ty...

- Cicho, dziecino. - Nachylił się do niej i szepnął: - Jamie tu zmierza. Przyjechałem cię zabrać, nim dojdzie do bijatyki. Bądź gotowa do drogi zaraz po jedzeniu. Nie będziesz miała czasu się przebrać.

Pragnęła go dotknąć, przytulić się do jego szerokiej piersi jak dziecko. Przebiegł ją miły dreszcz.

- A czemu nie możemy wynosić się od razu, milordzie?

- Bo Johnnie, Lachlan i Owen nie będą mieli siły pomóc mi przy wiosłach, dopóki ich nie nakarmię. Tak czy inaczej, musimy się wymknąć robiąc jak najmniej zamieszania.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytała szeptem Marsali, pozwalając sobie oprzeć dłoń na potężnym barku rozpychającym habit.

- Ze sobą. - Miał wielką ochotę przygarnąć ją do siebie, wodzić rękami po całym jej ponętnym drobnym ciele. Ujął ją za podbródek i spojrzął jej w oczy z miłością i tęsknotą, których nawet nie próbował ukryć.

- Długo z tym zwlekałeś - zarzuciła mu. - Umieszczenie mnie tutaj było okrucieństwem.

- Chciałem, żebyś była bezpieczna. - Zatrzymał wzrok na jej ustach. - Pragnąłem mieć cię dla siebie, ale nie chciałem się do tego przyznać.

Odpowiedziała mu spojrzeniem, które w świetle świec błyszczało nadzieją i niepewnością.

- Naprawdę ci na mnie zależy, Duncanie?

- A byłbym tak ubrany, gdyby mi nie zależało? - Nie bacząc na ryzyko dotknął ustami jej włosów. Słodki zapach pobudził jego zmysły. - Czy pozwoliłem, żebyś wyrzuciła moje życie do góry nogami, gdyby mi nie zależało? - dodał chrapliwym szeptem.

Usłyszeli szelest halek i pojawiła się przy nich ciemna postać.

- Wielkie nieba. Następnny wypadek - jęknęła siostra Bridget potrząsając głową z przycaną. - Marsali, wiesz jaka będzie kara za ubrudzenie habitu ksieni.

Marsali przytaknęła i skromnie spuściła głowę. Nim się

podnieśli, by stawić czoło poirytowanej zakonnicy, Duncan zdążył ścisnąć ukochaną za kolano.

- Tak, siostrzo Bridget.

Marsali była gotowa zgodzić się na odbycie choćby setki kar, i to stojąc na głowie, wiedząc, że jej uwięzienie w klasztorze szczęśliwie dobiega końca. Uśmiechnęła się przez ramię do Duncana. „Ze sobą. Ze sobą”. Te słowa usunęły w cień całe tygodnie zwątpienia, oczekiwania, bólu. Naczelnik ją kocha. Zawsze widziała w nim przede wszystkim dobro i siłę. W głębi serca zawsze wiedziała, że ta chwila nadejdzie... choć, szczerze mówiąc nigdy nie przypuszczała, że Duncan wyzna jej uczucie ubrany w zakonny habit.

Kątem oka dostrzegła Johnniego, Lachlana i Owena maszerujących do stołu. Jej drodzy, choć głupi rodacy zdobyli się na tak wielki wyczyn, żeby ją ratować przed Jamiem MacFayem. Oczywiście teraz, kiedy coraz lepiej jej idzie z czarami, zapewne sama poradziłaby sobie z Jamiem i to bez większego trudu. Ale mężczyźni byli tacy zabawni z tą potrzebą udowodnienia własnej siły, z nadmierną opiekuńczością. Serce jej się ścisnęło w przy-
pływie czułości.

Jakie dziwne, jak cudowne potrafiło być życie, choć prawdą było też to, co niedawno powiedziała Duncanowi w kabinie wuja: nie zależało jej na życiu. Już zawsze miało jej brakować ojca, braci i ukochanego Roberta. Żal po ich utracie na zawsze przepełnił cząstkę jej serca. Wyczuwała jednak, że sprzyjali Duncanowi... Wprawdzie nie bezpośrednio, ale przecież mieli związek z rebelią, która ściągnęła go w rodzinne strony. Nagle ojciec stał jej się bliższy, niż był kiedykolwiek przed śmiercią.

Błogosławił im z niebios. Czuła to tak mocno, jakby stał obok niej, tu na ziemi. Andrew Hay był dla Duncana mistrzem w czasach, kiedy inni członkowie klanu od niego stronili. Czyżby ojciec wszystko przewidział? Czyżby umyślnie zasiał ziarno godności własnej i współczucia w zgorzkniałym sercu Duncana?

Jej rozmyślenia przerwał dzwon wzywający do rozpoczęcia wieczery.

Duncan i jego trzy „siostry” sprawiali wrażenie głodnych jak

wilki, kiedy pokornie schylili głowy nad talerzami. Marsali niespokojnie rozejrzała się wokół stołu. Powinna w tym momencie dziękować Bogu za jedzenie, ale w istocie bardziej była wdzięczna za klasztorny zwyczaj, który zakazywał siostronom podnoszenia oczu znad stołu w czasie posiłku.

Broda Duncana dosłownie z minuty na minutę robiła się coraz ciemniejsza. Lachlanowi welon zsunął się z czoła o kilka cali, odsłaniając początki łysiny. Owen ukradkowo wtykał sobie do ust okruchy chleba. Johnnie dawał mu ostrzegawcze znaki, machając potężną owłosioną pięścią.

Modlitwa dobiegła końca. Czterej przebierańcy z ulgą opadli na miejsca, by natychmiast podnieść się z powrotem, gdy zauważyli, że reszta siostr pozostała w pozycji stojącej.

- Nie wolno jeść przed odczytaniem lekcji - odpowiedziała im Marsali z rozbawieniem, stawiając dzbanek obok talerza Duncana.

Siostra Bridget szybkim krokiem przeszła wzdłuż dębowych ławek. Była tak niska, że zza pulpitu wystawał jedynie czubek jej welonu. Otworzyła psalterz i wybrała psalm 119. Był to długi psalm. Miał 176 wersów i w istocie był najdłuższym psalmem w całym psalterzu.

- „Szczęśliwi, którzy się Pańskim zakonem sprawują, którzy Pana i wyroków jego naszladują” * - zaczęła siostra Bridget tak donośnym głosem, że odbił się po ścianach niczym salwa z muszkietów.

Owen spojrzał na drobną zakonnicę z nieukrywanym podziwem.

- Amen - mruknął Lachlan, sięgając po łyżkę; wypuścił ją jednak zaraz, gdy Duncan trzepnął go po nadgarstku.

- Cierpliwości, siostro - warknął Duncan.

Słowa psalmu płynęły nieprzerwanie. Modulowany głos siostry Bridget wznosił się i opadał; w klasztorze plotkowano, że nim Bóg ją powołał, była całkiem niezłą aktorką. Duncan przyglądał jej się z uznaniem; przydałyby mu się takie płuca na polu bitwy.

Psalm trwał.

* Fragmenty Psalmu 119 w przekładzie Jana Kochanowskiego.

I trwał.

Marsali spokojnie wypełniała naznaczone obowiązki: krajała jeszcze ciepły, cieniny chleb. Co jakiś czas spod opuszczonych rzęs rzucała ukradkowe spojrzenia na Duncana. Ilekroć ich oczy się spotkały, czuła, że brak jej tchu; miał uczucia dosłownie wypisane na twarzy: pożądanie, troskę, chęć posiadania. Jej ciało miękło pod jego wzrokiem, niczym wosk świecy wokół płomienia. Zakonny habit niczego nie ujął męskiej urodzie naczelnika.

Był mężczyzną i żadne przebranie nie było w stanie tego ukryć.

Mijający czas był istną torturą dla cierpliwości Duncana. Podglądał każdy jej ruch, każdy krok, każdy obrót. Prosty klasztorny strój jeszcze podkreślał jej zwinność i delikatność. Nie mógł się doczekać, kiedy ta szarada dobiegnie końca i będzie ją mógł mieć tylko dla siebie. Przymknąwszy oczy wyobrażał sobie z najdrobniejszymi szczegółami, jak będzie wyglądała ich pierwsza razem spędzona noc. Z każdą chwilą pragnienie posiadania jej stawało się coraz bardziej przejmujące.

W powietrzu czaiło się zagrożenie.

Ta myśl przecięła jak miecz jego nad wyraz przyjemne rozważania. Na moment zapomniał o Jamiem i o jego skłonności do przemocy. Wyobraził go sobie, jak wraz ze swymi rozwiązłymi kompanami wpada do refektarza. Niemal słyszał rozpaczliwe krzyki bezbronnych kobiet, modlitwy ginące w ryku wulgarnego męskiego śmiechu.

Zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Zabiłby Jamiego, gdyby tylko dotknął Marsali. To było silniejsze od niego. Mimo obietnicy złożonej Judith. mimo tego, że sam miał już dość rozlewu krwi, pierwotny męski instynkt obrony wzięłby górę nad wszelkimi innymi odczuciami. Tak, zabiłby Jamiego i byłby z tego zadowolony.

Musiał zabrać Marsali na łódź przed przybyciem Jamiego, nawet gdyby to miało oznaczać całonocne błędzenie w tej przeklętej mgle.

- „Dla chwały twych sądów wiernych o północy wstawam!”
- zakrzyknęła siostra Bridget z takim wigorem, że Lachlan,

drzemiący na stojąco, ocknął się przestraszony i złapał Duncana za rękę.

Północ.

Duncan spojrział na Marsali, potem przeniósł wzrok na ciężkie drzwi refektarza, oceniając odległość i ewentualne przeszkody do pokonania na drodze ucieczki. Czy Jamie i jego ludzie czają się na zewnątrz? Może ukrywają się w zakamarkach klasztoru? Czy jest jakaś inna droga prowadząca na plażę?

Bijatyka. Porwanie. W oczach staroświeckich mieszkańców Pogórza te przestępstwa łatwo znajdowały rozgrzeszenie. Nie powinien był zmuszać swoich ludzi do złożenia broni. Leżała teraz bezużyteczna, zamknięta w stróżówce. Czuł rosnące napięcie. Czy Johnnie pamiętał, że ma ukryć łódź?

„Przysięgam ci, Judith, że nie zbrukam czystości twojego klasztoru. Nie podniosę ręki w akcie przemocy. Moją ręką nie zostanie przelana ani kropla krwi. Przysięgam na grób naszej matki. Na duszę mojej córki...”

Stała mu przed oczyma zdumiona twarz Judith. „Córki? O jakiej córce mówisz, Duncanie?”

Podniósł głowę.

Marsali uśmiechała się do niego, czarująca w złotawym migotliwym świetle świec. Głos siostry Bridget dudnił jak rusznica. Mieszające się zapachy mokrej wełny, ryby i rozgrzanego wosku drażniły mu nozdrza, budząc tęsknotę za chłodem świeżego nocnego powietrza. Może Jamie zgubi się we mgle. Może zostanie w domu, żeby sobie umyć włosy.

- „Posil mnie, niech się za rzeczy płone nie ujmuję” - grmiała siostra Bridget.

- Amen - mruknął Owen. - Posil mnie, niech tu nie padnę z głodu.

Psalm wreszcie dobiegł końca. Lachlan przerzucił niemal całą zawartość półmiska z rybą na swój talerz. Owen robił tyle hałasu siorbiąc zupę, że kilka zakonnicomal nie złamało zakazu prowadzenia rozmów, spoglądając po sobie wymownie.

Duncan w milczeniu jadł chleb, pragnąc z całej duszy, by posiłek jak najszybciej się skończył. Za każdym razem, gdy

Marsali pochylała się nad nim napełniając mu kubek, przypominał sobie o jej kruchości. Wszystko to była jego wina. To przez niego znalazła się w tak niebezpiecznym położeniu.

- Gdzie ona jest? - spytał donośnym, męskim głosem; tym razem kilka osłoniętych welonami twarzy uniosło się znad talerzy.

Na moment ogarnęła go panika; niewiele brakowało, by prawda wyszła na jaw. Z bijącym na alarm sercem podniósł się z ławki i bezskutecznie szukał Marsali wzrokiem po całym refektarzu. Nawyk wojskowej dyscypliny kazał mu się opanować. Skinał przepaszająco i na powrót usiadł za stołem, obciągając rękawy na muskularnych ramionach.

Szturchnął Johnniego w bok.

- Dokąd ona poszła?

- Tu jestem, milordzie - szepnęła, pociągając go za habit, nim Johnnie zdążył się odezwać.

Duncan spojrział w dół z niedowierzaniem; spod stołu uśmiechała się do niego słodka buzia Marsali. Odchylił się w ławce, udając, że chodziło mu o podanie dzbanka. Dzikie pulsowanie krwi w głowie powoli ustępowało. Lęk był odczuciem całkowicie sprzecznym z jego naturą.

- Co ty tam, u licha, robisz? - spytał mruklawie.

- Muszę ci umyć nogi - wyjaśniła z westchnieniem. - To moja kara za rozlanie mleka na twój habit.

Uśmiechnął się podejrzliwie.

- Chyba żartujesz.

- Nie żartuję. Unieś trochę spódnicę i, na litość boską, zasłoń sobie twarz welonem. Twoja broda wygląda jak czarna szczotka.

Wzniósł oczy do nieba, starając się nie zdradzać swoich odczuć, kiedy delikatnymi paluszkami zsunęła mu pończochy i zaczęła masować kostki. Posiłek dobiegał końca. Jego ludzie porywali ostatnie kęsy z półmisków, choć dwie klasztorne nowicjuszki sprawnie zbierały już naczynia ze stołu.

Jedna z dziewcząt, najwyraźniej równie swobodnie traktująca klasztorne zasady jak Marsali, zatrzymała się przy Duncanie na dłużej. Próbował nie zwracać na nią uwagi. Przeczuwał, że jest

zbyt ciekawska i może sprawiać kłopoty. Pochylił się niżej nad stołem.

W końcu nie wytrzymał i spojrzął na nią; zdumiał się, bo przez moment miał wrażenie, że patrzą na niego oczy jego matki. Dziewczyna też była zaskoczona; zapewne nie spodziewała się, że nowo przybyła ksieni będzie miała ramiona szerokie jak okręt wojenny i zarośniętą kwadratową szczękę.

Czy to oznaczało, że cały wysiłek pójdzie na marne?

Że pobiegnie po Judith do sali chorych?

Ściskając kurczowo cynową łyżkę czekał w napięciu, co będzie, gdy dziewczyna obejrzy już sobie dokładniej Johnniego, Lachlana i Owena.

Nie potrafił rozszyfrować jej twarzy. Widział w niej jednak śmiałość i jeszcze coś... niepokojąco znajomego.

Uśmiechnęła się powoli, a jej uśmiech podziałał na Duncana z niezrozumiałą mocą. Kim, u diabła, mogła być ta dziewczyna?

- Niech cię Bóg błogosławi, Wielebna Matko Ksieni - mruknęła i zaczęła się wycofywać od stołu z naręczem talerzy, pozostawiając Duncana w domysłach.

- Masz największe stopy, jakie w życiu widziałam - szepnęła spod stołu Marsali.

Ocknął się na dźwięk jej głosu.

- Kim była tamta dziewczyna? Patrz, szybko, tamta przy drzwiach.

Marsali wcisnęła się pomiędzy stół i ławkę, żeby lepiej widzieć.

- A, ona. To Hannah. Jedna z sierot, które wychowują się tu od urodzenia.

- Ale nie jest zakonnicą?

- Nie, nie jest zakonnicą. Jest nowicjuską. - Marsali zamyśliła się na moment. - Twierdzi, że jest spokrewniona z twoją siostrą, co zapewne oznacza, że może być też spokrewniona z tobą. Czasami przeklina tak samo jak ty.

Siostra Bridget wróciła do pulpitu; już nie krzyczała, lecz gwałtownymi gestami wzywała Owena i Lachlana do wejścia na prowizorycznie skleconą scenę.

- O co chodzi tej kobiecie? - spytał ostrożnie Duncan.

- Czas na pantomimę - odpowiedziała szeptem Marsali.
- Właśnie wybrała Adama i Ewę. Dzisiaj odgrywamy Księgę Rodzaju. To jedyna rozrywka, na jaką nam tu pozwalają.

Owen i Lachlan podnieśli się z ławki, kłaniając się i szczerząc zęby w uśmiechu wdzięczności za to, że zostali wybrani do odegrania pierwszych wyrzutków.

- Siadać - syknął Duncan. - Nie mamy czasu na żaden teatr.

Siostra Bridget znów wywijała ramieniem jak wiatrak, tym razem na Duncana. Udał, że tego nie widzi. Marsali wyśliznęła się spod stołu i szepnęła mu do ucha;

- Ona chce ciebie, milordzie.

- Po co? - przestraszył się.

- Chce, żebyś zagrał Boga.

- Boga? Chce, żebym zagrał Boga? Dlaczego?

Marsali popchnęła go lekko w stronę sceny.

- W koiciu tylko ty jeden w całym klasztorze masz brodę.

Duncan stanął w miejscu, kiwając głową do siostr, które uprzejmie zachęcały go do występu.

- Nie chcę być Bogiem - mruknął pod nosem do Marsali.

- Nie wiem, jak to jest być Bogiem.

- Posłuchaj, milordzie, jesteś urodzony do tej roli. W istocie właśnie to ci wychodzi najlepiej. Wydawanie rozkazów. Wzbudzanie w ludziach grozy.

- Nie podoba mi się to, Marsali. Prawdopodobnie dwunastu uzbrojonych łajdaków czeka na zewnątrz, żeby cię porwać, a ja tu mam skakać w sukience udając Pana Boga. - Odrzucił do tyłu poję welonu. - A w ogóle to jak mam udawać Boga za pomocą pantomimy?

Pozostałe zakonnice zaczynały im się przyglądać z coraz żywszym zainteresowaniem. Siostra Bridget zganiła Marsali surowym spojrzeniem. Kątem oka Duncan dojrzał w drzwiach dziewczynę o imieniu Hannah.

Zaklął pod nosem. Lada chwila do refektarza mogła wpaść Judith. Chciał jak najszybciej wynieść się z tej mglistej wyspy razem z Marsali, a zamiast tego miał stanąć przed tłumem kobiet, zakonnice, i udawać, że jest kobietą udającą Boga.

Marsali ponagliła go szturchnięciem.

- Po prostu rzucisz kłatwę na węża.

- Jakiego węża?

- Wydaje mi się, że gra go siostra Douglas. Tak, to ta pucołowata zakonnica w okularach, wijąca się wokół pulpitu.

- To jakiś absurd.

- Rzuć też kłatwę na ziemię, a potem wygnaj Lachlana z raj.

Domyślam się, że Owen dostał rolę Ewy, bo jest niższy.

Duncan niepewnie ruszył w stronę oświetlonej świecami sceny.

- Nie zapomnij skazić wrogością ich nasienia, zanim wygnasz Lachlana - dodała szeptem Marsali. - Aha. Na końcu jest jeszcze ognisty miecz. Ale nie przejmuj się aniołami. Nie trzeba przesadzać.

Duncan zamachał rękami, przybierając przy tym surową ojcowską minę. Starał się jak mógł, zważywszy iż nigdy nie spotkał Boga osobiście. Poczował się nieco pewniej, gdy akcja doszła do sceny z udziałem ognistego miecza.

Zaprezentował wzorcowe pchnięcia i uniki; trzymał cynową łyżkę w jednej ręce, podczas gdy druga spoczywała przepisowo wsparta na biodrze. Poniosło go nawet trochę i wskoczył na pustą ławkę, by zakasawszy habit zgrabnym susem przesadzić stół. Szermierka, bądź co bądź, stanowiła jego mocną stronę.

Zakonnice przyjmowały jego popis w całkowitym milczeniu, ale Duncan był raczej zadowolony z siebie, pomijając fakt, iż przeszkadzał mu trochę habit i welon.

Tylko czy aby na pewno Bóg zajmował się fechunkiem w rajskim ogrodzie?

Duncan niewiele pamiętał z Biblii, poza psalmem dwudziestym trzecim, który zwykle czytał nad umierającym żołnierzem na polu bitwy, zawsze z dojmującym poczuciem zwątpienia i smutku, że sam nie może się zmusić do wiary.

Wykonał kolejne efektowne pchnięcie w powietrzu. Do licha, przyjemnie było znów posługiwać się bronią, czuć ten miły

dreszczyk podniecenia, gdy ostrze trafiło w wymagowanego wroga. W MacFaya. Właśnie. Przecież walczył z MacFayem.

Opuścił łyżkę z bezgłośnym przekleństwem, nagle zdając sobie sprawę z obecności wstrząśniętych sceną zakonnic. Czyżby oszalał? Zapomniał, po co tu, de diabła, przyjechał?

Marsali, Owen i Lachlarr zaczęli bić brawo, kiedy zeskoczył z ławki. Jedynie Johnnie zachował resztki rozsądku; stał przy drzwiach z miną wyrażającą głęboki niepokój.

- Wydaje mi się, że słyszałem coś przy bramie, milordzie - odezwał się cicho, kiedy Duncan krok po kroku wycofał się ku niemu.

Duncan szybko kiwnął głową. Siostra Bridget przyglądała mu się z otwartą podejrzliwością. Nie mógł się temu dziwić. W ferworze udawanej walki zatknął sobie połą habitu za pas. Cała długość wyrzuczonej muskułami i pociętej bliznami nogi wymownie świadczyła o tym, że nie spędził życia na doskonaleniu ducha.

Sekret się wydał: irlandzka ksieni była mężczyzną.

Siostra Bridget zbliżała się do niego powoli w fatalnie wróżącym milczeniu.

Zerknął na Johnniego.

- Teraz. Zdmuchnąć świece. Zabieramy Marsali. Do licha, ta zakonnica ma w oczach morderstwo.

W pół minuty w refektarzu zapanowała ciemność. Kilka nowicjuszek zaczęło piszczeć, bardziej z podniecenia wydarzeniem niż z trwogi, ale żadna z zakonnic nie wydała z siebie głosu. Duncan doszedł do wniosku, że poraził je strach. Nie marnując ani chwili dłużej, chwycił Marsali za rękę i wyciągnął ją na zewnątrz. Ukryci w cieniu arkad puścili się biegiem, kiedy otworzyły się drzwi szpitalika i Duncan ujrzał przed sobą Judith skamieniałą w wyrazie przerażenia.

- Czekaj - szepnęła Marsali, zapierając się w miejscu jak muł.

Duncan odwrócił się, zahaczając stopą o habit Lachlana.

- Na nic nie czekamy, Marsali. Nie mogę się spotkać z moją siostrą w takim stroju.

- Gdzie jest Owen? - spytał nagle Johnnie, wyłaniając się z gęstej mgły.

- Właśnie dlatego musimy poczekać - wyjaśniła Marsali.
Lachlan wyswobodził nogę Duncana z łańcuchów swego habitu.
- Ostatni raz go widziałem, kiedy był w raju.
- W raju? - wrzasnął Duncan tonem bliskim hysterii. - Co ten idiota robi w raju? Przecież go wyгнаłem?
Lachlan wzruszył ramionami.

- To mnie wyгнаłeś, milordzie. Nie byliśmy z Owenem pewni, czy on też ma się wynosić, więc postanowił zostać, kiedy ty wykonywałeś ten swój taniec z mieczem.

Zaiste nigdy jeszcze klasztorne mury nie słyssały tak wymyślonych przekleństw, jakie w owej chwili wyrwały się ust Duncana. Marsali z Johnniem i Lachlanem wciąż stali zauróczeni, gdy po chwili Duncan wrócił z Owenem, ścigani przez Judith i siostrę Bridget.

Schronili się w niewielkiej wolno stojącej dzwonnicy, by się przekonać, że z jednego niebezpieczeństwa wpadli w drugie. Znacznie gorsze. Przystępując próg ciemnej budowli, Duncan poczuł na plecach ostrzegawcze mrowienie.

MacFay wraz z sześciu swoimi ludźmi wyskoczyli zza chwiejnych drewnianych schodów. Cichy zgrzyt wyciąganych szabel przypomniał Duncanowi o jego własnej broni, zamkniętej bezużytecznie w stróżówce. Bezbronni. Mniej liczni. Schwytani w pułapkę, W damskich sukniach. Czyż mogło być gorzej?

Sprzyjał im jednak element zaskoczenia. W ciemności on i jego ludzie na tyle przypominali zacne siostrzyczki z klasztoru, że należało wykorzystać tę okoliczność.

Niestety, Owen potknął się o szczotkę leżącą na podłodze i wpadł w ramiona Johnniego krzycząc: „Cholera jasna!”, nim ktokolwiek z nich zdołał go uciszyć, a nie były to słowa używane przez zakonnice w tego rodzaju sytuacjach.

- To nie są zakonnice - stwierdził ze zdumieniem jeden z MacFayowych kompanów. - Patrzcie... ten wielki z brodą to sam MacElgin.

Jamie wysunął się naprzód i z podniesioną szablą ruszył na Duncana.

- Wyciągaj broń, MacElgin. Powiedziałem ci, że tam w zamku jeszcze z tobą nie skończyłem.

Duncan uniósł cynową łyżkę, którą wciąż trzymał zaciśniętą w lewej ręce.

- Gotów?

Jamie zawahał się przez moment, wyraźnie zaskoczony tym, że znany i ceniony w świecie szermierz staje do walki z kuchennym narzędziem.

- Broń się - rzucił po chwili, wysuwając szablę ku piersi przeciwnika.

Duncan uniósł drugie ramię, powstrzymując atak szerokim czarnym rękawem niby wielkim skrzydłem nietoperza. Kątem oka dostrzegł drobną sylwetkę wdrapującą się po schodach na szczyt dzwonnicy. Marsali? Niech ją licho. Co ona zamierzała zrobić? Zadzwonić, żeby wezwać siostry do obrony? Rzeczywiście wielka to pomoc, mieć wokół siebie gromadę piszczących ze strachu kobiet.

Jamie spojrział z zakłopotaniem na Duncana, a potem przeniósł wzrok na jednego ze swych ludzi pilnującego drzwi.

- Daj mu swoją broń. Jamie będzie walczył jak mężczyzna.

Szabla zatoczyła łuk w powietrzu i wylądowała u stóp Duncana. Patrzył na nią z dojmującym pragnieniem, ręka aż się rwała do dobrze znanego ciężaru.

- Jesteś poszukiwanym przestępcą, Jamie - odezwał się wolno i dobitnie. - Tu jest klaszór, na miłość boską. Żadne prawo Pogorza cię nie uratuje, nawet jeśli mnie zabijesz.

Urodziwa twarz Jamiego skrzywiła się w wyrazie pogardy. Jego ludzie poruszyli się niespokojnie w ciemności, wymieniając niepewne spojrzenia, jakby się dziwili, dlaczego MacElgin znosi takie upokorzenie.

- On jest tchórzem - oznajmił Jamie z cichym, nerwowym śmiechem, a kiedy to nie wzbudziło reakcji, machnął szablą przed twarzą Duncana. odcinając kawałek welonu i wywołując maleńki strumyczek krwi na jego policzku. - Patrzcie, tnę go na kawałki, a on mi na to pozwala.

- Przestań, Jamie. Marsali zbiegła ze schodów; głos trząsał jej się ze złości. - Pójdę z tobą, ale musisz obiecać, że przestaniesz wyrządzać ludziom krzywdę.

Duncan prawie nie poczuł gorącego ukłucia bólu na twarzy; gniew i niepokój o Marsali w jednej chwili zmiotły niedawne postanowienie, jakie sobie złożył. Urodził się dla przemocy. Brakowało mu wiary, by zdać się na jakieś nadprzyrodzone moce, które mogą, ale nie muszą zechcieć mu pomóc.

- Zabierzcie ją do łodzi. - Jamie rzucił Marsali szybkie spojrzenie, nim z powrotem skierował zmrużone oczy na Duncana. - I uważajcie na tyły. Węszę tu jakiś podstęp.

Jeden z kompanów MacFaya zrobił niepewny krok w stronę Marsali. Duncan zdążył pochwycić broń i rozłożyć Jamiego na podłodze pomiędzy Owenem i Lachlanem, nim ktokolwiek był w stanie zorientować się, co zaszło. W mgnieniu oka przeobraził się w barbarzyńskiego wojownika, którego poważał i bał się świat. Biła od niego niepojęta siła. Johnnie uśmiechnął się z ulgą.

Jamie oddychał szybko; czubek szabli uciskał mu gardło.

- Zabijcie go! - warknął przez zęby. - Niech któryś zabije tego drania. On rani Jamiego.

Nikt się nie poruszył.

Duncan patrzył na leżącego przeciwnika w milczeniu; słyszał odgłos kroków, które zatrzymały się pod drzwiami, czuł, że Marsali stoi za jego plecami, pobladła z przestachu. Był boleśnie świadomy wszystkiego, co działo się wokół niego i w nim.

Wiedział, że jego ludzie przyglądają mu się z niepokojem. W ciasnym pomieszczeniu narastało napięcie, w oczach mu się zaćmiło. Myśli samoistnie, bez udziału jego woli, przywołały przeszłość.

Głos Jamiego, pełen lęku i rezygnacji, dobiegał z daleka, jakby Duncan stał na końcu tunelu.

- No, na co czekasz MacElgin? Zamorduj mnie i miej to za sobą.

Zamorduj.

Morderca.

Zamordował własną matkę i ojca.

Otrzymała dwadzieścia siedem uderzeń nożem w plecy.

Tak, poderznął ojcu gardło. Krew była wszędzie. Stara ciotka przez kilka dni nie przestawała krzyczeć.

Marsali obserwowała Duncana z sercem przepełnionym współczuciem, podobnie jak jego trzech milczący ludzie. Przy całej swej sile i władzy, budził litość bezbronnością. Gdyby nie wyznanie, jakie usłyszała od niego tamtego ranka w zamku, nigdy by nie zrozumiiała ciężaru winy i przerażenia, które dręczyły jego duszę od czasu dzieciństwa. Wszyscy oczekiwali, że zatopi szablę w gardle Jamiego. Nikt nie wiedział, dlaczego się waha.

Ręka trzymająca broń zadrżała.

Czuła się bezsilna. Nie było magicznego zaklęcia, które by dotarło do tego mrocznego miejsca, gdzie się teraz znajdował, przeżywając od nowa tylko sobie znany koszmar. Co gorsza, jakaś jej częśćka pragnęła, by zabił Jamiego i miał to za sobą.

Ludzie MacFaya czekali jak zahipnotyzowani na kolejne posunięcie Duncana. Była to chwila, o której imano opowiadać przy góralskich ogniskach przez długie lata, za każdym razem ubarwiając opowieść, tak iż w końcu nabrałaby wymiarów epickich.

- Duncanie. - Marsali nie zdołała stłumić lęku przebijającego z jej głosu. Czyżby nie słyszał kroków na zewnątrz? Czyżby Jamie pozostawił większą liczbę uzbrojonych ludzi wokół klasztoru? Jak długo jeszcze towarzysze Jamiego mogli stać zauroczeni widokiem legendarnego żołnierza, nim się spostrzeżę, że MacElgina sparaliżowały wspomnienia z własnej przeszłości?

Dotykając końcem szabli gardła rywala, trzymał w ręku władzę nad życiem i śmiercią. Ale decydująca walka toczyła się w nim samym.

Drzwi otwały się wolno. Przemieszczające się warstwy mgły i rozproszonego światła wpełzły do dzwonnicy. Duncan podniósł głowę sztywnym, nienaturalnym ruchem, jak nagle ożywiony

posag. Oczy brata i siostry spotkały się w spojrzeniu nabrzmiałym od bólu.

- Judith - odezwał się. kręcąc głową przecząco.

Judith objęła przerażonym wzrokiem nieruchomą postać na podłodze, szablę w dłoni Duncana, wreszcie niechlujnych ludzi MacFaya czających się po kątach jak wampiry.

- Coś ty zrobił, Duncanie? - szepnęła z trwogą; jej twarz nie odbijała kolorem od białego welonu.

- Nic. - Patrzył w dół na Jamiego, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. - Wstawaj, MacFay.

Marsali stanęła u jego boku. Nie odrywając oczu od leżącej postaci, otoczył Marsali wolnym ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Kazałem ci wstać, MacFay - powtórzył Duncan ze znużeniem. - Zaczynam się zastanawiać, czy nie zmienić zdania.

Jamie podniósł się wolno; upokorzony powiódł wzrokiem po zawstydzonych twarzach swoich ludzi.

- Co jest z wami, do cholery? - krzyknął z urazą. - Jest was pięciu! On jako jedyny ma broń, a wy nie zrobiliście nic, żeby mu przeszkodzić.

- On ci nic nie zrobił, Jamie.

Jamie odwrócił się do człowieka, który ośmielił się odezwać.

- Komu ty służysz, człowiekowi, który zaprzedał duszę Anglikom, czy Jamiemu? - Cisza, jaka była odpowiedzią na jego pytanie, wprawiła go w istną furję. Tupnął nogą.

- Komu służycie, waszemu naczelnikowi czy MacElginowi?

- krzyczał dziecinnie wysokim tonem. ~ Jeśli służycie mnie, to dowiedźcie tego.

- Tu jest zakon. Jamie.

- On ci nie zrobił nic złego, chłopcze.

Porwał szablę i zaczął nią wywijać nad głową, jakby to miało wzbudzić jakąś pierwotną żądzę krwi w jego ludziach.

- Komu służycie?! - darł się przez splecione włosy opadające na puipurową twarz.

Duncan odepchnął Marsali w stronę Johnniego, który podtrzymał ją mocnym, opiekuńczym uściskiem.

Jeden po drugim ludzie MacFaya zaczęli odpinać pasy, rzucać sztylety, szable i tarcze na stertę u stóp Duncana. Szczęk metalu nie zdołał zagłuszyć chrapliwego oddechu Jamiego.

- Służymy MacElginowi - oznajmił krępy, muskularny porucznik MacFaya, znany jako Tore, co po celtycku oznaczało wieprza.

- Tak, MacElginowi!

Jamie rzucił się na Duncana, ale został złapany niczym pajak w sieć przez własnych ludzi.

- Co mamy z nim zrobić, milordzie? - spytał Tore.

Duncan się zawahał. Z jednej strony żałował, że nie może podjąć walki z Jamiem i załatwić z nim sprawy jak mężczyzna z mężczyzną. Jakkolwiek było, pewność, że wróg jest martwy, bardzo sprzyja przyszłym pokojowym stosunkom. Z drugiej strony musiał się liczyć z konsekwencjami swojej decyzji. Powinien przyłączyć do swojego klanu pół tuzina MacFayowych obdartusów.

Odrzucił broń, posyłając Jamiemu zimne, pogardliwe spojrzenie.

- Waszym pierwszym aktem poddaństwa będzie dostarczenie tego człowieka do brytyjskiej twierdzy i dopilnowanie, by został aresztowany. Zabierzcie mi go sprzed oczu.

Jamie próbował się wyrwać.

- Jesteś czarnym diabłem. A ona jest czarownicą!

- Zamknij swoją głupią gębę, MacFay - wybuchnęła Marsali.
- Jeszcze jedno słowo, a sama cię zabiję.

Jamie znieruchomiał jak marionetka z podciętymi nagle sznurkami. Potem posłał Marsali spojrzenie, któremu towarzyszył jęk pełen niezaspokojonego pragnienia i rozpacz. Duncan obejrzał się, ciekaw reakcji Marsali; poczuł ukłucie zazdrości widząc w jej oczach błysk współczucia, nim odwróciła wzrok z pogardą.

Nowi poddani Duncana wyciągnęli Jamiego z dzwonnicy, zerkając przepaszająco na dwie zakonnice, stojące w milczeniu po obu stronach drzwi. Duncan nagle poczuł się dziwnie wyczerpany, niepewny, co ta nagła rezygnacja z zabijania w obronie własnej będzie oznaczała dla jego przyszłości. Człowiek, który

zyskał sławę dzięki walce, nagle stał się niepewny tego, kim i czym jest.

Marsali oderwała się od Johnniego i przyłgnęła mu do piersi. Kruche ciepłe ciało tchnęło obietnicą miłości i akceptacji, niezależnej od tego, jak będzie na niego patrzeć reszta świata. Ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją na oczach dwóch zakonnic i swoich ludzi.

- Duncanie - szepnęła Marsali z oczyma błyszczącymi przekorą i radością. - Wielebna Matka patrzy.

Zerknął na Judith z rozbawieniem.

- Owszem, patrzy, ale obiecałem jej tylko tyle, że nikogo nie zabiję. Nie wspominałem nic o całowaniu.

Miała usta słodkie i ciepłe. A jego pocałunek był zarazem gwałtowny i delikatny. Nie zwracając uwagi na widzów, przesunął rękami po wdzięcznym łuku jej pleców i przyciągnął ją do siebie tak mocno, że omal nie straciła tchu. Tak bardzo pragnął poczuć się pewnym, że już nigdy nic ich nie rozdzieli. Ta mała niezdolna dziewczyna była dla niego wszystkim.

Zaskoczył go jej cichy śmiech.

Odsunął ją od siebie na odległość ramienia i uśmiechając się wbrew sobie spytał:

- Moje pocałunki wydają ci się zabawne, Marsali?

- Nie mogę się powstrzymać, milordzie. Przypomniałam sobie, jakie wszyscy mieli miny, kiedy skakałeś po ławce odgrywając Pana Boga.

Siostra Bridget po raz pierwszy odezwała się od progu.

- Trochę przesadziłeś z tym fechtunkiem, aczkolwiek muszę przyznać, że twoja gra wywarła spore wrażenie.

- Dziękuję - odrzekł Duncan robiąc komiczną minę. Spoważniał patrząc na Judith, szukając w jej twarzy śladu przebaczenia, którego pragnął przez te wszystkie lata. - Przepraszam za to zamieszanie, ale przynajmniej nie została przelana niczyja krew.

- Poza twoją - wtrąciła się Marsali, dotykając ostrożnie ciemnoczerwonej rysy, która miała pozostawić bliznę na ukochanej twarzy.

Chwycił jej dłoń i uściśnął z wdzięcznością.

- Będziemy już opuszczać twój klasztor, Wielebna Matko
- rzekł łagodnie. - Najpierw zwrócimy pożyczone ubrania, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyła spokojnie Judith. Przeniosła spojrzenie z twarzy brata na kruchą postać kobiety, którą trzymał w ramionach jak największy skarb. - Ale ty, Marsali, miałaś mnie zastąpić na sali chorych dziś po wyjściu z kaplicy.

- Nie. - Głos Duncana wyrażał stanowczość graniczącą z desperacją. - Wyjeżdżamy razem.

Judith zachowała kamienną twarz.

- Zatem znalazłeś dla niej odpowiedniego męża. To jedyny warunek, żebym ją stąd wypuściła.

- Sądzę, że tak. - Duncan milczał przez chwilę zmagając się ze wspomnieniem pewnego poranka sprzed wielu lat, kiedy Judith wyjechała z zamku do klasztoru. Jego ojciec, markiz, chciał zaadoptować tę bladą, zamkniętą w sobie dziewczynę jako własną córkę, ale Judith sama prosiła, żeby ją odesłać; po latach krzywdy ze strony rodzonego ojca, pragnęła ukojenia i samotności.

Duncan był wówczas zbyt pijany, żeby się z nią chociaż pożegnać. Aż do tej chwili nigdy się nie przyznał, nawet przed sobą, jak bardzo za nią tęsknił, jak na niej polegał.

- Człowiek, którego wybrałem, bardzo kocha Marsali - powiedział w końcu - ...i choć nie jest najlepszą partią, obawiam się, że będzie musiał się nadać. Jej przyjaciele wystraszyli wszystkich pozostałych konkurentów. W każdym razie będzie jej bronił, choćby miał oddać własne życie.

- Kocha ją? - spytała Judith; surowe rysy nieco złagodniały pod wpływem rozbawienia.

- Czy to nie rzuca się w oczy? - Duncan zmarszczył brwi.

Owen szturchnął Lachlana pod żebro.

- O kim on, do diabła, mówi?

- Nie wiem - odpowiedział szeptem zdumiony Lachlan.

- Może o Johnnie?

- Nie o mnie, ty półgłówku - warknął Johnnie ze złością. - To chodzi o niego, o naczelnika.

- Nie mów. - Owen był szczerze zaskoczony. - Naczelnik i Marsali? Nigdy bym nie uwierzył. Kiedy to się stało?

Lachlan pokręcił głową.

- A ja się zastanawiałem, dlaczego ją całował.

Judith spojrzała na Marsali.

- Ciebie ten związek też zadowala?

Marsali uśmiechnęła się przekornie do Duncana, udając zastanowienie.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Lepiej, żeby ją zadowalała, bo i tak nie ma wyboru. Odtąd będzie robiła to, co jej każę.

- Nie wydaje mi się - powiedziała Marsali.

- Mnie też - mruknęła Judith do siebie.

- Mógł oszczędzić wszystkim mnóstwa kłopotów, gdyby się zdecydował o miesiąc wcześniej - dodała Marsali. - Tak czy inaczej, zabieramy się stąd wszyscy.

- *Deo gratias* - westchnęła Judith. - Bogu niech będą dzięki.

Zapadła długa, krepująca cisza. Duncan marzył o ściągnięciu habitu i przebraniu się na powrót we własną koszulę i spodnie. Trudno mu było okazywać uczucie Marsali, kiedy był w sukience. Z drugiej strony nie mógł utrzymać rąk z dala od niej. Nie mógł się oprzeć dotykaniu jej i pocałunkom, które miały stanowić preludium do wszystkich fizycznych przyjemności, jakie ich czekały po ślubie. Pragnął prosić siostrę o przebaczenie za wszystko, co zrobił, i zapewnić ją, że się zmienił.

Ale takich rzeczy mężczyzna nie robi ani nie mówi w klasztornej dzwonnicy. Musiał się więc zadowolić kilkoma starannie dobranymi słowami i nadzieją, że oddały uczucia, których może już nigdy nie będzie miał okazji wyrazić.

- Judith - zaczął - chcę, żebyś wiedziała...

Wieża zatrzęsała się od ogłuszającego hałasu, bo jakiś niewidoczny dzwonnik tam w górze postanowił przypomnieć, że nadeszła pora na wieczorną modlitwę. Duncan zatkał sobie uszy; Marsali ukryła głowę na jego piersi. Owen, Lachlan i Johnnie rzucili po kilka soczystych przekleństw, które na szczęście, dzięki dzwonom, nie mogły zostać usłyszane przez matkę przełożoną.

W końcu, gdy hałas wypędził już wszystkich za próg, Duncan zawołał:

- Co za szalenie się tam dostał?

W tym samym momencie dzwonienie ucichło. Rozległ się natomiast rzeczowy głos Judith:

- To była twoja córka, Duncanie. I z ulgą przekażę odpowiedzialność za nią w twoje ręce. Ani ona, ani twoja przyszła żona nie przejawiają żadnych oznak religijnego powołania.

Duncan wyglądał tak, jakby dzwon spadł mu na głowę.

- Moja córka? Jaka córka?

- Nazwaliśmy ją Hannah Elizabeth. Żona doktora porzuciła ją, kiedy była jeszcze małym dzieckiem, i my wychowywaliśmy dziewczynkę najlepiej, jak mogliśmy. Niestety, ma twoją nieokiełznaną naturę, Duncanie. Z całą pewnością nie ma w sobie zadatków na zakonnice.

Hannah w podskokach zbiegła ze schodów i od razu rzuciła się w ramiona Duncana. Była wysoka i dobrze zbudowana, więc aż się zachwiał.

- Papo, zawsze wiedziałam, że przyjedziesz!

Duncan, oszołomiony, odruchowo przygarnął ją do piersi. Jego zaskoczona mina stanowiła zabawny kontrast z wylewnością Hannah.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - ostro zapytał Judith. - Nie sądziłaś, że mam prawo wiedzieć?

Judith spuściła wzrok; nie była w stanie udzielić mu odpowiedzi.

Marsali stanęła z boku z uśmiechem obserwując wzruszające spotkanie,

- Odkąd pierwszy raz wtrąciłam się do bójki pomiędzy Hannah i innymi dziewczętami - szepnęła do Johnniego - czułam, że łączy nas jakaś szczególna więź. Nie mogę sobie wyobrazić, że wszyscy będziemy żyć razem w zamku jako rodzina.

- A ja nie mogę sobie wyobrazić, że wszyscy zmieścimy się w łodzi - mruknął Johnnie kręcąc głową. - O, dobrze chociaż, że zniknęła ta dziwna mgła.

Marsali rozejrzała się zdziwiona. Zakonnice zmierzały do

kaplicy; welony powiewały za nimi jak duchy. Jakim cudem mgła zniknęła? Nic z niej nie zostało.

Duncan przytrzymał córkę za ramiona, ostrożnie, jakby i ona mogła rozpląnąć się w powietrzu.

- Wiedziałaś o niej, Marsali?

Odwróciła się, z sercem w gardle, na dźwięk bezbronności dźwięczącej w głosie Duncana. Stał pomiędzy nią i Hannah, rozpościerając ramiona, żeby objąć je obie. Wyglądał chłopięco i pociągająco. Wyraz miłości w jego oczach był wszystkim, czego potrzebowała do szczęścia.

Przywarła do jego boku, uśmiechając się radośnie.

- Zawsze mi się zdawało, że jest w niej coś znajomego, milordzie. A czasami, kiedy słyszałam, jak przeklina w sypialni, od razu ty przychodziłeś mi na myśl.

- Jednak się nie domyśliła, że jestem córką naczelnika - włączyła się Hannah. - Bez urazy, papo, zawsze czekałam na ten dzień, ale spodziewałam się, że będziesz trochę inaczej ubrany.

Marsali oparła się wygodnie o szeroką pierś Duncana.

- Oczywiście, teraz wszystko jest jasne. Masz jego charakter, Hannah. I jego stopy.

- Przypomina go też trochę z oczu - zauważył Owen, przyłączając się do uszczęśliwionej trójki.

Johnnie poczuł się w obowiązku dorzucić coś od siebie:

- Dobrze, że nie ma jego brody. Ale kiedy tak stoją obok siebie w tych sukienkach, można by je wziąć za siostry.

Duncan roześmiał się serdecznie. Wypełniała go radość, tak cudowna i dotąd nieznaną, że aż bał się jej poddać. Patrząc na młodą, otwartą twarz Hannah, pomyślał z wdzięcznością, że jednak z jego grzesznej młodości wynikło coś dobrego. Chrząknął, by ukryć wzruszenie. Wolną ręką rozpiął górę habitu i poluzował barbet.

- Przeberzemy się tylko i zaraz potem odchodzimy - zapowiedział.

Zakonnice, które miały przebywać w kaplicy, zerkały na nich zza szerokich kolumn arkady. Klasztorne nowicjuszki zebrały się w chichoczące grupki, by obejrzeć podniecające wydarzenie.

Zapomniano o wieczornych modlitwach. Atmosfera rozprężenia ogarniała klasztor niczym epidemia; Judith postanowiła w duchu jak najszybciej przywrócić właściwą dyscyplinę.

Jakby nie dość było zamieszania, Owen zdjął welon, żeby wrzucić w niego śliwki, zebrane przez Lachlana w klasztornym sadzie, a z daleka dobiegały wulgarnie złorzeczenia i groźby Jamiego, wykrzykiwane pod adresem ludzi, którzy siłą ciągnęli go do łodzi.

- Musicie odejść, Duncanie - powiedziała stanowczo Judith.
- I to zaraz. Możecie zatrzymać habity. Prawdę mówiąc, przeraża mnie myśl, że mielibyście przebierać się na oczach sióstr, więc nalegam, byście jak najszybciej opuścili klasztor.

Uśmiechnął się do niej ciepło.

Judith była bliska odpowiedzi mu uśmiechem.

- Dobrze - zgodził się. - Znikamy. Mam to, po co przyszedłem: narzeczoną. I nie tylko ją, bo zyskałem jeszcze córkę. Dzięki, że przechowałaś je obie bezpiecznie.

Judith zacisnęła usta w wąską linię, skinęła lekko głową i ruszyła w stronę kaplicy. Siostra Bridget pośpieszyła za nią, ale przystanęła po kilku krokach, żeby jeszcze raz spojrzeć na Duncana.

Jej przyjazną twarz ożywił szczery uśmiech.

- Szkoda, że nie jesteś ksienią - powiedziała cicho, z trudem powstrzymując się od chichotu. - Przydałaby mi się para takich ramion przy budowie kurnika.

Duncan uśmiechnął się szeroko; białe zęby błysnęły na tle czarnego zarostu jak u pirata.

- Nie trać nadziei, siostrzo Bridget. Prawdziwa ksieni też musi mieć niezłą krzepę, skoro zamierza tu przywiosłować aż z Irlandii.

Żegnaj, Wielebna Matko! - zawołała Marsali od klasztornej bramy do odzianej na czarno postaci, która zaraz zniknęła w drzwiach kaplicy, zaganiając przed sobą rozproszone stadko w czarnych strojach.

Hannah potrząsnęła głową, zamyślona.

- Można by pomyśleć", że chętnie się nas pozbyła.

Duncan łagodnie przepchnął je przez bramę.

- Nie rozumiem dlaczego - zakpił.

Dobry Boże, żona taka jak Marsali i córka z jego charakterem. Nagle odniósł wrażenie, że wszystkie bitwy, jakie dotąd stoczył, były jedynie przygrzywką do czekającej go przyszłości.

Zeszli po piaszczystym zboczku na brzeg, rozchlapując płytkie zatoczki pozostałe po przyptywie. Jamie MacFay siedział na dziobie własnej łodzi, związany jak indyk, z kneblem wystającym z ust. Ktoś związał mu też włosy postrzępionym kawałkiem oddartego tartanu. Wieczne niebo zlewało się z bezkresną srebrzystą połacią wody. Jak kolory na akwareli. Grzebyki piany połyskiwały w świetle gwiazd.

- No i nie przelaliśmy ani kropli krwi - rzekł z zadowoleniem Duncan, pomagając Marsali wsiąść do łodzi. Spojrzał na swoich ludzi z wdzięcznością i uznaniem. - W istocie był to mistrzowski manewr taktyczny. Moje oddziały nie spisałyby się lepiej. Jestem z was dumny.

Owen, Lachlan i Johnnie wpatrywali się w niego z otwartymi ustami. Nie mieli pojęcia, co na to odpowiedzieć. Jeszcze nikt nigdy za nic ich nie pochwalił w całym ich dotychczasowym nędznym życiu.

- Nie było tak całkiem bezbłędnie - odezwał się Owen z pokorą. - Zamoczyliśmy habity, a ja do tego zniszczyłem pończochy.

- Chyba powinniśmy byli pomóc Tore'owi wyprowadzić Jamiego z dzwonnicy. Tak wypadało - powiedział Lachlan, sadowiąc się przy wiosłach.

- To ty spisałeś się świetnie - dorzucił Johnnie z ujmującą lojalnością.

- Poza występem w roli Boga - wtrąciła Marsali, układając się z Hannah na mokrej podłodze na dziobie. Przytuliły się do siebie w oczekiwaniu ciężkiej podróży.

Duncan odepchnął łódź od brzegu i zwinnie wskoczył na burte; Johnnie wprawił w ruch wiosła. Świat wydawał się Duncanowi spokojny i jednostajnie szary... dopóki nie spojrzeł na Marsali

i nie uświadomił sobie, że dzięki niej dobrze znany ból samotności powoli oddala się z jego duszy, jak fala odpływu. Jego miejsce zajmują nowe, całkiem odmienne uczucia. Miał ochotę śmiać się, porwać ją w ramiona i pełną piersią ogłaszać całemu światu, że jest jego kobieta.

Zaczynał postrzegać życie w podobny jak ona, cudownie bezpośredni sposób.

Usiadł ciężko przy wiosłach, udając obrazę.

- Co było nie tak w moim przedstawieniu?

Marsali uniosła brew, bo siadając podkasał habit ukazując muskularne, owłosione uda.

- Sama nie wiem. Jak na mój gust, to było trochę zbyt teatralne. Całe to kłucie i podskakiwanie na palcach.

Duncan przybrał jeszcze surowszą minę.

- To są pchnięcia i uniki. Szermierka uznawana jest za sztukę. Większość ludzi na świecie uważa mnie za mistrza w tej dziedzinie. Znane są poematy...

- Całkiem możliwe, milordzie - przerwała mu spokojnie Marsali - ale wątpię, czy Bóg by tak skakał nad miskami z zupą.

Hannah przytaknęła jej z powagą:

- Trochę przesadziłeś, papo.

- Mnie się podobało, milordzie - wtrącił Owen, chwytając za wiadro. - To była najlepsza interpretacja roli Boga, jaką widziałem.

Johnnie podał Duncanowi drugie wiosło.

- Byłeś taki przekonywający, że niemal czekałem na trzaśnięcie pioruna, kiedy podniosłeś tę łyżkę ku niebu.

Duncan nic nie odpowiedział.

- Właściwie - ciągnął Johnnie - wiele razy powtarzałem chłopcom: „Naczelnik przypomina mi Boga”. Dobrze mówię, chłopcy?

Owen zmarszczył czoło.

- Prawdę mówiąc, Johnnie, wydaje mi się, że mówiłeś raczej: „Naczelnik zachowuje się, jakby był Bogiem”.

Duncan potrząsnął głową. Nie chciał z pogromcy nagle stać się kimś w rodzaju świętego. Tylko Marsali zawsze widziała go

takiego, jakim był; człowieka posiadającego mocne i słabe strony, zmagającego się z grzechami przeszłości i popełniającego nieuniknione błędy. Przy całej swej niewinności, posiadała duchową mądrość, z której jej ojciec mógłby być dumny.

Gwiazdy powoli zanikały, jak odległe płomycki świec gasnące z ledwie widocznymi smużkami dymu. W nim także coś gasło; dawne żale zamieniały się w popiół, z którego odradzała się nadzieja.

- Skąd mamy wiedzieć, w którą stronę płynąć? - spytał Lachlan, rozglądając się niepewnie.

- Popłyniemy za jastrzębiem - powiedział Duncan. Wszyscy unieśli wzrok na niebo, gdzie unoszony powietrznym prądem majestatyczny ptak zataczał powolne kręgi.

Wkrótce potem dostrzegli niewielką łódkę, miękko unoszącą się na falach. Marsali i Hannah przerwały wyczerpywanie wody z dna łodzi, żeby jej się przyjrzeć. Trzy zażywe zakonnice energicznie machały wiosłami, podczas gdy czwarta, siedząc pośrodku łodzi, modliła się głośno i żarliwie.

Marsali pomachała im wołając:

- Musi być wśród was ta irlandzka ksieni!
- Tak, to ja - odezwała się ze zdziwieniem jedna z zakonnice.
- Szukamy klasztoru Najświętszej Paniienki. Zgubiłyśmy się.
- Została wam godzina drogi - włączył się Duncan, wskazując wiosłem właściwy kierunek. - Spójrzcie, tam widać czubek dzwonnicy.

Mała irlandzka łódka przez chwilę dryfowała na wodzie. Zakonnice w milczeniu przyglądały się czterem mężczyznom ubranym w kobiece habity, którzy kiwali do nich głowami i uśmiechali się uprzejmie.

- Dziękujemy - powiedziała w końcu ksieni, chwytając za wiosło. - Niech was Bóg błogosławi... siostry.

Zdrętwiali. Zziębnięci. Mokrzy. Głodni. Cała szóstka podróżników była ledwie żywa z wyczerpania, kiedy wraz ze świtem zbliżyli się do osnutego mgłą brzegu zatoki. Nadbrzeżne skały

wystawały z wody jak zęby morskiego potwora, czyhającego, by pożreć niewielką łódź.

Marsali z jękiem odrzuciła wiosło, które przejęła po Owenie; całkiem wyzuta z sił przysiadła na kolanach Duncana.

- Jestem nieżywa.

Duncan chrząknął. Był zbyt zmęczony, żeby ją przytrzymać, więc osunęła się na dno łodzi. Patrzył na nią ze współczuciem. Sam czuł się niezdolny do żadnego ruchu; mięśnie i kości odmawiały mu posłuszeństwa.

- Musimy się pobrać - przypomniał jej słabym głosem.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby być panną młodą... - Marsali nie miała siły otworzyć oczu.

Z zatoczki zamrugało do nich słabe światełko w oknie kabiny czarownika.

- Jesteśmy w domu, papo! - ucieszyła się głośno Hannah, przepychając się przez Owena, Lachlana, Johnniego i Marsali, żeby być bliżej ojca.

Duncan znowu chrząknął. Nie był w stanie zdobyć się na inną odpowiedź. Kilka jardów dalej dawni podwładni Jamiego wyciągali łódź na brzeg. Widok bezczelnego młodego górala dodał Duncanowi jakże niezbędnej energii. Oczy mu błysnęły ze świeżo rozbudzonym gniewem.

- Mały łotr - mruknął, chwytając wiosło leżące na piersi Marsali.

Otworzyła oczy, marszcząc brwi podejrzliwie.

- Jak mnie nazwałś?

- Nie ciebie. MacFaya. Zapomniałem, że trzeba się nim zająć.

Owen stęknął odzyskując przytomność. Marsali resztką sił wdrapała się na burtę.

- Dom - szepnęła ze łzami w oczach.

Duncan spojrział ponad wodą, starając się nie słyszeć nuty nostalgii w jej głosie. Nawet za sto lat nie byłby skłonny nazwać tej nieprzyjaznej kupy kamieni swoim domem. Musiał opanować chęć zawrócenia łodzi i odpłynięcia z tego miejsca dokądkolwiek.

Johnnie usiadł przecierając oczy.

- Spójrz, milordzie. Cały klan wyszedł nas powitać.

Duncan wyteżył wzrok.

- Pierwszy, który coś powie na temat naszych strojów, spędzi tydzień w lochu.

- To nie klan - powiedziała nagle Marsali. W jej głosie nie było już słuchać zmęczenia, tylko strach. - To Anglicy czekają na nas tam na górze. Wygląda na to, że są uzbrojeni.

Zapanowało milczenie. Duncan, odłożywszy wiosło, z nieruchomą twarzą obserwował brzeg. Jak głupiec, zapomniał o obietnicy trzymania Marsali w ukryciu. Zapomniał, że zarówno ona, jak i trzech mężczyźni w łodzi byli napiętnowani, wyjęci spod prawa i nawet jego ranga i wpływy mogły nie wystarczyć, żeby im zapewnić bezpieczeństwo.

Wziął do ręki wiosło. Wolno skierował łódź do brzegu.

- Ja się tym zajmę. Zostańcie w łodzi. Powiodł wzrokiem po pięciu twarzach, zwróconych ku niemu z nadzieją. - Tylko, na litość boską, choć raz zachowujcie się przyzwoicie.

32

Duncan doszedł do wniosku, że jeśli Bóg mógł w istocie nie przepadać za szermierką, to z pewnością lubił pożartować. Z niego.

Prawdopodobnie były to najważniejsze negocjacje, jakie miały pozostać w pamięci Duncana. I prawdopodobnie nigdy jeszcze nie miało aż takiego znaczenia pierwsze wrażenie, jakie wywrze na przeciwniku. W końcu chodziło o życie Marsali. Kiedy wolno wspinał się ścieżką na skały, każdy jego krok śledziło co najmniej sto muszkietów.

Miał stanąć przed swoimi wojskowymi podwładnymi w kobiecym stroju. Sytuacja wymagała naprawdę wielkich dyplomatycznych umiejętności.

Podszedł wprost do majora Darlinga, który nie od razu rozpoznał w brodatym mężczyźnie w czarnej sukni cieszącego się sławą w całej Europie militarnego geniusza. A kiedy już rozpoznał Duncana, otworzył usta wydając jedynie jakieś dziwne ptasie odgłosy.

Lekki powiew bryzy omiółł szczyt urwiska. Po stojących w gotowości do strzału szeregach przebiegł szmer zaskoczenia. Kątem oka Duncan dostrzegł Euna, który przysiadł na pobliskiej półce skalnej, jakby chciał chronić Marsali.

Duncan ujął Darlinga za ramię i odciągnął go na stronę.

- Żałuję, że nie mogłem pana wcześniej wtajemniczyć, majorze Darling. Co wcale nie znaczy, że panu nie ufam.

Major zamrugał i przemówił ściszym konspiracyjnie tonem:

- Wtajemniczyć w co?

- W tajną misję, mającą na celu schwytanie przywódcy jakobitów. Z pewnością wie pan o brytyjskim strażniku, który został ciężko pobity na wybrzeżu, zaledwie kilka dni temu?

- Oczywiście, że wiem, milordzie. Jak pan sądzi, dlaczego sprowadziłem cały regiment do pilnowania zatoki?

- Dlatego, że jest pan wyśmienitym żołnierzem - odparł gładko Duncan. - I dopóki pan obejmuje dowództwo, żaden jakobicki zdrajca nie będzie sobie bezkarnie pozwalał na wywrotowe działania.

- Cóż, rzeczywiście, ja...

- A ponieważ bez wątplenia jest pan człowiekiem prawym i oddanym, majorze Darling, zamierzam pana dopuścić do tajemnicy. - Duncan zrobił pauzę, obrzucając majora stanowczym, lecz nieprzeniknionym spojrzeniem. - Dziwi się pan, dlaczego mam na sobie habit, prawda?

- Nie. A właściwie, tak. Prawdę mówiąc, przyszło mi to do głowy.

- Oczywiście, że przyszło to panu do głowy, Darling. Nic nie umknie z żelaznej pułapki pańskiego mózgu, mam rację?

Serce majora Darlinga podskoczyło radośnie pod czerwonym mundurem. Oto nadszedł moment chwały w jego karierze. Nareszcie. Nareszcie miał poznać metody działania znanego wojskowego geniusza. On, który tak marzył o zagranicznych placówkach i bitwach opisywanych w książkach, a został zesłany na to opuszczone szkockie wybrzeże, żeby się użerać z kobietami i prosiętami.

- Mogę panu zaufać, czyż nie, majorze Darling? - spytał Duncan wielce obiecującym tonem.

- Może pan na mnie polegać, milordzie - zapewnił major, aż drżąc z emocji.

- To była tajna misja.

- Tak.

- Misja wyznaczona osobiście przez premiera.

- Ach... Tak myślałem, milordzie. - Spojrzał wymownie na habit Duncana. - Jakże by inaczej?

- Tamten człowiek na plaży, związany jak indyk, to jakobicki przywódca. Zaatakował pułkownika. To była skomplikowana operacja, Darling. I bardzo niebezpieczna. Wymagała zachowania ścisłej tajemnicy i kamuflażu.

- Te stroje. - Darling pokiwał głową z całkowitym zrozumieniem. - Fenomenalne, milordzie. A co z dziewczyną? Wie pan, tą od pułapek?

- Jest jedną z nas.

- Jedną z... szpiegiem? Mój Boże. A więc to wszystko było ukartowane, żeby złapać zdrajcę, tak? - Darling wpatrywał się w Duncana z niekłamanym podziwem. - No tak, bo inaczej czemuż Korona miałaby tu przysyłać człowieka o pańskiej pozycji? - Milordzie, z podziwu odebrało mi mowę.

- Hmm. I niech tak pozostanie - mruknął Duncan, myśląc o cenie, jaką musiałyby zapłacić, gdyby sprawa doszła do uszu premiera. - Tymczasem mogę panu powierzyć zadanie dopilnowania tego indyka... chciałem powiedzieć zdrajcy, prawda?

- Jego los jest przesadzony, milordzie. - Darling spojrzął za siebie, gdzie ukryta za szeregiem żołnierzy, znajoma postać obserwowała ich rozmowę. - A co z nim mam zrobić? - Z Abercrombie'em? Błagał mnie, żebym go bronił przed pańskimi ludźmi.

Duncan przymknął oczy; kusiło go, żeby kazać zepchnąć nikczemnika ze skały.

- Odeślijcie tego idiotę z powrotem na Nizinę, gdzie jego miejsce. I dopilnujcie, żeby odtąd nikt nie zakłócał mojej prywatności. To rozkaz, majorze. Mam przed sobą miesiąc miodowy.

- Tak jest, milordzie. - Darling zasalutował z powagą. - Tajna misja. Szpieczy. Zakonne habity. A więc tak to się odbywało.

Duncan spojrzął w dół na łódkę, skrywając uśmiech na widok Marsali obserwującej go przez lunetę Johnniego.

- A co z tą przekłętą drogą, majorze?

- Z drogą? - Darling jakby nie od razu zrozumiał, o co chodzi. - A, budowa drogi została odwołana. Trudno ją przebić przez góry. Zwijamy się stąd jeszcze w tym miesiącu.

33

Cały klan wyległ z zamku, kiedy strudzona grupka wędrowców ukazała się na wzniesieniu drogi. Z parapetów pośpiesznie zwieszano nadjedzone przez mole proporce MacElginów. Z początku, usłyszawszy radosne okrzyki, Duncan dał się ponieść fantazji wyobrażając sobie, że jest witany w domu jako powracający w chwale bohater.

Z wrażenia aż przystanął. Całe lata czekał na takie powitanie. Z wysoko uniesioną głową zaczął się zbliżać do swoich rodaków; wcześniejsza niechęć ulatniała się gdzieś z każdym krokiem. Uratował ich księżniczkę. Lubili go.

- Niezłe powitanie. - Ścisnął Marsali za rękę, przyciągając ją bliżej do swego boku. - Spójrz tylko. Widocznie Cook pod moją nieobecność musiała być dla nich zbyt surowa, bo cieszą się, że mnie widzą. Wydamy przyjęcie dziś wieczorem, żeby uczcić nasze zaręczyny. Będzie im się podobało.

Uśmiechnęła się do niego trochę zażenowana.

- Właściwie, milordzie, to oni się chyba cieszą z mojego powrotu. Wykrzykują moje imię.

- Twoje? Twoje. Ach, tak. Oczywiście.

Czyżby postradał zmysły? Mężczyźni, kobiety i dzieci omal go nie stratowali pędząc przez most do drobnej kobiety stojącej w jego cieniu. Kurczęta w fosie podskakiwały machając skrzydłami i piszcząc wniebogłosy. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Stał bez ruchu, niczym skała zalewana falą przypływu. Ludzie porwali Marsali i na rękach nieśli ją do zamku. Pomachała do niego i zniknęła z zasięgu jego wzroku. Skrzyżowawszy ramiona na piersi Duncan stał, patrząc przed siebie z posepną miną.

Nagle Johnnie znalazł się u jego boku.

- Nareszcie w domu. Marzę o ściągnięciu tego ubrania.

- Nawet nie wiedzą, że tu jestem. - Duncan zaśmiał się z goryczą, zaskoczony własnym rozczarowaniem. - Zresztą, czego się spodziewałem? Cudu? Nie dbam o to! Zawsze będą mnie nienawidzić.

Johnnie potrząsnął siwiejącą głową.

- Myślę, że oni cię dosyć lubią.

- Lubią mnie? - Podciągnawszy habit, Duncan kopnięciem odgonił kurczaka. - Dobry żart.

- Popatrz na to od innej strony, milordzie: Gdyby cię nie lubili, musiałbyś się teraz bronić przed gradem strzał. To, że nie zwracają na ciebie uwagi, oznacza, że jesteś członkiem klanu. Na więcej nie możesz liczyć.

Duncan oparł się o drzwi i tęsknie patrzył na śliczną sylwetkę wyciągniętą na łożku. Otwarła oczy i posłała mu leniwy uśmiech; kołdra zsunęła jej się z ramion. Nie mógł oderwać pałających oczu od jej ciała, które miało należeć już tylko do niego.

- Ogoliłeś się - zauważyła, kiedy stanął przy łożku. - I przebrałeś.

Postawił na nocnym stoliku butelkę francuskiej brandy i dwa kielichy, które ze sobą przyniósł.

- Posłałem po starego księdza. Rano weźmiemy ślub. Możesz do tego czasu wytrzymać nie pakując się w kłopoty?

Usiadła wsparta na poduszkach. Kasztanowe loki spływały wdzięcznie na koronkowy kołnierz koszuli.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby się pakować w kłopoty.

Usiadł przy niej, odgarnął jej włosy z ramienia delikatnie dotykając jej ucha. Zadrzała.

- Na to nigdy nie jestem zbyt zmęczona. - Spojrzała na niego wyzywająco rozpromienionymi oczyma. Pochylił się nad nią i z mocno bijącym sercem ujął jej twarz w obie dłonie. Nastąpił głęboki, długi pocałunek. Zanurzył ręce w jedwabistą gęstwinę jej włosów.

- Kocham cię - szepnął tuż przy jej ustach. - Chcę spać z tobą dziś w nocy.

Marsali z westchnieniem opadła na poduszki. Przez jej ciało przepływały fale pożądania, zbiegające się w tych najbardziej sekretnych miejscach. Piersi domagały się dotyku Duncana. Świeżość morskiego powietrza mieszała się z jego męskim zapachem, przyprawiając ją o zawrót głowy.

- Marsali, skąd ta mgła wpłzająca przez okna?

- Nie jestem odpowiedzialna za każdą zmianę pogody, Duncanie - odpowiedziała, rozczarowana zmianą jego nastroju. Przez całe lato czekała, żeby ją uwiódł. - Może to duchy. Cook twierdzi, że były bardzo aktywne pod naszą nieobecność. - Przyłożyła otwartą dłoń do jego piersi. - Duncanie - szepnęła namiętnie.

- Nie ma żadnych duchów.

- To dlaczego widziałam, jak jeden z nich sięgał pod łóżko po nocnik?

Poczuł, że wsuwa mu rękę pod koszulę. Rozwiązał jej wstążkę pod szyją i pogładził miękkie białe piersi. Zadrżała. Był w stanie myśleć tylko o jednym: żeby zatonać w jej słodyczy.

- Chcę się z tobą kochać - wyszeptał. - Uwielbiam cię, Marsali Hay.

Aż wstrzymała oddech, gdy przeciągnął ustami po jej szyi, drażniąc ją leciutkim przyszczyptywaniem skóry zębami, potem obwiodł językiem brodawki piersi. Uniósł ją lekko i przycisnął do siebie; jej delikatne wypukłości wpasowały się miękko w twarde bruzdy jego mięśni.

- Jestem kobietą gotową przyjmować dowody uwielbienia - powiedziała z rozkosznym westchnieniem.

Odsunął się od niej na drugą połowę łóżka.

- Jutro w nocy.

Przestała się uśmiechać. Usiadła na łóżku obrażona; jej ciało pulsowało nienasyconym pragnieniem.

- Co?

- Noc poślubna, skarbie. Doczekasz jej czysta jak przysłowiowa gołębicą.

- Do licha, Duncanie - prychnęła. - To nie fair. Myślałam, że to się wreszcie stanie.

Wyciągnął się obok niej, patrząc na delikatne smużki mgły wypełniające stopniowo cały pokój. Czułość stopniowo brała górę nad żądzą. Marsali odprężyła się, przylgnęła do niego z ufnością. Duncan przymknął oczy; požądanie wciąż rozgrzewało mu krew, mocniej niż najlepsza brandy znaleziona w piwnicy.

- Jutro będzie tak jak trzeba - odezwał się po dłuższej chwili milczenia. - Będziesz miała ślub, jaki ojciec dla ciebie planował, choć nie z księciem, na jakiego zasługujesz.

Wiesz, Donovan, naczelnikowi się to nie spodoba.

- Suisan, postaw świecę na stoliku.

- Och, popatrz na nich, śpią wtuleni w siebie jak dzieci. Czyż ona nie jest śliczna?

- Uważaj, Effie. Bliźniaki dobierają się do brandy.

Marsali poruszyła się, słysząc przez sen znajome głosy. Otworzywszy z trudem oczy, ujrzała rząd zaciekawionych choć życzliwych twarzy, patrzących na nią z obu stron łóżka.

- O co wam chodzi? - syknęła, opierając się o ciepłe ciało Duncana, który spał jak zabity z jedną nogą zarzuconą na jej kostki. - Wychodzę za tego człowieka za kilka godzin. Nie chcę ziewać podczas składania małżeńskiej przysięgi.

- Próbowałam ich ostrzec - szepnęła Effie, odciągając prosięta od nocnego stolika.

- Chodzi o duchy, Marsali - odezwał się Donovan.

Owen stojący w nogach łóżka przytaknął; ze zmęczenia miał ciemne kręgi pod oczyma.

~ Nie możemy zasnąć, bo strasznie hałasują w wartowni.

- Tak jest co wieczór, odkąd wyjechaliście - dodała Cook.
- Wezwaliśmy nawet czarownika, żeby je przepędził, ale jeszcze nie przybył.

Duncan przez sen wydał odgłos przypominający ni to jęk, ni chrapnięcie. Marsali pogłaskała go po plecach.

- Nie możecie oczekiwać, że naczelnik będzie rozwiązywał każdy najdrobniejszy problem w zamku. Wracajcie do spania. I...

- Urwała przestraszona, bo nagle głośny brzęk rozniósł się echem po zamku.

- Co to. u diabła, miało być?

- Duchy - odparła zwięźle kucharka. - Giorsal znów rzuca nocnikiem w Bhaltaira. Dziś jest wigilia wielkiej bitwy, w której zginął. Co roku kłóca się o to samo; ona go prosi, żeby nie szedł, a potem, przez następne pół roku nie daje nam spać płacząc i przeklinając Bhaltaira z blanków, za to że dał się zabić i że ona także się zabiła.

Duncan otworzył oczy i wolno oparł się na łokciach, parząc z niedowierzaniem na zgromadzenie wokół łóżka.

- Co, do diabła, ci wszyscy ludzie... i te świny, robią w moim pokoju?

- Przyszli w sprawie duchów - wyjaśniła rzeczowo Marsali, już całkiem rozbudzona.

Effie przysiadła na skraju łóżka, zagarniając sobie Ailis na kolana.

- Nie dają nam zasnąć, milordzie.

- To ty mi nie dajesz zasnąć - sprostował Duncan - i wcale mi się to nie podoba. Agnes, dlaczego do tego dopuściłaś?

Kucharka spokojnie usiadła obok Effie.

- Zrozumiałam, że moje zwierzchnictwo nad zamkiem jest tylko czasowe, milordzie. Zresztą, nawet naczelnik nie ma władzy nad zaświatami, a poza tym nie chciałam sobie uzurpować twoich praw, kiedy już jesteś z powrotem.

- Dobrze rozumiem, co Giorsal czuje - przyznała cicho Marsali. spoglądając na Duncana. - Ja też nie chcę, żebyś jeszcze kiedyś szedł na wojnę. Już się dość nawojowałeś.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

- Nic mi się nie stanie.

- Mój ojciec mówił to samo tamtego dnia, kiedy się przyłączał do powstania.

Przez chwilę wszyscy zachowali milczenie, z szacunku dla pamięci człowieka, którego kochali.

Potem Owen podszedł do łóżka od strony Duncana i opadł na materac uśmiechając się głupawo.

- Dobrze wypocząłeś po tym wiosłowaniu, milordzie?

- Nie. Nie wypocząłem. Owenie, Jak mogłem wypocząć, skoro wszyscy, łącznie ze świniami, siedzą na moim łóżku? To jakieś szaleństwo. Wyjdźcie stąd.

Donovan wcisnął się obok Owena.

- Ale one będą tam hałasować godzinami.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął Duncan. - To moje łóżko, a siedzi na nim cały zamek. Wynoście się. Powiniście się wstydzić. Nie chcę więcej słyszeć żadnego gadania o duchach. To tylko myszy harcują.

Zapadło milczenie. Jeden po drugim intruzi opuszczali komnatę, szepcząc coś między sobą. Na końcu wybiegły prosięta.

- Effie, słyszałaś kiedyś, żeby mysz przeklinała?

- Nie, Donovan. Nie słyszałam. Nie widziałam też myszy, która by nosiła suknię, ani takiej, która by rzucała nocnikiem.

- My z naczelnikiem nosiliśmy sukienki - wspomniał Owen i uśmiechnął się tajemniczo. - Ale my nie byliśmy duchami. Myszami też nie, jak by się kto pytał.

- Biedna Giorsal. Znowu straci męża w bitwie.

Wraz z zamknięciem drzwi ucichły ściszone lamenty.

Duncan i Marsali patrzyli przed siebie, udając, że nie słyszą odgłosów dochodzących z wartowni. Duchy.

- Nie byłeś dla nich zbyt miły - szepnęła Marsali, kiedy znów zapadła cisza.

- Wydaje mi się, że byłem bardzo miły, zważywszy na

okoliczności. To jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wypełnić. Cały klan uważa, że ma prawo spać w moim łóżku, kiedy tylko zechce.

- Cóż, jesteś naczelnikiem.

Przez chwilę w milczeniu przyglądał się Marsali. Słyszał, jak Owen i Lachlan krzyczą do siebie gdzieś w głębi zamku. Tym razem ten odgłos wzbudził w nim niespodziewanie pozytywne odczucia zamiast złości. Marsali, miłość, jaką darzyli ją ci ludzie, stanowiła jedną z wiążących ich nici.

Przecież to Marsali, choć nie bezpośrednio, doprowadziła go do Hannah, dając mu kolejną szansę odkupienia i zadośćuczynienia. Odniosł wrażenie, jakby czyjaś niewidzialna ręka uniosła go z chaosu, jakim było jego dotychczasowe życie. Dopiero teraz powoli naprawdę budził się z koszmaru.

W końcu zaczął składać w całość rozbite kawałki swego życia i ku swemu zdumieniu odkrył, że mimo wszystko wyłaniający się z nich obraz nie jest wcale taki straszny. Tamta noc w chacie, przemoc i nieszczęście, jakie ją poprzedzały, odcisnęły się piętnem na całym jego losie. Zabił człowieka, który zakatował jego matkę. Po raz pierwszy był w stanie sam siebie usprawiedliwić. Zrozumiał, że tragedia nie wynikała ze zła tkwiącego w nim samym, lecz z nieszczęśliwych okoliczności.

Zsunął się z łóżka, rzucając przez ramię tęskne spojrzenie na Marsali, kusząco wtuloną w poduszki.

- Sprowadzę ślusarza - pomyślał na głos, kierując się ku drzwiom. - Nie mam zamiaru spędzić miesiąca miodowego z parą świniaków w łóżku.

- Nie zapominaj o duchach - zawołała za nim Marsali, ale jej nie usłyszał.

Zapewne uznał duchy za mało istotny domowy problem. Jako żona naczelnika, będzie się musiała sama nimi zająć.

Odczekała, aż umilkną kroki Duncana na schodach. Potem wyskoczyła z łóżka i podbiegłszy do drzwi, zawołała:

- Effie? Effie, gdzie jesteś? Potrzebuję twojej pomocy!

Marsali odczuwała głębokie współczucie dla Giorsal. Nie-

DZIKUSKA

szczęsna kobieta. Nie tylko straciła męża w bezsensownej bitwie, ale jeszcze wciąż od nowa musiała przeżywać ich ostatni wspólny wieczór? Co za smutny los.

- O co chodzi, Marsali? - spytała Effie ziewając.

Marsali chwyciła ją za łokieć i potrząśnięciem na dobre wyrwała ze snu.

- Do wartowni! Duchy zasługują na trochę spokoju. Naczelnik także, więc musimy im pomóc.

34

Duncan wyglądał przez ostrołukowe okno wartowni; na jego twarzy odbijała się wewnętrzna rozterka.

- To doprawdy śmieszne - powiedziała, kiedy Johnnie skończył zapinać na nim część zbroi osłaniającą plecy i zabrał się za wiązanie troków mocujących do pasa napierśnik. - Nie mogę uwierzyć, że to robię.

- Hmm, to był twój pomysł, milordzie. - Johnnie podrapał się po łokciu, mierząc Duncana krytycznym spojrzeniem. - A co z osłoną na przyrodzenie?

- Zostaw moje przyrodzenie w spokoju. Będę walczył z duchami, a nie występował na turnieju.

- W takim razie, co z rękawicami?

- Dobrze, daj rękawice. Nie chcę, żeby te przeklęte duchy, jeśli w ogóle istnieją, mnie zobaczyły.

- Oto twój hełm, milordzie.

- Nie, Johnnie. Nie ten. Spinka jest zagięta, a sprężyna rozciągnięta. Nawet gdybym go zdołał wcisnąć na głowę, potem z pewnością bym go nie ściągnął.

Po chwili Duncan stał ubrany we wszystkie elementy zardzewiałej zbroi, z zabójczą maczugą w prawej ręce.

- Jak wyglądam?

Johnnie cofnął się o krok i rzekł ostrożnie:

- Chyba można powiedzieć, że trochę lepiej niż w habicie.

- No tak, sam wiesz, Johnnie, czego się nie robi dla miłości.

- Nie wiem. - Johnnie skrzywił się, kiedy Duncan zaczął krażyć po pomieszczeniu, przy każdym kroku wydając przeraźliwe skrzypnięcie. - Potrzebujesz mnie jeszcze do czegoś, milordzie?

- Nie, wracaj na korytarz. Jeśli te cholerne duchy się pokażą, zapędź je do środka. Nie pozwolę, żeby Bhaltair i Giorsal zepsuli mi noc poślubną.

Powiedziawszy to, Duncan ustawił się po lewej stronie kominka; z prawej strony zajmował miejsce drugi równie zarzewiały komplet zbroi. Przy odrobinie szczęścia mogło mu się udać przepędzić duchy i znaleźć się z powrotem w łóżku z Marsali jeszcze przed świtem. Tylko gorące uczucie do Marsali zdolne było skłonić go do tego szalonego przedsięwzięcia.

Zamknął oczy. Oparł się wygodnie plecami o kominek i westchnął głęboko pod hełmem.

Zasnął, nim Johnnie zdążył wyjść z pokoju.

Kurtka, nakolanniki, spódniczka. Nim doszły z Effie do napierśnika, Marsali ledwie mogła oddychać.

- Nie rozumiem, jak oni mogli w tym walczyć i to na koniu - westchnęła.

Effie zmarszczyła czoło.

- Albo używać nocników. Ailis, Alan, przestańcie węszyć koło tego kominka. O, popatrz, Marsali. Tu jest ten hełm, którego nie mogliśmy nigdzie znaleźć. Schył głowę, pomogę ci go nałożyć.

- Jest za luźny, Effie.

- Cierpliwości, Marsali. Jeszcze nie wsunęłam spinki. Alan, zostaw w spokoju tę zbroję. O Boże, spinka jest wygięta. Stój spokojnie. Jedno stuknięcie powinno ją wyprostować.

- Auu. Przycięłaś mi nos. Powiedz prosiakom, żeby przestały parskać. Jeśli Bhaltair je usłyszy, zacznie coś podejrzawać.

- Moje prosięta nie parskają, Marsali. One chrząkają. - Effie

pokiwała głową z zadowoleniem. - Gotowe. Jeśli Bhaltair zechce dziś nałożyć tę zbroję, będzie miał nie lada niespodziankę. Alan, Ailis, chodźcie. Mamy pełnić straż przy drzwiach.

Marsali wyprostowała się z chrzęstem blachy i zrobiła pierwszy hałaśliwy krok w stronę kominka.

- Czy ta druga zbroja zawsze tu stała. Effie? - spytała szeptem; słowa zadudniły głuchym echem wewnątrz hełmu.

Effie zatrzymała się w proggu.

- Wydaje mi się, że tak, chociaż wygląda jakoś inaczej.

- Właśnie. Rycerz w zardzewiałej zbroi. Jest w nim coś bardzo pociągającego.

- Popatrz na rozmiary tego napierśnika, Marsali. W dzisiejszych czasach nie ma już takich rosnących mężczyzn, co?

- Poza naczelnikiem - westchnęła Marsali z rozrzewnieniem. Tęskniła za Duncanem i zastanawiała się, czy doceni poświęcenie, na jakie się zdobyła, żeby zapewnić im spokojną noc poślubną.

- Effie, on mi przypomina naczelnika.

- Chyba oszalałaś. Marsali. - Głos Effie stopniowo przycichał, bo wyszła razem z prosiakami na korytarz. - W ogóle nie przypomina naczelnika. Chyba tylko z postury.

Odgłosy kłótni zbudziły Marsali z niespokojnej drzemki. Prostując się gwałtownie, uderzyła głową w zwieńczenie kominka; metaliczny huk niemal ją ogłuszył.

- Przestań paplać, kobieto, pomóż mi lepiej zdjąć tę kurtkę - zażądał nieznajomy męski głos.

W powietrzu przeleciała odrzucona kolczuga.

- Włóż to na siebie, idioto! Nie będę się przyczyniać do twojej śmierci.

Uchyliwszy przyłbicę, Marsali obserwowała na pół przezroczyste postacie kobiety w żółtej sukni i postawnego mężczyzny w skórzanej tunice, awanturujących się przed kominkiem.

- Natychmiast przestańcie się kłócić, wy dwoje! - upomniała

ich ostro. - Powinniście się wstydić tych wiecznych waśni. Co za marnotrawienie życia pozagrobowego.

Zdumiony Bhaltair odwrócił głowę w jej stronę.

Giorsal posłała jej spojrzenie zarazem zaciekawione i niechętnie.

- A kimże ty jesteś, żeby mi wydawać rozkazy w moim własnym zamku?

Marsali odepchnęła się od ściany i ruszyła w ich kierunku, skrzypiąc i brzęcząc przy każdym kroku. Kiedy stanęła przed Bhaltairem, jeden z nakolanników odpadł i z łoskotem wyśladował na podłodze.

- Jestem narzeczoną naczelnika. Przynajmniej będę nią jutro rano, o ile nie padnę przed ołtarzem z wyczerpania i nie zepsujecie mi nocy poślubnej swoimi nie kończącymi się awanturami.

Bhaltair zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

- Ona jest niepodobna do innych, Giorsal - powiedział zaintrygowany. - Jest w niej coś dziwnego.

- Ty też jesteś duchem? - zainteresowała się Giorsal, zaglądając Marsali pod przyłbicę.

Bhaltair odpłynął w stronę kominka.

- Uważaj, Giorsal, ona może być tą zamkową zjawą, która rzuciła na nas klątwę. Może to właśnie przez nią spędziliśmy ostatnie dwa stulecia na kłótniach.

- Nie jestem złym duchem - wyjaśniła cierpliwie Marsali.

- Jestem wprawdzie czarownicą, niezbyt wprawną szczerze mówiąc, ale chcę wam pomóc w odnalezieniu drogi na tamtą stronę. To chyba nie jest zabawne przeżywać ciągle od nowa najgorszą noc w życiu.

Widmowa twarz Giorsal przybrała tragiczny wyraz.

- Niech jej Bóg błogosławi. Ona chce nam pomóc.

- Bhaltair, nie chodź na wojnę - poradziła Marsali. - Rozpłatają cię toporem na dwoje, a Giorsal zabije się skacząc z okna. Wszyscy odejdą od zmysłów słuchając zawodzenia dudziarzy przez następne pół roku, a ja nie będę szczęśliwa w swoją noc poślubną.

Bhaltair przysiadł na krawędzi paleniska; zwiesił głowę.

- Giorsal wyskoczyła z okna przeze mnie? Nie wiedziałem, że tak jej na mnie zależało.

- Toporem. - Giorsal zafalowała i przycupnęła obok męża.

- Uprzedzałam cię, ostrzegałam.

- Tak, musicie przestać się kłócić, bo inaczej nie będę w stanie odwołać zaklęcia - zagroziła Marsali.

- Ta dziewczyna ma dobre serce - zauważyła Giorsal, spoglądając przychylnie na Marsali. - Sądzisz, że w rewanżu powinniśmy jej powiedzieć o ukrytym skarbie?

- Jakim ukrytym skarbie? - spytał całkiem żywo Bhaltair.

- O fortunie, którą stary ukrył, nim wyruszył do ostatniego powstania.

- Nie dbam o ukryty skarb - wtrąciła się Marsali. - Wolę udaną noc poślubną. A teraz chwycicie się za ręce i wyobrażcie sobie białe światło sunące...

Odwróciła się przestraszona, bo druga zbroja stojąca przy kominku zaczęła skrzypieć i przeklinać. Giorsal wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem.

- No nie, rozpoznałabym te przekleństwa na końcu świata!

- wykrzyknęła Marsali. - To naczelnik. Skąd on się tu wziął?

Duncan zachrzącił, a potem zadudnił pytając:

- To ty jesteś tam w środku, Marsali?

Złapała go za rękę; stykając się rękawice wydały dźwięk podobny do tonu cymbałów.

- Oni istnieją, Duncanie. Prawdziwe duchy. I są tutaj. Pomóż nam odwołać zaklęcie. Powiedz im, kim jesteś.

Rozejrzał się.

- Komu mam powiedzieć, Marsali?

Odwróciła się, uderzając o jego pancerz. Duncan uniósł przyłbicę i spojrzał na nią z nie ukrywanym rozbawieniem. Marsali patrzyła zawiedziona na puste palenisko. Chciała dzielić z nim to niezwykle przeżycie. Czy mogła chociaż mieć nadzieję, że udało jej się złamać zaklęcie i uwolnić nieszczęsne dusze?

Tak czy inaczej, duchy zniknęły. Nie zadały sobie nawet trudu, żeby się z nimi pożegnać, ale Marsali postanowiła nie mieć im tego za złe.

Urywasz mi głowę! I jeszcze się ze mnie śmiejesz? Duncanie, to naprawdę boli.

- Nie wierzę, że to zrobiłaś - mruknął z przyganą. - Każdy, kto ma oczy, powinien być widzieć, że spinka jest wygięta.

- Chciałam ci tylko pomóc. - Marsali rozżościła się, czując, że Duncan puścił hełm, który usiłowała przy jego pomocy ściągnąć z głowy. - Podejrzewam, że naprawdę cię to bawi.

- Marsali, usiądź na podłodze i włóż mi głowę między kolana. Oczywiście, że mnie nie bawi. W tej pozycji wolałbym robić z tobą inne rzeczy. Ściąganie zardzewiałego hełmu wcale do nich nie należy.

Marsali usiadła przed nim, z trudem zginając, jedna po drugiej, zeszywniałe nogi. W chwili gdy Duncan zdjął własny hełm, by mu było wygodniej udzielić pomocy, Marsali z niepokojem spozrzała na drzwi.

Poczuła mrowienie w karku.

- O, nie - jęknęła. - Tylko nie to.

Duncan rozejrzył się po pokoju.

- Duchy wróciły?

- Gorzej. Nadchodzi wuj Colum. Co teraz zrobimy?

- Niech to diabli. - Duncan złapał za jej hełm i pociągnął z całej siły. - No, dalej - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ściągajmy to, zanim znów będzie na mnie zły.

Drzwi otwały się ze skrzypnięciem. Czarownik wszedł wnosząc ze sobą do dusznego pomieszczenia podmuch zimnego, przesyconego zapachem ziół powietrza. Duncan poderwał się na nogi pociągając za sobą Marsali.

- Jestem tu po to, by wygnać z zamku duchy Bhaltaira i Giorsal - oznajmił Colum i niecierpliwie machnął różdżką.

- Domyślam się, że to wy jesteście wspomnianymi duchami, gotowymi przenieść się w spokojne zaświaty?

Zbliżył się do nich, rozpylając na podłogę na przemian sól z czarnego satynowego woreczka i wodę z tygielka, aż zatoczył krąg wokół nich. Uniósł różdżkę z wypolerowanej gałązki cisu przystrojonej sowimi piórami.

- Właściwie, to jesteśmy Duncanem i Marsali - przyznał się Duncan po krótkim wahaniu. - I nie jest tak, jak ci się wydaje.

Colum osłupiał, spoglądając raz na jedną ożywioną zbroję, raz na drugą.

- To ja, wujku Columie. - Marsali podniosła rękę i próbowała do niego pomachać, co nie było łatwe, zważywszy na ciężką rękawicę. - Hełm utkwiał mi na głowie i Duncan próbował go ściągnąć. Dlatego byłem na podłodze, a on mnie ciągnął za głowę.

Duncan chrząknął z zakłopotaniem.

- Zapewne pomyślałeś, że knujemy coś złego. Pewnie przypomniał ci się tamten wieczór, kiedy zastałeś nas na plaży, a moje włosy zaczęły się o krzyż Marsali.

Colum ani drgnął. Nie wyrzekł ani słowa.

Śmiech Marsali zadudnił metalicznie spod hełmu.

- Czyż nie byłoby zabawnie, gdyby rzeczywiście istniał jakiś stary celtycki zwyczaj, zgodnie z którym narzeczony ciągnąłby ukochaną za głowę, żeby w ten sposób okazać jej uczucie?

- No właśnie, - Duncanowi śmiech zamarł na ustach na widok bazylijskowego wzroku czarownika. - Chyba lepiej będzie, jak od razu pójdę po ślusarza.

- Nie zostawiaj mnie tu w tym hełmie, Duncanie - zatkała żałośnie Marsali. - Wujku Columie, pomóż mi.

Colum przemówił tonem szorstkim od zniecierpliwienia.

- Marsali, mogę ściągnąć księżyc. Mogę rozkazywać wiatrowi. Udało mi się nawet uczynić niewidzialnym przypadkowego człowieka. Ale dopóki będziesz się wdawać w ludzkie, ziemskie kłopoty, nie będę mógł ci pomóc.

Duncan chciał ją pocieszyć w swoich objęciach, ale byli jak dwa żółwie ocierające się o siebie skorupami; zbroja nie pozwalała na prawdziwą bliskość.

- Już dobrze, Marsali. Ja się tobą zajmę.

Czarownik przeszedł obok nich, ciągnąc za sobą smugę chłodnego powietrza.

- Muszę przyznać, milordzie, że niezupełnie to miałem na myśli tamtej nocy, kiedy powierzyłem moją siostrzenicę twojej opiece.

DZIKUSKA

- Ja też nie to miałem na myśli - rzekł pośpiesznie Duncan, spoglądając z góry na zbroję, którą miał rankiem poślubić.

- Poczekaj tu, Marsali. Sprowadzę wreszcie tego ślusarza.

- Przynajmniej duchy się wyniosły, milordzie - zawołała za nim tonem, który wskazywał, że wraca w nią otucha.

Przystanął w drzwiach, uśmiechając się mimo woli. Umiała właściwie spojrzeć na każdy problem. Duchy, i to wszystkie, odeszły, a on życzył im wiecznego spokoju.

35

W zamkowej kaplicy panowała nabożna cisza, z rzadka przerywana chlipnięciami wzruszenia. Marsali, spowita w białą koronkę, stanowiła istne uosobienie dziewczęcej niewinności, kiedy klęczała z Duncanem na plecionej macie u stóp ołtarza. Z pochylonymi głowami państwo młodzi czekali na błogosławieństwo kapłana.

- Ojciec Patrick jest jakiś roztargniony - zauważył cicho Johnnie.

- Owszem - odszepnęła Cook - ale czy przypadkiem nie wepchnięto go do fosy ostatnim razem jak odprawiał w tej kaplicy ślubne nabożeństwo?

- Pamiętam, że to był wypadek - mruknął Johnnie. - Panna młoda goniła narzeczonego i złapała nie tego człowieka co trzeba.

Effie otarła łzę szelką fartucha.

- Marsali wygląda ślicznie jako panna młoda. Niech ją Bóg ma w opiece.

- Szczęście, że ślusarz dotarł na czas - odezwał się Owen za ich plecami.

Lachlan pokiwał głową.

- Strasznie by się biedna namęczyła przyjmując komunię świętą w tym hełmie.

Ksiądz rozpoczął nabożeństwo; jąkał się recytując rzadko używane łacińskie słowa. Ostatecznie większość klanowych mężczyzn albo porywała swoje żony nie zawracając sobie głowy

formalnościami, albo poprzestawała na starym zwyczaju łączenia się w małżeński związek przez podanie sobie rąk na ślubnym kamieniu nad jeziorem.

W końcu naczelnik i Marsali Hay powstali, by złożyć małżeńską przysięgę. Duncan wyglądał przy kruchej narzeczonej jak potężna skała; jego mocny głos niósł się pod belki sklepienia, na których niedawno Abercrombie wieszał swoje oskubane kurczaki.

- Ja, Duncan James MacElgin, biorę cię, Marsali... - Głos wiał mu w gardle ze wzruszenia. Nadszedł najpiękniejszy moment jego życia, ale musiał przerwać, bo przeszkodziły mu nie tyle szlochy, westchnienia, wycieranie nosów, ale jego ukochana Marsali, pytająca z szeroko otwartymi oczyma:

- Duncan James? Nie wiedziałam, że masz na drugie James.

Owen natychmiast się wtrącił:

- Tak, James to ładne imię. Mam pięciu kuzynów i wujka w Inverness o tym imieniu.

- Nie zapominaj o królu, przebywającym na wygnaniu w Rzymie - dodał Johnnie, co dało sygnał do całej fali przyciszonych rozmów między ławkami.

Nie miało to znaczenia. Nic nie mogło zmącić radości Duncana. a kiedy ceremonia dobiegła końca i wziął Marsali w ramiona, kiedy złożył pocałunek na jej mękkich czerwonych ustach, a ona odpowiedziała równie namiętnie, czuł się tak, jakby byli jedynymi osobami w kaplicy, w zamku, na świecie.

Unosząc ją w ramionach do wyjścia, z szerokim uśmiechem przyjmował padające zewsząd życliwe okrzyki i pozdrowienia.

- Dokąd idziemy? - spytała Marsali, machając ponad jego ramieniem do Effie.

- A jak myślisz?

- Oni idą za nami, Duncanie.

- Ja będę szybszy.

- Nie pozwolą nam się wymknąć tak łatwo. - Przycisnęła twarz do jego piersi, kiedy skoczył do ukrytego korytarza, gdzie otoczyła ich całkowita ciemność. W nosie łaskotało ją przyjemnie od zapachu drzewa sandałowego i piżma, bijących z jego ubrania.

- Słyszę, jak nadchodzą!

Nagle znaleźli się w jego pokoju; pisnęła, kiedy ułożył ją na środku szerokiego łóżka z kolumnami, a zaraz potem usłyszała głuchy szcęk niejednej, lecz sześciu żelaznych sztab zamykających drzwi od wewnątrz.

Grube świece z pszczelego wosku, poustawiane w różnych miejscach komnaty, miękkim światłem podkreślały wyraz pożądania na surowej twarzy Duncana. W kominku płonął niewielki torfowy ogień. Odgłos zbliżających się kroków i rozochoconych głosów przeszedł w ściszone okrzyki protestu, a potem zamilkł.

- Kazałem ślusarzowi wykonać tu dobrą robotę, zanim się wyniosł - powiedział Duncan rozpinając sprzączkę u ozdobnego pasa z szablą. - Jesteśmy sami. Nie dostaną się do środka.

Stała przed nim, wstrzymując oddech, kiedy ostatnia część jej bielizny spadła na kamienną podłogę. Zauroczony Duncan napawał się widokiem jej bezbronnej nagości. Namiętność ogarnęła go z taką siłą, że nie mógł skupić myśli.

Marsali przełknęła ślinę. Z wielkim trudem powstrzymywała się, by nie skoczyć mu w ramiona.

- Duncanie - szepnęła. - Przypominasz mi żebraka przyglądającego się uczcie.

- Po prostu pozwól mi na siebie popatrzeć. - Podeszedł do niej; z jego oczu biła duma posiadacza.

Przygryzła wargę, zerkając na niego spod opuszczonych rzęs.

- Musisz się przyglądać aż tak dokładnie?

- Jesteś taka piękna, że mógłbym patrzeć całą noc. - Uśmiechnął się błyskając zębami i chwytając za podbródek zmusił ją, by uniosła zawstydzoną twarz. - Na szczęście, mam jeszcze inne pomysły.

Pocałował ją, długo i głęboko, aż zakołysała się w jego ramionach. Przeniósł ją na łóżko. Marsali unosiła się na obłoku radosnego oczekiwania. Jej mąż. Naczelnik. Ściskając jego mocne barki zanosła się cichym, uszczęśliwionym śmiechem, kiedy pochylił się nad nią.

- A ty się nie rozbierzesz? - spytała zalotnie. - Daj, pomogę ci. Chyba wypada, żebym i ja się przyjrzała temu, co poślubiłam.

Opadł na poduszki szczerze ubawiony jej natarczywością.

- Jeśli dobrze pamiętam, miałas okazję się przyjrzeć już tamtego dnia, kiedy mnie schwytałaś w pułapkę.

- Owszem. Szarpnęła za zapięcie spodni. - Jeszcze nigdy nie widziałam mężczyzny takiego jak ty.

Złapał ją za ręce i trzymał przy piersi, patrząc jej w oczy z nieukrywaną wesołością.

- I już żadnego nie zobaczysz, „gołego jak skała”, i nie sprawdzisz, czy jest podobny do mnie, czy nie.

Puścił ją, żeby zdjąć z siebie grubo tkaną opończę i długą szafranową koszulę. Serce mu biło jak wojenny werbel, kiedy przyciskał do siebie jej nagie ciało, odurzony jej zwierzęcą śmiałością i brakiem jakiegokolwiek skrępowania.

Jeszcze raz przyszła mu do głowy myśl, że na nią nie zasługuje. Na jej delikatny wdzięk, ciepło, pogodę ducha.

- Od tak dawna cię pragnąłem, Marsali.

- A przez cały ten czas mogłam należeć do ciebie - przypomniała mu z tęsknym uśmiechem.

- Taak. - Przybrał żartobliwy szkocki akcent. - Pragnę cię, Marsali Hay. I będziesz moja teraz.

Zawrzała w nim krew odziedziczona po wielu pokoleniach celtyckich zdobywców. Jego żona. Drżącą dłonią dotknął jej miękkiego policzka, dłonią wojownika, który dowodził całymi armiami, dłonią, która miała moc ratowania i niszczenia. Ale w tym momencie była gotowa jedynie do okazania nieskończonej czułości.

Krażyły o nim opinie, że był niepokonanym uwodzicielem. Mistrzem w sztuce zdobywania. I w sztuce miłości.

Każda pieszczota była dobrze wymierzonym atakiem na jej zmysły, każdy pocałunek zwycięskim szturmem, dopóki umysł Marsali nie poddał się pierwszy, a za nim ciało, z drżeniem przyjmujące nowe doznania. Jeszcze nigdy w życiu Marsali nie miała poczucia takiej bezbronności i mocy zarazem.

Stwardniałe od szabli, męskie palce Duncana bezbłędnie

odnajdywały na jej skórze miejsca będące źródłem nowej, szczególnej przyjemności. Gładził ją po miękkim zagłębieniu pod kolanem, po czubkach piersi, po wypukłościach bioder. Serce biło jej coraz szybciej; rozkoszne ciepło wypełniało jej brzuch, rozchodząc się po całym ciele jak kręgi po stawie.

- Taka delikatna - szeptał gardłowo. - Taka krucha. Czuję się jak zwierzę. Och, Marsali, tak bardzo cię kocham. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie.

Zadrżała, kiedy wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Poddała się zmysłom; jego niski, zdyszany głos przedarł się przez gęstą mgłę pożądania spowijającą jej umysł:

- Odtąd będziesz moja. Tak miało być... prędzej czy później. Musiałem cię zagarnąć dla siebie.

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy z zachętą. Przesunęła dłonią po twardej płaszczyźnie jego brzucha. Czuła pod palcami napinające się mięśnie, czuła wstrząsające nim fale podniecenia.

- Dzisiaj - szepnęła - skończyło się słodkie, magiczne lato. Kocham cię, Duncanie.

- Dla nas nic się nie kończy, najdroższa.

Wsunął się na nią; światło padające z kominka podkreślało surową urodę jego męskich rysów. Patrzył na nią oczyma przypominającymi dwa błękitne płomienie. Od tego spojrzenia przeniknęło ją błogie ciepło. Należała do niego. Ciałem, sercem i duszą.

Oddychał coraz szybciej. Jej reakcja doprowadzała go do szaleństwa. Wsunął ręce pod jej pośladki, cały czas szepcząc najczulsze słowa tuż przy jej ustach. Rozsunawszy jej uda, ułożył się pośrodku.

Wszedł w nią wolno, wypełnił ją sobą; poczuł opór, ale zaraz się rozluźniła. Zaczął się w niej poruszać, a ona przyjmowała go, kołysząc się lekko wraz z nim we wspólnym rytmie.

Napięcie i rozkosz narastały. Ścisnęła go za ramiona i wyprężyła się, wydając z siebie ciche okrzyki. Wreszcie, czując jak jej serce szybuje w przestworzach, szepnęła:

- Kocham cię. Zawsze cię kochałam.

Ich ciała splotły się w cudownym, radosnym zespoleniu.

Zapach dymu, pszczelego wosku i morskiej bryzy mieszał się z zapachem ich miłości. To, co się stało, było jak magia. Ich dusze zetknęły się i razem uleciały ku gwiazdom.

Z głębi zamku dobiegały odgłosy uczty. Melodyjne zawodzenie dud niosło się z wielkiej sali aż do ich komnaty. Lament po wycierpianych stratach, radość z odrodzonej nadziei. Żal i miłość, ból i triumf. Znany refren powtarzał się echem przez całą wieczność. Duchy przeszłości, marzenia na przyszłość.

W ramionach swojej młodej żony naczelnik czuł się w domu. W jej ciele jego niespokojna tęsknota znalazła wreszcie spełnienie.

Duncan jechał na czele niewielkiej konnej procesji zmierzającej do opuszczonego domu na skraju lasu. W tym domu Duncan i Cecelia uprawiali przed laty cudzołożną miłość, tu Cecelia mieszkała wraz ze swym mężem doktorem do narodzin Hannah. Było to ostatnie miejsce na ziemi, jakie Duncan miałby ochotę odwiedzić. Żałował, że nie wziął ze sobą Marsali, żeby nieco złagodziła ponury nastrój tej wyprawy.

- Nie widzę w tym sensu, Hannah - powiedział do córki.
- Lepiej zostawić przeszłość za sobą.

Hannah zsunęła się z konia na ziemię.

- Po prostu chcę zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłam. Chcę się dowiedzieć, gdzie mieszkała moja matka. Wejdiesz ze mną do środka, papo?

- Nie - odmówił jej Duncan z zaciętym wyrazem twarzy.
- Nie wejdę.

- Twojemu papie łatwiej rozlewać krew niż znosić wstyd, dziecko - odezwał się Johnnie zsiadając z konia. - Ja z tobą pójdę.

Hannah spojrzała na ojca błagalnie, ale udawał, że wypatruje czegoś w lesie, dopóki się nie odwróciła. Ciężły mu wspomnienia z grzesznej młodości. A jednak zaowocowała tą piękną dziewczyną. Samego go zdumiewał ogrom miłości, jaką w nim wzbudziła.

Tyle że z tą miłością wiązało się mnóstwo nowych trosk. Hannah była słodka, uparta i naiwna. Jej spojrzenia na życie nie

zdażył jeszcze skrzywić cynizm wynikający z doświadczenia. W jakiś przedziwny sposób udało jej się wyrosnąć bez piętna smutnego pochodzenia i porzucenia. Duncan mógł się tylko modlić, by pewnego dnia znalazła silnego mężczyznę, który będzie ją chronił. Przez całe dotychczasowe życie jej ochroną był klasztor, a niewinność czyniła ją bezbronną. Była przy tym trochę szalona, tak jak on kiedyś. To także napawało go troską.

Odetchnął z ulgą, kiedy ukazała się z powrotem; była do niego podobna, choć krucha i delikatna.

- Dobrze się czujesz? - spytał nieco schrypniętym głosem.

- Tak, papo. - Wsiadła na konia. - Żałuję, że nie znałam mojej matki - dodała smutno. - Zastanawiam się, czy kiedyś żałowała, że mnie porzuciła.

Duncan nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Nie znał zbyt dobrze matki Hannah. Do licha, miał wtedy zaledwie siedemnaście lat. Pognał konia w dół zbocza. Nieuważnie przysłuchiwał się rozmowie jadących za nim Hannah i Johnniego. Kiedy minął cmentarz, zorientował się, że już ich nie słyszy.

- Co wy tam robicie? - zawołał przez ramię.

- Chcę zobaczyć mój grób, papo - odrzyknęła.

Zawrócił konia.

- Dobry Boże, Hannah, Tylko nie to.

Ale dziewczyna już podbiegała do małego kamiennego krzyża, który wskazał jej Johnnie. Zsiadłszy z konia Duncan ruszył za nią przeklinając pod nosem. Córnka bez wątpienia odziedziczyła po nim charakter.

- Uważam, że ciało ma prawo znać miejsce swego wiecznego spoczynku, milordzie - powiedział za jego plecami Johnnie.

Duncan zatrzymał się w pół kroku. Opadłszy na kolana Hannah patrzyła na bezimienny grób, czekając jakiegoś znaku, który by potwierdził, że znaczyła dla swjej matki coś więcej niż ta skromna, anonimowa mogiłka. Ten widok rozdzierał mu serce. Czy rzeczywiście znaczyła coś dla Cecelii?

- Żeby ratować swój honor, mąż twojej matki pewnie kazał jej udawać, że umarłaś - powiedział bez przekonania Duncan, cierpiąc, że nie umie jej ulżyć.

- Spójrz, papo - mruknęła Hannah, wcale go nie słuchając.
- Ktoś położył na grobie bukiet wrzosa. Suszonego wrzosa.

Duncan spojrział jej przez ramię. Na grobie spoczywała wiązeczka suszonego białego wrzosa, tak delikatnego, że z pewnością rozsypałby się pod najlżejszym dotknięciem. Czy to były te same kwiaty, które widział tu wcześniej?

- Pewnie Cook je tu położyła - rzekł cicho.

- Białe wrzosa nie rośnie na tych wzgórzach - zauważył Johnnie.

- W takim razie to musiał być ktoś inny z klanu. - Duncan nie chciał podtrzymywać w córce złudzeń, które mogły sprawić jej jeszcze więcej bólu. - Zapomnij o przeszłości, Hannah. Masz przyjaciół i rodzinę, która teraz będzie się tobą opiekować. To, co zrobiła twoja matka, było niewybaczalne, a ja nie byłem lepszy.

Hannah pokiwała głową, po czym podniosła się z kolan i stanęła naprzeciw niego.

- Każdy zasługuje na przebaczenie - powiedziała z czułym uśmiechem - nawet ty.

Księżyc oświetlał im drogę powrotną do zamku. Hannah nic nie mówiła, rozmyślała o swojej przeszłości. Było jej żal matki, że musiała cierpieć i znosić hańbę. Jaką była kobietą? Ojciec twierdził, że była mądra i piękna, ale nic więcej nie był skłonny jej powiedzieć. Ale w końcu on sam także wciąż stanowił dla Hannah zagadkę.

Zerknęła ukradkiem na surowy żołnierski profil. Nie mogła uwierzyć, że ten władczy człowiek jest jej papą. Czy naprawdę był demonem terroryzującym w młodości cały zamek? Hannah słyszała zdumiewające opowieści o jego wybrykach. Ależ musiał być złośliwym łobuzem.

Uśmiechnęła się, żałując, iż go wówczas nie знаła. Podejrzewała, że odziedziczyła po nim temperament, który Matka Judith tak uporczywie starała się poskromić. Hannah miała poważne obawy, że wysiłki tej zacnej kobiety spełzły na niczym, a poza tym wcale nie tęskniła za klasztorem. Przyjechawszy do

zamku poczuła się tak, jakby wyrosły jej skrzydła. Nie mogła się doczekać wolności.

Kiedy dojechali do bramy, ojciec pomógł jej zsiąść z konia. Miał zmartwioną minę; wiedziała, że jej dobro leży mu na sercu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz wyjechać ze mną i z Marsali?
- spytał poważnie, - Będziemy oboje szczęśliwi, mogąc zapewnić ci dom.

- Och, papo. - Łzy zalsniły jej w oczach. - To jest mój dom.

- To? - Obrzucił zdumionym spojrzeniem ziemię otaczającą zamek. Johnnie opuścił ich, zwabiony partyjką golfa w fosie.
- Ta kupa syjących się kamieni?

Przytaknęła nieśmiało, ale serce wypełniała jej duma i pewność. Z całej duszy kochała ten rozpadający się zamek. Darzyła jego ekscentrycznych mieszkańców bezwarunkową miłością, którą oni, na swój nieco dziecinny, serdeczny sposób, chętnie odwzajemniali. Cook przywitała ją z otwartymi ramionami, jak długo wyęsknione dziecko, którym była w istocie. Po raz pierwszy w życiu Hannah miała poczucie, że gdzieś przynależy.

Miała głębokie przekonanie, że los kazał jej wrócić w to miejsce nieprzypadkowo. Miała wizję przywrócenia zamku do stanu dawnej świetności. Nie wiedziała, jak osiągnąć ten trudny cel, ale Matka Judith nauczyła ją wiary.

Tak, Hannah odnalazła swój prawdziwy dom.

36

Nie mogę uwierzyć, że jestem księżną - wyznała Marsali zaglądając do wielkiej skrzyni stojącej przy łóżku. - Ledwie się przyzwyczaiłam do tego, że jestem żoną naczelnika, i już wyjeżdżamy.

Effie podała jej koszulę. Marsali wrzuciła ją niedbale do skrzyni.

- W zamku nie będzie już tak samo bez ciebie i bez naczelnika... to znaczy księcia.

- Hmm. - Marsali westchnęła podwijając pod siebie boscie nogi. - Dla mnie on też zawsze będzie naczelnikiem, Effie. Obiecał mi, że będziemy tu przyjeżdżać każdego lata.

Effie przetarła okulary jedną z koszul Duncana.

- Jaka szkoda, Marsali.

Marsali wydała z siebie kolejne westchnienie. Duncan miał otrzymać wysokie stanowisko w ministerstwie wojny, które, jak przysięgał, miało mu umożliwić działania na rzecz utrzymania pokoju; istniały też pogłoski, że czeka go kariera w dyplomacji.

- Cóż, patrząc szerzej, Effie, trzeba się zgodzić, że pokój na świecie jest trochę ważniejszy od mojego życia osobistego, ale cieszę się, że nie pójdzie na żadną wojnę, nawet jeśli to oznacza, że będziemy musieli często bywać w Londynie, który, jak wszyscy wiedzą, jest okropnym miastem.

- Omal nie zapomniałam ci powiedzieć. - Effie przytknęła dłoń do ust. - Dziś rano odkryłam, że Ailis jest w ciąży.

Marsali spojrzała na nią z uśmiechem.

- Będzie więcej świnek, Effie. Gratuluję. Będziesz miała pełne ręce roboty. - Ściszyła głos do szeptu. - Nie mów nikomu, bo to ma być tajemnica, ale ja też jestem przy nadziei.

- Szybko poszło - ucieszyła się szczerze Effie,

- Tego też nie mów naczelnikowi, ale właśnie pracuję nad jeszcze jedną niespodzianką. Jeśli nie uda mi się go przekonać, żebyśmy się sprowadzili z powrotem do zamku przed narodzeniem dziecka, zamierzam sprowadzić cały klan do naszej posiadłości na granicy. Ale będzie zaskoczony.

- O, z pewnością. A nawiasem mówiąc, czy nadal ma zamiar kazać powiesić Jamiego za zdradę?

- Gorzej. Obetną mu te piękne złote włosy. - Marsali uśmiechnęła się smutno. - Na szczęście dla Jamiego ten brytyjski żołnierz, którego pobił, wydobrzył. Zostało mu jeszcze tylko kilka siniaków.

- Zdawało mi się, że naczelnik przysiągł, że zabije Jamiego, jeśli jeszcze raz wejdzie mu w drogę.

- Tak, rzeczywiście. Ale Jamie na kolanach błagał o wybaczenie i obiecał już nigdy nas nie niepokoić. Duncan zarządził, by go wypuszczono, choć nie jest zadowolony z obrotu sprawy.

- Marsali!

Effie spojrzała na drzwi.

- To naczelnik, znowu cię woła.

- Księżę - poprawiła ją Marsali, podnosząc się z podłogi akurat w momencie, gdy drzwi stanęły otworem i wszedł Duncan, kipiący niecierpliwością i męską energią.

- Jeszcze nie spakowana? - Popatrzył ze zgrozą na rzeczy rozrzucone po całym łóżku. - Dobry Boże, coś ty zrobiła z moimi ubraniami? Włóż buty. Dzień dobry, Effie. Obie zapomniałyście o ceremonii nad zatoką?

- O jakiej ceremonii? - zdziwiła się Marsali, patrząc ze zdumieniem, jak Duncan zaczyna przekładać rzeczy, które na chybił trafił wrzuciła do skrzyni, między innymi swój mundur i ołowiane żołnierzyki.

- Bardzo ładne te laleczki, milordzie - pochwaliła uprzejmie Effie.

- Obecny tytuł brzmi „wasza miłość”. - Marsali potrząsnęła głową myśląc o tej zmianie. - O jakiej ceremonii mówisz, wasza miłość?

Duncan zamknął skrzynię, powstrzymując się od uśmiechu.

- O ceremonii wyznaczenia tymczasowej naczelniczki. Ma być zaprzysiężona na białym kamieniu za piętnaście minut.

- Ona? - spytały równocześnie Marsali i Effie.

Duncan wziął z łóżka swój czarny kapelusz z kokardą.

- Owszem, ona, jedyna osoba w tym przeklętym zamku, która ma dość autorytetu, żeby utrzymać w ryzach ten klan. Kobieta najbardziej poważana przez moich tępych podwładnych. - Przerwał, kłaniając się Marsali z szerokim uśmiechem. - Poza, ma się rozumieć, moją niezwykłą żoną.

W odpowiedzi Marsali też się do niego uśmiechnęła.

- Ale kto...

Włożył na głowę kapelusz, a potem rzucił jej parę butów.

- Cook, oczywiście. Chodźcie już. Nie możemy się spóźnić.

Żadne oko nie pozostało suche. Każdy z członków klanu - mężczyzn, kobiet i dzieci zebranych nad zatoczką - uronił przynajmniej jedną łzę ze strachu przed tym, co go czeka. Nowa naczelniczka już wcześniej zagroziła, że każe im się kapać co miesiąc.

Cook wyglądała wprost olśniewająco w tartanowej spódniczce i pelerynie, z torbą z borsuczej skóry u pasa, w białych wełnianych pończochach opinających wydatne łydki i butach ze srebrnymi sprzączkami. Siwe włosy powiewały na wietrze, przykryte od góry czapką ozdobioną gałązką ruty, rośliny MacElginów.

Marsali z uśmiechem patrzyła, jak Duncan podchodzi do białego kamienia, wygładzonego przez morze, żeby przekazać Cook symbol władzy. Po tłumie przeszedł szmer nie wyrażający raczej entuzjazmu, kiedy Duncan wręczył jej szablę, by mogła ją nosić jako dodatkową broń obok wałka. Agnes nie była kobietą, która by zapomniała o swoim skromnym pochodzeniu. Marsali

z dumą słuchała donośnego głosu Duncana, który wymienił po kolei zasługi Agnes, świadczące o jej dzielności i oddaniu służbie.

Ceremonia wręcz domagała się jakiegoś specjalnego, nadprzyrodzonego efektu, dzięki któremu stałaby się prawdziwie pamiętnym wydarzeniem.

Marsali spojrzała na horyzont, gdzie niebieskozielone szkockie morze spotykało się z niebieskim niebem. Podniosła w górę ręce, czując mrowienie przepływającej przez nią mocy. Zerwał się silny wiatr, podnosząc grzywy piany na falach majestatycznie uderzających w brzeg. Gdzieś wysoko rozległ się grzmot; liliowozłoty blask rozświetlił chmury.

Duncan przerwał, rzucając żonie karcące spojrzenie. Ironiczny uśmieszek złagodził surowy wyraz jego męskiej twarzy.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, bardzo z siebie zadowolona. Wyszło akurat tak, jak chciała. Bez zbytej przesady.

Czarownik i jego niesforna córka, obserwujący wydarzenie z pokładu wraku, byli tego samego zdania.

- Szkoda, że ja tak nie umiem - westchnęła zazdrośnie Fiona.

- Ja też nie - przyznał się jej ojciec, klepiąc córkę pocieszająco po ręce. - Tylko proszę cię, nie próbuj dziś niczego. Mogłabyś jeszcze zatopić nasz statek.

Fiona zadarła głowę patrząc na jastrzębia unoszącego się w prądzie powietrza nad zatoką.

- Zastanawiam się, czy Eun poleci za nią do Londynu. Myślisz, że ona jeszcze kiedyś użyje swojej mocy?

- Czas pokaże, Fiono.

- Co za strata. Znów próbowałam rozmawiać z fokami, papo, ale chyba mnie nie rozumiały. Możesz mi jeszcze raz pokazać, jak się to robi?

Colum westchnął z irytacją.

- Nie planowałem spędzić schyłku życia na rozwiązywaniu problemów dwóch samowolnych pannic, Fiono. W moim wieku powinienem przeprowadzać studia nad nieśmiertelnością lub zwalczać demony. Na nic innego nie mam już siły.

DZIKUSKA

Ceremonia dobiegła końca. Duncan zszedł po kamiennych stopniach, poderwał Marsali z ziemi i zawirował z nią, aż oboje upadli na miękki biały piasek. Ich śmiech wtopił się melodyjnie w naturalną muzykę wiatru i morza.

Fiona zachichotała, w zachwycie przyciskając ręce do piersi.

Nawet na surowej twarzy czarownika zaigrał cień uśmiechu, kiedy wrócił do swojej kabiny, żeby dokończyć czary zapewniające pomyślność dziecku, które za sprawą Marsali i Duncana miało wkrótce przyjść na świat.